POPIOŁY

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

Rb. k

Ludzie bezdomni. Powieść w 2 tomach. Wyd. czwarte 2 —

Utwory powieściowe. Wydanie trzecie . . . . . 1 —

Treść: Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczu. — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym.

Opowiadania. Wydanie trzecie 1 3

Treść: Doktór Piotr. — «Cokolwiek się zdarzy». — Ananke. — Zmierzch. — Złe przeczucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela. — Z dziennika.

Aryman mści się — Godzina. Wydanie wytworne na czerpanym papierze, ozbobione motywami staroegipskimi . . . . . 2 —

W oprawie stylowej . . . . . 3 —

Promień. Powieść. Wydanie trzecie . . . . . 1 —

Echa leśne. . . . . . 2 korony.

STEFAN ŻEROMSKI

POPIOŁY

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII
I POCZĄTKU XIX WIEKU

TOM III

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1906

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

SZLAK CESARSKI.

Dywizya generała Zajączka, czyli tak zwana legia północna, podzielona została na trzy brygady. Pierwsza z nich, pod dowództwem generała Fiszera, składała się z regimentu piechoty, zapożyczonego z dywizyi trzeciej, z pierwszego regimentu kawaleryi krakowskiej i czterech sztuk armat sześciofuntowych. Część tej siły, pod bezpośrednią komendą generała Fiszera, udała się była w lutym na pomoc generałowi Dąbrowskiemu i wzięła udział w wyprawie na Tczew, później w marcu przeszła Wisłę i wróciła do swej komendy. Druga brygada legii północnej słuchała rozkazu generała Izydora Krasińskiego, poprzednio komendanta wszystkiej jazdy rycerstwa. Składały ją: regiment trzeci piechoty i pułk kawaleryi krakowskiej z dwiema armatami czterofuntowemi. Brygadą trzecią dowodził generał Wołodkiewicz, a miał pod sobą regiment czwarty piechoty, drugi kawaleryi i dwa działa czterofuntowe. Wszystka ogółem artylerya tej dywizyi zostawała pod dowództwem i sprawą szefa szwadronu Chopina.

Krzysztof Cedro nie wyszedł ze swego szeregu. Po zaprowadzeniu nowej organizacyi znalazł się w drugiej brygadzie, generała Krasińskiego. Pułki te stały w Toruniu do 28 lutego 1807 roku. Wyruszywszy stamtąd, przeszły Wisłę i pociągnęły w marsz na Pokrzywno (Engelsburg) i Niborg (Neydenburg), gdzie generał Zajączek pozostał aż do dnia 26 maja, nieznaczny biorąc udział w akcyi. W okolicy Niborga stały naokół wysunięte bataliony piechoty i kompanie jazdy. W Maldze stał batalion piechoty, 50 koni kawaleryjskich i jedna armata heska; Dębowca strzegł drugi batalion piechoty i 40 koni; w miejscowości zwanej Kot było 50 koni i druga armata heska; w Przysowie 20 koni, w Omulcu 10, wreszcie dwanaście koni rozmieszczono między Omulcem a Orłowem. Siła kawaleryjska tworzyła łańcuch, zakrywający posterunek główny i osłaniała wszystkie drogi.

Skoro tylko rozlokowano wojsko po chatach, budowlach i wogóle pod dachem, a dla koni urządzono w stodołach i wozowniach gródze, zaczęły się napaści lotnej konnicy nieprzyjaciela, oraz podjazdowania odwetowe ze strony polskiej. Krzysztof Cedro znalazł się w Kocie na początku marca. Gajkoś wyszykował tu dla konia dobre pomieszczenie a niezły siennik na pryczy w alkierzu wieśniaka. Zrazu wszystko szło po dawnemu: musztry, egzercerunki, ćwiczenia gimnastyczne. Ale już po upływie dwu tygodni zaczęły się czasy niespokojne. Konnica nieprzyjacielska wpadała do wsi w nocy, nad ranem, pod wieczór, w południe i przy śniadaniu, z wrzaskiem i gwizdaniem mknęła

ulicami i gubiła się w zimowej szarudze. Gajkoś szczególnie lubił zabawy z tymi wojakami.

W dniu 25 marca, o zmierzchu, zdarzył się właśnie jeden z takich napadów. Co najmniej cztery seciny jeźdźców nieprzyjacielskich wpadły do wsi i usiłowały ją podpalić z czterech rogów. Podpułkownik Skalski kazał trąbić gwałtownie »na koń«, w mgnieniu oka cała siła posterunku rzuciła się na napastników. Atak był odparty równie szybko, jak się zaczął. Krzysztof pędził za innymi w mroku padającego wieczora, widział nawet przed sobą konnego brodacza, ale pomimo całej siły konia dopaść go niemógł. Po zebraniu się sił obronnych uradziła starszyzna wykonać niezwłocznie podjazd. Okrzyknięto w szeregach, że kto na ochotnika chce do wyprawy należeć, ma się zgłosić do pułku Dąbrowskiego. Gajkoś z Cedrą poszli wraz na ochotnika. Dowodził pułkownik Sienkiewicz. Szli podzieleni na partye, ciemną nocą, polami, w nieznanym zgoła kierunku. Zdala pod leśnem wzgórzem ujrzeli ognie, to też obeszli je całe w promieniu kilkuwiorstowym, wertepem a moczarem. Napadli z boku z północnej strony. Oddziałem, w którym się Krzysztof znajdował, dowodził rotmistrz Zaborowski. Byli tu w kawaleryi krakowskiej porucznicy: Gontkiewicz, Wychliński, Szymański i Rzeciszewski. Cedro znał ich wszystkich jeszcze z Siewierza. Jechali w głuchem milczeniu aż do chwili stanowczej. Krzysztof nie mógł zrozumieć nic a nic z całej tej wyprawy. Najbardziej był zdumiony, kiedy porucznik Wychliński spiął nagle konia i rzucił się naprzód z takim wrzaskiem, zaży-

waniem pałasza i mocnych słów komendy, jakby go wściekły pies napadł. Natychmiast wszyscy uczynili to samo, nie wiedząc, o co chodzi. Jazda ochotnicza rzuciła się naprzód z lancami i wpadła między tlejące ogniska na ludzi rozespanych, którzy się zrywali z ziemi i siadali na koń wśród wrzasków, przekleństw i strzałów. Zwycięstwo nad ową półsenną zgrają nie przyszło jednak z łatwością. Z głębokiego mroku wypadli sformowani w lotne oddziały. Wszczęła się walka na lance i piki, starcia mokrych koni i czarnych ludzi, bitwa w ciemności. Tam i sam, wśród ognisk gonili się jeźdźcy na oko i z wrzaskiem wysadzali z siodeł. Tam to oficer Zaleski, dowodzący kompanią jazdy kaliskiej, w oczach żołnierzy odrazu salwował się ucieczką i tak dalece zdecydowaną, że Gajkoś wstrzymał konia. Splunął za nim w ciemność raz, splunął drugi raz jeszcze dalej, i tego nie było mu dosyć. Trzeci raz splunął w garść, chwycił nią jedlca szabli i dopiero! W trakcie utarczki świt nastał. W błękitnym mroku zimowym rozległ się szybki szczęk i trzask lanc, wzmogły się śmiertelne krzyki, stękanie koni i tętent skoków ich po żelaznej grudzie. Podjazd został panem obozowiska, kilkunastu koni, czterech trupów i siedmiu rannych jeńców. Tamci, odrębując się i strzelając, ustąpili z pola i znikli za lasem.

Nie upłynął jeszcze tydzień od tego wypadku, kiedy dywizya przeżyła nowe wzruszenie wojenne. Bardzki, szef szwadronu jazdy kalisko-sieradzko-wieluńskiej, stojącej na drodze ku Szymanowu, odebrał od marszałka Masseny nagły rozkaz maszerowania bez

zwłoki, w kłus, pod Szczytno. Słychać było stamtąd strzały i łoskot bitwy. Szwadron, uszykowany *en bataille*, ruszył z kopyta i zaraz, ustawiony obok dragonii francuskiej, rozwinął kolumnę i atakował z lewego skrzydła. Utarczki trwały przez całą noc bez odpoczynku, wytchnienia i popasu koni. Z rana, o godzinie siódmej, szef Bardzki atakował konnicę nieprzyjacielską dla zakrycia rejterady dywizyi francuskiej ze Szczytna. Przed południem nieprzyjaciel w sile blizko trzech tysięcy jazdy uderzył forsownie na Kaliszan. Cugi pierzchnęły odrazu i szwadron o mało nie był oskrzydlony. Dowódca dywizyi przysłał rozkaz rejterowania się, co też wykonano z szybkością, precyzyą i, jak to mówią, z chwałą, a pod osłoną lasu i kilkudziesięciu piechurów francuskich w nim ukrytych. Wielu oficerów i żołnierzy w tej sprawie dzielnie się spisało. Kapral Kwiatkowski dostał postrzał w bok, sam sobie kulę kozikiem z pomiędzy żeber wydłubał, ranę opatrzył, a z pola bitwy nie zeszedł. To też zaraz następnego dnia fortragowany został na sierżanta. Kapitan Ostrowski świetnie odznaczył się zarówno w chwili awansowania w akcyi, jak i podczas rejterady, która poszła z chwałą. Porucznicy Zabłocki i Krasuski byli ciężko ranieni.

W tydzień później, stosownie do planu wypracowanego przez generała Fiszera, wykonano atak na obozy zimowe nieprzyjacielskie pod wodzą generałów Fiszera, Krasińskiego i Męcińskiego. W tej sprawie miała udział kawalerya krakowska i kaliska, Poznańczycy i Mazury. Pułkownik Godebski uprzątnął niebezpieczeństwa z boków postępującej konnicy i niepo-

koił nieprzyjaciela w sposób drażniący wysuwaniem, oraz cofaniem jazdy. Skoro się przeciwnik rzucał gwałtownie do pościgu, Godebski usiłował okrążyć go piechotą. Kapitanowie Krzyżewski i Kreczmer przedarli się lasami aż pod Burdingen, a kiedy jazda polska wywabiła nieprzyjaciela i, świadomie umykając, skłoniła go, że się zapuścił za daleko, rozwinęli linię i rzucili się do walki na bagnety. Kapitanowie piechoty, Dobrogoyski i Tatarowicz, torowali drogę pod Czarnym Piecem, zmagając się bagnetem z nieprzyjacielem, który zagradzał dostęp do Jedwabny. Natarcie było silne i śmiałe, z trzech stron. Cedro pierwszy raz w biały dzień widział nieprzyjaciół. Rwał w szeregu z nastawioną lancą i jeden z pierwszych wpadł w uliczkę wiejską. Podpułkownik Skalski, dowodzący siłą, zdążającą od strony Kota, widział Krakowian, jak szli w ogień z kopyta, a strzelców, wdzierających się z nastawionym bagnetem pod konie nieprzyjacielskiej jazdy. Spotkał ich też wkrótce wielki zaszczyt: zostali przeznaczeni do kompanii wyborowych, które formował właśnie z jazdy krakowskiej i z piechurów generał Izydor Krasiński. Cedro dostał szlufy ponsowe ze srebrnymi brzegami i o jeden grosz więcej gaży na dzień, oraz obowiązek pozostawania zawsze w służbie sztabu generała. Wybrani zostali do kompanii wyborowej konnej za wzięcie Jedwabny kaprale — Gajkoś, Malczewski i Myśliński, żołnierze, prócz Cedry — Suryn, Modliński, Karpiński, dwaj bracia stryjeczni Kuleszyńscy, Krasuski, Błeszyński, Leśniewski, Grabowski i Stefan Szynka. Furyer Zwierkowski za okazane męstwo

otrzymał, prócz wyboru, zapewnienie pierwszego awansu, jaki się okaże.

Aż do dwunastego maja dywizya nie otrzymała żadnego alarmującego rozkazu. To też żywot jej zewnętrzny ograniczał się drobnemi utarczkami i małymi podjazdy.

Dwunastego maja rozbiegła się po posterunkach wieść-piorun, że pod Malgą załoga została w pień wycięta. Ludzie zerwali się do oręża, jak jeden, ale rozkaz trzymał ich w pętaczce na miejscu. Przyszła wreszcie dokładna wiadomość z oddziałem generała Fiszera, który chodził napadniętym na odsiecz. Okazało się tedy, że na młynek pod Malgą, gdzie konsystował oddziałek złożony ze trzydziestu piechoty, napadła znaczna wataha nieprzyjacielskiej konnicy. Podpułkownik Krukowiecki, komenderujący w samej Maldze, ruszył tamtym na pomoc z oddziałem 140 piechoty. Podchodzącego już do młynka nieprzyjaciel obskoczył ze wszech stron, w sile dwu tysięcy. Krukowiecki ścisnął swoją kolumnę, sformował czworobok, utworzył front z mężniejszych żołnierzy na wszystkie strony i zaciekle począł się bronić. Na wszelkie ataki i propozycye poddania się odpowiadał salwami wystrzałów i bagnetem. Walczył tym porządkiem przez półtrzeciej godziny.

Z rozpaczliwego położenia wybawił go generał Fiszer, którego konnica uderzyła na nieprzyjaciół i rozegnała.

Krukowiecki miał 25 żołnierzy poległych i 16 ciężko ranionych. Nieprzyjaciel utracił pułkownika,

dwu oficerów i około stu ludzi zabitych. Prawdziwem męstwem, wytrwałością i rozsądkiem odznaczyli się młodzi oficerowie: kapitanowie Gras i Fontana, porucznik Cybulski; podporucznik Braun du Laurans, Jakobowski i Zalewski. Kapral Werbechowski i wołtyżer Mamiński, obskoczeni przez tłum jeźdźców, wyrwali trzem z rąk piki i bronili się bagnetem ze stałością godną najstarszych i najdoświadczeńszych wojaków.

Chodziła w szeregach zazdrość i gorycz budząca wieść, że legia trzecia pod Giełgudem, który nią dowodził w zastępstwie wodza ranionego na rynku tczewskim, odznacza się świetnie pod Gdańskiem, że piechota pierwszego regimentu poszła aż nad morze, pod Kołobrzeg... Wreszcie 26 maja przeczytano legii wiadomość o poddaniu Gdańska i o marszu, który legia Dąbrowskiego ma wykonać na wschód, w stronę Niemna, dla połączenia się z cesarzem.

Nareszcie i legia północna ruszyła się ze swego miejsca. Dziesiątego czerwca stała kwaterą w Ostradzie, stoczyła potyczkę pod Rudą i Wałami czyli Wallendorfem; następnego dnia ruszyła do Loken, 18 przyszła do Dobrego Miasta (Gutstadtu). Tutaj w marszu, między Gutstadtem a Oelsee odebrano od ministra wojny, majora wielkiej armii, księcia de Neufchâtel, jakąś niezwyczajną wiadomość. Dzień to był upalny. Z kurzawy drożnej wynurzył się, pędząc naprzeciwko kolumn, oficer francuski z pocztowym. Obadwaj na nikogo nie zwracali uwagi. Szli wprost na generała dywizyi i jemu dopiero zwierzyli sekretny papier.

Chwilę tylko jednak trwała tajemniczość. Wnet starsi oficerowie wjechali między szeregi i czytali depeszę o wielkiem zwycięstwie frydlandzkiem. Wojska stały w milczeniu, jakoby zmartwiałe. Krzysztof Cedro słuchał tej wieści, nikiej baśni. Łudziło mu się, że słyszy na jawie opowiadanie starego żołnierza, Ojrzyńskiego Mieczyka. Tak wszystko, jak tamten zapowiedział prostą swą mową. Wszystko się spełniło co do joty. Zwierzył się z tem wrażeniem Gajkosiowi, a ten tylko wąsiska rozgarnął:

— A no i jakże! Toby żołnierz żołnierza nie rozumiał... Kapralby nie rozumiał cesarza! Każdy go tak samo rozumie, jak własną duszę. Nasze go ręce pchają i niosą tam przecie, dokąd chcą, a jego dusza to nasza dusza.

Nadeszły wnet i ustne wieści. Głosiły o śmiałych czynach dywizyi trzeciej, o zdobyciu przez nią dwu armat, o brawurze konnicy i zimnej krwi piechoty. o tem wreszcie, że »generał porucznik« znowu na polu frydlandzkiem odniósł ranę.

Teraz dywizya Zajączka ruszyła forsownym krokiem do Rastenburga dla pościgu za nieprzyjacielem i połączenia się z legią trzecią. Niedawna kawalerya krakowska i poznańska była nieustannie na linii strzałów nieprzyjacielskich, w polu, w awangardzie. Krzysztof Cedro znalazł się w końcu czerwca w Olecku, 13 lipca stanął w Hołynce około Sopoćkiń, w pobliżu już Grodna. Tu z woli cesarza Francuzów, Męciński, dowódca siły zbrojnej krakowskiej, mianowany został pułkownikiem czwartego pułku jazdy, a powstanie kra-

kowskie przyłączono do tegoż czwartego pułku. Około 10 lipca przeczytano wojskom wieść o pokoju tylżyckim. Dywizya Zajączka otrzymała rozkaz maszerowania ku Warszawie. Stanęła tam 15 sierpnia. Tegoż dnia wyszedł rozkaz generała dywizyi, oświadczający, że wszystka siła idzie na stały i długotrwający pobyt do Kalisza.

Pokój tedy i koniec awantury...

Tak myślał młody Cedro. Miał stanąć, a raczej zamieszkać w owym Kaliszu, jako żołnierz, czy wreszcie oficer bałaguła w czasie pokoju. Przewidywał, że dni upływać mu będą na grze w karcięta, w bilard, czy domino, na próżniactwie, rozpuście i nudach w jakiejś resursie Pescarego, w towarzystwie kolegów, których widział tylu. Nie nęciło go to życie.

Dla takiego ideału porzucić starego ojca? Dla tego podeptać jego nadzieje i ułudy? Dla tego przeżyć ów dzień grudniowy? Nie, nigdy! Więc wrócić się domu? Wrócić, jako rycerz, który wąchał już proch, ale bardzo z daleka? który odbył konno dość szeroko zakreśloną wycieczkę po kraju?... I to już niemożliwe.

Widział on już zdala wojnę, i wrosła weń, jak drzewo wrasta w ziemię niezmiernymi korzeniami, pasya do wielkiego a mocnego czynu. Wrócić do cichych, rolniczych prac z Trepką, do pracowitego snycerstwa wzorów kultury w twardym klocu kamiennym, kiedy tuż obok, za lasami sąsiedniego powiatu tworzą się dzieje, łamią i roztrzaskują kamienne tablice praw pisanych, spychają z przyciesi owe budynki

i nowych plany misterne, z szatańskim sprytem wysnute ze zdradzieckiego mózgu urzędników, które był w wiedeńskich poznał przedpokojach?

Z Warszawy, która za tych dni była jak pełny ul, gdy weń wyrojone pszczoły na pracę wracają, gdzie wszystkie siły ludu prężyły się, niby moc człowieka w jednej rozpętanej prawicy, w posępnym i gorzkim nastroju ducha wyruszył do Kalisza. Ciepłe były, łagodne, podjesienne noce. Gdy kolumny cicho i bezpiecznie ciągnęły od zmierzchu do rana gościńcem, a wyborowa kompania jazdy krakowskiej szła w tropy swego wodza, stary wachmistrz Gajkoś, dowodzący tą kompanią, wnet szlusował do młodego i mamrotał mu do ucha:

— Pokój padają na wieczny czas — i tyla.

— A no przecie czytali.

— Będziemy to w onym Kaliszu stoić?

— Taki rozkaz.

— Sliczności my wojnę zwojowali, ani słowa!

— Da Pan Bóg doczekać... Jeszcze, jeszcze... Dopieroć zuchelczek tyli, jak gniazdo skowronkowe.

— Do stu par dyabłów! To ja na musztrę mam jeżdżać pod Grodno? Ja musztry nauczny. Lepiej chyba Żydom gnój z pod kóz wyrzucać... Abo babę pojąć, żeby człowiekowi znaki obdarła i kopyścią po łbie praskała.

— Cichajcie, wachmistrz!

— Paniczu! Widział ja się we Warszawie z jednym.

— No?

— To samo z pod Kniaziewicza jeszcze. Oba my z Neapolu przyśli, ino ja wcześniej, bom głupszy i na śmierć mię dockliwiło, a tamto szelma — jeden mur. Na Śląsko przyśli. Świderski ich przyprowadził gros-major.

— Cóż to za broń?

— Z nadwiślańskiej legii. Kamraty jeszcze — chy — gdzie! Z pod starego jeszcze kochanka. Gdzie takie niebywały! Wszystkie boje z Austryakiem, Hohenlinden, wielka droga bez Szwajcary ze Sokolnickim. A potem w służbach cyzalpińskich. Oni ta wreszcie pod króla Józefa pośli, a ja się do ziemie wydarł.

— No, a teraz cóż z nimi?

— Pada mi ten kamrat: naszą starą neapolitańską legię od nowa sztyftują. Jakisi książę Hieronim w nich się pokochał.

— Co za książę Hieronim?

— A dyabeł go ta rozezna, co on za jeden! Książę Hieronim, powiedział, i tyla wiem. Pewnie cesarski abo brat, abo zgoła szwagier.

— A za cóż to ich tak sobie ulubił ten Hieronim?

— Zaco? A zato, co powiem. Wszystko mi kamrat porządkiem opowiedział, to i ja teraz paniczowi tym samym porządkiem wyłożę. Idą oni z ziemie Włoskiej, moje ułany, do Polski i przyśli na Śląsk ojczysty, do Lignicy. Idą se traktem w sześćset koni nocnemi porami, w maju... Dopiero im po tylu leciech zapachnie ziemia... Była, powiadał ten kamrat, góra znaczna w tych miejscach, to stamtąd pierwszy raz

dojrzeli daleki kraj. Aże chłop gadać nie mógł, jak se wspomniał, choć ta i twardy w sobie na potęgę! No, dobrze. Jadą oni, jadą gościńcem, noga za nogą, cicha noc, a ma się na świtanie. Szedł na szpicu kapitana Fijałkowskiego oddział. Aliści traktem pędzi wprost na nich jakisi oficer wysoki ze sztabem. Wleciał obces między szeregi, patrzy po twarzach wielkiemi oczyma, gorąco od niego bije. — Coście są za jedni ludzie? — pyta się — skądeście się tu zjawili?

Kapitan Fijałkowski mówi mu spokojnie: tak i tak, że są, powiada, jeźdźce polskie, że idą wprost z Neapolu do Lignicy. Dopiero ten generał odkrywa mu się i powiada, że nie jest kto inny, tylko sam Lefebvre-Desnouettes. — Przez Wszechmocnego Boga jesteście mi, powiada, na ratunek zesłani. Ja przecie z Prusakami bitwę pod Kunt toczę. Samego mię tu, mówi, zostawili z Sasami, z Bawarami. Sasy mię podle zdradziły, nie chcą się bić z Prusakami, a Bawary, choć się i bronią, ale rady dać nie mogą. A tu, powiada, Wrocławia mogą dobywać, a we Wrocławiu książę Hieronim ma kwaterę. Brońcie mię, Polacy! Fijałkowski mu rzecze na to: Dobra! Prusaków łupać — o jej!

Pułk już się był rozkwaterował w Lignicy, więc ino skoczą, zatrąbią wsiadanego: — Na koń! Wiara myślała, że w mieście gore, czy ki dyabeł, bo o nieprzyjaciołach nie słychać było w tej stronie. Ale w siedm minut pułk stanął w strzemionach, jak mocny, stary las dębowy. Wyszli w kłus traktem ku miejscu tak nazwanemu Jauer, a stamtąd na rozstajne drogi od

Wrocławia i Lignice. Akuratnie nadciągną Prusacy do tego miejsca pościgiem, a w wielkiej sile. Mieli okrągłe pięć tysięcy doborowej piechoty, mieli armat sztuk dwanaście, a oprócz tego huzarów swoich tabaczkowych szwadron, a oprócz tego bośniackich pikinierów konnych to samo szwadron.

Dzień się robił. Generał Lefebvre stanął w pierwszym szeregu ułańskim. Szedł przy nim kapitan Fortunat Skarżyński, a oprócz tego byli tam starzy znajomi: był Hupet, był Szulc młodszy, a z poruczników — Rybałtowski, Błoński, Dziurkiewicz, Ledóchowski, był brat wachmistrz, stary wyga, Pruski i drugi Skarżyński. Pierwszy i trzeci szwadron polski skrócił cugle. Broń do ataku! Runą w Prusactwo z kopyta, po polsku, co duchu w szkapach. Lancami psubratów — durch! Ich tam generał wystawił na pagórku dwanaście swoich armat i dawajże w drugi a czwarty szwadron, co im z boku, polem, zachodziły...

Ale gadki! W jednym momencie konnica pruska, dragony, huzary, bośniaki na łeb, na szyję, w drzazgi! Wgnietli toto impetem jedno w drugie, że ich własne konie stłamsiły, skłuli piechotę lancami, wyłupali, jak oko, dwanaście armat ze środka szyku i odstawili w tył, poza swoją linią, dwanaście wozów kiesonowych to samo, cztery tysiące piechurów w niewolę i wszystkie, jakie ino były, bagaże. Dowódca tych Prusaków, jakisi ta Anhalt, na koniu w te pędy uciok. Dwóch pacierzyby nie zmówił, już ci było po całej batalii. Broń piechurów w kozły złożona, jeźdźcy na ziemi, łapy bo boku. Nim się dzień wysoki podniósł, już

ułani siadali na koń, żeby do Lignicy iść spać. Dopiero jak ze wszech piersiów buchnie nasza pieśń! Za to wszystko ich ten Hieronim tak pokochał. Pójdą tera gościńcami...

— Dokąd?

— Gościńcami, za cesarzem.

— Ale dokąd?

— Bić się i tyla.

— Gajkoś! Toć tu...

— E, mnie tu śmierdzi między onymi, z przeproszeniem, kapitanami, porucznikami, a choćby też i pułkownikami. Panie odpuść! Pułkowniki... Nic ino pułkownik na pułkowniku, a za nim parobcy od gnoju. Widziałem przecie na własne oczy jednego, jak wziął spychać kurek karabinowy garścią, z góry, a tak szczerze, aż go i urwał. Pyta go się starszy delikatnie, czemu nie strzyla: A jakże, pada tamten, bede strzyloł, kiej mi się kurcoba urwała? Dopiero mu w batalii pokazują, że nie trza kurcoby z góry pchać, ino za cyngiel leciuśko pociągnąć, to samo strzeli galanto. To się przecie tak zdziwił i zamartwił, że mu aże gęba otworem stanęła. Takie to chytre wojsko.

— Nie obmawiaj, nie obmawiaj, stary włóczykiju!

— No, ja ta idę do wiary, do swoich. Co mi tu za niewola ziewać z nudów! Z nas kuždemu sto bitew stoi w pamięci. Taki se Pawlikowski! W trzeciej jeich kompanii służy pod Fijałkowskim. Sam, jucha, na syngieltona wziął w niewolę 57 szwabów piechotnych. To przecie wojska się zadziwiły i od kraja do kraja trzęsły ze śmiechu. Chciał go Moreau generał dowo-

dzący natychmiast oficerem na placu mianować. Natychmiast, powiada mu, wdziewaj szlufy, przypasuj szablę oficerską. A na to Pawlikowski jeno ramionami wzruszył i powiada: *Ne se lir, ne se krir, ne pe ofisie..* Nagradzaj-że go! To mu dopiero karabin jakisi frymuśny przysłali z okuciami ze śrebła i z napisami długiemi we figlasach, jako że jest rycerz nad rycerze... A bo to jeden jedyny? Kużden widział na oczy świat szeroki, ziemię Włoską, ziemię Francuską, Niemce, góry, morza, wielkich bohatyrów i straszne dzieła wojenne. Cóż mnie po tem, żeby mi miał bele fąfel przewodzić, co jeszcze od smrodu prochowego poczciwie nie kichnął!

— Taka to subordynacya!

— Jak jeno do Kalisza przyjdziewa, zaraz idę do szefa i wykładam. Tam i oni w tym Kaliszu mieli mieć swoje depot. Dopóki my instruktorami — a no to uczę toto ciaciastwo dzień dnia. A tera pokój! Wyborowa kompania — śmiech! Jabym im pokazał wyborową kompanią, toby się w mysie dziury zmieścili ze wstydu. Niechże ich ta uczy, kto umie. A ja nie dyrektor. My są rycerze. Ja bez wojaczki, jak siodło bez konia. Jeszczebym się rozpił, albo, czego Boże zachowaj, obabił...

Po chwili szeptał jeszcze ciszej:

— Paniczu! chodźwa se oba... Z was będzie rycerz. Przeciem widział waszą jazdę i złożenie. Od maleńkości woma noga stawała w strzemię. Zmarnują waju te guwernery.

— Niema strachu.

— Jakem spojrzał na ubiór tamtego kamrata, na moderunek, na pałasz — Marya!

— No?

— Takie same mają barwy, jakie my jeszcze w 1802 roku we Vigevano dostali: granat z żółtem. Czapka na łbie wysoka, granatowa, sukienna, pikowana. Przy niej białe kordony. Kita! Tyla! Na froncie ma półsłońce z orłem.

— Z jakim?

— A dyabli go ta wiedzą z jakim!

— Z francuskim, bo to przecie nie polski pułk.

— Juści pewno, że z francuskim, bo ze skarbu cesarskiego będą dzień dnia dziesięć su lenungu brali. Orzeł mówię, a nad nim dwie lance skrzyżowane. Ten jeszcze mój komiliton był z kompanii grenadyerskiej, to miał przy czapie kitę czerwoną, jak ogień. Kurtka na nim granatowa, Panie święty, jak ulał, a wyłogi, rabaty, wypustki i lampasy na paradnych spodniach precz wokół żółte. Guzików ma u kurty dziewięć okrągłych a wypukłych. Huzarskie im tera guziki dali, odmienne od naszych dawniejszych. Spodnie paradne ma do samych kostek, na buty wykładane z dwoma lampasami żółtymi, a na codzień ma ci znowu szare rajtuzy z jednym lampasem granatowym. Codzienne rajtuzy wdziewamy, powiada, zimowym czasem, na tamte paradne, a zapinają się z boku nogi na ośmnaście guzików. W deszcz, w plutę jedziesz, jak w futerale zapięty. Nie przemokniesz, choćbyś i chciał. Oficer ma płaszcz granatowy, okrągły z białym kołnierzem, a żołnierz ma płaszcz biały, obfity, bez rę-

kawów. Róg prawy zadasz na lewe ramię, toś jak w kołdrę zawinięty. Trzy doby możesz na ulewnym deszczu stoić! Strasznie to piękny strój... Żołnierz ma ci akselbanty z lewego ramienia, żeby mu w robocie lancą nie przeszkadzały, oficer ma je z prawego ramienia. Pendenty z białej skóry, klamry żółte. Na pendent ma jeszcze pas niciany w pręgi białe z granatowem. Oficerski strój tenby dopiero paniczowi śpilował! Na paradę ma oficer szarfy srebrne, ładownicę przez piersi. Czapraki na siodłach mają ostro ścinane, z huzarska, granatowego koloru. Wypustki na nich żółte, a galony znowu srebrne. Na tylnych rogach cesarzowa litera z koroną.

— Gadaj-no: a lance jakież?

— Lance mają niewysokie. Nie włócznia ci to, nie dzida, nie pika, nie kopia husarska, ino broń ścigła, prędka, do dłoni, do prawicy wraz. Letka! Pięć łokci będzie miała. Jak rosły chłop stanie w czapie, tylec na ziemi postawi u nogi, to ma chorągiewkę tej lancy nad samem denkiem czapy. Chorągiewki mają, jako i my, gładkie, białe z czerwonem. Od tylca ma lanca piękne okucie. Pośrodku ma temlak z białego rzemienia do zakładania na przedramię. Przy obu strzemionach stoi otworem i czeka na tylec lancy tulejka, trokami do puśliska przymocowana. Bije się w pałasze, to lancę rzuci w lewą tulejkę. A pałasze mają sieczne, z żółtemi jedlcami. Temlaki przy nich z białej skóry... Paniczu, wamby pasował okropnie ten lansyerski strój!

— Próżno mi pochlebiasz.

— Po sprawiedliwości mówię... Abom to nie widział? Na koniu siedzi, jakby go mutrami przykręcił, sam towarzysza obrządzi, rozsiodła i okulbaczy, jak rataj, i jeszcze dotychczas nawet nie sierżant, jako że jest niedbający. Są w naszych szeregach takie niedbające chłopy. Nie małom ich widział. Bije się na śmierć, kużden trud śmiertelny zniesie, zginie bez jednego słowa. Choroba wie, co to za ludzie są takie! Nie jednegom już, mówię, napotkał we włoskich legiach, a dotychczas nie wiem, skąd się biorą.

A są i inne. Będzie ci jechał na szkapie, jak Żyd z obwarzankami, nie wie na żywy Bóg, co zganić, a co pochwalić w glicie, ale odrazu z niego kapitan, bo ma folwark w tej samej parafii, co grosmajor. A my między obcym narodem szewrony brali. Dopiero jakeś czterem, piąci nacyom pokazał sarmackie męstwo, a najstarszych wiarusów zdumiał, że japy rozdziawiali i szmer szedł między pułkami, dopiero jakeś dobre imię a honor całego legionu podwyższył walnym uczynkiem, dopiero ci ten galonik naszyć kazali. Nasze sztaboficery z prostej wiary wyrosły. Paniczu, chodźwa w lansyery!

— Cicho!

— Co náma! Abo nam to potrza złota-pieniędzy? Za ten grosz miedziany lenungu wszędzie kupi torbę obroku, wiązeczkę siana, skibę chleba. Wszędzie wedle białych gościńców studnię napotka. A nieraz, prosty jeździec cesarski takie wina pijesz dzbanem jakich królowie skąpią królom na ucztach...

— Ale dokądże to chcesz iść, stary waryacie?

— Dopókąd on, paniczu, świata jak się patrzy nie oporządzi, wara náma ze strzemienia nogę wywłóczyć! Gdzie on, tam i my. On zażywa wczasu-spokoju — i nasza wiara śpi. A skoro on na koń siada, będziemyż to spać? Tak starzy powiadali. Nie bele kto, paniczu! Tacy, co już padli w krwawym boju twarzą na ziemię, a teraz w obcych ziemiach bez krzyża — pamięci i bez imienia leżą. Aboby to mogło tak być, żeby w tem żadnej sprawiedliwości nie było? Po obcych piachach one trupy rozwleczone na darmo? Abo my to nie przyśli do swych strzech, w te lasy, gdzie ino trza? Z końca świata my przyśli, bo słowem wodzowem przysiągł. Obejdziemy ziemię het — precz, porządek zrobimy i dopiero znowuj do ziemie, ale już wtedy ostatni raz na dobre. Tak starzy powiadali...

Natarczywe podszepty starego wachmistrza były dla Cedry ową wagą śróciny, która czułą szalę przechyla. Niezwyciężony wstręt do obłudy życia wiedeńskiego, gdzie zmiażdżona duma szarpała duszę na strzępy — popychał do kraju prostackich marzeń żołnierza.

W Kaliszu obadwaj z Gajkosiem podali się o uwolnienie z rycerstwa i prosili o translokacyę do lansyerów. Długo ich odwodzono od tego kroku, wynikły różne korowody służbowe, ale koniec końców w październiku przedostali się do twierdzy w Koźlu, gdzie się szwadron lansyerów, złożony ze starych legionowych wiarusów, znajdował. Był to tłum wąsalów, ogorzałych wyjadaczów, mocarzów, cyników i poszukiwaczy wszelkiego rodzaju awantur. Cedro musiał się tęgo wkupić do glitu i najeść rozmaitych szykan, nim go

przyjęto. Stare wygi niechętnie widziały między sobą młokosów, a osobliwie »cnotliwych«, entuzyastów. Za to dla Gajkosia znalazło się miejsce otwarte i nadzieja prędkiego awansu.

W początkach zimy przyszedł rozkaz wyruszenia ze Śląska i maszerowania do Osnabrücku, gdzie była kwatera pułkownika tego regimentu — Jana Konopki. Stamtąd wymaszerowano do Westfalii. W Erfurcie kompanie, z różnych stron przybywające, otrzymały jednostajne umundurowanie i wszystkie w tem mieście przepędziły zimę. Znaleźli się tam oficerowie wyżsi i niżsi, zgromadzeni z pod różnych znaków, starsi i młodsi, wywodzący się z dawnej kawaleryi, a nawet i z piechoty. Przybyli tedy — Ignacy Ferdynand Stokowski, Jaraczewski, Klicki, Telesfor Kostanecki, Routier, Pruszak, Prendowski, Wincenty Konopka, Augustyn Przyszychowski, Adam Hupet, Wincenty Walewski, Szulc, Kajetan Stokowski, późniejszy płatnik pułkowy Gnatowski, Linkiewicz, Kazimierz Tański, Rybałtowski, Skarzyński, Porycki, Fijałkowski, Oyrzanowski, Trzebuchowski, Górecki, Niezabitowski, późniejszy adjutant pułku Moszyński, Leszczyński, Piotr Doliński, książę Woroniecki, Jagmiński, Kajetan Woyciechowski, Józef Bogusławski, Luzignan, Jan Nestorowicz, Topolczani, Jagielski, Szarski Antoni, Dziurkiewicz, Karłowicz, Ledóchowski, Ulewicz, Ambroży Borakowski, Rostkowski, Wojciech Dobiecki, Stawiarski, Korytowski i inni. Między prostymi żołnierzami wielu było posesyonatów i szlachty zagonowej. Między in-

nymi zabłąkali się tutaj, idący w tropy Gajkosia i Cedry, dwaj Kuleszyńscy.

Na wiosnę roku 1808 zorganizowany pułk wyruszył w wielki marsz — aż do Bajonny. Szedł przez Gotha, Eisenach, Fuldę, Hanau, Moguncyę, na Méziers, Charleville, Paryż, Mans, Alençon, Bordeaux, Dax... Po przebyciu w końcu kwietnia szerokich łach Garonny pod Langon, minąwszy obszary piasków ziemi Guienne i Gaskonii, lasy dębu korkowego pod Roquefort, a kasztanowe dąbrowy pod Mont de Marsan, weszli w departament des Landes, w smutne i usypiające piaszczyste pola. Piechota płynęła na łodziach i tratwach rzeką l'Adour, toczącą swe fale po lewej ręce odwiecznego traktu na Tartas i Dax. Konnica szła zwolna owym gościńcem. Była to droga ponura, nie rozweselona ani jednym widokiem łaskawszym.

Krzysztof Cedro w ciągu tych długich, kawaleryjskich pochodów, od brzegów Niemna do brzegów Garonny, ogorzał, rozrósł się, przytył i zczerstwiał na duchu. Zginął, jako osoba, w szorstkim i grubiańskim tłumie żołnierskim, zamknął się w sobie i umilkł. Był wciąż bez troski, wesół, dobrej myśli, zajęty żołnierskiemi sprawami. Ale w istocie rzeczy jechał w najzupełniejszej samotności. Pochody były nocne. Gdy przed zmierzchem rozlegało się trąbienie — »na koń!« — gdy szwadrony ludzkie wrastały w kulbaki, a pułk się zbierał, formował w kolumnę i wolno puszczał w drogę, Krzysztof poczynał żyć. Oddziały, znużone za dnia czyszczeniem koni, rewizyami wachmistrzów, reparacyami rynsztunku, kuciem koni — spały twardo

na siodle. Spali ludzie, od chłodu nocy wiosennej zawinięci w swe płaszcze, i spały wędrujące konie. Noga za nogą szedł senny pułk topolowemi alejami »słodkiej« Francyi. Szaro-błękitne obszary pól zwolna, zwolna ginęły w łagodnem, kwietniowem zaśnieniu dnia, w uroczym zmierzchu. Odległe domostwa z szarego muru, wieże kościelne, fermy i miasteczka, stare zamki i lasy chłonęła w siebie cicha, spływająca noc. Ziemia stawała się zwolna jakoby rzecz niebyła, jakoby lata przeżyte, jak sen odegnany przez rzeczywistość. Jedynie przestwór, napełniony powietrzem przezroczystem, tchnący jeszcze ledwo umilkłym śpiewem skowrończym, jasnością dopiero co zgasłą młodych ról — świadczył o tem, co było. Ostry i mokry wiatr polny, ciągnąc za sobą ku nozdrzom zwiewną i uśmiech nęcącą mgłę woni fijołków — nie dawał młodemu twardo zasypiać. Nieskończone aleje topoli, które już nowe na się listki oblekły i nowem zadrgały życiem — głosiły szelestnym szumem o wiecznej sławie. Szelest ten duszę przenikał. Zdawało się, że słychać w nocy pogwary przedwiecznych, wędrujących hord, że to modlitwy wieczorne Gotów, idących w Ibery, słychać o zmroku. Idą w pylnych polach Gaskonii na zachód, na zachód wiecznego słońca. Brną z ciemnych i wilgotnych puszcz, z ponurych płaszczyzn bez imienia, z za rzek tysiąca, z za gór Germanii w tę stronę, gdzie słońce z niebios w morze zstępuje. Ku wiekuistemu idą słońcu... Czyjże ich bicz wygnał z leśnych legowisk, które mocnemi barkami wydarli byli zwierzętom? Czy ich wróg, od wilków i żubrów mocniej-

szy, wygryzł z dziedziny? Któż przed nimi niesie buńczuk grabieży, hasło gwałtu, zbójecki miecz? Wstali z ciemności ziemskiej, jak wstaje ogromny bałwan na morzach, wydźwignęli się nad obszarem milczącym na obraz chmur szarańczy, ciągną z szelestem, jako chorągiew nieprzemożona młodości i siły. Brną w piaskach, idą w bród przez rzeki, ciekną przez lasy. Zeżrą owoce cudzego posiewu u brzegu mórz ciepłych i niebieskich, porwą żony i córki nieznanych plemion i zasiądą na wonnych wzgórzach cyprysa, mirtu i pomarańczy.

— Idziemy szlakiem Karlomana Wielkiego — marzył Krzysztof. — Od Niemna za Ren, z dziedzin niemieckich w ziemie Celtyberów. Szlakiem Cesarza...

Nigdy Krzysztof cesarza na oczy nie widział, lecz teraz w nocach wędrowania zdawało mu się, że go zna dawno. Ów wielki cesarz, jak w pieśni, co tysiąc lat przespała — bardzo był stary — dobiegł już kresu — liczy na pewno z górą lat dwieście. Po tylu krajach włóczył już stopy, tyle swą tarczą odparł pocisków, tylu już królów przywiódł do nędzy... Kiedyż go znużą te krwawe dzieła?...

— Przenigdy! — szepcą młode usta, odpowiadając szumowi drzew.

— Aż się ludowa wypełni wiara i spełni swoje...

Oto minęli już seciny rzek, szumny i zgiełkliwy Paryż, sto miast, wyszli w płaszczyzny gaskońskie. Gdy nastawał poranek, widzieli przed sobą zrazu w mglistem niebie, a później coraz oczywiściej, jakoby odległe chmury.

Lecz chmur owych wiatr nie rozwiewał. Stały i stały. Złociste po nich snuły się szlaki, ciemne szły doły.

Senne zastępy żołnierzy wskazywały sobie nawzajem ów kraj daleki, wołając, że wreszcie widać Pireneje. Cedro wlepiał w dal oczy i szukał w górach swej drogi.

— Roncevalles! — szeptał, uśmiechając się do jasnych widziadeł pieśni owej, co uszła cało, gdy ludy wraz ze swemi dziejami zginęły. Błękitne widziadło gór było piękne, jak sama pieśń o Rolandzie. Stało zamglone i niepewne, jak ona. Oko skwapliwie chwytało kształty, z trwogą śledząc, czy się nie rozchwieją i nie rozejdą między chmury. Z onych to gór podniebieskich wylata gromowy głos rogu Rolanda:

— »Przyłożył Roland do ust róg złoty — potężnie z całej mocy uderzył. Zadrżały góry, trzęsą się skały, — dźwięki bojowe lecą wirchami. Z taką boleścią, z taką potęgą waleczny Roland zadął w róg złoty, że krew czerwona z ust mu buchnęła, że mózg rozsadził żyły na skroniach. Lecz huk przeleciał za góry, lasy...«

Serce drżało w Krzysztofie. Żądza czynów, czynów Rolanda i Turpina, które się śmiercią własną waża z nicości, czynów, co się w nich rozkochują pieśni wiecznotrwałe i piękne wiecznie, czynów, oplecionych przez bluszcze legend, a przez westchnienia pokoleń zmienionych w baśnie — płonęła w jego duszy. Jechał na koniu, śniąc na jawie. Śniły mu się słowa dawno zapomniane, z kraju niewiadomego płynące:

— »Kiedy Karloman szuka Rolanda, widzi na łące kwiatów kielichy, sperlone w krople rosy czerwonej. Serce mu ściska boleść straszliwa, lecz łzy nie ujmą piersiom żałoby. Pod cień król sosny przyszedł zielonej, podnosi oczy, patrzy: na górze mieczem rąbane szczerby w marmurze. Wtem na murawie postrzega ciało! Serce królewskie z bolu truchleje. Biegnie i dłońmi, jak liść, drżącemi głowę Rolanda podnosi z ziemi, a sam przy zmarłym bez zmysłów pada...«

Duma, w której mrokach knują się, kłębią i przewalają olbrzymie a jeszcze mgliste zamiary, wypełniła mu piersi. Uczucie męstwa przejęło i skrzepiło wszystkie niezwalczone żądze, duchowe porywy, podobnie, jak czyste i żyzne powietrze gór umacnia ciało.

W pierwszych dniach maja konnica legii nadwiślańskiej stanęła w Bajonnie. Cesarz mieszkał tutaj w zamku Marrac i trzymał przy sobie królów hiszpańskich: Karola IV, oraz Ferdynanda VII. Masa tu było wojska, a kraj pusty. Zuchwałe Gaskony nawet pod okiem cesarza skąpiły dostaw. Osobliwie paszy dla koni nie było w okolicy, ani nad rzeką Nive, ani nad Adurem.

To też, gdy weszło do miasta blizko tysiąc koni lansyerów, które tu miały dłużej popasać, intendenci potracili głowy. Zaraz następnego rana wysłano kompanię ułańską dla furażowania i dostawy paszy aż za Saint-Jean de Luz, na podgórze, w departament des Basses Pyrénées, pod samą granicę hiszpańską. Miały tam już być bujne trawy. Krzysztof Cedro, jako żoł-

nierz, władający doskonale językiem francuskim, przeznaczony został do tej dostawczej kompanii.

Wyszli, ledwo, ledwo z kurzu obmyci, nie obejrzawszy miasta. Ruszyli starą drogą w kierunku na Irun. Po prawej ręce mieli wciąż jeszcze diuny, wzgórza piasków, zasłaniające świat, posępne półokrągłe zwały i fale, które gdzieniegdzie słabo przesłaniała krzewina tamaryszku. Idącemu w znużeniu oddziałowi przypominał się jałowiec rodzinny. Za Saint-Jean de Luz już łańcuchy górskie zabiegały z lewej strony, sięgając aż do Ustaritz. Zmierzch się zbliżał, gdy oddziałek wyjechał na pierwszy wyniosły zakręt drogi. Chłód blizkich gór powiał.

W blasku zorzy wieczornej ujrzeli całkowity łańcuch śnieżnych Pirenejów. Stała przed nimi na południu niezmierzona ściana, stromemi przepaściami waląca się w dół, jakby ją piorun na poły rozłupał. Na zachodzie wlokła się nieskończona linia gór Kantabryjskich, stawała się smugą, modrem zamgleniem błękitu nieba, jakoby snem patrzącego oka, aż wreszcie wymykała się z niego, ginąc w nicestwie oddalenia. Bliżej ciągnęły się ciemne, granatowe regle, niezmiernymi lasami sosny nadmorskiej okryte, kraju Guipuzcoa.

Przed oczyma sterczał na skalnem zboczu zamek i chropawe mury twierdzy Fuenterrabia. Ciemna, czerwonawa, okrągła wieża zamku porwała wzrok Krzysztofa. Była dziwnie straszna owa samotna wieża na wysokości. Stanął na miejscu i patrzał w nią, zaczarowany przez milczące jej dzieje, przed dziką a tak

niewymownie piękną zuchwałość. Słońce zachodu uwydatniło ją całą, starą twierdzę, której mury krew tylekroć zbroczyła.

Krzysztof stał na koniu. Olśniony od majestatu gór, nie mógł się ruszyć. Przytłukła go myśl-uczucie, myśl-cześć.

— Jakże wielkim, silnym i potężnym jest człowiek! — myślał namiętnie. — Ileż uczynił na ziemi! Te niezmierzone skrzydła gór, których prędkiemi oczyma objąć nie sposób, wziął krótką ręką swoją w posiadanie, zamknął je w jedną ojczyznę. Nad niezgłębioną przepaścią i ponad najwyższym szczytem rozsiadła się jego wola. Fuenterrabia, rozparta w milczeniu na podścielisku gór, była, jak znak orła łomignata, czy sępa, lwa, czy wilka, wykuty w niezmiernej tarczy herbowej.

— Ileż on znaczy! Ile w sobie mieści! Ibery... Celty... Gotowie... Rzymianie... Mury...

Niezmyślony zachwyt wynosi z głębi duszy imię ukochane: Viriates!

Mężowie, niewiasty i dzieci miasta zgładzonego Numancyi, po którem nie masz nawet miejsca, nawet okolicy, nic, prócz imienia i wiekuistej w ludzkich plemionach sławy... Wielki, płomienny siłacz — Diaz Campeador Cyd... Cristobal Kolumb... Ferdynand Kortez i straszliwy Pizarro...

Zmierzch wolno padał na góry. Cedro spiął konia ostrogami i popędził za oddziałem. Wyjechał zygzakiem na jedno jeszcze załamanie drogi. Stała tam wioska, złożona z kilkudziesięciu murowanych domostw.

Żołnierze zsiedli już byli z koni i niecili ognisko, nosząc na nie ze wszech stron drwa i suchą mierzwę oślą. Krzysztof umieścił swego konia przy żłobie w jakiejś pustej stajence i poszedł za wioskę, żeby się jeszcze lepiej przypatrzyć. Zbliżył się do skał, ograniczających półko zasiane, i stanął nagle w zdumieniu. Od jego piersi spadała pionowa ściana, a od jej podnóża ciągnął się w nieskończoność — ocean.

Krwawy puklerz słońca zapadał prędko za wzdętą i wyniosłą pręgę. Tam daleko, tam nieskończenie, tam za oczyma — to także ocean... Olbrzymie granatowe lechy, poradlone szaremi skibami, słały się na całej długości, ciągnęły się wszerz. Znikała szybko barwa ciesząca oczy i pozostawał z falami jednolity zwiastun nocy. Stamtąd, gdzie tonęło słońce i płonęły jeszcze jego krwawe zorze, szedł po wierzchu zebrania wód białawy półblysk o metalicznej, bez lśnienia, zimnej i odpychającej barwie cyny. Fale, wynurzające się stamtąd, nie miały już cieniów i barw w sobie złamanych. Były ciężkie i jednostajne, niby z jałowego metalu. Nurzały się w sobie coraz szybciej te skiby i brózdy wodne, jedne w drugie wchodziły i pożerały się wzajem, bez końca. W szerokiem ujściu rzeki pogranicznej Bidassoa, zamkniętem między przylądkiem św. Anny, od skał najeżonym i ślizkim, a hiszpańskim już Cap du Figuier — zwolna wlewały się fale na ławice nizkich piachów, dążąc bez ustanku a niepostrzeżenie aż pod same mury Fuenterrabii. W oczach żółte niziny i brzegi rzeźbione stawały się niczem, topniały i ginęły. Wnet przemieniły się w morze. Twierdza

francuska Hendaye na tej stronie zatoki ukazała się na brzegu morza, kiedy niedawno stała wśród rozległej płaszczyzny ziemskiej. Nad zielonkowatym obrusem wodnym unosiły się teraz z piskiem rybitwy. W skalnych zatokach, w żółtych ostojach, między wapiennemi nogami skał nadbrzeżnych, w przesmykach najeżonych wypróchniałymi zębami, rozszerzał się tuman nieruchomy. Nigdzie wesołego żagla, ani trwożliwej pracy wioseł...

Skały tylko naokół trupio szare, złupione przez czas i plutę, wyssane przez wody, z dziurami, jak w zeschłej gąbce. W płonej ich masie, w chropawej odraźliwości lśniły się pod zorzą białe żyły marmuru, kryształu, czy soli, wypukłe, jakoby sieć splątana badylów i kłączów dawno uschłych i zaginionych porostów morza. W szczelinach, przepęknięciach, dziurach i niedostępnych lochach dogorywała ostatnim połyskiem, barwna jeszcze od zorzy, a w rzeczy zdechła, gęsta i gnijąca woda, karmicielka mchów żółtych i szarych pnączów. Z daleka od brzegu i calca skały tkwiły w morzu odosobnione pnie kamienne, zębate szkopuły i wydatne bryły. Zdało się w zmierzchu, że to chropawe skorupy olbrzymich żółwiów, że to krokodyle uśpione, że to kadłuby zabitych i zwalonych słoniów, hipopotamów, czy nosorożców z wyciągniętymi członki, ze skłębionymi zwojami trąb, łbów i karków. Bliżej lądu dźwigały się z brzegów jak gdyby zwalone baszty zamczysk, posępne ruiny kościołów, które zburzyło najście barbarzyńców. Sterczały, zamierzając się na morze, śpiczaste urwiska i zręby rozwalone — ni to

siekiery, ni to młoty i piły poczwarne koczujących w zaraniu świata plemion ziemi, ni to groty spis, dłóta, widły, osęki...

Wypłynął z głębi gór biały, jasnośliczny, ostro zarysowany wietek księżyca na pierwocinach nowiu i brzask swój pylny, sypki a nikły z mroku począł wywijać i siać na topiele oceanu, na szerokowładne przestwory wodnej równiny. Wygasł powoli ostatni przebłysk dnia...

Ciemna schodziła noc. Niewidzialne w niej zgonne odmęty poczęły szumieć. Na rozłogi bez granic zstąpiło srebrzyste światło, tworząc jak gdyby szlak i drogę prostą do tajemniczej a niezgłębionej ciemnicy oceanu. Poszła tą drogą za oczyma uniesiona myśl człowiecza, sama jak błędny, mistyczny pył blasku księżyca. Poszła w śródmorze, w samotnie zjednoczenia wód. Stanęła przerażona między otchłanią nieba a przepaścią chłonącą oceanu — otoczy świata. Głębia pod nią wody, sześć wiorst licząca od powierzchni do dna. Noc nad nią ciężka.

Lecz oto jedno słabe a pożądliwe lśnienie księżyca... Wzruszą się wtedy wody! Dźwignie się z ciszy powierzchnej, nieruchomo nad bezgruntem leżącej, olbrzymi wał. Powstał z odmętu żywy bałwan. Skrzelami trzepie w topieliska, pluszcze ogonem. Łeb jego ostry uśmiecha się w pięknym blasku wiecznej Seleny. Schyla się gruby kark, a grzbiet kudłami pian porasta. Wydarł się z wód, wyciągnął w górę aż do granicy ostatniej, kiedy ciężar jego ślizkiej bryły stał się równy sile ciągnącej nikłych promieni. Wówczas olbrzy-

mie cielsko zachwiało się w swojej posadzie: potworne łapy, wielkie pletwy brzuchowe rzucą się naprzód i cały kadłub skoczy i popędzi w ślad za białym rogiem miesięcznym.

Powtóre, a stokroć głębiej, rozpadnie się na dwoje ciemne odchlisko na obraz kłębu źródła, któreby biło z gruntu mórz. Rozwali się płaszczyzna i wstanie z niej bałwan. Wyciągnie posłuszne barki w stronę słońca, co w morza Zachodu zstąpiło, a którego droga ku ziemi zeszła się teraz, na nowiu, w jedno z drogą księżyca. Te dwa wełny morskie wychyną jeden za drugim z otworzeliska przepaści, roztrącą płynne łoże swe i pociągną szereg następców nieprzeliczony. Staną się wszystkie, jako lotne wydmy i biegnące pagórki; poczną ścigać się po okręgu ziemi, biegnąc ze wschodu na zachód za blaskiem zwiewnym księżyca. Z kolebki oceanu wypadną między szumne rozcieki mórz na północ i południe, na wschód i zachód. Popędzą w swoją drogę nad przepaściami, szybciej od zbieganych koni, gdy skaczą galopem, na przekór biegowi ziemi z zachodu na wschód: lot jej wieczny otamują i zwolnią zdyszanemi piersiami. Wyniosłe czuby i grzebienie ich łbów, grzywy ich karków rozbiegną się po rozdołach mórz i ocean stanie w pianach, siwy wszystek. Ten jest dzień syzygiów na nowiu, doba wód zzieleniałych. Dwakroć dziennie zalew wychodzi z upustów swych i nosi wody spienione, tłukąc się i kołacąc po brzegach ziemi suchej. Taka sama nastanie pora czasu pełni, gdy słońce i księżyc zjawią się na przeciwległych biegunach i gdy pociągną nurty mórz we dwie

strony, każde ku sobie. Trzykroć większy wstanie wał słońca, niż wał księżyca. Dwutygodniowa praca mórz skończy się wówczas, gdy rozejdą się drogi ciał niebieskich i księżyc zaświeci w kwadrze. Wtedy rozdzielają się wielkie ruchy fal, w różne się strony rozchodzą i cichnie żywioł. Fala, dźwignięta z oceanu przez księżyc, strącona zostaje ze swej podstawy i powściągniona w sile przez władzę kierowniczą słońca, stokroć możniejszą od księżycowej. Gdy nadejdzie doba porównania dnia z nocą w porze wiosennej i druga w porze jesiennej — wzruszą się i zbełtają fale dwakroć wyżej. Zahuczą wełny, sieczone basiorami tego samego wichru, które ich skoki z nicości i ciszy wywiodły. Pienistym i głuchym szumem ubielą się skały. Ryczące prądy runą w wąwozy między nadbrzeżnemi wantami, rozszarpią piersi swe o kły samotnych szkopułów, po całych nocach szlifować będą opoki najeżające dno zatok. Pianą i jękiem napełnią się skalne pieczary. Powstaną wiry, zakręty wodne i prądy śmiertelne w kotłach skalistych między pionowymi łańcuchami zatopionych gór. Wyjdą wreszcie rzeki morskie najwyżej, stworzą sobie wyłomy, przez które wali się zdradziecka napaść odwiecznych sił i klęska. Rozszerzy się najwyżej szlak możnego morza, rozniesie ciemność, strach i jęki po krańcach portów i ujściach rzek.

Krzysztof Cedro stał sam jeden w ciemności i nie mógł odejść, zaczarowany przez gwałtowne sprawy morza. Widział z blizka fale wód żywych, o których śnił na jawie, rozuzdane i rozpasane z popręgów. Huczały przed nim, idąc z daleka. Coś, jakby szybki ryk

grzmotu, dzwoniło w ich piersiach i trzewiach, gdy uderzyły o podwodne pnie. Oto bałwan jeszcze widoczny w zmierzchu nocy.

Grzbiet mu się w pałąk wygiął i porasta skłębionymi kłakami, jakoby królewskiemu zwierzęciu, kiedy się w sobie do skoku zbiera. Leciał straszliwy i piękny, a wiekuiście młody od nadmiaru sił. Skoczył przez krokodyle i słonie, przez hipopotamy i nosorożce, przez podobieństwa wielbłądów i żółwiów; ścigłym podrzutem wtargnął aż na wysoki i cały ląd. Bryły wodne runęły w skalne czeluście, ćpając w nich i mlaszcząc. Zamieć wdzięcznych, śnieżnobiałych pian srebrnymi batami i nićmi wycięła w najwyższy kres, a za chwilę wydała przeciągły syk, musując się na obeschłych stolnicach pochyłości, w wyssanych dziurach wapienia...

Im natarczywsza zstępowała ciemność, tem przestworniejszy stawał się głos mórz. Z dzikiego huku, ze zgiełkliwego chaosu, ze zbiorowiska krzyków rozszarpanej fali, z szelestów i pluszczeń coraz wyżej wydobywał się głos goły, ni to solo dalekie, ni to wieszczba o sprawach przyszłych, ni to pienie o dziejach przeszłych. Otchłań wodna wznosiła ten psalm w przyciemnej i szarej poświacie miesięcznej. Martwej twarzy księżyca, której druga połowa nigdy się nie ukazała i nie ukaże ziemi, głosiła otchłań powieść, jak to w wieczności pracują fale. W tej pieśni-czynie była wiadomość, jak się co dnia wszystkie powierzchnie mórz ukazują z kolei przed martwemi oczyma Seleny. Jak posłusznie wstają z siedlisk okręgi oceanu, jak

wędrują a biją w wysoki ląd, i znowu, zawróciwszy się na czopach swych, uciekają na głębie szeregiem opieszałych i martwiejących strumieni. Brzmiała wieść-sprawa, jak morze jedne skały wyniszcza, a inne przez wieki kształtuje i zdobi; jak jedne brzegi sępimi szpony rozdziera, a inne daleko tworzy i hoduje; jak pracowicie zamula istniejące porty, a do innych oskardami kuje wrota w rozszarpanej ziemi...

Wzmogła się pieśń. Grzmi w niej wieszczący głos o dziejach mórz i lądów. Cóż jest susza, na której człowiek rozpostarł swoje dziedzictwo i herb swojej potęgi wyrył?

W łonie się oceanu poczęła, jako płód, i jednego dnia przez ocean może być zniszczoną. W łonie oceanu tworzył się jej piasek, zsiadała glina warstwami, rodziły się margle i głazy opok, gotowały wapienne skały, zrastał w tafle granit, leżący na szczytach Alp i Pirenejów. Ciałem swem okrywał ocean najwyższe wierzchołki gór. Przed zupełnością czasów wydał ze siebie ląd, jak rodzic wydaje na świat ojcowica. Rzucił go nago pod słońce, księżyc i gwiazdy, wydał słabego na hodowanie powietrzu...

ZA GÓRAMI.

W końcu maja, po trzytygodniowym spoczynku w Bajonnie, pułk lansyerów Konopki ruszył sam w góry. Szedł nie drogą na Irun, lecz krótszą, prowadzącą wprost do Aragonii, prastarym szlakiem Karola Wielkiego, na wąwozy Ronsewalskie.

Tysiąc koni pod pułkownikiem Konopką, a pod szefami szwadronów: Kostaneckim, Klickim i Routier'em — zaraz za Bajonną wziął się na lewo idącą doliną. Ciągnęli między dwoma łańcuchami reglów na południowy wschód, przez miejscowość zwaną Macaye aż do Jaxu. Tam spoczęli na noc.

Droga stamtąd zawracała się stromo i szła na zachód w górę do Saint-Jean Pied-de Port. Już następnego dnia weszli w zawrotne wyżyny kamiennych Pirenejów przez Valcarlos. Drogi były tak wązkie, spadziste, rano ślizkie od tających śniegów, że całe to przejście musieli odbyć piechotą, konie prowadząc u pysków.

Zimno było takie, że ułani powciągali na się wszelakie odzienie, co tylko kto miał. Więc każdy żołnierz kładł codzienne ubranie na paradny strój, a jeszcze na to wciągał lejbik stajenny z drelichu, spodnie robocze, używane w czasie czyszczenia koni, i zapinał je na ośmnaście guzików z boku nogi. Na czapki ułańskie żołnierze powciągali czarne ceratowe futerały i, odwinąwszy ich klapy, zawiązywali je pod brodę, żeby osłonić uszy i szyje od wściekłych wiatrów i przeciągów górskich. Na wierzch dopiero kładli płaszcze i owijali się nimi. Oficerowie, którym moda i junactwo nie pozwalało nakładać na czapki żółtych futerałów z ceraty, marzli okropnie. To też często rozkładano ogniska.

Żołnierz szedł od strony przepaści i pchał do skały chrapiącego bieguna z Mazowsza, który miotał się w ręku, drżał z zimna i przerażenia na widok otchłani. Kilkakroć ukazali się na załamaniach górale aragońscy, uzbrojeni we flinty. Strzelali z daleka i, nie czekając starcia, ginęli w szczelinach czarnych, jak oni. Szef Kostanecki, idący ze swym szwadronem na czele, posyłał im salwę kul z karabinków, które oficerowie, podoficerowie i flankiery dostali byli w Bajonnie — i na tem kończyły się starcia.

Bardziej, niż te epizody, zajmował przybyszów z Północy sam świat górski. Piorunem spadające w przepaść boki krzesanic, strumienie, co się trzepią po nagich tarczach skał, jodły i pinie na zboczach niższych, wreszcie olbrzymimi zagajami rozrosły krzew dzikiego rozmarynu, który całe doliny jak gdyby kobiercem

wyściela, wszystko na cokolwiek zwrócili oczy, w zdumienie ich wprawiało. Częstokroć nad rozległą doliną, w którą wkroczyli, przebywszy najwyższy przesmyk, ukazywał się orzeł i zakreślał olbrzymie koła lotem, którego szybkości oko pochwycić nie mogło. Otworzył się przed oczyma, gdy tylko wyszli ze stromych przejść, kraj garbaty od skał okrągłych, zbałwaniony od gór, kraj pochyły, stargany, leśny, idący w stronę południową na przestrzeni blizko sześciu mil.

Cedro, peregrynujący obok swego konia, dzwonił zębami z zimna, ale zarazem palił się z zachwytu. Dawało mu szczęście to przeświadczenie, że mija wąwóz Roncevalles. Zdawało mu się, że w tej chwili zdobywa ostrogi rycerskie.

W ciągu dwu następnych dni pułk lansyerów szedł leniwo i ostrożnie w dół drogami górskiemi. Mijali z rzadka leżące pasterskie siedliska, w których najczęściej drzwi były pozamykane, a obory pustką stojące. Spoczęli dopiero w Pampelunie, fortecy, zajętej już przez garnizon francuski, zostający pod dowództwem generała Lefebvre-Desnouettes'a, starego przyjaciela Polaków. Wyszedłszy z Pompejuszowskiej Pampeluny w przedniej straży małego korpusu generała Lefebvre'a na południe, pułk ułański dnia 6 czerwca pierwszy raz spotkał gromadę uzbrojonego ludu. Zbiorowisko to za zbliżeniem się jeźdźców rozproszyło się. Szli tedy dalej na Taffala, Olite, Caparoso w stronę Valtierra, miejscowości, leżącej nad brzegiem rzeki Ebro. Stamtąd droga zwracała się na wschód ku Tudeli, idąc wciąż nad samym brzegiem rzeki w jej do-

linie. Dopiero w Tudeli miał być most, a z tej strony rzeki za Tudelą już ani śladu drogi. W tych to miejscach trafiono na wioskę opustoszałą. Wiara była zgłodniała, konie zmordowane, więc po rozstawieniu placówek, ludzie rozbiegli się po wsi w poszukiwaniu obroku i jadła.

Ktoryś z plądrujących znalazł w kościele, za wielkim ołtarzem, ukrytą pszenicę. Sypnięto jej obficie w puste żłoby. Kiedy ludzie zajęli się gotowaniem dla siebie posiłku, zgrzane konie chciwie chrupały hiszpańską pszenicę. Nazajutrz dały się słyszeć strzały placówek. Pułk zerwał się na nogi. Gdy zaczęto siodłać konie, spostrzegli wszyscy, że wierzchowce wstawać nie mogą. Jedne z nich, podźwignięte, stały z trudnością i nie były w możności utrzymać się na przodach kopyt. Kopyta ich były gorące, jakby pełne ognia. Dzielne rumaki wysuwały teraz obrzydliwie przednie nogi naprzód, tylne podsuwały pod brzuch dla utrzymania ciężaru ciała. Łby ich zwisały, a wreszcie cielska waliły się bezwładnie na ziemię.

Pomimo wszelkich środków, jak usilne wycieranie, puszczanie krwi, struganie kopyt, tegoż jeszcze dnia około dwustu koni padło na miejscu. Inne ledwo się mogły ruszyć z owej wioski. Mała armia Lefebvre'a, która szła w tropy przedniej straży, wyścignęła teraz ułanów, zdążając chyżo na wschód, lewym brzegiem Ebru, dla zajęcia Tudeli. Krzysztof musiał prowadzić swego konia za uzdę i iść obok niego piechotą. Zrazu miał kilkunastu towarzyszów, z których jedni wyprzedzili go, jadąc konno noga za nogą, inni tak

samo jak on wędrując obok wierzchowców. Około południa puścił się deszcz gęsty, dokuczliwy, nie ustający ani na chwilę. Konie jeszcze bardziej słabły i słaniały się na schorzałych nogach. Pod wieczór strapiony Cedro spostrzegł, że jest sam jeden na drodze. Nie widział koło siebie nikogo. Jedne z koni jego towarzyszów pozdychały, inne legły bezwładnie z wyciągniętemi nogami. Idąc wciąż pilnie przy pysku towarzysza, spotykał te konie padłe, leżące bez siodeł i uzd. Tem staranniej i prawie z rozpaczą pilnował swego. Szedł coraz wolniej, byleby go nie utracić na drodze. Koń trząsł się z gorączki, stawał na piętkach kopyt, słaniał się i rżał głucho. Jeździec poszarpał swoją koszulę, podarł na pasy i użył ich na bandaże, którymi obwiązywał mokrą glinę na kopytach. Miało się ku zachodowi, gdy rumak zachwiał się i runął bezwładnie nad rowem drogi. Zębami gryzł ziemię, nozdrzami miotał płonący oddech. Szarpnął się raz, drugi, trzeci. Dreszcz głęboki przebiegł go, piękna głowa głucho runęła w miękką ziemię. Ustał płomienisty oddech...

Pełen głębokiego żalu, stał nad nim jeździec z oczyma utkwionemi w zmierzchłych źrenicach, w dziwnym, jak gdyby szyderczym a nieskończenie bolesnym uśmiechu pyska.

Pchnęła go w piersi ta niespodziana przeszkoda i obudziła z dumnych zamyśleń rycerskich. Przyniósł go tutaj ten wierny, kochany towarzysz z ojczystej ziemi, przeprowadził przez tyle krain na jawie i przez taki ogrom widzeń, miał zanieść go do miejsca sławy...

Teraz śmiał się z tego wszystkiego gorzkim śmiechem śmierci.

Spostrzegłszy, że nigdzie na drodze niema towarzyszów, a noc się zbliża, Krzysztof odpiął obergort czapraka, popręg siodła, ściągnął uzdę, podpiersie... Gdy wyczuwał rękoma gorąco we wzdętym brzuchu i krążenie w żyłach krwionośnych łba, trząsł się sam i słaniał. Zarzucił derę, siodło z czaprakiem i trenzlę na kark własny, lancę ujął w garść i ruszył naprzód gościńcem. Szedł teraz co tchu, żeby dogonić pułk. Rozglądał się na wszystkie strony, a nie dostrzegając nigdzie żywej duszy, począł równo, miarowo biedz z góry. Deszcz bił coraz rzęsiściej. Okolica wciąż była ta sama: garbata na północy i zjeżona od stromych gór na południu, przerznięta doliną Ebru. W pewnej chwili Krzysztof zjadł kromkę chleba, którą miał był jeszcze z dnia poprzedniego w torbie skórzanej obok olstrów pistoletowych. Ale kromeczka była mała, stanowiła pierwsze śniadanie i obiad, to też nie zaspokoiła głodu. Napił się wody ze źródełka, które zdybał wędrując, i przepatrywał wciąż okolicę. Stojąc na niewysokiem wzniesieniu, widział przed sobą na pewnej przestrzeni gościniec, wijący się jak wstęga w dolinie rzeki. Z miejsca, na którem stał, zbaczała na lewo ku rzece węższa okoliczna droga, która jak cięciwa przecinać się zdawała na ukos cały rozdół rzeki. Wydało się Krzysztofowi, że tędy będzie daleko bliżej do szlaku gościńca, który był widział w oddali. Bez wahania puścił się tą boczną drogą. Wyjął w biegu z olstrów obadwa pistolety, wpakował je za pendent, lancę do

boku przycisnął, pałasz przytroczył wysoko — i dalej, bez trwogi! Płaszcz nasiąkł od dżdżu i silnie ociężał. Czaprak z białych baranów, przykrywający siodło z wierzchu, namókł także. Z granatowych obszyć czapraka, idących w zęby, kapała za kołnierz jakaś zębata woda. Mantelzak, po wyjęciu pistoletów z olstrów, przeważał teraz ciężar na prawą stronę i uwierał ramię. Tybinki kłapały, rzemienie podogonia, podpiersia, uzdy, puśliska i popręgi rozpełzały się z rąk co chwila i plątały dokoła nóg. Ubiegł tak już z dziesięć stajań pola, zarosłego drzewem oliwnem, kiedy ostatnie brzaski słońca, przesączając się przez strugi deszczowe, ukazały mu dziwaczny w pobliżu widok. Zrazu myślał, że ktoś modli się pod krzyżem, nabożnie złożywszy dłonie. Gdy podszedł bliżej, zatrząsł się i ścierpł ze strachu. Stały tu między drzewami naprędce wkopane w ziemię słupy parkanu z poprzeczną żerdzią. Do tej poprzecznicy właśnie były przywiązane ręce woltyżera francuskiego w tornistrze i mundurze. Dłonie miał związane w tył postronkiem, wykręcone do góry w ramionach i zadzierzgnięte na poprzeczną żerdź w taki sposób, jak się wiesza na hakach śpiżarni zabite sarny i dziki. Cedro zawołał na niego z odległości kilku kroków. Żadnej odpowiedzi.

Zbliżył się powoli i wtedy dopiero szczegółowo rozpoznał wszystko. Te ręce związane kręcono widać, włożywszy kołek w miejscu ich złączenia, gdyż ramiona wylazły z rozpękłego munduru, jak nagie kolana wyłażą z podartych spodni. Usta były zakneblowane gałganem zwiniętym w kołek, nos oberznięty,

uszy wyrwane ze łba, w obnażonych piersiach ze trzydzieści czarnych ran. Kiszki wywleczone z brzucha leżały na ziemi. Do pasa trup owinięty był czemś, co jeszcze dymiło się czarnym kopciem, choć ognisko, pod stopami rozłożone, zgasło już, przez deszcz zalane. Cedro pomacał wystające ramię. Było już chłodne.

Jęknął na widok czarnych, straszliwie rozpuchłych od palenia ogniem gnatów nożnych, okręconych słomą, maczaną w oliwie. Zdjął trupa co tchu z owej żerdzi położył na murawie. Gdy tak stanął nad nim rozkraczony i, patrzał na leżącego jakoby z grubem cygarem w gębie, rozdętego w szyi, z oczyma wywalonemi na wierzch przez straszliwy ból, że były, jak dwie gały z czerwonego kamienia, bez uszu, i z brzuchem rozwalonym a z kupą kiszek, które zwisały, jak obfita dewiza z brelokami, ogarnął go szczególny rodzaj wewnętrznego śmiechu. Nie myśląc o tem, czuł, że śmieje się, jak jego wierny koń, zdychający na pampeluńskiej drodze. Pomyślenie błędne, obce duszy, jakieś niby to sformułowanie tego widoku nikle i prędko wypsnęło się w mózgu wpośród wzdrygnień niezdrowego śmiechu: do dyabła! nie zawsze cierpienie jest piękne, nie zawsze, nie zawsze...

Chwycił lancę upuszczoną na ziemię, siodło na barki, otoczył sobie szyję rzemieniami, żeby mu nie zawadzały, i jelenimi skoki pomknął w swoją drogę. Już się walił na ziemię mrok szybkiej nocy. Wytężał piechur ułomne oczy, żeby objąć całą drogę i nie zabłądzić w ciemnościach. Otoczyły go po przejściu zmierzchu w noc szepty, szmery, szelesty drzew, sze-

lesty oliw i platanów obce uchu. Nigdy ich w życiu nie słyszał... Daleki plusk rzeki Ebro... Polne koniki sykały w otaczającej nawale ciemności. Dźwięknie, z nienacka uderzywszy się o żelazo wędzidła, rozetka napierśnicy w kształcie serca, spajająca rzemienie... Zadzwoni nagle strzemię o strzemię, zaskrzeczą sprzążki popręgów — i w mgnieniu oka włosy stają na głowie. Idą! Nadbiegają... Serce bije... Banda chłopów bieży, czając się po zapłociu... Wargi ich zagryzione, oczy od wściekłości przymknięte, w rękach — żegadła. Gdyby przynajmniej można było widzieć! Gdyby tylko można było dojrzeć miejsce i tych ludzi! Zmierzyć oczyma ich liczbę! Bronić się do stu piorunów! Przecież potrafi bronić się i umrzeć, jak się należy! Ale ginąć podle, wśród podłej zgrai, wśród rozżartych zwierząt, tłumem na jednego napadających. Jak tamten... mieć w ciągu godzin wykręcane ręce, a nogi palone wolnym ogniem!

Szedł w tem miejscu obcem na palcach, bez wiedzy, że to czyni, coraz ciszej, jakby na nogach już spalonych. Czuł kiszki wydarte niejako ze siebie i oczy wyłupane...

— Tchórzu, tchórzu! — mamrotał z cicha, przyśpieszając kroku. Skutkował taki okrzyk przez chwilę, ale wnet odprężała się zasłona, ukazywał spalony trup woltyżera, i zgięta ohyda waliła się w serce. Kroki Krzysztofa stały się ciche, lisie, hyenie. Wlepione oczy przebijały deszcz i mrok. Chwilami migały w nich ogniste widziadła, jak gdyby od nagłej błyskawicy odsłonione, to znowu kładły się kształty płaskie, kwa-

dratowe, czarne. W pewnych miejscach słyszał swe kroki z łoskotem powtórzone dziesięciokroć, jak gdyby stado ludzkie już go dopędzało. Krzyk wydzierał się z piersi, ale go wola dusiła w gardle. Stawał wtedy i z odwiedzionym pistoletem w ręce nasłuchiwał.

Cisza wokół nieugięta.

Drożyna owa, którą szedł, kamienista i poryta przez deszcze, była z obudwu stron wygrodzona niewysokimi płotami z surowych głazów. Te właśnie kamionki chroniły wędrowca od zboczenia. Kilkakroć wlazł już to na prawą, to na lewą. Poczuł, że idzie pod górę, w wodzie zlatującej po kamieniach i stopniach z szelestem. Był już spocony, zdyszany od ciężaru siodła. Stanął na pewnej wyżynie. Po ostrości przeciągu wietrznego domyślił się, że jest na samym wierzchołku wzniesienia. Uczynił jeszcze kilka kroków — i oto w niewielkiej odległości rzuciły mu się w oczy światła. Wymacawszy ręką przykopę kamienną, przysiadł na niej i po stokroć zadawał sobie pytanie: kto też to może palić te ognie? Wróg, czy swój? Słychać było naszczekiwanie psa... Francuzi, ani Polacy nie mają ze sobą psa... Daleko zarżał koń... Czyj też to koń? Znowu cisza. Przerwało ją coś rozkosznego, jakby echo gry na organach — i znowu milczenie.

Krzysztof wypoczął już i nabrał tchu. Ruszył ku owemu światłu cichymi krokami zmory nocnej. Zstępując wolno ze wzgórza, usłyszał dalekie, w innej stronie wołanie placówek: *Qui vive!*

Serce zabiło, jak młot. Droga rozchodziła się

tutaj w rozmaite strony. Przecinały ją szerokie kamienne schody. Na jednem z załamań zobaczył nagle z boku ogromny ogień tak blizko, że stanął w osłupieniu. Nie mógł się ruszyć z miejsca. Nie było to wcale okno płonące od światła, nie drzwi otwarte, lecz jakby szeroka czeluść kwadratowa, prowadząca do ognistego wnętrza.

Słyszał gwar ludzki.

Natężywszy ucho, ku najwyższej radości swojej, posłyszał mowę francuską, piosenki lekkomyślne, obozowe, krzyki, kłótnie... Pobiegł tam, skacząc przez mokre krzaki winne, przełażąc przez mury ogrodzeń i zapadając w rowy pełne wody. Wkrótce szyldwach przyłożył mu karabin do piersi. Sam ledwie mógł wykrztusić pytanie, tak był przerażony, gdy nań z mroku naskoczyło siodło, kryjące głowę ułana. Przybysz ledwie mógł wykrztusić *mot d'ordre*, tak był strudzony. Obejrzano go ze wszech stron przy blasku latarni i puszczono ociekającego wodą do ognia razem z jego siodłem i dzidą. Tak dobrodusznie zdecydował przywołany kapral. Krzysztof zbiegł po kilkunastu stopniach i stanął na progu głębokiej nawy wielkiego kościoła. Kilkanaście ognisk buchało pod jego środkowem sklepieniem i w bocznych kaplicach, filarami oddzielonych od głównego wnętrza. Na ołtarzach płonęły zapalone świece. Mnóstwo ich również jarzyło się w rozmaitych kątach, pod chórem i na chórze, na ambonie i w kruchtach. Ze dwa tysiące żołnierzy biwakowało tam z wrzaskiem i śpiewem. Jedni chrapali już, leżąc pokotem na kościelnych dywanach pod chó-

rem, między filarami, dokoła ołtarzów, a nawet na ołtarzach. Inni piekli na ogniu połcie mięsa, prosięta, indyki, koguty, inni zarzynali drób i odzierali go z pierza. Cedro doświadczał uczucia niewymownej radości. Nie grozi mu już napaść z tyłu i straszliwa śmierć woltyżera, nie otacza go samotność w czarnych polach, nie leje się po plecach zaciek deszczu. Ogień, światło, suche płyty! Krzyk ludzki!

Naokół siła i wesele ludzi zdrowych!

W pierwszych minutach nie mógł się zoryentować, co się to tutaj robi, czem się zabawiają jowialni kamraci. Wyszukał oczyma wolne miejsce pod boczną ścianą i zajął je prawem kaduka, z rozkoszą wyciągając zdrętwiałe nogi. Zaraz utworzyła się dokoła jego figury kałuża z osiękającego płaszcza i odzienia. Dym ognisk zapchał głębie sklepień i ciągnął ku drzwiom. Deszcz pryskał przez wybite witraże. Ze dworu po ziemi szedł mokry chłód.

W kłębach owego dymu, w blasku kilkunastu świec, przytwierdzonych do gzymsu ambony, ukazywał się co chwila grenadyer francuski, który wdziawszy na mundur komżę i założywszy na kark stułę, głosił kazanie o najsprośniejszych objawach życia, o najohydniejszych przestępstwach, jakie tylko zgromadzić może w szczupłe ramy anegdoty kawalerska imaginacya. Mowę swoją illustrował najzabawniej w świecie, skubiąc dużego koguta i co chwila z giestami krasomówczymi rozsypując na słuchaczów obdarte pierze. Umiał przytem piać i udawać gdakanie spłoszonych kokoszek w sposób iście zabawny. Cedro śmiał się do

rozpuku mechanicznym, martwym śmiechem, bokami i gardłem, aczkolwiek doświadczał jednocześnie uczucia przykrości. Wciąż dokoła niego łamano konfesyonały, rąbano rzeźbione stalle i ławki, katafalki, schody, drabiny i lichtarze, sprzęty kruchciane, starodawne naczynia z drewna, bardziej już przez swą starość symbole wieczności, niż przedmioty rzeczywiste. Rzucano je wraz z chorągwiami, z mszałami w wielowiecznych oprawach, wraz poczerniałymi obrazami w grubych ramach na stosy, i ognie pełgały coraz żywiej. Krzysztof ociężałemi oczyma patrzał na białe place po zerwanych ze ścian obrazach, gdzie nikłe pajęczyny chwiały się od przeciągu... Ziewał, kurcząc się w sobie żałośnie. Na marmurowej posadzce stały pośrodku rozlane kałuże juchy prosiąt, cieląt, kogutów i indyków. Za nogami chodzących włóczyły się istne korowody puchu i pierza. Słychać było gwar przeważnie francuski, ale przebijały się dźwięki niemieckie, polskie, hiszpańskie, a nawet holenderskie.

— Holendrzy w Hiszpanii, jako zdobywcy... — pomyślał leniwie Krzysztof, ziewając z całego serca.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek u drzwi prowadzących do zakrystyi, tak znany uchu katolickiemu, a zwiastujący wyjście sumy. Wszyscy porzucili swe zajęcia i zwrócili głowy w tamtę stronę. Istotnie wychodził z zakrystyi tłum poprzebieranych żołnierzy. Naprzód szedł szereg jakoby chłopców, mających służyć do mszy w komżach i ponsowych pelerynkach. Każdy z nich niósł dużą butlę omszałą z minką skromną i pokornie spuszczonemi oczkami.

Ustawili butle na wielkim ołtarzu szeregiem i, złożywszy rączki, pośpiesznie zbiegli ku stopniom. Za nimi dopiero wylazł z zakrystyi piechur z wąsikami, jak dwa lisie ogony, w lśniącej kapie i berecie, drugi za nim w ornacie, trzeci tylko w albie, którą podnosił w sposób damski, zwany *incroyable* czasu wielkiej rewolucyi. Każdy z nich dźwigał olbrzymi gąsior z winem.

Tłum żołdacki ryczał z zachwytu i klaskał w ręce. Tamci, błaznujący, poustawiali przyniesione gąsiory na ołtarzu. Przydźwiganą przez kilku beczułkę z winem wtoczyli na ołtarz i ustawili na szczycie cyboryum. Piechur w kapie wziął z rąk kolegi kadzielnicę i niespodzianie zaczął wykonywać nieprzyzwoity taniec i odprawiać jakieś potworne nabożeństwo. Gdy wśród podrygów wyrzucał nogi, odgięła się kapa i wykazała, że celebrans jest wprawdzie w mundurze, ale bez innych, niezbędnych części uniformu, które właśnie suszyły się przy jednem z ognisk. W trakcie tych profanacyi poubierani w komeżki wypchnęli przed ołtarz siwego człeczynę w nocnej koszuli i krótkich majtkach. Ubrany w kapę wciągnął go na stopnie ołtarza i przedstawił widzom, jako księdza proboszcza.

— Hiszpan, — wołał głosem błazeńskim — ale ksiądz proboszcz! Zdawałoby się, że tak niewiele, a przecież jest to właściciel i twórca tej całej piwniczki winnej. Szanujcie, barbarzyńcy, tego właściciela! Nic nie wypito potajemnie. Nie chciał nam czcigodny ojciec dobrowolnie pokazać skarbu, który przez tyle lat pielęgnował, więc go cokolwiek zaznajomiliśmy

z grzecznością. Teraz już jest grzeczny i sfrancuziały do gruntu. Pięćdziesięcioletnia malaga w tym oto antałku...

Wrzask radości rozległ się w całym kościele. Cedro cieszył się na równi ze wszystkimi przemokłymi i zziębłymi kamratami, wbrew istotnym swoim uczuciom. Ceremonia wnoszenia butelek i gąsiorów zajmowała go prawdziwie i szczerze. Gdyby wiarusy wyprawiały stokroć bezecniejsze orgie, uznałby je naprzekór głosowi duszy za ciekawe, godne uwagi i w szczególny sposób właściwe. Pić mu się chciało tak okropnie, że zda się kilka lat życia oddałby za jeden z owych pękatych i omszałych gąsiorów wina. Po wielkiem zmęczeniu, po trudzie drożnym aż do siódmego potu, po wykonaniu pracy ostatniej, która daje możność poznania forsy i trudu jucznego konia, jego znojów i niemal uczuć — było mu teraz na kamieniach odwiecznej posadzki zimno i obmierźle. Woda właziła w kości.

Włóczył spracowane oczy po płytach okolicznych. Sam leżał obok marmurowej tablicy, wielkością przewyższającej wzrost człowieka. Wykute na niej było niezgrabne wyobrażenie rycerza w zbroi, z mieczem w dłoniach splecionych. Twarz z płaskim nosem, pancerz i stopy — wszystko to dawno już było starte podeszwami i obcasami wiernych parafian, wyniesione prochem przez niezliczone szeregi nóg, które w ciągu wieków deptały dumnego rycerza. Teraz był z niego tylko ślad, istne zwłoki, znak świadczący o znikomości pamięci ziemskiej. Dalej leżały tablice, których litery,

podobnie jak wojownik, zstąpiły w kraj nicości. Obok napisów były okrągłe, żelazne antaby do podnoszenia tych drzwi grobowych. Z pod nich to wiał ów przejmujący, zwilgły, trupi chłód. Krzysztof nie mógł wytrzymać. Złożył swe siodło, lancę, powiesił przy ołtarzu płaszcz i uzdę. Wszedł między tłum. Trudno było przejść koło ognisk, gdyż wszędzie tam ludzie leżeli na rozciągniętych płaszczach, dywanach, ornatach, kapach kościelnych, na suknie do paradnego katafalku... W stronie prezbiteryum utworzyła się zbita masa »przystępujących« do antałka z winem. Wiarus w kapie rozdzielał kielichy między pijących. Krzysztof grzał się i suszył, zdala stojąc przy jednem z ognisk, i rozglądał się naokoło. Drażniło go rozkosznie skwierczenie prosiaka, pieczonego na bagnecie. Wstyd go palił na myśl, żeby poprosić o kąsek, ale głód kiszki skręcał. Kamraci przypatrywali mu się z podełba. Zaczęli między sobą mamrotać z niechęcią i zsunęli się koło ognia w taki sposób, żeby mu zagrodzić dostęp. Cedro spojrzał na nich wyniośle i odszedł z głową zadartą do góry, w towarzystwie coraz donioślejszej symfonii kiszkowej. Zahuczały organy, na których wygrywano skocznego sztajerka. W jednej z kaplic utworzył się pewien rodzaj sali balowej. Tańczono tam z nadzwyczajnem ożywieniem i ruchami. Szczególnie odznaczał się w tym kierunku jeden z grenadyerów. Tańczył, trzymając w objęciach z pieczołowitą i subtelną elegancyą sporego prosiaka. Udawał, że w zapamiętałym szale wiruje w tańcu styryjskim, unosząc w objęciach nadobną i wiotką dziewicę. Ponieważ prawą ręką krę-

cił prosięciu ogon i szczypał je paznogciami, gdyż kwiczało obrzydliwie, więc uśmierzał jego boleść namiętnymi szepty. Żołdactwo ryczało.

Przedzierając się ku ołtarzowi przez zwarty tłum, spostrzegł Krzysztof owego starego proboszcza. Księżyna łypał oczyma, stojąc w ciemnym kąciku pomiędzy nagrobkami i wolniuteńko kwapił się w pewnym kierunku, widocznie z tym zamiarem, że się niepostrzeżenie zdoła wymknąć, gdy motłoch na dobre podpije sobie. Zgłodniały lansyer przystąpił do księdza i zagadnął go ostro, w twardym tonie, czy rozumie po francusku. Proboszcz skrzywił się zarazem boleśnie i chytrze; kiwając głową, niby potwierdzał, a niby zaprzeczał. Po wyrazie twarzy Krzysztof poznał, że został zrozumiany. Zażądał wtedy, dobitnie wymawiając wyrazy, żeby mu ksiądz przyniósł cokolwiek do jedzenia, gdyż jest głodny najokropniej, po prostu jak pies. Pleban wytrzeszczył oczy i prawie z płaczem jął bić się w piersi, przysięgać na świętości i wskazywać z jękiem, że już nic a nic nie ma, że jego oto prosięta, cielęta, krowę, kury, indyki — i wino — dodał, bokiem, ze zgrozą i okropnym uśmiechem zwracając się ku ołtarzowi, zajada i zapija sławne po wsze czasy wojsko cesarskie. Cedro był tak zgłodniały, znużony i bezsilny z czczości, że namyślał się tylko nad tem, jakby z tym klechą począć sobie najskuteczniej.

Ujął go za kołnierz od koszuli i popchnął przed siebie, między tłum. Ksiądz pomknął żywo, schylając głowę, jakby się chronił od ciosu. Dotarli do zakry-

styi. Tam wszystko było powywalane razem z szufladami. Szafka ze świętem naczyniem była rozbita, szuflady jej wyrwane, a samych przedmiotów oczywiście nie było śladu. Naokół tarzały się po ziemi ornaty, kapy i bielizna kościelna. Ujrzawszy dużą, żałobną kapę z czarnego aksamitu, Krzysztof narzucił ją co tchu na ramiona z myślą, że będzie mu służyła za kołdrę. Zamierzał teraz na dobre zabrać się do księdza. Obejrzał się na niego... Zobaczył płaczącego pod ścianą, z twarzą ukrytą w dłoniach. Smiesznie wydatny, a doskonale okrągły brzuch księdza między naiwnie pierwotnemi szelkami wstrząsał się w krótkich i obcisłych majtkach od głębokich szlochów. Całe ciało targało się konwulsyjnym dreszczem.

Krzysztofa ogarnęła przelotna, krótka litość. Zbliżył się do starca i dotknął jego ramienia. Gdy tamten podniósł głowę, spojrzał mu w oczy z serca. Pokiwał głową, pokiwał głową... Później pocałował go w ramię i rzekł mu do ucha:

— Wielebny ojcze, dawaj mi, co masz jeszcze do zjedzenia, bo zdycham z głodu.

Ksiądz podniósł na niego zapłakane oczy i z załamanemi rękoma wskazywał owo zniszczenie sprzętów, szat kościelnych, naczyń... Byli ku sobie wzajem pochyleni, i właśnie Cedro miał zamiar wytłómaczyć staremu kanonikowi dobrotliwie, z wyrozumiałością, że to sam Bóg karze go zapewne za ów kult wina, oraz cieląt widokiem świętego kadzenia przed wypielęgnowaną beczułką malagi, kiedy ksiądz schylił się,

zaczął podnosić alby, komże, składać je sekretnie, pośpiesznie, ze czcią w szufladach. Krzysztof mu nie przeszkadzał. Sam rozglądał się po kątach, czy nie znajdzie jeszcze czegoś sprofanowanego, albo czegoś do jedzenia... W trakcie tych swoich zabiegów usłyszał szczęk klamki w najciemniejszym kąciku zakrystyi. Rzucił okiem i posunął się w tamtym kierunku, ale ujrzał już tylko plecy i pięty proboszcza. Drzwi zatrzasnęły się i klucz w nich szybko z tamtej strony zgrzytnął. Cedro wzburzony skoczył, żeby ścigać księżynę, ale za naciśnięciem klamki przekonał się, że drzwi zostały z tamtej strony istotnie zamknięte.

Kanonik niewątpliwie czmychnął.

Nie pozostało nic innego, tylko wrócić do prezbiteryum i szukać tam pożywienia. Stanął za innymi przed ołtarzem. Tłum rozgrzany wciąż za koleją klękał na stopniach i chłeptał malagę i andaluzyjskie wino Alikante, porządkiem otrzymując złoty kielich z rąk żołnierza w kapie. Już Krzysztof zbliżył się do ołtarza, żeby na stopniu klęknąć i pić za innymi, gdy na niego kolejka przyjdzie. Odchodził od przytomności z głodu, a głównie z pragnienia. Nagle pogarda buchnęła z niego, jak womity. Wypchnęła go duma z tego szeregu. Poszedł precz wprost na swe miejsce, klnąc głośno i bardzo brzydko. Zawinął się szczelnie w aksamitną kapę z taką wściekłością, jakby za chwilę miał głowę położyć na nożu gilotyny, narzucił na suchą kapę mokry, biały płaszcz ułański, siodło ustawił, jak wezgłowie. Miał pod ręką lancę

i rzemienie siodła, pistolety za pasem. Wydobył jeszcze furażerkę, podłożył ją pod policzek, żeby choć głowa leżała na suchem. Głodny, jak pies bezpański, zamknął oczy i wrzepił głowę między kule siodła, żeby spać i nie patrzeć na świat.

„SIEMPRE EROICA".

Blizko sześć tygodni Cedro spędził na siodle z rzemieniem lancy na ręku, z ostrogą wpartą w bok bieguna. Miał teraz iberyjczyka, konia szybkiego, jak wiatr. Otrzymał go jeszcze w Tudeli, dokąd na piechotę przybył ze swem siodłem. Od chwili wtargnięcia z pułkiem jazdy na prawy brzeg Ebra i w radosną po górskich pustkowiach dolinę tej rzeki, nie zaznał już jednej chwili spokoju. Brał tedy udział w niezrównanych szarżach lansyerów pierwszego pułku pod Mallen i czternastego czerwca pod Alagon nad Xalonem, cudnym, bystrym, dzikim dopływem Ebra ze strony południowej. Szedł w przedniej straży całego wojska, kiedy 16 czerwca zbliżano się do Saragosy. Jeden z pierwszych przebiegł we wszelkich kierunkach ów ogród pracowicie uprawny, zroszony licznymi kanałami, zajrzał do każdego domu w podmiejskich wioskach — la Joyosa, Marlofa, Las Casetas, Utebo, Monzalbarba, pierwszy wreszcie dotarł do klasztoru San Lamberto w Molviedro. Stąd już nie było trzech

wiorst do aragońskiej stolicy. Molviedro stało się od tej chwili niejako domem pułku. Tu po trudach wypraw odpoczywano w zimnych korytarzach klasztoru, tu nieraz można się było ukryć przed natarczywością dziennych upałów i zimna nocnego, stąd wreszcie wyruszano na setne i tysiączne ekspedycye, z których każda była zatraceniem. Zapomniał już był Krzysztof liczby starć, bójek, pościgów na gładkich szosach wapiennych, wysadzanych drzewem eukaliptusa i platanu w rozdole rzeki Ebro. Wiódł teraz życie na spalonych od słońca wyżynach szosy madryckiej, wijącej się przez la Muela, przez Calatayud — i w dolinie Huerby na drogach przez Daroca, ponad kanałem królewskim i za rzeką, za Ebrem, na lewym, bagnistym brzegu, w dolinie Gallego i na górach jałowych, solnych, kruchych od zwietrzałego kamienia i sypkich od gipsu. Ponieważ szczupła armia generała Verdier'a, której zadaniem miało być opanowanie Saragosy, nie posiadała wcale magazynów, więc ułani nadwiślańscy musieli dostarczać dla całego wojska zapasów żywności i furażu. To też dzień w dzień, podzieleni na oddziałki, od wczesnego rana pomykali w góry. Bogata, mlekiem i miodem płynąca dolina Ebra była zupełnie pusta. Jedna część mieszkańców uszła do Saragosy, inna w góry, zabrawszy ze sobą dobytek. Trzeba było szukać stad owczych, krów i kóz w ich niedostępnych kryjówkach. W ciągu tych sześciu tygodni ułani wyćwiczyli w sobie instynkty tropicieli i zbójów. Cedro odnalazł w sobie duszę jakiegoś przodka z czasów Maćka Borkowica. Zobojętniał już na przykrości tego

zawodu. Owszem, odszukał w nim pewien szczególny urok, bezczelną duszę, rozkosz tyranii, śmiech zdrowy z ludzkich jęków. Każda teraz chwila jego życia upływała pod ruchomą skałą grozy.

Człowiek w górach napotkany, to był wróg, godzący nożem w serce. Z za każdego krzaka czyhała lufa strzelby, strzał padał i kula świstała z za każdego kamienia, a każdy cień przelatujący zwiastował śmierć. Ale w tem właśnie młoda dusza znalazła dla siebie żywioł. Była to rozkosz — wyjść w kilkanaście koni wczesnym, modrym, zimnym rankiem w lipcu, nim słońce wstanie z za gór ziemi Monnegros, co koń skoczy przebiedz chłodne, mroczne aleje drogi pampelúńskiej, wyjechać z obrębu oliw i winnic, zawrócić na południe ku Placencyi, a stamtąd cichaczem rzucić się w bok, w zgorzałe, sypkie, spadziste rumowia dolin. Wyjść z obszaru cyprysa w rzadkie gaje pinii. Stamtąd widać jak gdyby step zburzony, strzaskany, gdzie cisza i głusza, gdzie suchy, bezmglisty cień poranka leży nad dolinami, jako wieko. Nagle, wichrowym skokiem, wpadną do jakichś kamiennych zagród, zastaną tam ludzi, złapią stada. Przystawią ze śmiechem lufy pistoletów między czarne oczy tym chłopom ponurym i zmuszą ich, żeby jak niewinne baranki pędzili swe stada na szosę i aż do samych bram oblężonej Saragosy. Nie zawsze jednak udawało się tak łatwo. Trafiały się dni, w których ciągu napróżno plądrowali góry i wąwozy aż pod sam szczyt Puig Cervero za Huerbą w kierunku na Belchite i ponurego w górach zamku Daroca, że darmo rzucali się w płone płasko-

wyża ku Fuentes, nie spotykając na drodze żywej duszy. Ileż to razy, tropiąc bydło, wpadli na zaczajoną bandę gerylasów, która rzucała się na nich z krzykiem i nożami. Były to chłopy proste i dzikie, przyzwyczajone do żywota w ziemi pustej i do wędrówek w Pirenejach z kontrabandą. Przeszywani bez miłosierdzia grotami lanc, wieszali się u szyi końskich, ostrzem noża rznęli kłęby rumaka i godzili w serce jeźdźca. Wówczas to Cedro poznał, czem jest lanca i jak mądre są maksymy towarzysza Gajkosia. Nim wróg zdecyduje się na skok — pęd konia i nastawiony grot! Struga krwi i jęk śmiertelny stratowanego — oto wszystko. Zawsze niezwyciężony pułk lansyerski tratował już wielekroć tłumy. Nieraz już Krzysztof prał w falach Ebra płótno swej chorągiewki, gdy się stało twarde i jednej barwy od zeschłej aragońskiej krwi. Nieraz już wpław przebył płytkie, letnie fale rzeki. Wielekroć śmigał po równinach lewego brzegu w uroczej dolinie rzeki Gallego, płynącej z Pirenejów, żeby wody swe połączyć z wodami Ebra tuż za murami Saragosy.

W tych wyprawach sześciotygodniowych już wielekroć okrążył starą *Caesaraugustę* ze wszech stron. Widział ją od strony wyniosłości Castellar z wyżyn płaskowzgórza Placencyi, od strony południowej z la Torecilla i ze wschodu, z płaszczyzny Val de Osera. Rysowały się przed oczyma niezliczone wieże: wyniosły szczyt katedry Del Seo; olbrzymie kadłuby klasztorów — franciszkańskiego w środku miasta, za bramą zwaną Quemada, na prawym brzegu Huerby — świę-

tego Józefa, na południu — czworokąt zamku inkwizycyi Castel Aljaferia, — na zachodzie Kapucynów przed bramą Carmen; okrągłe kopuły i strzeliste wieże Nuostra Seniora del Pilar nad samym brzegiem rzeki.

Widzieli dobrze most, łączący przedmieście Arcabal z głównemi przecznicami grodu, które sięgały aż do placu Engracia i bramy tegoż imienia na południu; szerokie zagłębienie między czarnymi gmachami w kształcie litery *C* — to jest Calle del Cosso, którego grube, środkowe brzuśce pod Franciszkanami i szpitalem obłąkanych stanowiło wydłużony plac, dolne wyjście kieruje się za gmachem uniwersytetu ku Puerta del Sol, a górne przechodzi w plac targowy i za klasztorem S. Juan de las Panales dosięga wązką uliczką rzeki Ebro.

Mamiło ich i czarowało to miasto posępne. Nie było fortecą, bo je otaczał jeno nizki, dziesięciostopowy mur i liche bramy. Widzieli pierwsze targnięcie się na Saragosę dnia 15 czerwca i atak w dniu 2 lipca, zdobycie wyniosłości podmiejskiej Monte-Torrero, opanowanie klasztoru Kapucynów. Byli przy zaciekłym szturmie, obronie i spaleniu klasztoru świętego Józefa...

Poznali tu męstwo jeszcze niewidziane, upór stalowy. Rozumieli to już, że mają przed sobą nie oficerów i żołnierzy, nie lud burzliwy i lecący w rozsypkę, gdy natrze ćwiczony batalion, lecz lud potęgą fanatyzmu przeistoczony w armię. Dowódca w tej ol-

brzymiej gromadzie nie był mianowany z góry. »Góry« nie było.

Wodzem stawał się najtęższy, najdzielniejszy i najzacieklejszy przez jednomyślny i jednogłośny rozkaz masy. Jeśli źle obmyślił, nieskutecznie rzecz poprowadził, słabo wykonał, nędznie zarządził, za słabo i miękko natarł, nie walczył, słowem, na śmierć, jak tego chciała wola powszechna, wydawano nań wyrok gorącem prawem, stawiano pod murem i jego własna podkomendna gromada kulami przeszywała mu serce. Tak zginął pułkownik artyleryi Pesino, tak zginął dowódca zamku Cinco-Villas — i inni. Gromady walczące nie były wcale podzielone na regularne oddziały. Były to kohorty, które przyciągnął i skupił geniusz wodza. Im wydatniejsza była siła tego geniuszu, tem oddział liczniejszy. Wódz danego oddziału nie zależał właściwie od naczelnego dowódcy: spełniał rozkazy wydane z góry o tyle, o ile je uznał za zmierzające do celu. A jednak wszyscy, jak jeden, byli w danym razie posłuszni wodzowi, na jakiego z woli ludu wyrósł Don José Palafox.

Ułani polscy, stojąc na górach i patrząc na posępne miasto, myśleli o niem, jako o duszy znajomej i czującej. Lubili tak stanąć oddziałem, patrzeć w nie długo... Nieraz Krzysztof Cedro zatrzymał konia i zapamiętał się w dumaniu. Serce łamało się w nim od tych rozmysłów, ręce się trzęsły. Z duszy jego wybuchała zaciekłość, a z ust rwał się mściwy okrzyk: Musisz i ty zginąć, maro! Nie będziesz nam stała przed oczyma, zmoro przeklęta! Przeciw karnym, przeciw

regularnym, przeciw ćwiczonym czworobokom stawiasz dumę swej woli, potęgę swojej wyniosłej anarchii! Cha cha! Musisz zginąć!

Gdy przedsięwzięto sprowadzenie z Pampeluny czterdziestu sześciu dział wałowych, haubic i moździerzy w celu rozpoczęcia regularnego oblężenia, pułk ułański bronił tego transportu od napaści gerylasów w czasie spławiania go kanałem Aragońskim. W tej dobie nie było spoczynkn ani dniem ani nocą. Szli ciągle wpław raz na tę, drugi raz na drugą stronę kanału. Zachodzili drogę bandom zstępującym z gór, siepali się z niemi w zasadzkach, po wyłomach skalnych i w dołach górskich. Nareszcie transport ściągnięto pod Saragosę i oblężenie zarządzono w ten sposób, że opasano część miasta z zachodu i południa, czyli od rzeki Ebru do fortu Monte Torrero. Część wschodnia z całem przedmieściem i zarzeczem była wolna.

Pod koniec lipca Krzysztof, jako znający język francuski, wybrany został z szeregu do kompanii inżynierskiej i artyleryjskiej, którą ze zdolniejszych ułanów i piechurów składał i formował kapitan lansyerów, Hupet. Liczba wykwalifikowanych artylerzystów była tak w armii nieznaczna, że generał-inżynier Lacoste, który miał kierować robotami oblężniczemi, rozporządzał kilku zaledwie oficerami. Baterya, powierzona kapitanowi Hupetowi, stała pod Monte Torrero. Artylerzyści mieli teraz za zadanie kierować sypaniem bateryi. Ułatwiała te prace wielka obfitość rowów irygacyjnych, wykopanych jeszcze przez pracowitych

Morysków, oraz naturalnych fos, przez które szluzy z kanału Królewskiego wyprowadzały wodę do ogrodów. Przechodziło tędy również wysoko obwałowane łożysko rzeki Huerby. Drzewa oliwne rozciągały się aż do samych murów miasta. To też mieszkańcy dniem cięli kulami wypielęgnowane gaje, rwali ogrody, burzyli w nich domki letnie, żeby odsłonić roboty Francuzów i kulami spędzać zatrudnionych chłopów.

Krzysztof porzucił konia i wyprawy, aczkolwiek nie zmienił uniformu ani nie przestał należeć do swego pułku. Siedział teraz w kanałach i dyrygował powierzonym mu oddziałem chłopów aragońskich, którzy pod karą śmierci musieli budować narzędzia śmierci dla swych współrodaków. Co chwila z bagnetem w ręku odpierał wycieczki mieszkańców miasta, napastujących, albo uśmierzał wybuchłe w rowach na podobieństwo prochowych min bunty robotników. Z murów i wież klasztornych bez przerwy sypały się kule, wypadały brandkugle, kawały żelaza i kamienie. Nocami uczył się sztuki stawiania działobitni, sypania przedpiersiów, rznięcia strzelnic, ich policzków i pokolanków, układania podłoża armat, stawiania sworzniów i łuków wkopanych. Oblężeni otrzymali w tym czasie posiłki w liczbie dwu tysięcy ludzi gwardyi hiszpańskiej, ale i Francuzi wzmocnieni zostali przez dwa pułki liniowe, które z Francyi nadeszły. Baterye zostały ustawione na legarach, ostatnie wbite gwoździe pomostowe, przedpiersia wyłożone faszynami. Na żądanie poddania miasta Palafox odpowiedział wyrazami: »Walka na noże!«

Trzeciego sierpnia ryknęły wszystkie armaty.

Czwartego bito od świtu w zamek Aljaferia, odwieczne więzienia inkwizycyi, w bramę Carmen i w bramę Engracia. Zarazem strzelcy polscy ruszyli po drugiej stronie rzeki Ebro na przedmieście Arcabal. Krzysztof Cedro stał w bateryi naprzeciwko klasztoru Engracia. Ponieważ przewidywano, że brama tego dnia musi być zatarasowana wańtuchami z piaskiem, bito wyłomy obok niej z prawej i lewej strony, w murach należących do klasztoru. Ogromne zabudowania jego stały na nieznacznem wzniesieniu i tworzyły całość odosobnioną. Batalion pułku siedmdziesiątego i cały pułk pierwszy piechoty polskiej stały w przykopach, czekając na dany znak. Cedro z towarzyszami artylerzystami otrzymał rozkaz wzięcia udziału w szturmie z karabinem w ręku, gdy szwadron konny nadszedł do asekuracyi armat.

Ludzie byli spragnieni walki, kobiet, rabunku. Drżeli do bitwy. Około godziny jedenastej z rana poczęły walić się i w słupy kurzu obracać mury klasztorne. Na prawo od bramy, w pierwszy wyłom, rzucił się natyczmiast kapitan Bal. Za nim przez most na rzece Huerba ruszyła garść ułanów artylerzystów. Wśród wściekłego upału, w ogniu strzałów, buchających, jak gromy i pioruny, ze strzelnic kutych w murze klasztoru, przypadli do wyłomu. Ujrzeli tutaj oko w oko obrońców. Rzucili się jedni na drugich, jak rozjuszone zwierzęta. Rzygnęła z przebitych piersi krew. Wał trupów zagrodził wejście. Mury klasztorne z trzaskiem padały. Waliły się sufity i z pięter leciały zastępy chłopów w głąb piwnic. Belki miażdżyły ich,

oberwane piece i ściany zasypywały odrazu. Krzysztof znalazł się nad brzegiem jednej z tych jam. Oniemiał. W dymie i słupach ceglanego pyłu, w ruchomych gruzach pod swemi stopami widział gmeranie się tej konającej miazgi. Głowy obwiązane czerwonemi chustkami w sposób świąteczny na obraz dużej obręczy; długie włosy wysmarowane tłuszczem, wełniane płaszcze w białe i niebieskie pasy, a sięgające do samej ziemi, jak togi rzymskie... Wierzgały i roiły się nogi w białych pończochach i czarnych, aksamitnych spodniach, trepy drewniane z czarnemi wstążkami, związanemi w tyle nogi. Wyciągały się jeszcze ręce, ściskające długie noże.

Z rozwartych jam w rozpękłych ścianach wypadały coraz to nowe szeregi wystrojonych świątecznie; rzucały się na napastników ze ślepem męstwem. Zamordowano ich bagnetem i zepchnięto do wspólnego z tamtymi grobu. Piechota polska wtargnęła w wyłomy klasztoru. Depcąc ranionych i konających, biegnąc po gzymsach, obok piwnic pełnych konania, zbroczeni krwią, w poszarpanych ubraniach, z lufami lepkiemi i ociekającemi, chyżo wypadli wreszcie na pierwszy plac.

Engracia!

Nareszcie włamali się do tego wściekłego miasta!

Plac był pusty. Gdy wyszli na jego środek, jak grad sypnęły się na nich strzały, runęły z góry kamienie. W ślepych murach, martwych, tylnych ścianach domów powybijane były oddawna oskardem wązkie otwory. Z każdego z nich błękitny dym wybuchał. Wązkie ulice, wiodące w miasto, istne szpary

między rzędami wysokich kamienic, były świeżo zamurowane, albo zawalone worami piasku. Okna dolne w mieszkaniach, drzwi sklepów, wejścia do sieni były również zamurowane i pełne niedostrzegalnych strzelnic. Nigdzie drzwi! Ani jednego żywego człowieka! Nieprzyjaciela jak gdyby nie było!

Druga straszliwa salwa strzałów... Dym buchnął z jednolitych murów i sączył się smugami... Kilkadziesiąt trupów padło na bruk. Oficerowie sformowali plutony i popod murami dążyli co tchu nazad, ku bramie Engracia. Tu się ukryło wojsko za zrębami poszarpanego klasztoru. Znaleźli bramę zawaloną niezmierną masą worków ziemnych, które tworzyły za wierzejami górę, równą ich wysokości. Kazano batalionowi drugiego pułku piechoty polskiej odciągnąć owe wory z pod bramy. Rzucili się do roboty, radzi, że nie idą choć chwilę na ślepe, dymiące mury. Między innymi pracował tam i Cedro. Gdy już z dobrą godzinę nosił ogromne *sacs à terre*, omdlewał prawie z trudu. Cały był zlany potem, brudny i niemal ślepy od dymu i kurzu. Dysząc ciężko, usiadł na worku i wyciągnął nogi. Ani jednej myśli... Gdzie to on jest i co robi? Co to za wory i do czego? Huk straszliwy armat grzmota raz w raz w czoło, w ciemię głowy. Przeraźliwe jęki umierania... Gdzie to on tu jest?

Tuż obok pod murem, w jego fijoletowym cieniu chodził tam i z powrotem nizki oficer, szczupły, chudy brunet z pięknemi oczyma. Szpadę obnażoną trzymał w ręce. Cedro rzucił na niego przekrwawionem okiem i nie był pewny, czy rzeczywiście widzi tego czło-

wieka, czy to może mu się przypomina jakiś wypadek z takim człowiekiem. Oficer stanął nad nim i z uśmiechem ironii coś mówił. Wśród buchania strzałów, wśród owych galopem pędzących fal powietrza, wśród walenia w mury poblizkie oskardów saperskich, wpośród ryków na pomoc, wrzasków konania i przesmutnych jęków a wołań — nie mógł dosłyszeć.

Zerwał się na nogi i wyprostował.

— Skąd się tu wziąłeś, ułanie z wciętą talią? — wkrzyczał mu kapitan w ucho.

— Odkomenderowany do armat Hupeta kapitana...

— Rozumiem. Spracowałeś się waćpan?

Cedro spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Znam waści z widzenia, z wieści, ze słuchu, panie Cedro.

Krzysztof ukłonił się po wojskowemu.

— Jesteśmy w dalekiem powinowactwie. Nazywam się Wyganowski.

Rotowe salwy strzałów i nowy huk armat z pod Aljaferii przerwał rozmowę. Za chwilę Krzysztof siedział znowu na swym worku, a oficer chodził wzdłuż muru.

— A nazywaj się jak chcesz, dyable czubaty... — rozmyślał Cedro. — Powinowactwo...

Rzucił mimowoli wzrokiem w stronę ruin klasztoru i znowu dojrzał zawalone piwnice. Z rumowia wyłazili ludzie. Gałgany na nich krwawe, obdarte. Gęby straszliwe, oczy w niego z daleka patrzą. Cóż za oczy!

— Wyganowski... — szepcą usta — w dalekiem powinowactwie... Cedro... Cha-cha! Cedro! Niema już, bracie, Krzysztofa Cedry. Poszedł, braciszku, i niema... Och, niema...

Niedługo pozwolono mu melancholizować w tym sposobie. Wezwany ponownie do noszenia worków, musiał z kolegami chwycić za pierwszy ciężar z brzegu i dźwigać go wśród niewysłowionej spiekoty. Na placu Engracia rozwiązywano wory i wywalano piasek na kupę.

— Ciekawym, — myślał Cedro ze śmiechem, biegając tam i z powrotem, jak koń w kieracie — jakie też to chłopczyki będą znowu nasypywały ten piasek w worki? Czy może my sami?

Skoro barykada z za bramy została usunięta, skruszono młotami jej olbrzymie wrzeciądze i rozwarto wrótnie na ścieżaj. Pułk czterdziesty czwarty wwalił się teraz w ulicę, na plac i w dziedzińce klasztorne. Co jeszcze nie zginęło pod gruzami murów, to teraz konało pod bagnetem. Opuszczono zabudowania klasztoru świętej Engracyi wówczas dopiero, gdy już nie zawierały w sobie żywego obrońcy.

Wówczas cała siła francuska zebrała się w kolumnę, żeby wtargnąć do środka miasta i dojść do mostu. Z placu Engracia trzy wyjścia prowadziły w trzy strony. Pierwsze na zachód do placu i bramy Carmen obok klasztoru św. Józefa Del Calzas. Na północ szła główna arterya miasta — ulica Engracia, otwierająca się na Calle del Cosso i wraz z ulicą św. Giliusza (od Cosso do mostu), przecinająca gród na

dwie, prawie równe części. Trzecie wyjście wiodło na wschód, w ogrody i bocznice, ku bramie Quemada.

Wojska musiały iść wprost, w ulicę Engracia. Wezwano saperów, odzianych w zbroje oblężnicze, zaopatrzonych w oskardy, i ruszono gromadnie na mur, zagradzający wązką szczelinę. Kiedy narzędzia z dźwiękiem uderzyły w kamienie barykady, istne piekło runęło na napastników. Z dachów, z facyat, z nielicznych okien i strzelnic, z każdego piętra i z za każdego niemal kamienia runęły głazy, bryły żelaza, chlusnęły kadzie wrzącego oleju i wody. Dym karabinowy buchał zewsząd, nawet z ziemi, z okien piwnicznych.

Francuzy i oddziały polskie biły w mur bagnetem. Rypali w nim szczerby, wszczepiali weń paznogcie i końce stóp, darli się na szczyt po wbitych karabinach, jak po szczeblach. Skoro ruszono mur przecznicy z wierzchu, rzucili się na pojedyńcze kamienie i rwali je gołą garścią w ogniu i dymie, wśród walących się gruzów.

Nim Hiszpanie zdołali wymordować pierwsze szeregi, już ta barykada była roztrzęsiona bagnetami i zamieniła się na osypisko cegły i wapna. Oszalały zastęp zdobywców wleciał w wązką czeluść ulicy, jak wybuch, jak pocisk ludzki wyrzucony przez siłę piekielną. Zemsta rzuciła ich naprzód. Rozjuszony, ślepy gniew żelaznym kańczugiem gnał do biegu. Ale skoro tylko wychynęli z dołu na wyżynę gruzów zasłony i pokazali się w ulicy, z głębi tego przejścia runęły w nich strzały armatnie. Zatrzęsły się i stokroć oddały huk olbrzymie, czarne, bezokienne gmachy, mury

klasztorów, dzwonnice i wieże kościołów. Kartacze porwały w sztuki pierwsze głowy i piersi. Jasna krew strugą ściekała po cegłach w płaskie rynsztoki ulicy. Cała ona jak długa była poprzegradzana przedpiersiami. Wywalony bruk, płyty marmuru i porfiru, wywalona z głębin ziemia tworzyły jakoby schody olbrzymie, wiodące w dół.

Miejsca niezajęte pod barykady podarte były przez rowy. Za pierwszą bateryą widać było niżej drugą, dalej trzecią. Cztery bliższe bocznice z lewej strony ulicy Engracia i trzy dalsze z prawej były zabarykadowane nagim murem powyżej pierwszego piętra. Wszystkie drzwi i okna zabite głazami. Entuzyastyczne, obłąkane zdumienie włosy napastującemu tłumowi zjeżyło. Mieli iść w tę czeluść wązką i sięgającą obłoków. Ulica ta wyglądała jak nieznaczne pęknięcie między niebotycznymi murami. Wstążeczkę ognistego błękitu ledwo było widać między gzymsem a gzymsem dachu. Tego jeszcze zdobywcy Napoleońscy nie widzieli na szerokiej ziemi. Ścięli zęby, ścisnęli w rękach lufy karabinów i czekali na znak komendy. Jednym susem skoczyli ku ziejącym paszczom armat na wzniesieniu. Dopadli. Ujrzeli oczyma żywych ludzi w tych murach żywych. Ujrzeli zimnych, spokojnych kanonierów, ładujących strzał nowy. Tamci nie uszli przed lecącym tłumem. Z milczącą, bladą, nieustraszoną pogardą bronili się wyciorami. Na rozkaz poddania się odpowiadali mamrotaniem modlitwy śmiertelnej i śmiertelnymi ciosami. Powaleni na ziemię, bronili się nożem, wyrwanym z za pasa. Konając od stu w jedne

piersi pchnięć bagneta, szarpali zębami ręce i twarze żywych i umarłych, jak psy oszalałe z dzikiej miłości swojej, gdy nie dają napadniętego domostwa. Skłóte i roztrzęsione na bagnetach krwawe ich trupy po przejściu zwycięskiej kohorty Francuzów zwisły na wznak, z rozkrzyżowanemi rękoma, na łożach, kołach i osiach armat, jak potargane strzępy sztandaru.

Pierwszy pułk piechoty nadwiślańskiej i batalion pułku siedmdziesiątego pod wodzą generałów Verdier'a i Lacoste'a przeszły przez pierwszy wał i rzuciły się na drugą bateryę. Zaledwie, trupami zawalając ulicę, wyminęli jedną z przecznic, rzucił się na nich z za barykady tłum Hiszpanów. Musieli teraz walczyć na wsze strony, rażeni z góry bez jednej chwili wytchnienia.

Krzysztof Cedro znalazł się w ulicy Engracia pod bezpośrednią komendą generała-inżyniera Lacoste'a. Wkrótce jednak koleje walki rzuciły go między inne grupy. Oszołomiony, ogłuchły od huku, jak w twardym śnie pędził naprzód z innymi, przyciskając figurę swoją do murów niezmiernych kamienic. Przebrnął rowy i żywe wały pierwszej bateryi i z nagła trafił w wyłamane wejście trzeciej uliczki, skręcającej od Engracia na lewą stronę. Woltyżerowie pierwszego pułku zmagali się tu jeszcze z Hiszpanami. Rzucił się i on w tłum. Obrońcy, wymordowani w samym wyłomie, poranieni i skłóci, rozpierzchli się, i tylko z górnych okien wciąż jeszcze padały strzały. Ktoś ze starych wiarusów doradzał, żeby się kryć po pod murami i posuwać niepostrzeżenie za wyłom, ku zakrętowi uliczki. Krzysztof uczynił za innymi, co kazano. Przylepiony ple-

cami do muru, posuwał się krok za krokiem z palcem na cynglu, łypiąc jeno oczyma, z której też strony pocisk go trafi. Okna w tem całem przejściu były na dole pozamurowywane do połowy, to też tam i sam można było przewidzieć strzał, gdy ukazywała się czapka, koniec fuzyi, gdy mignęły płomieniste czarne oczy.

Przyszli nareszcie do rogu ulicy. Ich droga była prostopadła do kierunku głównej drogi ataku. Z miejsca, gdzie się znaleźli, szła wązka bocznica pod kątem prostym, a równolegle do ulicy Sant' Engracia w kierunku klasztoru Franciszkanów. Nastawiwszy ucha, słyszeli gwałtowną wrzawę przy końcu trzeciej linii tego kwadratu, która to linia musiała znowu łączyć się z ulicą Engracia. Tam pędzili jeszcze pojedyńczo ranni Hiszpanie, wlekli się upadający.

Siedmiu przypadkowo zgromadzonych piechurów, a między nimi ułan-piechur Cedro — puściło się na oślep w te zaułki. Przeczuwali, że trafią na barykadę i zajmą jej tyły. Było tam mroczno i zupełnie pusto. Szli cichaczem, niepostrzeżeni przez nikogo. Skradali się na palcach, jak lisy, po obudwu stronach przesmyka, plecami szorując po murach. Bez straty i przeszkody dotarli do rogu.

W uliczce, która była czwartą przecznicą arteryi Sant' Engracia, a pierwszą od strony klasztoru Franciszkanów, wyjrzawszy z za węgła, ujrzeli garść Hiszpanów, walczącą na murze. Trwała i wysoka podmurówka z cegły zamykała tę uliczkę i dzieliła ją od głównej krwawej arteryi. Za murem leżały na kupie

klawikordy, kanapy, szafy, wozy, stosy wyrzuconych mebli i kupy worów z piaskiem. Na nich to czyhali ludzie pokrwawieni, przeważnie ranni, i bez przerwy strzelali. Kobiety nabijały broń, dzieci podawały ją obrońcom. Na samym szczycie stało kilku młodych i zdrowych żołnierzy. Ci bronili przystępu do tego miejsca karabinem. Woltyżerowie porachowali ów tłumek oczyma... Za chwilę wypadli z za węgłów ulicy i z krzykiem rzucili się na barykadę. Spostrzegli ich obrońcy i przywitali strzałami, nim do podnoża barykady przypaść zdołano. Zarazem ocknęła się ulica. We wszystkich oknach na górze i dole, przed nimi ukazały się głowy i lufy. Huknęły strzały i dym zaciągnął ulicę. Obrońcy barykady zeskoczyli z niej kilku susami i zwarli się z woltyżerami. Przez górne otwory okien zaczęli wyłazić ludzie starzy, baby z siekierami, z tasakami, ukazywały się pięście, błyszczące od sztyletów, i białe wyszczerzone zęby. Żołnierze polscy utworzyli maleńki czworobok, najeżony bagnetami. Woltyżer, stojący w środku, pchnął drzwi, przy których stał. Otwarły się z trzaskiem przymknięte połowy. Ujrzeli za sobą wązką sień i ceglane schody, prowadzące w górę. W mgnieniu oka wśliznęli się czworobokiem do tej sieni i zwrócili wszystkie bagnety w ulicę. Dwu nabijało broń, pięciu woltyżerów i szósty Cedro nie odejmowali kolb od szczęki.

Utworzył się za chwilę dokoła tej sieni zator ludzki z obudwu stron. Cedro był na froncie czworoboku, stał na progu i osłaniał kolumnę. Tuż za progiem od strony wschodniej, więc od strony ulicy En-

gracia i niezdobytej jeszcze barykady, wysoki, czarny dom występował w uliczkę grubą skarpą na jakie półtora łokcia. W tym to występie były na wszystkich piętrach okienka jedno nad drugiem. Było także okno na dole, zamurowane do połowy. W górnym otworze, który Cedro mógł widzieć, bo znajdował się w linii jego strzałów, a na odległości co najwyżej dwu luf karabinowych ukazywała się raz po raz głowa. Dym stamtąd buchał. Wziąwszy w ręce nabity przez kamrata karabin, Krzysztof uważnie zmierzył w to okno. W tej samej chwili znowu mignęła tam biała twarz. Złożył się lepiej do strzału... Tak oto z kolbą przy szczęce znieruchomiał pod kulami nieprzyjaciół. Nie mógł ściągnąć cyngla. Prosto w jego oczy z mroków owego otworu patrzały oczy jakby natchnionego anioła, straszne i cudowne, szeroko od uniesienia rozwarte. Czarna burza włosów nad białą twarzą, którą w maskę zgrozy ściągnęło męstwo i zdziczenie bojowe.

— Jakże jesteś piękna... — marzył Cedro, pełen płomienistego wesela i zachwytu, mierząc między te oczy, surowo w niego wlepione.

Runął jego strzał. Pocisk dymu osmalił mu twarz i na chwilę oślepił oczy. Gdy dym się rozpadł, bezwładnemi oczyma patrzał ułan w jamę okna. Oto z za futryny wysuwa się cichaczem białe czoło i oczy widma ogarną napastnika. Szczęście owiało mu twarz. Uśmiech owładnął jego oczyma i ustami. Stali przez mgnienie źrenicy, trwającą dłużej niż setki lat, naprzeciwko siebie z oczyma w oczy zatopionemi. Chwila ta

trwała krócej, niż zajmie czasu podanie z rąk do rąk nabitego karabina...

Biegł ku uwięzionym w bramie zastęp coraz większy. Ujrzawszy istny przed sobą tłum, piechury rzuciły weń jeszcze jedną salwę strzałów, a potem, nie myśląc wcale, co będzie dalej, zatrzasnęły drzwi owej sieni za sobą, założyły ogromną sztangą żelazną od wewnątrz. Nie wiedzieli, gdzie są. Ciemność ich teraz ogarnęła zupełna. Nie mając nic do stracenia, skierowali się w głąb sieni. Trafili tam na owe schody ceglane. Kiedy Krzysztof wbiegał pierwszy na wązkie, kręte, wydeptane stopnie z cegły, rozwarły się przed nim w ciemności jakieś drzwiczki. Ktoś krzyknął o kilka kroków przed nim. Żołnierz pchnął w to miejsce bagnetem, ale uderzył w szczery mur. Czając się i wszystkie zmysły posyłając na wzwiady, szedł w górę za szelestem kroków, które przed nim w mroku zniknęły. Cicho skradali się towarzysze. Słychać było tylko ich gorące, spracowane, złowieszcze oddechy. Zbójeckie oczy przenikały ciemność. Byli jak jednoosobowe widmo śmierci, nawiedzające cichy dom. Rękoma wiedli po ciemnych i chłodnych ścianach, szukając drzwi do mieszkań. Komin krętych schodów otwarł się na pierwszem piętrze w niewielką platformę. Drzwi prowadziły na zamknięte podwórze, dookoła którego biegła galerya drewniana. Chyłkiem wyjrzeli na dziedzińczyk. Nikogo.

Trzy kury najspokojniej spacerowały w dole, na słońcu, pokrakując i dziobiąc niewidzialne ziarenka. Na balkonie papuga zielona bujała się w wysokiej klatce

okrągłej z czerwonych prętów. Światło słoneczne ognistym, prawie żółtym płatem leżało na jednej ze ścian i cząstce maleńkiego dziedzińca.

Nie wydało się rzeczą bezpieczną wkroczenie z obrębu murów na ów balkon drewniany. Posunęli się wyżej, na drugie piętro, schodami tak samo krętymi po wydeptanych stopniach z cegły. Gdy byli w połowie wysokości tego drugiego komina, posłyszeli na jego szczycie lekki szmer. Stanęli.

Była cisza. Ale skoro pierwszy z idących znalazł się w sferze światła, zezem padającego z góry, buchnął w nich strzał. Przodownik stęknął i bez słowa, jak wór piachu, bezwładnie siadł na miejscu. Natychmiast przeskoczył go następny i wypadł na wierzch. Za nim inni koleją. Rozległ się drugi strzał. Po nim trzeci prawie jednocześnie. Ujrzeli przed sobą kilku mężczyzn uzbrojonych. Byli to księża. Pistolety dymiły się jeszcze w ręku tych sług ołtarza. W mgnieniu oka trzej starcy legli we własnej krwi, charcząc i pazurami szarpiąc nogi żołnierzy. Czwarty i piąty uciekał we drzwi na prawo. Jednego dopadł Cedro. Ksiądz nagle odwrócił się i jednym susem stanął przy ułanie. Był to człowiek w sile wieku, z twarzą szarobłękitną, z siwymi włosami, krótko, przy samej skórze ostrzyżonymi. Po lufie karabina zgrzytnął i ześliznął się siny promień sztyletu. Gdy tak raptem w przerażeniu i napastliwym szale znaleźli się pierś przy piersi, z rękoma wzniesionemi do ciosu, Cedro zobaczył jego straszne, czarne oczy, rozdarte od zemsty i nieruchome, jego zęby białe, jak ser, i rozdęte przez furyę nozdrza.

Zdzielił go karabinem z dołu w brzuch, od jednego zamachu ramion. Ksiądz zgiął się w pół i zwolna padł w tył. Wtedy, nie wiedząc wcale, co czyni, Krzysztof w mgnieniu oka dźwignął karabin, obrócił go młyńcem kolbą do sufitu i zadał uderzenie w jęczące piersi. Bagnet przebił wszystko i uwiązł w podłodze. Wyrwał go ułan z trudem i poszedł za innymi we drzwi napotkane, otrząsając buty i spodnie zbroczone od krwi, która wytrysła i pierzchła na wsze strony.

— Kokoszki! — wrzasnął woltyżer, idący na przedzie.

Kiedy zajrzeli do pokoju, dostrzegli tam ze dwadzieścia kobiet różnego wieku, starych i młodych.

Stały skupione, zbite, jakby zlepione między sobą w jednolitą masę w ciemnym kącie dużego salonu. Martwemi oczyma patrzyły we drzwi. Nim słowo rzec, gromada ta została rozerwana, rozbita na sztuki, rozpatrzona w świetle okna. Stare i starzejące się wyrzucono za łby, kolbami i kolanem za drzwi, do następnego pokoju. Zostawiono siedm sztuk co najmłodszych. Między ostatniemi Cedro ujrzał twarz z okna na dole tej kamienicy. Domyślił się, że ona to biegła przed nim w mroku po schodach. Ona dała znać księżom...

Przypadł do niej skokiem. Porwał w ramiona. Zawarł je z żelazną siłą. Nikt mu jej nie bronił. Teraz wśród straszliwego milczenia, które tę ciemną salę napełniło, dawały się słyszeć tylko jęki, wzdychania i płacz konających. Żołnierze zawarli drzwi jedne i drugie. Z rozwścieczonym pośpiechem zabarykadowali je

stołami, stołkami, wszystkiem, co było pod ręką. Na chwilę przerwały ciszę błagania, skamlące szepty o miłosierdzie, o zmiłowanie, zaklęcia i szlochy. Wszystko to ucichło, gdy mazowieckie garście ścisnęły delikatne gardziołki Aragonek. Słabe, wypielęgnowane ciała nie mogły się oprzeć powaleniu pięścią na ziemię, nogi ugięły się. Zdarte zostały w mig suknie...

Cedro stał przed swoją wybranką i patrzał na nią blady, jak trup. Oczy jego latały błyskawicami naokół, badając, czy już wszyscy towarzysze obezwładnieni. Wtedy znowu bez trwogi mógł spojrzeć na nią. Te same ujrzał samoświecące oczy, czarne a przezroczyste, jak jasna, niezgruntowana woda. Nie miała więcej nad szesnaście lat. Była wysmukła, widzialna prawie w swej sukni przejrzystej. Oczy jej skamieniały od straszliwego widoku, który się przed nimi roztoczył. Walka i szamotanie się jej sióstr czy krewniaczek — zmiażdżyły ją na proch. Usta rozpadły się, chwytając szybki dech. Jakieś dźwięki w wiotkich wargach... Cedro postrzegł, że mózg w jej głowie wywraca się, żyły się wiją, a czaszka pęka. Zatrzęsła się, załopotała, wygięła ramiona. Nogi zaplotła jedną na drugą, ścisnęła ze wszech sił dygocące kolana. Rękoma, jak ptak konający grabiejącemi szponami, szukała koło siebie. Oto zaczęły te ręce obciskać suknię na lędźwiach, obciskać z całej mocy, obciskać... Zdawało się, że ze wstydu wlezie w mur, że się wwierci w ziemię.

Krzysztof co prędzej chwycił ją za ramię i pociągnął przemocą. Wlókł ją, jak szczenię, kąsającą mu ręce, aż do drzwi. Rozwarł je uderzeniem nogi. Za-

trzasnął za sobą po przestąpieniu progu. Tam uwolnił jej ramię. Stał się z niego w mgnieniu oka wiedeński salonowiec. Złożył jej skromny, a najpiękniejszy ze swoich ex-ukłonów i giestem uprzejmym wskazał, że, jeśli taka jest jej wola, może się oddalić z tego miejsca, dokąd chce. Tchu mu brakło w piersiach. Ledwie zdołał wykaszlać:

— *Mademoiselle...*

Stała przed nim blada, zbielała, jak śnieg. Jej oczy, co własny swój blask miały, jak słońce, tkwiły w jego twarzy. Drżały usta. Nie mówiąc słowa, złożyła mu ukłon panieński, dyg salonowy. Odwróciła się i odeszła wolno w głąb pokoju. Znikła za drzwiami. On szedł za nią o kilka kroków, nieświadom tego, co się z nim dzieje. Był w owej chwili nie jak człowiek, lecz jak bezcielesne pożądanie widoku piękności. Szedł, nie wiedząc o tem, że idzie.

Doświadczał błogiego olśnienia, że się oddala w zaświaty za duszą swoją, która go wiedzie w błogosławione dziedziny. Było szczęście dotykalne, żywe, całe w każdym z tych jego kroków. Znikła już, a on ją jeszcze widział przed sobą oddalającą się szeregiem ruchów, których piękności pamięć nie może w sobie zamknąć, oko nie może zmieścić w swem polu, a słowo nie jest zdolne wyrazić. Każda z chwil, upływająca między jednem jej poruszeniem a drugiem, trwała jeszcze, jako wcielenie najwyższej rozkoszy. Piękna *doncella* nie obróciła się, wchodząc we drzwi napotkane. Zostawiła je otworem.

Zapomniał, że broni nie ma w ręku, że karabin

zostawił w pokoju sześciu ujarzmionych dam. Raz spojrzy, dokąd też poszła. Raz rzuci okiem. Może jeszcze zalśnią przed nim te oczy wieczne, oczy żywota...

Wszedł we drzwi i postąpił kilka jeszcze kroków. Nagle zdało mu się, że mdleje, że stracił przytomność. Zaćmiło mu się w oczach. Usłyszał za sobą łoskot drzwi zatrzaśniętych. Palce-szpony, palce-pazury wpiły się w jego gardziel. Ze dwadzieścia rąk czepiło się ramion, nóg, bioder, kolan. Podbito mu nogi, chwycono go za kołnierz i akselbanty. Szarpnięty niespodziewanie, stracił równowagę i runął na wznak, jak długi.

Z nim razem zwaliła się na ziemię i przydusiła go kupa starych i podstarzałych bab, wyrzucona za drzwi. Zdradziecko go napadły. Leżał teraz pod istną stertą zwalisk, usiłując przez chwilę złapać cały oddech i pierwszą z brzega myśl. Tymczasem wszystkie te wyschłe łapy, kościste, poskrzywiane knykcie wbijały się weń, jak gwoździe, jak haki stalowe, szarpały go, jak obcęgi.

— Nic to innego, tylko odwet za tamte damy...— myślał sobie ociężale, trzęsąc się ze śmiechu. — Ależ, matrony... Nie jestem w stanie...

Pantofle zatupotały... Baby-truposze szepcą, jedna przez drugą, szepcą, szepcą... Jeden wyraz jakiś syczy, świszcze, rzegocze w ich spróchniałych zębach. Coraz natarczywiej, prędzej, namiętniej bełkocą to słowo...

Spróbował poruszyć się z jednego boku, z drugiego... Ani mowy! Ręce rozkrzyżowane i, zda się,

bretnalami do ziemi przybite Każdą z nich dziesięć ciotek trzyma ze wszech sił.

— Jakto? — począł mamrotać do nich po polsku — więc ja jeden... Mam-że dać zadosyćuczynienie, o sympatyczne staruszki... Biada mi!

Zgromadził w sobie siły, długo nabierał pełne płuca tchu, a wreszcie porwał się z miejsca. Ruszył z posad kopiec babski. Kilka spadło z wierzchołka. Poczęły jeszcze zacieklej biegać, szeptać i znowu kłaść się na wierzch stosu. Nagle jakaś straszliwa łapa, sucha, z żelaznymi stawami, które kłuły jak trzpienie, chwyciła go za gardziel. Wymacała krtań i zdusiła. Płaty krwi załopotały mu w źrenicach, a ogień buchnął w czerep. Ostatnim wysiłkiem zgiął kark, huknął naprzód głową dla złapania tchu i trafił zębami na żyły i ścięgna tej łapy, co go dusiła. Chwycił z całej siły i ciął szczękami. Szarpnął. Rozległ się krzyk. Łapa puściła. Wtedy co tchu w piersi zaczął wołać:

— Ratunku! Na pomoc! Na pomoc!

Dokoła jego piersi, głowy, szyi — ruch rąk, szepty, gwar.

Szarpią go, siepią, drą pazurami. Coś sobie wzajem z ręki do ręki podają, jedna drugiej z chargotem wydziera.

Zobaczył sztylet. Chwila ciszy. Sapią na nim wszystkie ze świstem. Oto jakaś jedna ręka sunie się od dołu po jego piersiach. Szuka, medytuje... Wstrzymała się nad sercem.

Ostrze skierowane wpiera się z lekka w mundur, badając pulsujące tętno. Rozwarł przerażone oczy...

Krew lodem się ścina. Cudowne nad nim oczy... Zrenica patrzy w źrenicę. Półotwarte usta ciężko, śmiertelnie dyszą. Teraz ją dopiero poznał... Onaż to na nim leży?

— Jakże cię kocham... — szepnął, chwytając dech w piersi.

W tej samej chwili, nie myśląc o niczem, udźwignął głowę, wytężył wszystkie siły i przysunął usta do gorejących warg. Sztylet w ręku cudnej dziewczyny zachwiał się, zakołysał, zawahał. Cedro szarpnął w owej chwili prawą rękę. Wydarł ją z pazurów babskich, wywlókł palce z pomiędzy śrub i haków, zgiął łokieć nadmiernym wysiłkiem i dłoń przyciągnął ku sobie. Chwilę gotował cios. Zadał go z dołu we wszystek pokład babskiego próchna, które na nim leżało. Za chwilę wsunął dłoń między swe ciało i ciało dziewczyny, żeby jej z ręki wydrzeć niebezpieczny sztylet. Ale nie sztylet napotkała ręka. Zapomniał o śmierci wiszącej, o nożu na sercu. Cudna Aragonka rzuciła się do góry najgwałtowniejszym z ruchów dziewiczych. Jakaś inna, doświadczeńsza dłoń porwała w tejże chwili rękojeść puginału.

Ale oto rozległ się trzask wywalonych drzwi. Tupot nóg! Krzyk przeraźliwy... W mgnieniu oka na dywany posadzki rzygnęła krew. Woltyżerowie wpadali koleją. Widząc towarzysza na ziemi i sądząc, że jest zamordowany, nie przepuszczali babom. By się długo nie bawić, chwytali stare wiedźmy, nim zdołały wstać z ziemi, jedną po drugiej we dwu za łeb, za

nogi — i wprost z progu drzwi ciskali za poręcz balkonu na podwórze, z drugiego piętra.

Cedro leżał dość jeszcze długo. Nareszcie dźwignął się z ziemi, jak ciężko pijany. We łbie mu się mąciło, w źrenicach biegały płomyki. Z mozołem zbierał się, prostował, wyciągał ręce, kładł czapkę. Skoro stanął na nogach i rozejrzał się wokoło, co tchu pobiegł po karabin, który był w sąsiednich pokojach zostawił. Wracając z bronią w ręku do towarzyszów, ujrzał śliczną swoją panienkę w ręku jednego z piechurów.

Zbliżył się wraz do tego wiarusa o krok i rzekł z całej duszy:

— Bracie, zaklinam cię, — puść ją!

Tamten ani myślał puszczać. Mrugnął tylko chytrze na kolegów, żeby ułana odciągnęli i zabrali ze sobą. Ale Cedro położył mu rękę na ramieniu i rzekł prosto w ślepie:

— Mówię do ciebie drugi raz — puść ją!

— A żebyś wiedział, ty czapo, że nie puszczę! Żebyś wiedział! »Bracie, zaklinam cię...« Komedyant z teatru... Miałeś czas... A teraz moja kolejka! Krzos, weź ino na bok tego draba!

Cedro wyrwał z za pasa pistolet i w mgnieniu oka postawił mu lufę między oczyma, mówiąc od jednego tchu:

— No!

— To ja ciebie, ślepago, od haniebnej śmierci wybawił, babów za ciebie ze sześć sztuk bagnetem rozdarł, a ty mi dzieuchy bronisz!

— Bronię!

— Chyba ja w pułku jednego kamrata nie mam, jeśli ty dzisiejszego wieczora doczekasz...

— Puścisz, psubracie?!

— Chybaby na świecie żadnej sprawiedliwości nie było, żeby tobie to na sucho uszło! A i cóż wy, koledzy?

Hiszpanka wyśliznęła się z rąk woltyżera. Czepiając się drżącemi dłońmi sprzętów, okien, drzwi, szła dokądś. Piechury spojrzały po sobie strasznemi oczyma. Milczeli.

— To już chyba chodźmy... — rzekł wreszcie jeden.

— Chodźmy... — rzekł drugi.

Krzysztof obciągał na sobie kurtkę i zabierał się do wyjścia.

— Słuchajno-no, panie jeździec, a tobie z nami wara! Ty idziesz z tela osobno...

— Osobno, osobno...

— No, żeby zaś... My są piechota, a ty co tu robisz?

— Dobrze, dobrze...

— Za rabunkiem z karabinem piechotnym chadzasz po domach? Rycerz!

— Idę z rozkazu, jako i wy.

— Czego chcesz z nami łazić?

— Takiemu, co sam bez komendy łazi — kula w łeb.

— A bo i pewnie: kula w łeb! — wrzasnął drugi.

— To strzelaj, gałganie! — zawołał Cedro.

— No, żebyś tylko drugi raz nie komenderował...
— Chodźmy, koledzy.
— A tobie wara z nami!
— Mójże, kawaler...
— Jeździec!
— Francuski pudel!
— Galant!
— Hrabia!
— Tkliwy kokiet!
— Czekaj, szepnie się między lansyery, jak cię to stuletnie baby na podłodze koziorem żgały po żebrach, a tyś im radeczki dać nie mógł...
— Byłyby cię ładnie oporządziły, żeby nie ja...
— Kto wie, co one z nim zrobiły?
— Trzech groszybym nie dał...
— Cha-cha... jak mamę kocham!...
— Jakże on teraz, towarzysze, przed obliczem swej bogdanki stanie?...
— Konik polny...
— A jakiego to tonu ze siebie dobył, słyszeliście?

Ruszyli w tę stronę, skąd przyszli. Cedro rzeczywiście nie myślał iść z nimi. Siadł we framudze okna i bezmyślnie patrzał na stygnące trupy starych niewiast, na kałuże krwi i połamane sprzęty.

Zdawało mu się, że rozważa w tej chwili, co czynić dalej. W gruncie rzeczy drzemał, był w stanie pół snu, pół jawy. Widział i słyszał coraz niedokładniej... Zbudził go łoskot. Pękały gdzieś daleko drzwi, waliły się stoły i szafy zatarasowujące. Wol-

tyżerowie szli nazad z pośpiechem, wołając do Krzysztofa:

— Tłum na nas idzie!

— Wyłamały drzwi na dole!

— Banda!

— Idą...

Pobiegli wszyscy na ów balkon, okalający podwórze. Obszedłszy go do połowy, z drugiej strony dziedzińca napotkali schody szersze od tych, któremi wdarli się do tego domu. Zaczęli ostrożnie, bacząc na wszystko, schodzić tamtędy w dół. Gdy zstąpili na wysokość pierwszego piętra i przechylili się przez balustradę schodów, ujrzeli wązką sień sklepioną. W końcu tej sieni były kute drzwi, zamknięte na sztabę i zabarykadowane na głucho workami wełny, wańtuchami piasku, kamieniami, żelastwem i wszelkiem rupieciem. Z tamtej strony, za tą bramą, wrzała bitwa. Słuchali chwilę w milczeniu jej obłąkanych odgłosów... Zrozumieli, że te drzwi prowadzą wprost na ulicę Engracia. Co tchu zaczęli odkładać na bok kamienie, odciągać worki za zawitki, odwalać graty. Już mieli oderwać żelazną sztabę i rozewrzeć bramę, kiedy Krzos rzekł szeptem:

— No, wiecie chłopcy, że teraz albo nasza nagła śmierć, albo nasza głośna chwała! To wam trza wiedzieć, że za temi drzwiami jest główna siła spaniolów. Tak miarkuję, że wyjdziemy w sam środeczek, między dwie barykady... Ale już niema nam kaj iść. Za nami idą i za moment tu będą. A jak zobaczą,

jakiego to my im ta piwa nawarzyli, co my zrobili jeich ciociom, a jakie *kuku* kuzynkom...

— Odwalać!

— Czekajcie, czekajcie jeszcze moment! — zawołał Cedro, zstępując za nimi z góry.

Gdy szedł po schodach ostatni i zdala od grupy, zobaczył na prawej ręce niewielkie drzwi, prowadzące do izby na piętrze. Otworzył je i co tchu przywołał towarzyszów.

— Czego tam? — wołali.

— O co mu idzie?

— Jucha, Scypion Afrykański Młodszy...

— Stąd dopiero będziecie mogli prażyć!... — wołał Krzysztof.

— Co ty tam możesz wiedzieć, skąd prażyć...

— Blondyn!...

Pobiegli jednak ku niemu. W niewielkim pokoju, do którego weszli, znaleźli kilkunastu zabitych żołnierzy hiszpańskich. Leżeli na ziemi i na sprzętach. Znoszono tu, widać, z ulicy i rzucano w popłochu ciężko rannych w bitwie ulicznej, a potem w zapale walki zapomniano o nich. Leżeli, rzuceni na wznak i na twarz. Pełzali, widać, w przedśmiertnej agonii na wsze strony, jak snące raki, a wreszcie wygaśli kolejno w dusznej, kamiennej izbie. Teraz, po wypuszczeniu z siebie kałuż skrzepłej krwi, spali bladzi ze straszliwem natchnieniem w zwiedzionych brwiach, w rozwartych ustach, z których krzyk zemsty jeszcze zdawał się lecieć... Jednemu wywaliło się z nozdrzy rozbitego nosa tyle krwi, że z niej powstała na ustach

i brodzie skorupa, nikiej larwa opuszczona z zadumanego czoła, z oczu we łzach. Drugi miał głowę rozwaloną czerepem granatu, a usta skrzywione takim bólem, że widok ich dźwigał z piersi przemocą westchnienie.

Woltyżerowie odgarnęli ich z drogi uderzeniem nóg i przedarli się do dwu wązkich okien, zasłonionych od wewnątrz drewnianemi okiennicami. Okna te, ze dworu opatrzone w żelazne kosze ze sztab kutych ozdobnie, wychodziły na ulicę Engracia, w miejscu jeszcze niezdobytem przez następujące szeregi. Tuż w ulicy była barykada, na której walczyła banda obrońców. Naprzeciwko wznosiły się mury klasztoru Panien Jerozolimskich. Za tymi gmachami, które tworzyły całą dzielnicę, prawie kwadrat, opasany czterema przecznicami, widać było prześliczne ogrody klasztoru, pełne cienników cyprysowych, czarnych mirtowych kwadratów, podobnych z oddalenia do tkaniny przecudnej z bezcennego aksamitu, pełne rozpierzchłych palm i magnoliowych alei. W głębi czerniały budynki gospodarskie i sam konwent, frontem zwrócony do poprzecznej uliczki.

Od strony głównej arteryi Engracia wznosił się posępny czarny kościół z wyniosłą wieżą. Z tej to wieży waliły w szturmujących Francuzów małe armatki, padały ręczne granaty, spadały cegły i lała się wrząca woda.

Woltyżerowie nabili starannie broń, zawarli za sobą drzwi. Raptem, otwarłszy obadwa okna, wydali gromki okrzyk.

Zarazem, wytknąwszy lufy karabinów, zaczęli strzelać w Hiszpanów, jak do celu, niechybnie. Dostrzeżono ich zaraz na wieży Panien Jerozolimskich, na barykadzie i w szeregach francusko-polskich. Wzmógł się atak. Zaczęły koło głów trzaskać kule i rypać kamienne obramowania okien. Jedna z nich trafiła żołnierza Zielińskiego w skroń. Runął na wznak, trzepnął rękoma. Gwałtownie, przez kilka chwil nogi jego kopały mur. Potem westchnął i ucichł.

Cedro nie miał dostępu do okna. Zaczął chodzić między trupami, nie unikając bynajmniej ich widoku, ale ich prawie nie dostrzegając. Był już obojętny na barwę krwi, kształt rany i obraz śmierci. Zadawał sobie wciąż pewne pytania. Nieprzezwyciężona nuda wlekła się za nim, oplątywała stopy, jak kajdany ściskała ręce.

Zadawał sobie pytanie, gdzie też jest w danej chwili *doncella?* W którem jest miejscu? Nie marzył wcale o tem, żeby do niej mówić, ani o tem, żeby ją widzieć... Tylko tę posiąść wiadomość, że jest. Nie zdając sobie wcale z tego sprawy, ciągnął chceniem do tego tylko, ażeby wszystko raz skończyć, ażeby nareszcie do licha usnąć. Runąć na twarz między takich oto — i spoczywać na wieki wieczne. Przeczuwał przecie, że się w pamięci pod żelaznem jej wiekiem palą wszystkie widziane sprawy, że się bez przerwy w miękkich zwojach mózgu, jakby pod nieubłaganym rylcem sztycharza w twardej miedzi, żłobią wszystkie obrazy. Tyle tylko szczęścia, że niema czasu, więc ich nie widno. Paść na twarz i zgnić, jako i ci, którzy

leżą. Zgnić tak, żeby razem zgasły i wygniły żyjące potajemnie, zdradzieckie myśli, myśli tchórzliwe i zrozpaczone, nie żołnierskie, lecz zaiste babskie, dziewczyńskie, chłopięce. Możeby ustał ów chytrze niemy kierat mózgu! Czemuż nie pchnęła wtedy sztyletem do dna, do gruntu, po rękojeści poprzecznicę? Czemuż nie pchnęła i nie zabiła po męsku, jako on starego księdza? Żeby głuchoniema podłoga zmuszona była oddać głos: — Dokonałeś!

Wzdrygnął się i rozejrzał.

— Ach, umrzeć, trzymając w ramionach tę siostrę duszy swej, drżącą i kruchą, jak żółty motyl w rubaszną garść złapany! Umrzeć przy tak czujnem sercu, nie uczyniwszy mu krzywdy... Czuć jedną młodą duszę, płomieniste zarzewie życia we dwu innych ciałach... Tchnąć własną duszę, umierając, w te usta... Czemuż ci się, siostro, zatrzęsła miękka ręczyna?... — mamrotał głośno, słaniając się ze szlochaniem wewnętrznem z kąta w kąt, z kąta w kąt...

— Trzymaj, to — ułan! — wrzasnął mu nad uchem woltyżer.

— Czego?

— Pójdę ja patrzeć, co się dzieje od onego podwórza, bo nas tu zejdą i wyduszą, jak gniazdo myszów. A pal celnie, bo ostatnie ładunki náma wychodzą.

Krzysztof chwycił z jego rąk nabity karabin i z furyą zaczął strzelać w tłum. Dało mu to zapomnienie o chwilach poprzednich. Głowę miał pełną piachu i dymu, w ustach smak jakby centuryi. Odro-

bina, ochłap głupiej umiejętności, jak broń nabijać, jak się składać, celować i ciągnąć za cyngiel, stanowiła wszystek jego rozum. Mierzył celnie i nad wyraz skutecznie.

Tymczasem woltyżer Krzos wysunął się na schody i znikł w ich mroku. Cedro nie dał jeszcze pięciu strzałów, kiedy tamten wleciał na palcach z wiadomością, że na podwórzu stoją Hiszpany.

— Na dole... — mówił, chwytając karabin zabitego towarzysza.

— Lećmy!

Wyszli wszyscy na paluszkach i wrócili na balkon drugiego piętra. W istocie na dnie podwórza kłapały *abarki*, drewniane trepy aragońskie. Krążyło tam kilku mężczyzn z karabinkami w ręku. Oglądali z krzykiem trupy kobiet, wyrzucone za poręcz górnego balkonu. Natychmiast trzech z nich legło na tem miejscu od celnych strzałów polskich, reszta w milczeniu pędziła na górę. Słychać było łoskot drewnianych postołów po schodach. Ukazali się we drzwiach, na balkonie drugiego piętra w swych krwawych szmatach na rozczochranych łbach. W skok, tygrysimi susami, oblecieli drewniany balkon drugiego piętra. Wyjąc i gwiżdżąc, gnali ku woltyżerom. We drzwiach na główne schody zawrzało. Bratobójczo, pierś w pierś się zwarli. Odpadły karabiny. Nagą garścią! Cedro ujrzał błysk sztyletu toledańskiego. W tej samej chwili Krzos padł jak rażony gromem. Tyłem głowy wyrznął w kamienny próg i nie drgnął ani razu. Hiszpanów było trzech. Zginęli prędzej, niż tu przybiegli.

Dwaj wyrzuceni zostali za poręcz tak samo, jak ich rodaczki, a trzeci, zmiażdżony ciosami karabina w łeb, zmienił się po upływie kilku chwil w kupę krwawego mięsa. Wiarusów było teraz tylko pięciu. Ładunków już nie mieli. Na podwórze wchodzili Hiszpanie.

— No, teraz, bracia, niema co!

— Do dzieła!

— Drzwi naoścież!

Wielkimi krokami, z pieśnią na ustach rozszalałą zeszli na dół. Poprawili na sobie ładownice, pasy, lederwerki. Przekrzywili czapy. Mocno pod brodą złączyli podpinki. Jeden drugiemu wyprostował czarną kitę na czapce.

— Ułan! chodź we środek.

— Dajcie mi pokój! Ja idę osobno, sam!

— Chodź we środek! Ja ci kazuję, ja tu teraz wódz! — rzekł pierwszy z brzegu.

— Karabina niezwyczajny i jeszcze, widzisz go, sam!

— Broń do ataku!

— Marsz!

Zerwali ze drzwi wejściowych od ulicy Engracia żelazną sztabę. Dźwiękła, jak miecz katowski, żelazna sztaba, padając na kamienie. Z trzaskiem rozwarli podwoje.

— Niech żyje cesarz! — wrzasnęli, jak jeden, żelaznym krokiem wychodząc w ludzki tłum.

— Na bagnety!

Padli w obrońców barykady i rozwalili tłuszczę, jak pękająca bomba. Gdy żółte rabaty zajaśniały na

tyłach barykady, wrzask rozpaczy rozległ się na niej. Dosięgli pierwszych worków i sprzętów, tworzących stopnie ulicznego szańca. W skokach, wśród piorunowych czynów bagneta i kolby, wstępowali na górę. Chyżo przysiadając, skacząc, koląc naprzód i w tył, w górę i na dół, młyńcem i sztychem czynili sobie ulicę. Teraz każdy walczył za siebie i za wszystkich pięciu i za całe wojsko.

Nim Hiszpanie zdążyli zliczyć ich, wtargnęli przemocą na wierzchołek pozycyi. Strącali stamtąd obrońców, lecąc w podskokach, grzbietem szańca, po kołach i łożach armat, jak żółty piorun po zrębach skał. Krzyk podjudzonego męstwa na ich widok buchnął z kolumn szturmujących. Bataliony nadwiślańskie, ujrzawszy swoich u mety, rzuciły się na barykadę i wpadły na nią wśród zapasów, tratując wrogów na śmierć. Tysiąc luf nabili tymczasem Hiszpanie i tysiąc zmrużonych oczu mierzyło we łby tych pięciu. Runął też na twarz jeden, zachłysnął się krwią i rzygnął nią w biegu drugi, przykląkł trzeci, jak kosą podcięty. Cedro, zimnym strachem gnany, z urwaną połową czapki, skrwawiony w dziesięciu miejscach od kontuzyi, ślepy od prochu i uniesienia, złaził z barykady wielkimi kroki po worach, trupach, gratach, razem już ze zdobywcami. Pieśń koło niego straszliwa... Widziała go była na czubie niezdobytej poprzecznicy cała kolumna, Lacoste i Chłopicki... Wskazywali go szpadami, prąc, gniotąc i goniąc Hiszpanów ku następnej bateryi u wylotu ulicy Engracia, gdzie się już zaczynał biały od słońca, wydłużony plac Cosso.

W miejscu zdobytem ulica Engracia stanowiła wązką szczelinę. Z prawej strony wznosiły się mury szpitala, z lewej olbrzymie czarne mury klasztoru Franciszkanów. Wieża zdawała się zwisać nad ciemnym przesmykiem. Zastęp hiszpański, który bronił barykady nie cofnął się jeszcze w to przejście, lecz podzielony na dwa oddziały, zajął w mgnieniu oka klasztory panien Jerozolimskich i Franciszkański. Cedro wraz z tłumem towarzyszów uderzył na pierwszy z tych konwentów. Furty i bramy były zawalone, ale je wnet wyłamano. Hiszpanie zostali wytępieni bagnetem u wejścia do kościoła, w jego kruchtach i nawach, w przedsionku i korytarzach klasztornych. Gdy Krzysztof wszedł do głównego budynku, który stanowił mieszkanie zakonnic, już te miejsca były zupełnie opanowane. Długie, niezmierne, kręte korytarze, skąd na prawo i na lewo wchodziło się do cel, były zupełnie już puste. Panowała tam ciemność i nieprzyjemna cisza. Łoskot kroku rozbijał się, jak gdyby w studni. Krzysztof był śmiertelnie strudzony.

Za jakąbądź cenę pragnął zasnąć przynajmniej na moment czasu. Myślał właśnie, żeby w jednym z tych lochów położyć się pod murem i udawać zabitego, gdy wtem, o parę kroków od siebie, na załamaniu przejścia na wyższe piętro, usłyszał okrzyk:

— *Qui vive?*

Dał hasło. Z głębokiego mroku pod światło półokrągłego okna ze starych przepalonych szyb wyszedł oficer z obnażoną szpadą. Cedro pochylił się ku niemu i poznał go odrazu.

»Ach, to znowu ten jakiś Wyganowski... Kuzyn...« — myślał z niesmakiem.

Kapitan przypatrywał mu się z uśmieszkiem ironii, oglądał go od stóp do głowy. Rzekł wreszcie:

— Widziałem waćpana na barykadzie.

— Bardzo być może.

— Brawo!

— Znalazłem się tam przypadkiem, właściwie wbrew woli.

— Coraz lepiej.

— Zginęli ci, którzy ją zdobyli. Chwała im wieczna! Oni to mię wciągnęli...

— Co do chwały... No tak. Skromność, godna zazdrości! Ale mówią głośniej od słów, napisów na papierze, pergaminie i, dajmy na to, piaskowcu — te chlubne czerwone plamy na portkach i butach. Odznaczasz się waćpan, mości Cedro, niepomału. Bijesz Celtyberów, aż trzeszczy. Daj tylko jeszcze na tysiąc mszy u mnichów w Burgos, i będzie z ciebie Cyd, jak sto tysięcy dyabłów! Podobasz mi się.

— Tak, zamordowałem dzisiaj niejednego człowieka... — rzekł Krzysztof, tępo patrząc mu w żywe oczy.

— Bardzo pięknie, młodzieńcze.

— Szczególnie jeden, którego zatłukłem własnemi rękoma.

— Cha-cha... Od tego jest wojna, żeby każdy prawdziwy człowiek miał sposobność mordowania wrogów, ile dusza zapragnie. Nie minie cię nagroda, ja

w tem. Strzeż się tylko losu Hamilkara pod Saguntem, bo i to się na wojnie przytrafia.

Cedro grubiańsko milczał.

— Czemuż dalej nie odznaczasz się na arenie walki? Strzeż się, jak śmierci, wypuszczania raz z ręki gałęzi wawrzynu! Inny ją schwyci, a sława nie czeka na opieszałych. Musisz jej w biegu dotrzymywać kroku. Czy może do kokoszek? Co? Powiedz szczerze... Żołnierz żołnierza rozumie, jak baletnica baletnicę. Jest tu, powiem ci na ucho, mniszeczek wybór arcy godny. Są tak apetyczne, że klękaj, kto żyje! Bo to, widzisz, ascetki. Zakaz śmiertelny, marzenie i tęsknota... rozumiesz mię? Panny Jerozolimskie... Widziałem na własne oczy. Chodź-no, pokażę ci cały bukiet. Wybierzesz, co ci serce podyktuje. Jedna tylko przykrość: blondynki ani jednej. No, żeby na lekarstwo!

Wstępowali po schodach z płaskich i ogromnych płyt. Szli długo korytarzem zupełnie ciemnym po drewnianej podłodze, zawrócili w drugi. Doszedł do uszu Krzysztofa gwałtowny łoskot bębna, bijący w nieznany mu takt. Wkrótce stanęli przed dębowemi drzwiami wielkiego refektarza. Tu stało kilku grenadyerów na warcie. Otwarli drzwi przed kapitanem, śmiejąc się szelmowsko. Wyganowski wszedł pierwszy, torując ułanowi drogę. Gdy się przez tłum, tworzący koło, naprzód przedarli, Krzysztof zobaczył kilkadziesiąt nagich kobiet, tańczących do taktu walenia pogrzebaczem w mosiężne rondle i miednice. Pod razami kolby i bagneta skakały dosyć sprawnie.

— Mniszeczki... — szepnął Wyganowski, mlaszcząc

ustami. — Nie wszystkie, ale przeważna większość. Nie powiem, żeby to im nie sprawiało przykrości, iż w danej chwili nie potrzebują habitów, ale z drugiej strony nie widzę w nich śmiesznego uporu dziewic numantyńskich. Wprawdzie są wyjątki, ale o tem później...

W oczach jego, gdy to mówił, siedziało ponure szyderstwo. Dolna szczęka była wysadzona naprzód, a nozdrza drgały.

— Zostaniesz tu waćpan zapewne? — rzekł pieszczotliwie, zaglądając Krzysztofowi w oczy. — Bo ja, uważasz, jestem na służbie: komenderuję, *sit venia verbo*, tym... klasztorem. Chciałem powiedzieć inny wyraz, ale boję się obrazić twe ucho.

— Nie zostanę tutaj — rzekł Cedro z przesadną wyniosłością.

— Czy podobna? Ale cóż za przyczyna, jeżeli godzien jestem?...

— Pragnąłbym przespać się, panie kapitanie.

— Przespać... taką uroczystość! *Oh, c'est triste...*

— Już bardzo dawno nie spałem.

— Ależ to doprawdy rzecz smutna... Więc śpij waćpan!

— Czy mogę tu gdziekolwiek, na korytarzu?

— Możesz.

Cedro oddał mu ukłon wojskowy.

— Czekaj, przeprowadzę cię i dam miejsce. Słyszałeś, że jestem tutaj z polecenia zdobywców komendantem klasztoru i jego okolic, korytarzów, cel, refektarza.

Wyszli z hucznej sali i wlekli się ociężałymi kroki starców zgrzybiałych po tych samych, płaskich schodach.

Znowu się ciemny nastręczył korytarz.

— Tu są cele... — rzekł Wyganowski. — Mógłbyś w którejkolwiek spocząć wygodnie, gdyby nie to, że są chwilowo zajęte. Mniszki goszczą u siebie nieznajomych rycerzy. Dawno im się to nie zdarzało na tym padole.

— Są to żołnierze pana kapitana? — spytał Krzysztof.

— Są moi, są Francuzi.

— Gdyby to ode mnie zależało... — począł z trudem bełkotać Cedro, dysząc i nie mogąc słów znaleźć — gdybym to ja... Kazałbym strzelać we łby tym gałganom, kazałbym!... Na miły Bóg... przecież to... wieszać, jak kundlów!

— Mów, młodzieńcze, mów śmiało. Zwrócę jednak na jeden szczegół twą uwagę: to jest, proszę cię, wojna, nie manewry na placu Marsowym, pod okiem narzeczonej w błękitnej przepasce. Jesteś, pochlebiam sobie, pierwszy raz przy zdobyciu miasta...

— Tak.

— Właśnie i ja tak przypuszczałem...

— Z czegoż to można przypuszczać? — zapytał Cedro wyniośle i z lodowatym uśmiechem na ustach.

— Przeżyłem już wiele szturmów forsownych, choć nigdy, wyznam, podobnie waryackiego. Bo to ani w kampaniach włoskich od samego początku, ani w austryackich pochodach. Mogę cię na podstawie dłu-

goletniej praktyki zapewnić, że gwałcenie masowe przyśpiesza kapitulacyę daleko bardziej skutecznie, niż bombardowanie działobitniami, a ma zarazem tę dobrą stronę, że oszczędza wiele żywotów ludzkich obudwu stronom walczącym. Wytrąca oręż z ręki cichaczem, a nieodwołalnie ojcom, mężom, braciom i narzeczonym, kryje żołnierzy przed kartaczami, a zapewnia kapitulacyę. Przytem, cóż chcesz? Tym, którzy idą na niewątpliwe mary, na podłą śmierć żołnierską w rynsztoku, na gnojowisku, w piwnicach i wspólnych dołach, coś się u pioruna, zato należy od tych, którzy żyją! Należy im się ta chwila przed śmiercią... To też wolę, gdy tu moje maćki są po celach, niż żeby ich darły kartacze, a oni sami mordowali bez pardonu. Ręczę ci, że następny dom podda się nam dobrowolnie, gdy wieść gruchnie między jego dziewoje, cośmy to tutaj czynili. Ale najważniejsze to to, że znaczna część ofiar przyjęła tę karę Boską z pokorą i poddaniem się, rzekłbym nawet, że chętnem a ochotnem sercem...

Cedro już prawie spał, ramieniem wsparty, o mur. Ledwie słyszał, co prawi wymowny oficer. Tymczasem tamten stanął przed celą bez drzwi, zajrzał do środka i pociągnął towarzysza za rękaw. Mówił zmienionym głosem:

— A tu mam coś specyalnie dla twego serduszka. Wejdź-no! Chodź-no, chodź!

Odsunął drzwi wyrwane z muru wraz z zawiasami, przystawione do wejścia. Wkroczyli do maleńkiej celki, do nizkiej jakoby krypty z ceglaną podłogą.

Na wązkim tapczaniku leżała młoda zakonnica. Ręce jej były złożone pobożnie na piersiach, dłoń z dłonią, jak to wyobrażali średniowieczni rzeźbiarze na pomnikach zgasłych królewien. Głowa okryta była kornetem. Habit na ciele potargany w strzępy, szmaty... Ale jego łachmanami ktoś tak starannie okrył ciało, że nagość nie przeświecała nigdzie. Wyganowski zbliżył się do śpiącej z potwornie bolesnym uśmiechem, nachylił się nad nią i rzekł do Cedry:

— Patrz!

Podniósł lewą rękę umarłej. Krzysztof nachylił się...

Zobaczył rękojeść sztyletu, tkwiącą pod piersią dziewiczą między żebrami. Bujna fala krwi oblała tę rękojeść, dokoła niej skrzepła i czarną lawą zastygła.

Ciało już było zimnem truchłem, nogi i ręce już zesztywniały, ale twarz spokojowi grobu i władaniu śmierci jeszcze się nie poddała. Jeszcze wszystka należała do ziemi. Jeszcze z pomiędzy zwartych brwi, ze straszliwego skrzywienia ust zionęły dwa płomienie: duma i boleść. Wyganowski złożył ze czcią ostygłą rękę na dawnem miejscu. Splótł palce lewej dłoni umarłej z palcami prawej. Czynił to pobożnie, ze spokojem i ostrożnością, jak gdyby wykonywał przepis obrządku. Usta jego były skrzywione zupełnie tak samo, jak u zakonnicy...

Po chwili wyprostował się, odstąpił dwa kroki w tył, stanął w pozycyi, wydobył szpadę i sprezentował przed umarłą broń.

Wyszli stamtąd.

Wyganowski maszerował przed siebie dużymi krokami, mówiąc prędko i obojętnie.

— Napadli ją w pięciu, czy w sześciu. Tam, w tamtem załamaniu korytarza. Widziałem...

— Nie obroniłeś, co? — cisnął mu Cedro w twarz słowo, jak rękawicę.

Tamten zaprzeczył ruchem głowy. Rzekł po chwili:

— Uciekła do swej celki. Zatrzasnęła drzwi. Dość długo je wyważali... Nareszcie wyrwali zawiasy wraz z odrzwiami. Rzucili się na nią i zdarli suknie. Aliści nagła przeszkoda... Do dyaska! Cha-cha — pod śliczną piersią nagła przeszkoda! Wszystko przezwyciężone z wyjątkiem tego jednego drobiazgu! Zupełnie jak Zaragoza: już zdobyta, już wzięta, już na niej łyka. Teraz cię, krzyczymy, niewolnico, pożyjem! Cha-cha... Naści! Cha-cha... Naści — trupa. Szarpaj go, podły lisie, i pożywaj na zdrowie!

Stanął wśród korytarza, sam blady, jak trup, i szeptał w zapamiętaniu:

— O, zakonnico, zakonnico! Gdybym był pierwszym władcą plemienia, które cię wydało, imieniem twojem nazwałbym miasto, kraj mój, ziemię całą! Z osoby twej uczyniłbym herb narodu i pieczęć państwa. Kazałbym swoim armiom defilować przed twoim trupem z rozwiniętymi sztandarami...

Cedro, którego nudziły słowa tego oficera, patrzał na niego sennemi, zgasłemi oczyma i ledwie go w półmroku widział.

— Czy mogę się tu położyć? — rzekł, przerywając potok szczodrobliwej wymowy kapitana.

Wyganowski ocknął się i powiódł oczyma. Pchnął ręką drzwi na lewo i wszedł do celki pustej zupełnie i tak samo maleńkiej, jak tamta, w której leżała samobójczyni.

— Kładź się, gnojku, i śpij!... — rzekł, wskazując tapczan.

— Pan kapitan nie ma w sobie, ile wnosić mogę, nic z nieprzyjemnej twardości Scypiona Afrykańskiego... — rzekł Krzysztof z łagodną ironią, zmierzając do legowiska.

W tej samej chwili przypomniał sobie, że to jego ktoś dziś przezywał Scypionem Młodszym.

Miał zamiar rzucić Wyganowskiemu prosto w nos inne przezwiska, jak: pudel, jeździec, blondyn — ale już nie był pewny, czy rzeczywiście widzi przed sobą kapitana, czy tylko o nim śni.

— Ja nie mam w sobie nic ze Scypiona żadnego... Jestem proch i popiół...

— To śpij... — mruknął Cedro.

— Nie, ja tu sobie posiedzę. Poczekam na ciebie. Obudzę cię za kwadrans, gdy będę z moją kompanią z tego domu wychodził.

Krzysztof, dopadłszy głową posłania, w tej chwili zachrapał na cały klasztor. Zdawało mu się, że tylko co zamknął powieki, kiedy już zaczęto burzyć we drzwi, kołatać kolbami i słowem wzywać kapitana Wyganowskiego do dzieła. Cedro obudził się tak samo nagle, jak zasnął. Słuchał przez chwilę huku wystrza-

łów, wrzasków bitewnych... Kapitan siedział na krześle w tej samej pozycyi, twarzą do okna zwrócony. Zdawał się wcale nie słyszeć krzyków, wzywających do boju. Zdjął był czapkę i jeszcze jej nie wdział. Twarz jego teraz wydawała się daleko mizerniejszą. Był bardzo piękny.

Suche, kościste czoło, ściągły nos, starannie utrzymany zarost mimowoli pociągnęły wzrok Krzysztofa. Nieruchome oczy kapitana zasłane były tumanem...

Cedro otrząsnął się i wstał z tapczana silniejszy i zdrowy na duszy.

— Masz dosyć? — spytał Wyganowski, nie odwracając głowy.

— Mam dosyć.

— To idziemy.

— Jestem gotów.

Przed klasztorem, w jego zdeptanych wirydarzach stały kolumny, gotowe do dzieł nowych. Rozwarto bramę. Wojsko żelaznym krokiem weszło w ulicę Engracia.

Pod narożnym, z prawej strony budynkiem ujrzeli towarzyszów, wywalających drzwi. Nikt nie wiedział, co to za gmach. Bramy miał potężne, zamczyste, okute, ze strasznymi ryglami, mury grube, kraty niezłomne w oknach. Nowoprzybyli z klasztoru wsparli oblegających potężnem ramieniem. Przyciągnięto jedną ze zdobytych armat, postawiono paszczę jej o kilkanaście kroków od wejściowych drzwi. Grzmotnęła kula we wrótnie raz, drugi, trzeci. Kamienne obramowania wierzejów spękały się, wgięły do wewnątrz i wywa-

liły wreszcie pospołu z wrótniami. Szturmujący rzucili się ciałem swem na pochylnię wrót, wpełzli przez górny otwór do ciemnego wnętrza. Ujrzeli przed sobą ogromną sień z szerokimi w głębi stopniami marmuru. Połowa jego zawalona była workami ziemi. Wcisnęli się tam po jednemu i zaczęli uprzątać z drogi szykanę. Nikt im w tej pracy nie przeszkadzał wcale. Sądzili zrazu, że dom ten nie będzie wcale broniony. Ale skoro większy tłum woltyżerów dostał się do przedsionka i postąpił ku schodom, padły między nich ręczne granatki, rzucane z za balustrady schodów drugiego piętra, trzasnęły o krawędzie schodów bomby puszczone z wysoka. Przeraźliwy ich błysk rozłamał półciemność, trzask czerepów rozbitych o nagie ściany zagłuszył jęki rozszarpanych. Huk wszystko pochłonął w siebie. Na białych stopniach z kararyjskiego marmuru miotały się ciała, drgające w spazmach śmiertelnych. Krew strugą, jak ponsowy wąż wijąc się po stopniach, w dół spływała.

Idący ze dwora mieli w oczach ten widok. Wlecieli też zaraz na schody wściekłym skokiem, sadząc przez rannych. Dopadli piętra. Tam już na nich z długiego korytarza czekał wysunięty rząd luf. Huk strzałów, dym, błyskające w nim ognie... Korytarz pierwszego piętra został zdobyty. Został zdobyty, ale zapłacono za niego drogo. Żołnierze zasłali schody i podłogę, ranni konali pod depcącymi obcasami. W ciemnych kątach, we framugach zakratowanych okien ludzie dusili się rękoma, zarzynali nożem. Nareszcie rozjuszeni napastnicy dosięgli drzwi cel, wychodzą-

cych na prawo i lewo. Obrońcy uciekli na drugie piętro. Sądzono, że to jest klasztor. Otwarto młotami i wyłamano zapomocą sztab żelaza kilkadziesiąt cel. W mgnieniu oka wypadli na korytarz zamknięci tam ludzie. Straszliwy wrzask napełnił wnętrze tego gmachu.

Jedni z wypuszczonych byli nadzy, inni mieli na ręku kajdany, jeszcze inni odziani byli w gałgany, prześcieradła, szmatki. Wszyscy mieli ogolone łby.

Gdy Wyganowski z Cedrą wchodził na schody pierwszego piętra, ujrzał przed sobą w zwojach i kłębach dymu prochowego dwu ludzi w gałganach, z białemi czaszkami, którzy wzajem pochwycili się za gardła i wżarli w siebie zębami. Runęli właśnie na ziemię. To jeden, to drugi był na wierzchu. Szarpali się paszczękami, jak rozjuszone psy. Nagie ich ręce, kolana, lędźwie, brzuchy, łopatki, ramiona, szyje latały, dygocąc, z miejsca na miejsce. Wyrywali ze siebie nawzajem zębami żywą krew, dusili się kolanami, darli ostrzem pazurów, zczepiali się razem tak straszliwie, że zdali się być jednym człowiekiem o dwu głowach, o wielu rękach i nogach. Podwajały się, potrajały, stokroć mnożyły ciosy pięści. Katowali się, bijąc czaszką w czaszkę z chichotem zawziętości. Dawał się słyszeć trzask kości i rzężenie, trzask i rzężenie... Nareszcie jeden z nich został na wierzchu dłużej. Drugi charczał pod nim. Tylko jego głowa wciąż się jeszcze dźwigała, szyja prężyła do ciosu. Ale oprawca już się nie dał zdusić. Krwawa jego wściekłość nie ustała ani na chwilę, nawet wówczas, gdy biała, posiniała czaszka zwyciężonego zwisła bezwładnie w ka-

łużę krwi. Ssał jego broczące rany, podnosił powieki oczu i patrzał w nie, zaglądał do dna; czaił się dłonią na każdy z ostatnich oddechów i chwytał je w lot, kiedy jeszcze były w tchawicy. Nareszcie wymierzył zabitemu ostatni policzek. Ostatni raz plunął w bezwładne usta. Wstał. Powiódł dziwem mięsem swych oczu, piekłem swego uśmiechu po szeregu zadumanych żołnierzy. Ujrzał ich teraz. Zaśmiał się, zaskowyczał, załkał, zachichotał... Dźwignął ramiona i jak radosny lew skoczył z góry w środek tłumu. Oficera, idącego w trzecim szeregu, chwycił za brodę, żołnierza sąsiedniego za gardziel i, rycząc z uszczęśliwienia, z pianą radości z wyszczerzonych zębach, skonał na bagnetach.

Z korytarza wypadli teraz, jak wichrem pędzone liście, tańczący, deklamatorowie, śpiewacy, mówcy, zamyśleni, obojętni, ślepi z szału, podobizny psów czających się i podobizny drzew ściętych, które jakoby grzyb obojętności porósł i zeżarł, ludzie bez twarzy a z rozszalałemi oczyma, inni z mordami, w których niema oczu, przeraźliwe chimery w kształtach kobiet, okropne twory ze spojrzeniami wilków i trytonów, z kajdanami na ręku i w kaftanach, związanych rękawami w tyle. Tłum ten wyszedł na żołnierzy i zagrodził drogę. Ryk zwierząt, głosy burzy, jęk wiatru w puszczy leśnej i pieśń zbieganego morza w nocy, na nowiu, krzyk najgłębszej ptasiej boleści i śmiech szczęścia, wydobyty z nicości przez narzędzia muzyczne, płacz nad opustoszałą kołyską i euforyczna pieśń duszy, patrzącej w rozchylone niebiosa — wszystko

to buchnęło w przychodniów z tego tłumu. Ze środka jego wyszedł wielki starzec w krwawej płachcie, głową przerastający wszystkich, nagi, z olbrzymią na głowie wiechą z jednej gałęzi cyprysa, z wyciągnionemi rękoma. Nie widział nikogo. Śpiewał rozpaczliwie jakąś pieśń głuchą, której słowa ginęły doszczętnie w chaosie dymu, w huku strzałów i głosach konania. Zstępował na dół, jak geniusz, władca, czy prorok ze swym krzykiem na ustach...

W tej samej chwili czarny, mały, zwinny małpo-człowiek, w zgrzebnych portczętach, a bez koszuli, przelazł chyłkiem przez balustradę, mrugnął na wszystkich i z rzegotem śmiechu takiej chytrości, takiego szczęścia, jakby w tej chwili oszukał nareszcie ród ludzki, gwizdnął przeciągle i skoczył goloną czaszką na dół. Nim zdołano dojrzeć, jak się tam roztrzaskał i rozprysnął w krwawą fontannę u drzwi wejściowych, już inny zajął uwagę idących widzów. Oto człowiek muskularny i napozór zupełnie zdrowy, czając się pod ścianą, dopadł żołnierza, zabitego przed chwilą, chwycił lewą ręką karabin i w mgnieniu oka rzucił się w kupę obłąkanych. Począł ich przebijać piorunowymi ciosami, miażdżyć kolbą golone łby. Na dany znak żołnierze wzięli go na cel. Gdy zginął, podarty kulami, roztrącili waryatów i pomknęli na drugie piętro — w pościgu za zdrowymi. Byli na platformie załamania się schodów z marmuru, kiedy z korytarza drugiego piętra dał się słyszeć chór stokroć bardziej, niż na pierwszem, żywy. Żołnierze stanęli.

Hiszpanie, chcąc, widocznie, między sobą a zdo-

bywcami utworzyć nową przeszkodę, otwarli na drugiem piętrze separatki obłąkanych kobiet. Ukazał się z czarnej czeluści skłębiony wał potworów. Na przedzie szła megiera z siwymi i starganymi kudłami łba, z wywalonemi na wierzch oczyma, z zakrzepłym w gardzieli krzykiem na widok młodych żołnierzy. Skrzywione palce jej koślawych rąk lazły po murze. Bezzębna gęba była otwarta, wstrętne nagie piersi szybko dychały. Wał, toczący się za nią, kipiał. Szept w nim, klaskanie w ręce, podrygi, rżenie, poszczekiwanie, jakoby psie, kwik, jakoby kobył zhasanych w błoniu, śpiew radości, krzyk, przeszywający sto naraz słów. Śmiech w tłumie tym, śmiech, co włosy najeża, straszniejszy, niż widzenie śmierci.

Żołnierze zlękli się i umknęli. Zająwszy pozycyę obronną na pierwszem piętrze, czekali. Kobiety pełzły na dół chyłkiem, cichaczem. Jedne z nich, wrzeszcząc, skoczyły, jak hyeny, ku wyjściu ze szpitala, inne rzuciły się w korytarz pierwszego piętra. Odtrącone bagnetem przez żołnierski szyk, zażywały rozkoszy z waryatami.

Kapitan Wyganowski skorzystał z chwili ustąpienia tego hufca z górnych schodów, rzucił się powtórnie ze swoją kompanią na górę. W korytarzu drugiego piętra straszliwa zawrzała walka. Hiszpanie zamknęli się w celkach kobiecych, w szałówkach furyatek, dopiero co wypuszczonych na wolność. Przez okienka we drzwiach kutych i zaopatrzonych w zamki doskonałe razili napastników niechybnymi strzałami. Siedzieli, jak w fortecy. Żołnierze francuscy, którzy przy-

szli z dołu na pomoc Polakom, z wściekłości bezsilnej, zdawało się, mur gryźć poczną zębami. Nadaremnie strzelali przez okienka we drzwiach: żołnierz hiszpański krył się tuż pode drzwiami. Nabijał spokojnie karabin wychylał lufę i celował niewidzialny. Przydźwigano z dołu żelazne sztaby, legary, wyciory od armat, belki i drągi. Zaczęto bić koleją w niezdobyte drzwi taranami. Żołnierze przemienili się w oszalałe katapulty. Drzwi jęczały, szły w drzazgi i wióry, a padał z za nich nieubłagany strzał. Oblężeni Hiszpanie zdobyci zostali wreszcie jeden po drugim, żywcem. Wyrywano ich sobie i podawano z rąk do rąk. Wykłóci zostali, zatłuczeni kolbami, wytraceni w tych norach co do nogi.

Trupy ich rozszarpane bagnetami, twarze zmiażdżono, piersi złamano obcasami. Wiązani byli we własne pasy za gardła. Zaczepiano pasy u krat okiennych i duszono, tłumem ciągnąc za nogi w kierunku drzwi. Twardych w karku, opornych, dumnych, wrzeszczących swoje: »Niech żyje Ferdynand siódmy!« — dodławiano nagiemi dłońmi.

Reszta obrońców trwożliwszej natury przebiegła była bocznymi schodami na strychy szpitala. Tam podłożono ogień. Kupy słomy zapalono na schodach, prowadzących na poddasze. Kiedy ogień zaczął się szerzyć, reszta Hiszpanów wyskakiwała z płomieni na bagnety, albo znalazła śmierć w ogniu.

Opanowawszy w ten sposób górną część gmachu, stłumiono ogień, i wojsko szło ku wyjściu. Waryatów i waryatki co posłuszniejsze zganiano na kupę, żeby

ich wypędzić z miasta i zamknąć w gmachach Monte-Torrero. Ów tłum rozpierzchał się na wsze strony. Jedni nie chcieli opuszczać swych szałówek, inni walczyli z żołnierzami, jak najlepsi, najmężniejsi żołnierze. Potworna walka ze wściekłemi babami do rozpaczy doprowadziła eskortujących żołnierzy. Wśród tego zgiełku, wśród potwornych scen, wśród mordów i bezeceństwa, między rozszalałą tłuszczą przesuwał się Cedro, zstępując ze schodów. Stanął wreszcie u drzwi na dole i spojrzał w górę. Szukał oczyma kapitana Wyganowskiego.

W owej chwili za bandą mężczyzn i kobiet, pędzonych bagnetem, szedł wysoki człowiek w ogromnym wieńcu z cyprysowej gałęzi. Oczy jego, wzniesione do góry, i teraz nie widziały nic zgoła. Ani jednego zjawiska... Bose nogi brodziły do kostek we krwi skrzepłej na schodach, ślizgając się, deptały ciała zabite i zimne. Gołe ręce z pod płachty, krwią utłuszczonej, wyciągały się do góry. W twarzy okrutnej i tak dalekiej od ludzkiego wyrazu, jak daleką jest fizyognomia kamienia, w straszliwej, zimnej masce odbijała się tylko jedna jedyna, niezmierna, wewnętrzna żądza. Krzywda żłobiła ją latami, a tak pracowicie, jak bezsenna praca wulkanu urabia formę krateru. Śpiewał, a raczej wzywał z głębi ducha, ze wszechwładzy serca, z całej piersi, wołał w przestwór słowami Psalmu:

»*Quis dabit mihi pennas, sicut columbae?... Et volabo et requiescam...*«

Był to okrzyk tak niewymowny, że słuchają-

cemu zdało się być niepodobieństwem, by na to wołanie nie odezwała się natychmiast odpowiedź. Znowu ten głos:

»*Quis dabit mihi pennas, sicut columbae?...*«

Przeszedł. Nie widząc drogi, murów, ulicy, świata, ludzi, którzy go kłóli, popędzając bagnetami i kijami, poszedł wyniosły starzec w czeluść ulicy Engracia i znikł pospołu z towarzyszami. Zdala, z ciemności zawalonej trupami i zawleczonej dymem prochowym, dolatywał jego nadludzki śpiew: — »*Et volabo et requiescam...*«

Zeszedł wreszcie na dół Wyganowski. Kiedy spotkali się u drzwi, Cedro wziął go za rękę. Przycisnął ją do piersi, nie wiedząc, że to uczynił. Kapitan spojrzał na niego z pod oka, nieufnie, półszyderczo, jak to było w jego zwyczaju. Nagle zaszlochał bez uronienia łzy, krótko i skrycie. Pokrył to sztucznym, a głośnym i forsownym kaszlem. Zdarzało mu się to, widać, często, gdyż natychmiast się opanował. Powiedział coś pieprznie kawalerskiego...

Zniesiono trupy i rannych na wirydarz klasztorny i kolumna odeszła ze szpitala. Skierowała się teraz ku wylotowi ulicy Engracia, na Calle del Cosso. Zdala już widać było, że to miejsce pełne jest szykan. Ale ludzie odetchnęli. Bić się na powietrzu! Iść przed siebie i walczyć z żołnierzem! Za rowami i przed przedpiersniem z bruku, ziemi i worków czatowali obrońcy. Migały tam ich okrągłe, czerwone czapki, z kształtu podobne do uciętego stożka. Na środku placu widać było bateryę z dział wałowych, wznie-

sioną wysoko, paszczami zwróconą w czarny wylot ulicy.

Pierwszy pułk polski pod Chłopickim utworzył kolumnę zbitą, niby lity tłok, i niezdobytym krokiem wyruszył. W jego tropy szedł czternasty pułk francuski pod pułkownikiem Henriot'em. Obadwa te tarany wbiły się w Cosso masą swoją, jak dwa drągi katapulty. Uderzyły we wzniesioną bateryę i zmiażdżyły jej kanonierów. Baterya zamilkła. Ale wówczas ze wszystkich stron, ze wszystkich okien i niedostrzegalnych dziur w olbrzymich domach wydłużonego placu sypnęły się na nich pociski. Stały tu posępne, wielkościenne gmachy, jak teatr, urzędy municypalne, a nadewszystko sąd i mieszkanie niegdyś, od czternastego wieku, najwyższego sędziego *justizy*, stróża swobód unii narodowej Kastylian i Aragonów przeciwko władzy Piotrów Okrutnych. Naprzeciwko ulicy Engracia, wylot w wylot, znajdowała się ślepa i wązka uliczka *Arco de Cineja*. O kilkanaście kroków na prawo szła główna arterya miejska po drugiej stronie Cosso — ulica świętego Giliusza. Prowadziła ona obok kościoła tegoż imienia, obok klasztoru świętego Piotra, zostawiała na prawej ręce katedrę *del Seo*, na lewej kościół *Nuestra Señora del Pilar* i wylot w wylot trafiała na most.

Pułkownik Chłopicki sformował swoją poszarpaną kolumnę pod strzałami całego Cosso i, złudzony położeniem ulicy *Arco de Cineja*, rzucił się w nią, zamiast w ulicę świętego Giliusza. I w tym zaułku, tak samo jak w całem mieście, domy zamienione były

na niezdobyte warownie. Żołnierze ginęli na rozdrożu Cosso, u wejścia w uliczkę i w jej ślepej głębinie. Waliły się na nich ściany, umyślnie z góry wyważone i strącone z czwartego piętra, belki opalone, dymiące się, jak głownie, fortepiany i szafarnie, skrzynie i ręczne granaty. Sam Chłopicki, ciężko raniony, padł na placu. Wynieśli go żołnierze z pobojowiska.

Noc wtedy spadała na wrzące miasto.

Klasztor Franciszkanów, zdobyty szturmem przez oddział polski, z wyjątkiem wieży, gdzie usadowieni Hiszpanie razili wciąż granatami przechodzące wojsko, służyć miał za punkt zborny, za szpital i miejsce spoczynku. Na zdobytej ulicy Sant' Engracia palono ogień przy ogniu od samego zmierzchu. Warty stanęły gęsto i opasywały wszystkie punkty zdobyte. Cedro znalazł się pod kolumnadą klasztoru, która wychodziła na ogrody. Stały tu pod ścianami długie i szerokie ławy z ciosanego kamienia. Żołnierze powyciągali się na tych miejscach siesty mniszej...

Miasto kipiało wciąż jeszcze. W dzielnicy nadrzecznej, za placem Cosso, we wschodniej części około uniwersytetu i na zachodzie w okolicach pałacu inkwizycyi świętej, słychać było łomot pracy, szczęk młotów, szarpanie ziemi i odwiecznych murów. Ale żołnierze francuscy i polscy, słysząc ten nocny rozgwar zbrojenia się miasta Fenicyan — Salduby, miasta Rzymian — Caesar-Augusty, miasta Arabów — Zaragozy, miasta Aragonów i wreszcie zjednoczonych we wspólną ojczyznę Hiszpanów — nie zwracali już

uwagi. Byli pewni, że wcześniej czy później zdepcą i stratują, cokolwiekby stworzyła zrozpaczona praca.

Teraz pożądali snu i spoczynku.

W starym tumie Franciszkanów płonęły ognie. Skwarzyło się mięso na rożnach. Stare, rumiane wino, rozkosz mnichów, krążyło w złotych, kościelnych kielichach. Pieśń, sławiąca siłę i przemoc, pieśń, nakazująca popchnąć i zdeptać to, co upada bez sił, rozlegała się w ciemnych korytarzach, pustych celach i pod kopułą kościoła.

Około północy ostatnie echo rozmowy ucichło w klasztorze. Żołnierze, otuleni w płaszcze, spali, leżąc wpoprzek galeryi portyku, pokotem. Był to sen twardy i zaiste kamienny. Cedro leżał między innymi w szeregu, ale nie spał wcale.

Na końcu galeryi, u wejścia do ogrodu, paliło się duże ognisko. Długie smugi ruchliwego ognia rzucały w ogród niepewne blaski. Chrapanie cielsk w całej galeryi, w przestrzeni kilkudziesięciu kroków było nie do zniesienia. Zdawało się Krzysztofowi, skoro tylko oddalał się myślami od tego miejsca, że trupy niedorznięte koło niego charczą. Wzdrygał się i z wściekłym gniewem zawijał w płaszcz. Ale, chociaż zasłonił oczy, nie mógł zasłonić płynących myśli. Dźwignąć się jutro z tego potwornego snu do dzieła mordowania, albo na wieki legną po kanałach i rynsztokach miasta. Jaki też sen śni się temu leżącemu motłochowi? I oto ujrzał sen tłuszczy, sen idący nad nimi w ciemnych załamaniach sufitu. Widział trzeźwemi oczyma

ogniste, kręte zwoje boleści, wlokące się po wązkich schodach, którędy ścieka krew...

Wszczepił mu we włosy koślawe ręce swoje krzyk, obijający się o ponure mury zaklęsłych dziedzińców, korytarzów, cel... Starzec, starzec w krwawym łachmanie! Oczy jego, oczy patrzą, wznosi się uschła ręka... Wskazuje, wskazuje... Boże miłosierny! — wskazuje ręką... Ogarnął go nieprzełamany wstręt. Ciała spitych morderców, staplanych we krwi, śmierdzących potem pracy od całodziennych siepań, owa bezwładność i nicość silnych gnatów, które się teraz podle wiły i kurczyły pod ciężarem widziadeł sennych, ohydne profile pysków, rozwarte usta, porozrzucane ręce i nogi, w trwodze i męczarni charczące gardziele i nosy — wzdrygnieniem go zimnem smagały. Nie był zdolny pozostać teraz na chwilę sam ze sobą. Wnet myśli jego pędził i ścigał przestrach. Korpus cielesny wciąż musiał być w ruchu, w trudzie, w pierwszorzędnem zmaganiu się, wciąż musiał cośkolwiek ścigać forsownie. W każdej chwili spokoju zaczynały płynąć wpoprzek logicznych myśli — wichry spłoszonych obrazów, haniebnych widoków, czynów spełnionych.

I teraz oto uczuł się zmuszonym do ruchu.

— Pogadam z szyldwachem... — myślał, wyłażąc z szeregu leżących.

Ale zanim stanął na nogach, już zmienił projekt. Czuł, że rozmowa go nie zaspokoi. Wiedział, że musi szukać niebezpieczeństwa, jeśli chce w sobie zagłuszyć paroksyzmy dawnej duszy.

— Cóż ja mam ze sobą teraz robić? — myślał

bezradnie, siedząc w kucki na miejscu i wodząc oczyma po ogrodzie i murach.

Wieszał mu się na ramionach płaszcz bezsennego sumienia. Obojętne wiedzenie dawało znać, że wypadnie chyba przesadzić mur ogrodowy i pójść samemu między szańce hiszpańskie na niedostępne zaułki Calle del Cosso...

Forsy, mocy, wytężenia sił! Walki z przemagającą liczbą! Oczy, badające, którędy mur przeskoczyć, zabrnęły w pomrok zarośli bluszczu, między zaciszne uliczki strzyżonego bukszpanu, w kąty, gdzie gaje wyniosłych kamelii dokoła siebie rozpraszały białe i czerwone kwiaty. Z głębiny ciemnej wytrysnął przed oczyma ponad szarzejący mur — czarny, strzelisty kształt wonnego cyprysa. Bliżej nikło bielały, przerywając nieugiętość mroku, krzaki różane. Żarzyły się w ciemnych wnękach czarnej nocy, jakoby światła żałosne, zwisłe girlandy przedziwnych róż indyjskich, wiecznie kwitnących róż z Bengalu, kwiatów rodzącej się Afrodyty i kwiatów królowej Flandryi. Przezwyciężały tam noc barwy ich śnieżnobiałe i bladożółte, koloru ciała kobiety i koloru porannej zorzy. Zwartym kuszczem stały nad wydrążeniem starej cysterny, zawsze szemrzącej. Zapach ich dźwigał się z ciemności, powstawał ze smutku szmerów lecącej wody. Krzysztof uczuł go niespodzianie.

Usłyszał mowę wieczną szmeru strumienia. Ze szczęśliwem zdumieniem westchnął, wciągając nozdrzami błędny zapach.

W owej chwili, jakby z pomiędzy kapiących

w ciemność polśnięć kęp różanych, z pomiędzy białych, jak śnieg, skupień, wyjawiła się twarz blada, z oczyma rozwartemi szeroko od dumy, od pogardy, od straszliwego uniesienia. Usta półotwarte i włosy wzburzone, niby chmura burzy wiosennej nad białem czołem... Widać w chropawej ramie okna ze zczerniałego marmuru tę głowę niewysłowionej piękności, oblicze boskie, kształt córy Diosa, Pallady Ateny. Ale wraz uwydatni się z ciemności inny kształt i wyraz, gdy zbielała i martwa na obraz śniegu zamyka oczy przed ohydnym widokiem. Kropli krwi niema w jej ustach. Światło uciekło ze źrenic. Padają powieki na zranione oczy, jak drzwi bez zawias...

Krzysztof nie mógł już teraz przypomnieć sobie tego oblicza. Stała się, jak gdyby widmo we śnie widziane. Stała się czemś tak niedokładnem, jak wspomnienie starca, i tak wątpliwego istnienia, jak widziadlany obraz cielistych róż w mroku nocnym.

Żołnierz wstał ze swego miejsca po cichu. Wysoko przytroczył szablę. Ręce miał wyciągnięte, żeby zwiewny obraz zatrzymać... Na palcach zeszedł ku cysternie. Oto miał przed sobą uśpione krzaki różane. Wiotki zapach wzdychał ku niemu z ciemności. Zdało się idącemu, że to głowa niewidzialna spoczęła na jego piersiach, że wonne ręce oplatają mu szyję. Łkały przed nim w nocy te bezsenne białe róże. Same jego ręce zanurzyły się w krzew mokry, między pręty kolczaste, we włosy zimnych liści. Kalecząc sobie, drąc i przebijając palce, łamał gałązki, obarczone kwiatami. Zerwał ich bukiet tak duży, że ledwo go dłonią skrwa-

wioną mógł objąć. Wolno, kryjąc za sobą pęk zerwany, poszedł ku ognisku. Szyldwach nastawił ku niemu bagnet i mruknął, jak niedźwiedź, o hasło. Krzysztof rzucił mu je, nie patrząc, i wyszedł na ulicę. Cała teraz pełgała od ogniów strażniczych, rozpalonych co kilkanaście kroków pośród ulicy Sant' Engracia. Szyldwachy kołatały się między jednem a drugiem ogniskiem, jak wahadła. Żołnierze, pilnujący ogniów, znosili z domów meble i sprzęty drewniane. Ciskali je bez przerwy w płomienie. Buchały jasnym ogniem poręcze, boki i gzymsy mebli rzeźbionych z drzewa mahoniu, hebanu i czarnego dębu, może w czasach szałów i gwałtu na lądach i morzu zdobyte... Trzeszczały, pryskając iskrami, bezcenne szkatułki, pełne papierów, pamiątek, świętości rodzinnych. Tliły się smrodliwie stare palimpsesty, pergaminy i foliały bibliotek klasztornych. Drzwi wejściowe od ulicy były powyrywane z zawias, czarne sienie stały otworem i broczyły głębią ciemności, jak rany świeżo zadane.

Idąc od ogniska do ogniska, Krzysztof wypowiadał jednym głosem hasło i przeciskał się co prędzej, co tchu za mury klasztoru franciszkańskiego. Minął wylot bocznej uliczki, dwie czy trzy sienie, i oto stanął u wejścia do domu, który poprzedniego dnia zdobywał w gronie woltyżerów. I tu brama była wyrwana z zawias. Dawno już spłonęła w ogniu ulicznym. W sieni jakiś piechur pracowicie rąbał siekierą szafy, stoły i stołki. Cedro wyminął go szybko i wbiegł na piętro po znajomych, szerokich schodach.

Znalazł się tam w zupełnej ciemności. Łoskot sie-

kiery słychać było, jako głuchy, natrętny stuk w ścianę. Wyciągnięte ręce dotykały murów ślizkich, jak lód. Oto drzwi, prowadzące na wewnętrzny, podwórzowy ganek drugiego piętra. Znalazł je omackiem. Wyszukawszy ręką rygiel starego zamka, podważył go końcem pochwy pałasza i wnet stanął na balkonie. Chlusnęło mu w oczy światło w oknach... Swiatło w tamtych oknach! Jacyś tam ludzie...

Cicho, jak zmora, szedł dookoła po deskach ganku, a zanim którą nadepnął, sto razy próbował stopą, czy nie zaskrzypi.

Szedł nieskończenie długo... Sądził, że nie dowlecze się nigdy do świetlistych okien... Ale nie skrzypnęła pod jego nogą podłoga, nie zaszeleściał pałasz. Przywlókł się nareszcie. Pierwsze, półotwarte okno założone było na hak środkowy. Zajrzał przez szeroką szczelinę do wnętrza.

Znał dobrze tę salę. Na dywanie pod szafą leżeli zamordowani. Starcy... Oto jego własny ksiądz... Siwa czupryna, niebieskawy podbródek. Sutanna nowa. Do pioruna! sutanna nowa... Ani śladu... Zmiażdżone trupy bab obok niego.

Wielka, woskowa gromnica w rogu pokoju. Dwie żywe przy trupach istoty. Zakonnik, Franciszkanin, stary, jak grzyb, z łysą, zżółkłą czaszką, nagą, jak kolano, tyłem do okna zwrócony, klęczał przed zmarłymi i półgłosem mamrotał modlitwy.

Bliżej okna, w głębokiem starem krześle z szerokiemi poręczami, spała doncella. Zasnęła, widać, niedawno. Głowa jej upadła bez sił na tylną poręcz.

Włosy rozpierzchły się, rozwiązały i klinem, na podobieństwo czarnego cyprysa, wierzchołkiem zwróconego ku ziemi, zwisły ze spracowanej głowy. Bezwładne ręce leżały na kolanach. Można było mniemać, że i ta kobieta nie należy już do świata żywych. Tylko jeszcze tchnienie uroczych piersi pod czarną szatą świadczyło o życiu.

Krzysztof wsunął dłoń między połowy okienne i odrzucił zamknięcie tak cicho, że nie wywołał najlżejszego szelestu.

Roztworzył połowice okienne.

Ujrzał teraz w całej prawdzie i pełni tę salę, którą miał w mózgu, jak widziadło. Ogarnął wzrokiem wszystko. Nie umiałby wyznać, jak długo tam stał pogrążony w dumanie. Najlżejszy szelest nie przerwał ciszy. Prysnął kiedy niekiedy knot gromnicy... Zadrzemał, widać, stary zakonnik, zwiesiwszy głowę na ręce wsparte o klęcznik...

Ocknął się Krzysztof z głębokiego zachwytu. Wydobyła się jego dusza z wiązań całunów, z pęt zamyślenia. Wziął przed się bukiet róż, rozdzielał troskliwie gałązki, zczepione liśćmi i kolcami. Rzucił na kolana śpiącej pierwszy kwiat tak wyśmienicie, że korona upadła między dłonie splecione palcami.

Rzucił potem drugą gałązkę, osypaną nierozwiniętymi jeszcze kłobuczkami, trzecią, cudnie rozkwitłą, czwartą i piątą. Wszystkie aż do ostatniej. Wtedy przymknął okno tak samo, jak było. Sam został na swem miejscu.

Oczy miał utkwione w twarzy śpiącej. Dusza jego

spływała na powieki zawarte, na usta, na lica białe, na włosy czarnym płomieniem zwisające.

Ostry chłód nocy aragońskiej ścisnął mu ramiona i żebra. Pierwszy brzask przerzedzał już ciemność. Widać było występujące z mroków posępne mury, studzienną czeluść podwórza, czarne okna i drzwi. Jakże to wszystko okrutnym przemówiło teraz wyrazem! Te straszne nieme sienie, te straszne okna i drzwi wychodziły na spotkanie oczu, jak kształt piekła duszy widzialny z blizka.

Wtem, jak piorun, rozległ się łoskot armatniego strzału.

Jakoby wrzask tysiąca odpowiedziała mu salwa karabinów. Cedro uczuł taki ból, jakby to jego te wszystkie strzały przeszyły. Spiąca dźwignęła głowę, otwarła szeroko oczy.

Powiodła niemi po trupach.

Chwilę słuchała strzałów z głową wtuloną w ramiona, blada i struchlała. Ręka jej dotknęła się mokrych i kolących róż. Bezmierne zdumienie usta rozchyliło do krzyku.

Zniżyła głowę gwałtownym ruchem nad tymi kwiatami. Zatopiła w nich oczy i siedziała tak nieruchoma, jakby w tej chwili i ją strzały armat o śmierć duszy przyprawiły. Zatrzęsły się wątłe okna od ponownego huku. Głucho zadrgały mury, jęknęły sienie i izby, korytarze i klatki schodowe...

Zawahały się ramiona dziewczęce.

Białe, liliane dłonie trwożliwie a namiętnym ruchem zgarnęły, objęły, schwyciły róże wszystkie bez

wyboru, przycisnęły je do łona, wstrząśniętego od łkań. Wstała dzieweczka ze swego miejsca, jak gdyby z tym zamiarem, że dokądś pójdzie. Ale nie postąpiła ani kroku. Znieruchomiała na miejscu.

Z zamkniętemi oczyma, z ustami pełnemi żałosnych słów, cisnęła coraz bardziej do serca kwiaty. Rozdzierała białe palce o ostre kolki, raniła miękkie dłonie...

Krzysztof na palcach pobiegł balkonem dokoła podwórza, zdążając na swoje miejsce między walczącymi.

POTYCZKA.

W nocy z 14 na 15 sierpnia generał Verdier odstąpił od oblężenia Saragosy. Nie było sposobu zdobyć jej wstępnym bojem.

Krzysztof Cedro już od dnia 6 sierpnia znajdował się w Monte Torrero. W dniu 5 sierpnia został na ulicy Cosso raniony w udo odłamkiem granatu, wskutek czego nie mógł uczestniczyć w dalszych działaniach. Leżał w baraku szpitalnym aż do chwili wymarszu wojsk francuskich w górę rzeki Ebro, a w stronę Tudeli. Pod koniec tygodnia swego wypoczynku należał zresztą do lżejszych robót minierów przy zakładaniu prochów.

Trzeci szwadron lansyerów polskich wyszedł ostatni z Monte Torero z improwizowaną artyleryą Hupeta. Nie dochodząc do rzeki Xalon, wojska francuskie zatrzymały się w oczekiwaniu na wybuch min. Cedro był jeszcze znużony chorobą. Szczególna w tym czasie zaszła w nim zmiana: uspokoił się i wzmocnił. Stał się jak gdyby dojrzały, stały i nieprzebłagany

i nieugięty w swej obojętności. Znalazł bezwiednie w tym nastroju duszy wyjście z labiryntu moralnych drgań i niepokojów.

Oto nadeszła chwila długiej niepewności, naprężonego oczekiwania w milczeniu. Słychać było tylko huk rzeki Xalon. Kapitan minierów, który był prochy zakładał i zapaleniem lontów kierował, wydobył z olstrów pistolet, żeby w łeb sobie strzelić, jeśli wybuch wcale nie nastąpi. Dla Cedry była ta chwila daleko bardziej obojętna, niż dla starych wyjadaczów, dla wytrawnych łazęgów włoskich i młodych wisusów a zbójców z temperamentu. Taką ciszę i spokojność wewnętrzną przeżywał we Francyi, czasu wielkich marszów pułkowych. Czekał teraz na wybuch, jak w teatrze oczekuje się na oświetlenie ogniem bengalskim efektownej grupy dziewic. Jeżeli doświadczał jakiej przykrości, to było nią zwątpienie o tym wybuchu.

Ale oto, na szczęście dla kapitana minierów, głucho jęknęła i zatrzęsła się ziemia, a łoskot oddały góry Aragonii. Słupy ognia, fontanny dymu, gejzery kamienia i chmury gruzu buchnęły w niebo. W nich ludzie magali kozły w powietrzu, jak zastrzelone w lot ptaki.

Ruszono w marsz dawną drogą przez Alagon, Mallen ku Tudeli wśród nieustających napastowań chłopów, zorganizowanych w bandy powstańcze, zwane *guerillas*. Wojska regularne Don José Palafoksa y Melcy szły w te tropy. Pułk lansyerów stanął wreszcie obozem w budach drewnianych, kleconych na prędce, nad samą rzeką Ebro. Był wysunięty w stronę nieprzyjaciela i nie miał chwili spoczynku. Konie stały w bło-

cie i glinie rozmiękłej, to też dostawały grudy i ochwatu. Szczury wodne nie dawały żołnierzom spać po nocach. A noce były już nadzwyczajnie zimne. Zaczęły bić deszcze jesienne. To też rozkoszą niemal była dla żołnierza każda wyprawa. Krzysztof uwolnił się z artyleryi, wrócił do szwadronu i lancy. Robił nią już oddawna i świetnie wszystkie *maniements*, wolty i piruety. Wykazał w potyczkach sprawność zupełną. Kiedy poprzednio w górach, otaczających Saragosę, wyuczył się przedewszystkiem przebijać ordynarnych chłopów w ognistem natarciu, teraz ćwiczył się w sposobach walki z regularną konnicą. Był tedy już niezwalczony w zwykłem, wysadzającem z siodła »broń do ataku!« — w szarżach *en avant-pointez!* — w parowaniu w lewo, czy w prawo, w zdradzieckich, wściekłych, a niezwalczonych ciosach w tył i bok. Uczył się tylko jeszcze pod Tudelą od mistrza Gajkosia najtrudniejszych napaści *par le moulinet*, zadawanych z wysoka, z ponad głowy, kiedy się lancę trzyma lekko między palcami, a cała moc cielesna i siła ciosu spoczywa w palcu wskazującym. Były to piorunowe a lekkie pociski w twarz, między oczy, w gardło wroga, a raczej wrogów. Gajkoś miał możność codziennie pokazywać uczniowi, jak te »prztyki« rozdawać w obskoczeniu. Rzucali się tedy dla nauki, praktyki i przykładu w gęstwinę hiszpańskiej konnicy, *gerilleros*, lub regularnej piechoty samowtór, czy samotrzeć w moment po salwie strzałów, zanim tamci mogli broń nabić. Skokiem, co siły w bachmacie, wpadali w tłum. Byli niedosięgli ani dla bagnetu, ani dla szabli. Sztuka walki z prze-

magającym stokroć tłumem polegała na tem, że grot lancy niweczył opór nieprzyjaciela w odległości sześciu łokci od piersi ułana. Żołnierz hiszpański, pragnąc cios zadać, musiał zbliżać się o dwa i trzy kroki. Furkot chorągiewki i błysk ostrza tworzył wnet wolne koła. Wokół trzech jeźdźców na koniach powstawały trzy place, a pierwsza luka stanowiła dla nich jakoby wyłom w murze fortecy. Widziano też nieraz pod Tudelą iście fenomenalne zjawiska. Bataliony piechoty i szwadrony jazdy hiszpańskiej rozsypywały się i pierzchały w pole, jak zgraja dzieci, przed byle garsteczką ułańską, pędzącą z kopyta.

Długo trwały te codzienne lekcye i korepetycye nad rzeką Ebro, bo aż do wielkiej i sławnej bitwy pod Tudelą w dniu 23 listopada. Po tej bitwie, gdzie bataliony piesze legii, pierwszy pułkownika Kąsinowskiego i drugi, w którym walczył kapitan Wyganowski — wsławiły się męstwem nieustraszonem, zlały krwią ziemię i przyczyniły się przeważnie do wielkiego pogromu Hiszpanów. Krzysztof Cedro po szarży w tej bitwie został oficerem. Zaliczono mu służbę w przykopach pod Hupetem, jako pierwsze awanse na brygadyera i na stopień *maréchal de logis*. Zakwitł teraz w swoim szwadronie, jako pan *lieutenant en seconde*. Musiał się wkupić do koła, nabyć od kolegów okucie srebrne do daszka, łańcuszek do podpinania, szlify i hafty munduru, czapraka, akselbanty przerzucić na prawe ramię, rzemienie wszystkie safianem podszyć...

Sprawiło mu to niemałą radość, że nareszcie

dosłużył się stopnia. Oficerowie powitali go życzliwie, znali go już bowiem dobrze, wiedzieli, co zacz jest na koniu, w ręce, w polu i pod dachem. Nie jednemu z prostszej sfery pochlebiało nawet koleżeństwo z tym austryackim »hrabią«. Ujrzał się też »hrabia« otoczony przyjaciółmi co się nazywa. Duszę gotowi byli za niego położyć... Wina nie brakowało w tych miejscach — można się było niem na śmierć zapić, wyznając sobie wzajem braterskie uczucia. Były jeszcze i uboczne powody tak serdecznego przyjęcia nowego porucznika. Oto z pułku szwoleżerów gwardyi przysłano w tym czasie do zajęcia miejsc oficerskich sześciu jeźdźców. Byli to panowie: Stadnicki, Dominik Runowski, Sawicki, Adam Radłowski, Józefat Kadłubiński i Teofil Mikułowski. Sztab ułański, a nadewszystko młodzież bez stopnia, czyhająca na odznaczenie, z wielką niechęcią przyjęła gwardyaków. Ci przybysze zagradzali drogę do awansu istotnie zasłużonym, a nadto, przybywając od boku cesarza i z wielkiego świata, mieli na obliczach marsa wyniosłości i protekcyonalne uśmieszki. Cedro, którego widziano, jak pracowicie dostawiał do obozu ciołki i owce, jak harował w rowach pod Saragosą i darł się z karabinem na barykadę, zyskiwał tem większą, na złość frantom szwoleżerskim okazywaną sympatyę.

W przeciwieństwie do szyku żołnierskiego, w którym żył dotychczas, składającego się ze starych wilków, lwów, hyen i dzików-pojedynków, w przeciwieństwie do surowych służalców, do nieubłaganych kondotyerów i srogich a ślepych żołdaków — znalazł się

teraz w otoczeniu delikatniejszem, młodszem i bardziej ludzkiem. Czuł to, że sam przewyższa kompanię oficerską zimną czerstwością, którą był nasiąkł w tłumie wiary. Męstwo w gronie, które powiększył, nie było jeszcze ową kamienną dzikością, sława tu świeciła na ostrzach szabel, honor był dźwignią i miłość dalekiej ziemi zakonem dusz. Nie wszystkich zresztą... Cedro stał się oficerem całą gębą, przyjął ryczałtem wszystkie zalety i wady tego stanu z pokorą a bez zastrzeżeń, jak prozelita świeżo nawrócony przyjmuje nietylko rytuał, ale i związany z nim w życiu całkowity *modus vivendi*. Już po upływie kilku dni w stanie nowego dostojeństwa spostrzegł, że przewyższa wielu kolegów wiedzą wojskową i doświadczeniem. Rzadko który z młodszych był tak długo, jak on właśnie prostym żołnierzem. Rzadko który walczył tak, jak on w Saragosie i pod Tudelą...

Z pod Tudeli, w ślad za cofającym się w popłochu dowódcą Hiszpanów, Peña, który zajął miejsce Castańosa, marszałek Ney pociągnął do Tarazona, a stamtąd górami, drogą równoległą do doliny rzeki Ebro aż do Plasencyi. Z Plasencyi wzdłuż rzeki Xalon ciągniono ku południowi na Muela, El Almunia, Morata — starorzymskim szlakiem wojennym, odwieczną drogą z Caesaraugusty do Mantui Carpetanorum, czyli Madrytu, na Bilbilis...

Wiedziano już w wojsku, że Napoleon jest na ziemi hiszpańskiej i że równolegle zdąża do Madrytu na Burgos. Sto koni jazdy polskiej pod grosmajorem Klickim poszło z marszałkami Moncey i Lannes'em

znowu pod Saragosę, w ślad za Palafox'em, który szedł zamknąć się w straszliwem mieście, ażeby wypełnić nieśmiertelne dzieło drugiej obrony...

Generał Lefebvre Desnouttes dowodził jazdą korpusu szóstego, który szedł przodem dla połączenia się z główną armią. Pierwszy raz na własne oczy ujrzawszy tak olbrzymią porażkę ośmdziesięciu tysięcy hiszpańskiego ludu pod Tudelą przez armie marszałków Lannes'a, Ney'a i Victor'a, Cedro nabrał pewności siebie i ślepej wiary w szablę ułańską.

Były ciągłe deszcze i srożyły się wichry, gdy armia francuska szła górskiemi drogami Aragonii w stronę Calatayud. Żołnierz polski odznaczał się czerstwością zdrowia i wytrzymałością na zimno. Więc kiedy Francuzów tłumy wleczono w furgonach, kawalerya nadwiślańska szła wciąż, zdrowa, jak rydz, w przednim szyku. We dwa dni po pogromie tudelskim podjazdy ułanów zbliżały się do Calatayud. Armia była dosyć daleko. Wśród deszczu i przelatujących chamer śnieżycy widziano przednie straże jazdy hiszpańskiej. Kiedy szwadron trzeci zbliżył się do taweryny, zwanej Burviedro i wstąpił na górską płaszczyznę, otaczającą to miejsce, dały się słyszeć z gór otaczających strzały armatnie. Szwadron stanął na drodze i sformował się w kolumnę w oczekiwaniu na nadejście siły głównej. Deszcz bił ulewny. Gdy nieco ścichła nawałnica, ruszono kolumną w kierunku, gdzie widziano siły nieprzyjacielskie.

Cedro miał na sobie granatowy płaszcz z białym kołnierzem, ale go nie zapinał pod szyję i nie

otulał nim ciała. Żuchowi między lansyery nie mogło być zimno. Na czapkę włożył przejrzysty, ceratowy futerał, żeby ją od deszczu uchronić, ale końców nie zawiązywał pod brodą. Nie używał również srebrnej podpinki. Czyniąc zadość kanonowi mody, ustalonemu wśród oficerskiej tężyzny, utrzymywał czapkę, zsuniętą na prawe ucho bez niczego, »sposobem głowy«. Giął wiatr czaplą kitę, ale czapka nie drgnęła. Oczy ułana, przeźroczyste, jak jasne morze, nurzały się we mgłę, opar i zawieję. Konie, wolno idące, dymiły się i grzały pod czaprakami i oponami z płaszczów, rzuconych poza siodła. Wtem, jak pistoletowy strzał, rozległ się głos komendy:

— Za broń!

Jak jedno machnęły prawe skrzydła płaszczów na ramię odrzuconych. We mgle ukazała się jakoby gęsta, czarna, po ziemi idąca chmura.

— Broń do ataku!

Krzysztof wyrwał szablę. Wziął konia we władzę kolanami, lewą dłonią, spięciem ostróg. Furknął młyniec chorągiewek, podobny do przeszywającego pisku jastrzębia...

— Flankiery naprzód!

— Szwadron do ataku!

— Plutonami — marsz!

— Marsz!

Zrazu wolno, miarowym kłusem, szedł szwadron równiną, dopóki na oko nie dojrzał nieprzyjacielskich jeźdźców. Wtedy Cedro za innymi krzyknął w uniesieniu:

— Skróć cugle!

Grenadyerski pluton flankierów na spiętych koniach ruszył cwałem. Jazda Hiszpanów zbliżała się miarowo. Przypuściwszy pędzący hufiec flankierów na strzał, dała ognia z karabinków. W mig po strzale, rozdzieliwszy się we dwa skrzydła, pierzchnęła równiną w prawo i lewo.

Konie pod Polakami szły już chyżo. Cedro widząc przed sobą umykających na prawo, zakomenderował:

— Pędem!

W tej samej chwili jeźdźcy ujrzeli jasny piorun, lecący po ziemi. Był to strzał linii piechoty, ukrytej w rowach, w tyle za jazdą. Tam i sam w cugu Krzysztofa, obok niego i za nim jęknął człowiek. Dzwoniąc zbroją, z krzykiem walił się na ziemię. Chrapały straszliwie osierociałe konie. Jedne bez kawalerzystów pędziły w skok, nie wychodząc z szeregów ani o cal, inne samotne w polu, latały, rżąc, po kamienistej równinie.

— Bij, zabij! — wołał szef szwadronu, pewny, że teraz, po strzale, roztrąci piechotę i zmasakruje, ilekolwiekby jej było.

Puszczono bieguny w przecwał ścigania.

— Bij, zabij! — krzyknął Krzysztof uszczęśliwiony, że idzie na czele. Czuł w dłoni pałasz, pałasz swój złoty, ukochany, potężny, mocniejszy od błysku tysiąca zdradzieckich karabinów. Leciał coraz dla siebie wspanialszy, ogromniejszy, niezmierny, jak anioł gromy ciskający.

Znowu złoto-żółty błysk. Błysk długi, migotliwy, pędzący falą zygzakowatą... Ze szczęścia, z uczuć mocy — tchu aż brak... Już, już — karabinierowie! O sto kroków! Widać ich twarze namarszczone, czapy... Nabijają co tchu broń... Tchu brak! W oczach płaty... Płaty krwawe i czarne. Dymy... Krzyże, migotliwe koła, szkarłat i błękit... Ognie koliste buzują się wszędzie, bijąc fontannami czerwonych iskier. Mocny Boże! Gdzie pałasz? gdzie pałasz? Spada jasny pałasz z bezwładnej ręki w ciepły dół... Głowa dokądś leci, jak góra kamienna... Cóż to tak w piersiach zawadza? Co się w piersiach złamało i klekoce?... Tchu brak!

Mocny Boże, co się to dzieje? Ziemia przed oczyma w ogniach, ziemia kamienista, ziemia zryta kopytami, skopana od skoków, zdeptana... Ziemia w ustach, pełna gęba krwi. Ziemia ucieka...

Głowa trzaska w kamienie i w mokre bryły... Z garści konwulsyą ściśniętych uciekają kolczaste kaktusy i nizkie tarniny... Aż oto pierwsza, przeraźliwa myśl:

— Noga mi została w strzemieniu. Trupa mojego zbiegany włóczy koń...

Wtem cisza, spokojność, błogość. Mokra ziemia naokół. Mrok gęsty. Konie skądś lecą. Rżą i kwiczą. Brzuchy końskie w płatach piany, wierzgające ponad ziemią kopyta. Tętent! Grzmiący tętent dudni po ziemi... Jakież to konie rżą? Stadnina w Stokłosach, czy co? Któż to mi spłoszył źrebce?

— Paniczu! — ryczy Gajkoś. Łka. Dźwiga ostrożnie z ziemi grubemi rękami omdlałą głowę. Niesie, niesie na szlochających piersiach, na sercu rozhukanem.

— Panicza náma zabili! — ryczy na cały szwadron. — Panicza zabili! Naści, psiokrew, zwycięstwo! Bodaj was jasne pierony zapaliły...

Zwiotczałe poszeptują wargi:

— Pałasz mój, złoty mój pałasz...

WIDZIADŁA.

Noc była zimna.

Przejmujący powiew ciągnął równinami od strony sterczących skał Guadarramy i Somosierry, które jak posępny, ciemny pas zostały na północy horyzontu. Armaty, furgony, wozy z prochem, tocząc się po gościńcu, huczały i dudniły. Krzysztof leżał na wznak z oczyma utkwionemi w chmurne niebo. Słyszał wciąż trzaskanie bata, dziwaczne krzyki i pogwizdy mulnika, monotonny klangor dzwonków, chrzęst żelastwa, w zaprzęgu furgonu, łoskot miarowy kół... Materac, zawieszony na żelaznych hakach, chwierutał się do taktu zgrzytliwie, a przecie melodyjnie, tak samo zgoła, jak pewna okiennica w narożniku dworskim w Stokłosach. O okiennicy tej krążyła blizko i daleko wieść, że przepowiada niepogodę. Jeżeli tylko w najcudniejsze susze czerwca, w najcichsze czasy lipcowe zaczynała pozgrzytywać, jakby pokasływać od niechcenia, stękać na strzykanie w zawiasach i chrzypieć na łamanie w zasuwach, ludzie przyśpieszali roboty, na łeb na szyję

grabili w kopki siano, schnące na pokosach, rozwaloną koniczynę, czy wiązali w snopy zboże i żywo zwozili ku stertom. Z odległej nieraz wioski zachodził, bywało, pode dwór karbowy albo włódarz posłuchać na odwieczerz, czy okiennica złego nie wróży.

Krzysztof słyszał teraz zgrzytanie haków, ale nie bardzo wiedział, gdzie jest. Ciemność nieprzyjazna, ciemność—klęska, ciemność—krzywda leżała na nim. Otaczał go lodowy obwód z szaremi wyrwami, skąd wypełzały ciągle korowody figur. Całkowite ich kształty, które myśl, czy oko chwycić usiłuje, wydostają się z szarości nie jak obrazy malowane na płótnie, nie jak rzeźby z marmuru, lecz tak, jakoby maszkary sztucznie ożywione... Jedne są z chropawego filcu, o włókienkach lśniących pod sennem, smutnem, gorzkiem światłem... Rzęsy mają z włóczki przędzonej, z grubej frendzli, brwi na dwa palce wystające, włosy druciane. Oczy ich nieruchome prosto w płonący mózg zadają cios sukiennego spojrzenia i giną w tajemnicy i znikomości, w otchłani szlochów... Zaledwie jedna zniknie, wypływa inna i czuwa nad znużonemi myślami. Żadna nie da się odpędzić aktami woli... Głowa jest, jako puste, rozległe, bezgraniczne niebo, po którem wloką się wielokształtne obłoki, niesione od skrytych wiatrów.

A jak wysokie chmury przypomną nieraz kształt ziemi i dumają nad nim niejako, tak samo myśli nieszczęsne niekiedy wspomną rzeczywistą ziemię. Widzą z daleka te myśli samowładne i bujne niby w dalekiej przeszłości, jak to w piersi tworzy się nagle a niespodziewanie przepaść rany. Ruchoma stamtąd bije, pie-

nista fala na obraz źródła wyrwanego z pod gliny. Serce szalonymi ciosy, serce-młot bije raz w raz głębie miękkich, klekokących fal! Płuca zrywają się, siepią i mocują w nadmiernym trudzie. Miecą ze siebie ogromne, galaretowate skrzepy i strugi cichej, słonej, płynnej krwi.

Senne, znużone, spłakane widzenia zmierzchają, cichną i topią się zwolna w ciszy. Szare opony rozprzęgły się, znicestwiały i pierzchły. Nie słychać nic, nie słychać nawet krzyku poganiacza mułów, ani dzwonków, ani zgrzytu haków. Wszystko jest ciszą. Ciało zmartwiało, serce zamiera i bezwładnie leży na obraz skrzypiec rzuconych. Nędzneż to deski! Struny żywe, struny wszystkogrające nie zabrzmią już! Skonała na zawsze melodya wasza, skrzypki lipowe... Dym ciężki błądzi przed oczyma, wlecze się po piasku, gdzie w zamyśleniu błądziła stopa, po ile czerwonym, po siwych opoczystych caliznach... Sprzymierza się i łączy dym ze skibami i wnętrzem brył, dotyka ze drżeniem ostrych kantów, ziarnistych wydęć kamienia...

— Tyżeś to jest przeznaczenie moje? — skarżą się wargi. — Przyjacielu, przyjacielu... Tyż to obejmiesz piersi moje, kamieniu? Tyż to ostatnia ucałujesz me usta, żółta bryło?

Nareszcie głębokie westchnienie.

Cóż to jest wokoło?

Zeszły się dokoła głowy, obiegły nozdrza, napłynęły ku piersiom dymy z kwietnika przed domem w Olszynie.

O, błogosławione a niewypowiedziane szczęście obcowania z kwiatami w dniu ucisku śmierci!

— Tyżeś to jest ze mną — szeptają usta — siostrzyczko-rezedo? Tyżeś to przyszła na martwe ugory mej śmierci? Bóg-że ci zapłać... Jesteś zapach mojej młodości... Tak jak ty pachnie szczęście dzieciństwa. Zapachu mój, otocz mię i przygarnij do życia... Weź mię z ucisku gliny i kamieni...

Otwiera się przed oczyma cudne dziwactwo, widziane jakoby pierwszy raz, wypukłych, całobrzegich, strzępiastych goździków. Fiołkowemi powłóczeniami całują przekrwienia oczu bratki jesienne... Bladofioletowa lewkonia leży na piersiach, na płucach dziurawych, a dobrotliwy jej zapach chłodnem a częstotliwem chuchaniem sączy się w jaskinię rany.

Wtem słychać, słychać...

Słychać, co się dzieje w uszach i głowie. Biją tam w dźwięczne kowadła małe, pracowite, zawzięte kowaliki. Małe to musi być, jak polne świerszcze... Szybko, szybko, z ramienia łupią młotami majsterkowie: raz raz — raz raz!

A potem jeden przed drugim, na wyprzódki! Aż tchu brak. Tworzy się z ciosów ciągliwy szum, unosi się w pustynię głowy huk, jak w głębokim, starodrzewnym boru lesie...

Dech zamiera. Serce się zrywa i łomoce skrzydłami w gałęzie, niby złapany siecią dziki orzeł-zyz. Głowa bezwładna chwieje się w prawo i w lewo po ruchomym materacu, palce rąk błądzą, chodzą, wę-

drują. Nogi coś ciska w różne strony, jak drwal w złości ciska bierwionami...

Mózg się żywym płomieniem pali. W nim płoną pióra myśli. Spalone na węgiel wargi szeptają:

— Trepka... Szczepan... daj-że mi pić, daj-że mi pić... Już my dzisiaj z tego strasznego lasu nie wyjedziemy... Święty jeleń z krzyżem między rogami spotkał nas w lesie... Rafał do niego strzelił... Szczepan... daj-że mi pić, daj-że mi pić...

Wolno nasuwa się, sztorcem nastawia, jak grot lancy, złowrogie pytanie:

— Skądże tu, u Boga, ma być Trepka? Gdzie?

Wracają trzeźwe i spokojne myśli, przypływa jasna świadomość:

— Śniło mi się, widać, o Trepce...

I znowu, niby ogromy chmur, pędzą myśli innego porządku, wychodzą skądinąd sylogizmy namiętne, pytania natarczywe, odpowiedzi rącze i dowcipne, całe komplety genialnych widzeń, odkryć istotnych, wynalazków w dziedzinie myśli ludzkiej. Śmiech dobrotliwy otacza je niby mgła...

— Nie jesteś tak znowu głupi, Szczepanku, jak sądziłem... Nie, doprawdy, nie! Jest w tem sens pewien, jest treść w twoich ględzeniach. Więcej znaczy nowy rów, przerznięty w odwiecznych bajorach nad Wisłoką, niż wygrana potyczka... Czy tak? Niż potyczka pod Burviedro, pod Calatayud? Więcej znaczy jeden przytułek, jeden szpital w twojej, prawi, dziedzinie, niż zdobycie sztandaru... Czy tak? To rzeczy zgoła różne, braciszku miły... Toż przecie jasno widać...

Głowa się pali, głowa kipi i wre. Jako snopy ognia latają w niej zdarzenia, obrazy, dowody, przykłady. Snują się łańcuchy myśli:

— Zabawnyś ty, stary, zabawnyś ty ze swoją przyziemną, chlebożerną filozofią! Poczciwa jest twoja głęboka, wymyślona głupota, łzy mi gorzkie wyciska z oczu. Wyrzekłeś się bohaterstwa nietylko za siebie, ale za syny i wnuki, odpinasz na zawsze pióra od przyłbicy i miecz rzucasz rycerski. Pracy się nędznej poślubiłeś, żeby odkupić pradziady i prawnuki... Zabawnyś ty, stary, zabawny...

Mówisz, że nam to sądziły dzieje... Nie to nam sądziły dzieje, co gorsze, albo lepsze, jeno to, co najpodlejsze, co nogami zdeptane, co na samem dnie leży. Sądziły nam dzieje uciekać, jak psom zerzniętym batami z pod Krupczyc, z pod Kobyłki, a po bohatersku wchodzić na Calle del Cosso... Tak nam sądzono...

— Alboż to prawda?... — śmieje się w ucho Trepka, czy dyabeł z obrazu w bocznej nawie kościoła świętego Jakóba w Saragosie. — Alboż to prawda? Nikomu nic nie sądzono. Każdy czyni, co chce, wola jego i rozkazanie. Chce żyć, to żyje, a chce umierać, tak jak ty głupio i po zwierzęcemu, to umiera...

W piersiach wyważa się coś, jak stawidło, trzymające przemocą wody zdławione.

A wywala się i bucha nie woda, lecz ogień. Huczy krew.

Lodowaty strach błądzi po piersiach. Nogi ma z soplów, lekkie, jak zimny dech. Gdzie stanie, tam przeraźliwy dreszcz lata. Schyla się i szepce:

— Siadłbyś rankiem w saneczki, w jednego konia... Kopna, nieprzeparta droga. Pierwszy śnieg. Skoczyłbyś cwałem zobaczyć, co też tam w Olszynie słychać. Czy też zdrowi, czy ojciec... czy Mery...

Biją w swe kowadełka kowaliki: raz raz, raz raz...

Wszystko urwało się i zapadło w ziemię. Szum i trzask...

Wstręt... Ktoś pozywa na sąd za owo wino w świętym kielichu... Smak w ustach wina i goryczy centuryi. Piasku i rozpalonego popiołu pełne oczy.

Wtem natarczywy głos poruszy półmartwe ciało:

— Panie podporuczniku, panie podporuczniku!...

— Któż tam? — odpowie z trudem.

— Ady ja...

— Kto taki?

— Ja... adjutant podoficer, Pruski.

— Nie wiem.

— Nie poznajecie mię to, panie podporuczniku?

— O niczem nie wiem.

— Przecie na mnie patrzycie?

— Patrzę.

— No, my razem pod Burviedro zranieni. Mnie łapę oberwało, a was durch przeszło. Razem nas wiezą. Gajkosia pamiętacie?

— Pewnie, pewnie.

— Zaprzysiągłem mu, że was odchowam. Wiecie?...

— A co to za miejsce?

— Napijcież się tego bulonu, napijcież się duszkiem. Sam Hupka go warzył. Pijcież całą gębą, bo dobry!

— A gdzie to my jesteśmy?

— Już my minęli miasto.

— A jak się nazywało?

— Nazywało się Alkala de Henarez. Droga się nam wykręciła na zachód. Wiatr ustał. Powiadają, że wielką stolicę Madryt będzie zaraz widać, jak się tylko dzień dobry zrobi. Trzy mile niespełna do tej stolicy. Tam nas złożą w szpitalu, jak cesarz stolicę zdobędzie... Ziąb szelma podły... Krupy z deszczem biły, a teraz jakoś nacichło.

— A skąd to my jedziemy?

— O, la Boga świętego!... Przecie już tydzień czasu jedziemy od Burviedro.

— Już tydzień...

— Nic to nie pamiętacie?

— Może i pamiętam, ale opowiedz...

— W Calatayud przełożyli nas na ten wóz z materacami. Pamiętacie? Jeszczeście, panie podporuczniku, gadali ze mną, jakeśmy jechali przez Ateca, przez Alhama, przez Sisamon, przez Medinaceli. W Medinaceli rozdzieliły się drogi. Prawa poszła na jakąś Siguenzę, a lewa wprost na południe do Guadalaxara. Z Guadalaxara jedziemy już całe popołudnie i całą noc do Alcala...

Cedro przechylił do ust garnuszek, zanurzył wargi w płyn i pił chciwie, nienasycenie. Potem zaraz w moment usnął, nim mu Pruski lewą ręką zdołał wyjąć zgięte palce z ucha garnuszka.

Nie ocknął się aż późno w dzień. Świeciło wiel-

kie, złotolite, oślepiające słońce. Uczuł, że go ludzie na ruchomym materacu niosą dokądś w pole, w równą, bezdrzewną przestrzeń. Kołysał się na swem posłaniu, nie mogąc pochwycić taktu ich kroków. Mrużył powieki przed olśniewającem światłem i ledwie ledwie myślał:

— Co też ze mną myślą zrobić? Dokąd mię też zaniosą?

Wtem postawiono ruchome łóżko na ziemi. Krzysztof rozejrzał się na wsze strony i zrozumiał, że jest w szeregach rannych, którzy leżeli na ziemi pokotem, jedni na materacach, inni na łóżkach polowych, na płaszczach i derach wełnianych. Wodził po nich sennym, obojętnym wzrokiem. Ziewając, myślał ospale, że pewnie tu wszyscy pomrą z zimna na tej wyziewającej chłód i wilgoć, na przemokłej i ohydnej ziemi. Bez przykrości zagłębiał się w życzenie, wwiadywał w pożądanie, żeby już spocząć na zawsze. Byle głęboko! Nie będzie się ruszał, trząsł, drżał... Spać tęgo, bez łajdackiego budzenia przez byle durnia... Tylko, żeby choć samemu! Wśród trupów obcych żołdaków gnić we wspólnym dole i śmierdzieć pospołu z motłochem... Wnet cicha, daleka muzyka onych skrzypiec... Anielski ich głos przepływa w duszę, jako struga wonności...

Wtem krzyk potężny, łoskot jednolity z męskich, zdrowych, żołnierskich piersi grzmi, niby dźwięczny strzał stu armat:

— Vive l'Empereur!

Za chwilę drugi:

— Wiwat cesarz!

Chwila cicho... Oto znowu bucha ten szalejący orkan radości, ten uniesiony hymn, w jedno słowo zawarte atlantyckie morze:

— Wiwat cesarz!

Dreszcz odmienny przebiegł ciało. Znikł, a z nim razem myśl o tem, co znaczyć może ten wszechpotężny okrzyk.

Cisza nastała.

Zjawił się w uliczce między rannymi, ułożonymi szeregiem, oficer wielkiego wzrostu i czytał manifest cesarski głosem donośnym, wyraźnym, potężnym. Manifest głosił wszem wobec — zdrowym i konającym żołnierzom, pracowitemu ludowi i bogaczom, księżom i świeckim, Francuzom i Hiszpanom, wszystkim zgoła, kto oddycha na półwyspie Iberyjskim, że w chwili tej cesarz Francuzów na wieki wieczne znosi i niweczy inkwizycyę świętą, wypuszcza jej więźniów, umarza sprawy, że liczbę zakonów i klasztorów zmniejsza o dwie trzecie, że na zawsze odmienia i kasuje odwieczne prawa feudalne panów, że znosi i niweczy wszelkie przywileje...

Cedro słyszał wszystko dokładnie i wszystko zrozumiał.

— Teraz już wiesz, Szczepanku, — mamrotał, śmiejąc się i ziewając — dlaczego łamaliśmy starą Saragosę, kastel Aljaferią z jej więźniami, czemuśmy broczyli lance pod Tudelą we krwi ciemnego motłochu. Naszą to krwią pisana twoja konstytucya, więźniu hiszpański!...

Przechylił głowę na bok i patrzał w słoneczną przestrzeń. Patrzał na kamienisty grunt około swego posłania, na zmokłą w nocy i obsychającą dopiero glinę, rozciapaną od licznych butów. Czuł, że klei mu oczy prędki, gorączkowy sen, powieki chodzą, jak po piasku, jak po pacynach zeschłego wapna. Jeszcze jedno senne wokół spojrzenie...

Któż to się zbliża? Któż to idzie ku niemu? Zna przecież tego człowieka... Widział go, na żywy Bóg! Twarz blada i tajemnicza, nikiej księżyc ukryty w chmurach. Oczy w niej zagmatwane latają, latają, to znowu w cienie swe cofną się, żeby czyhać, jak lwy w zasadzce...

Z barłogów, sienników, materaców, der, z nagiej ziemi dźwigają się porwane szczątki, potrzaskane głowy, wspierają się na łokciach przeszyte, bezsilne tułowia i zeschłe gardła, uszczęśliwione usta miotają krzyk:

— Wiwat cesarz!

Krzysztof podniósł się z legowiska. Coś w nim od tego ruchu złamało się, jak gdyby chrupnęło bez dźwięku. Siadł na posłaniu straszliwie blady, zlany potem, z gębą pełną krwi. Oczy jego, jak kły, wernęły się w nadchodzącego. Zatrzymały go w miejscu. Stanął.

— *Sire!* — wymówił Cedro.

Ciemne, wojenne oczy wodza uderzyły w spojrzenie Krzysztofa.

Spokojna twarz, jakby wykuta z niewiadomego metalu, była ku niemu wyczekująco i groźnie zwrócona.

— Jakie jest twoje życzenie? — spytał głuchym i zimnym głosem.

— Jeśli umrę... — począł mówić Cedro w języku francuskim, spokojnie i groźnie, z dumą i odwagą patrząc mu w oczy.

— Jakiej jesteś broni? — przerwał.

— Lansyer polski.

— Z pod Tudeli?

— Tak.

— Nazwisko?

— Poszedłem z domu mego ojca... Wierzyłem, ze moją ziemię... A teraz... na obcej... Wyrzecz, że nie nadaremnie, że dla mojej ziemi... Cesarzu, cesarzu!

Nieme i głuche oczy zagłębiły się i weszły w oszalałe ze śmiertelnej miłości spojrzenie rannego. Nieruchomy, zadumany stał Napoleon. Któż wie? Może Może w tych natchnionych oczach ujrzał duszę swą młodą. Może rumiane śniegi skał Monte Oro, pinie na cyplach Monte Rotondo, może kamienisty brzeg wyspy w pianach rozhukanego morza zobaczył. Może swoją korsykańską miłość wolności ważył przez chwilę na szali z koroną władcy nad obcymi mu ludami i berłem Karola Wielkiego. Może wzdychał w utrapieniu za tem, co już w duszy jego uschło, skruszyło się i od wiatrów rozwiane zostało, jak badyl umarłego kwiatu, za pochłonięciem młodą, sprawiedliwą i dumną duszą niedoli ojczyzny.

— *Vive la Pologne!* — usiłował krzyknąć Cedro, padając bez sił w swój barłog. Ale nie krzyknął już, tylko te wyrazy wyjęczał przez fale krwi, broczącej z ust.

Cesarz stał jeszcze nad nim długą chwilę. Kamiennym wzrokiem patrzał w jego twarz. Wreszcie podniósł rękę do kapelusza i rzekł:

— *Soit.*

Oddalił się wolnym, miarowym, zimnym krokiem. Za nim gromada generałów. Znikł między kolumnami wojsk pieszych, w tłumach konnicy...

VAL DE PEŃAS.

Wieczór się robił, kiedy Krzysztof docierał nareszcie do wsi Val de Peńas, gdzie mu przepowiadano obecność pułku. W oczach miał jeszcze otaczające tę wieś faliste łany winnic o srebrnoszarym liściu, porysowane w nieskończone linie od białych palików. Gasły w łagodnem zamgleniu wiosennem wzgórza i szczyty Sierra-Moreny. W Ciudad-Read, Infantes, Almagro, Mansenares, Toboso i innych zakątkach Manszy stały siły francuskie, to też Cedro czuł bezpieczeństwo dokoła siebie i towarzyszów, z którymi ze szpitala w Madrycie wyruszył po przyjściu do zdrowia na poszukiwanie macierzystego pułku. Cieszyła go ziemia sucha i widok wiosennego nieba. Jakże się radował obrazem piaszczystych osypisk, w których brzeg urwisty pinie wszczepiają krzywe korzenie swoje, a poczwarne łopaty kaktusa, najeżone kolcami, kołacą od wiatru.

Gwizdał i pośpiewywał, witając olbrzymie szare krzewiny ostu, co tworzą bezpańskie, a nawet bezptasie gaje. Nareszcie wjechał w ulicę wiejską. Witał się

oczyma z niewysokimi domami, twardo ubitymi z mułu i chrustu. Dziwne wrażenie sprawiał obok tych niemal polskich chat ze słomianemi strzechy widok dziedzińców, zasadzonych pomarańczami, sadów wygrodzonych żywopłotem z kamelii, róż i bukszpanu. Okna domostw były zakratowane i pospuszczane w nich zasłony. Zaraz w jednem z pierwszych siedlisk Cedro zobaczył stojącego pode drzwiami lansyera. Ujrzawszy oficerka, o którym sądzono, że dawno ziemię gryzie, wiarus wyjął z ust fajkę i przypadł do strzemienia.

Na krzyk jego z sąsiednich domów wybiegli koledzy, i wnet Krzysztof jechał, jak tryumfator wśród pieszego tłumu.

— Witajcie *los infernos!* — wołał.

— Pan podporucznik niech żyje!

— Teraz dopiero będziemy brygantów łupać!

— Na oficerski dwór...

Setki pytań, opowieści i setki odpowiedzi zasypały Krzysztofa. To o jakichś haniebnych przejściach w górach Juvenes, to o zgubieniu sztandarów, o marszu nad rzeką Gwadyana, o bezprzykładnym boju pod Ciudad-Real, o pościgu na Miguelturra, Almagro, Santa-Cruz..

— A pan pułkownik tu z wami? — zdołał dopytać się Cedro.

— Pan pułkownik Konopka? Gdzie! Już we Francyi nasz pan pułkownik.

— Patrzajcież! A szefowie?

— Pan szef Rutie do francuskich strzelców konnych na pułkownika fortragowany...

– To któż wami dowodzi?

— Sam jeno pan Hupet został nad nami.

— Do jego idziem kwatery...

W jednem z największych domostw wsi Val de Peñas mieściła się kwatera pana Hupeta. Był już zmierzch, kiedy gromada, eskortująca Krzysztofa, wwaliła się w podwórze domu. Na jej spotkanie wychyliły się ze drzwi i okien figury wiarusów w porozpinanych mundurach i koszulach tylko.

— Kto idzie? — wołano.

– Daj hasło!

— Moje hasło: Saragosa i Burviedro...

Wnet wciągnięty do wnętrza obszernego domu z wrzaskliwemi oznakami czci, Krzysztof posadzony został przy długim stole. Z początku wodził po tłumie oczyma nieprzyzwyczajonemi do blasku. Spostrzegał dokoła siebie znajome twarze, srogie zęby lansyerskie z wąsem do góry zadartym, albo posępnie zwieszonym, oczy wilcze i sępie. Pośrodku siedział w koszuli tylko i hajdawerach Niezabitowski z głową przez pół obwiązaną chustką. Obok niego ponury Prendowski, dalej Górecki, Jan Nestorowicz, Szarski. Na widok przybysza Niezabitowski krzyknął:

— Widzieliście, przecie ten świszczypała żyje! Galicyjski hrabio, bywaj!

Siedzący za stołem zerwali się z miejsc swoich.

— Witajże, witaj! — wołali.

— Wina!

— Oto gość!... Jakby z pod ziemi wylazł...

— Wódki mu dawajcie na otrzeźwienie!

— Gorzałą go częstujcie ojczystą!

— Nie wiesz nawet, bracie, nie przeczuwasz, jaką tu gorzałkę Majewski z wina pędzi. Gorzelnię, mówię ci, założył...

Podoficerowie, a nawet żołnierze, napełnili izbę. Cedro witał się z nimi radośnie. Rozglądając się wkoło, spostrzegł w rogu izby wysoko na gwoździach zawieszone dwa mundury oficerskie z czarnymi na plastronach znakami.

— Co to jest? — krzyknął.

— To jest mundur Pęczkowskiego z czwartego pułku piechoty. Zamordowany w Consuegra, a tamto, bracie, mundur Czyńskiego, porucznika z dziewiątego pułku. Ksiądz go w Herencia zdradą zabił.

— Chowacie je na pamiątkę?

— Chowamy je na pamiątkę. Muzeum tu nasze fundujemy w tym przybytku. W Mansanares piechury śpią, a my tu za nich na szpicu czuwamy dzień i noc.

— Te kandelabry to także muzealne? — pytał Cedro, ciekawie oglądając srebrnolite, wieloramienne świeczniki, których kilka w różnych miejscach długi stół obciążało.

Wielkie, żółte świece kościelne z wyciskanemi ozdobami rozmaitych kolorów płonęły, pryskając iskrami. Cienkie obrusy haftowane, ściągnięte z ołtarzów, okrywały stół. Ściana, oddzielająca tę dużą izbę od następnej, była napół wywalona i przez okrągły w niej wyłom ciągnął się stół do drugiej izby. Stamtąd zawracał pod kątem i biegł dalej w głąb domu. Cały zawa-

lony był srebrem najkosztowniejszem. Rostruchany do wina wszelkiego kształtu i rozmiarów, kute i cyzelowane przez mistrzów, pyszne złote kielichy, dzbany i nalewki z drążonego kryształu w kształcie łabędziów, pawic i krogulców, w kształcie dziwnych kwiatowych kielichów, albo gryfów, rarogów i chimer; wielkie patery na owoce z malachitu i żółtego marmuru Sienny, bezcenne talerze porcelanowe z Limoges i czary półgarncowe do wina ze rzniętymi w czeskiem szkle herbami grandów hiszpańskich; pamiątkowe kubki i kielichy z kokosowego orzecha, rogu bizona i żółwiej szkarłupiny, dokonane przed wiekami przez nieznanych artystów Ameryki, wydarte przez konkwistadorów, zdobiły teraz, na nowo zrabowane, biesiadniczy stół lansyerów. Czarne, ciężkie, szumiące wino *Val de Peñas* napełniało konwie, rostruchany i kielichy. Setki butelek stały pod ścianami w koszach. Na srebrnych półmiskach i drogocennych talerzach dymiły się ogromne porcye kiełbasy ze słodkim sosem, po polsku przyrządzonej; w dziwacznych naczyniach starożytnych żołnierze roznosili kiszkę podgarlaną na gorąco, tłuste salcesony na zimno, pekeflejsze i szynki z chrzanem.

— Ależ to wy tu Wielkanocne święta, widzę, obchodzicie! — wołał zachwycony Cedro.

— A ty coś myślał! Wprawdzie bab niema żadnych, ani takich, ani owakich, ale za to kiełbasy Skarzyński takie porobił, że cały pułk drugi już tydzień smakuje i nie może się odjeść.

— Skądżeście świń nabrali?

— A to się tam Skarzyńskiego pytaj...

— Myślisz, że to już wszystko! Pełne ma chlewy świń, karmi je tak, że się ani jedna ruszyć nie może, a rznie tylko najtłuściejsze.

— Jedno ma tylko zmartwienie — pokpiwał stary Szulc — że, mili bracia, choć części tego świństwa nie może pognać na jarmark do Wąwolnicy, albo Baranowa... Toby zbił kabzę!

— Dalejże, dławikufle! Pijmy zdrowie młokosa Cedry!... — zawołał Prendowski.

— Skoroś się, wiesz, z tego postrzału wylizał, toś chwat. Kozła magnąłeś, jak pajac w cyrku, a farbowałeś, bracie, jak rogacz, trafiony pod piąte żebro... — mruczał Niezabitowski.

— Chociażeś z nami w podłych górach Juvenes nie był, aleś lansyer chrzczony. Pijmy za niego!

— Kołem za niego pijmy! — krzyknęli.

Wstał cały półpijany stół. Cedro powiódł po nich okiem i zakipiał cały od żołnierskiego wzruszenia. Gotówby był umrzeć za tych ludzi, dałby się w sztuki porąbać za honor, jaki mu wyświadczyli, pijąc zań i zowiąc go lansyerem. Chciał im powiedzieć, że widział Napoleona. Podniósł kielich...

— Wołać tu Dysa! — krzyczał Prendowski — niech jucha śpiewa, bo markotno... śmierć w oczy zagląda...

— Dysa wołać!...

Wszedł zaraz żołnierz stary, niewielkiego wzrostu, z włosami bielusieńkimi, jak śnieg, i z białym,

przystrzyżonym wąsikiem, ale czerstwy i czerwony, jak ćwik.

— Stary! Śpiewaj!... — wołano.

— Tylko nie z tych nowych pieśni...

— Stare nam śpiewaj! co najstarsze!

— Według rozkazu... — rzekł wyprostowany Dys.

Usunął się zaraz pod ścianę, odkaszlnął i powiódł ręką po wąsach. Za chwilę wzniósł dłoń uroczyście, jakby dyrygował orkiestrą, i niespodziewanie zaczął śpiewać głosem tak szczerym, silnym i cudnym, że w całej kompanii nastała grobowa cisza:

— »Ocknij się, Lechu, przerwij sen twardy,
Czuwa na twój kark bisurman hardy...
Czas przetrzeć źrenice, a toczyć krynice
Łez gorzkich!«

W głosie tym brzmiała najszczersza prawda, tryskały krynice łez gorzkich.

— »Już pod armatą ziemia przyklęka,
Już Ukraina pod Turkiem stęka,
Już braniec spętany, już brzęka kajdany,
A ty śpisz!«

Cały tłum oficerów chórem, w uniesieniu, powtarzał ostatnie wyrazy. Prendowski napełnił sobie kielich i dolewał do niego łez gorzkich.

— «Orle Sarmacki! Gdzie są pierony,
Gdzie są ogniste grady Bellony?
Gdzie dziarska ochota? gdzie pradziadów cnota?
Gdzie męstwo?«

Jeszcze brzmiała ta pieśń, kiedy dał się słyszeć gwałtowny tętent, zgiełk i krzyki. Tłum żołnierzy rozstąpił się we drzwiach i do biesiadnej izby wwaliło się kilku olbrzymich lansyerów w czapach i pełnem uzbrojeniu, dźwigających kogoś na rękach. Wszyscy byli pokrwawieni, w potarganem odzieniu, z twarzami zdziczałemi i czarnemi od prochu.

— Kto to? — krzyczał Niezabitowski.

— Pana Stokowskiego niesiemy...

— Kapitan! — wołali oficerowie.

— Żyje?

— Zrąbany, ale tchnie.

— Na górę z nim, do pokoiku.

— Chirurga!

— Stokowskiego zdrowie!

Tuż za żołnierzami wkroczył do izby porucznik Mikułowski.

— Widzieliście go! — zawołał Szulc.

— Całoś wyszedł?

— Bogu dziękować.

— Jakże to było? Gadaj-że, nie stój!

— Boisz się, żeby we mnie przypadkiem słowa nie pogniły, jak w nieboszczyku Sanszo Pansy... Jeść mi się chce.

Siadł do stołu i przygarnął ku sobie pierwszy z brzega półmisek.

— Gdzież to było?

Mikułowski ruchem pełnym niewinności przyjął z rąk kaprala kopiastą paterę wieprzowego mięsiwa,

popchnął kęsy kielichem *Val de Peñas* i rzekł między jednym haustem a drugim:

— A no w Mora.

— Cóż to za Mora? — zapytał Cedro.

Mikułowski spojrzał na niego z ukosa i rzekł:

— To acan żyjesz? Mora to taki zamek, jak w Chęcinach, abo i większy. Postawili nas tam ze Stokowskim na straconą pocztę. Straszy, do dyabła, w tem zamczysku... Okopaliśmy się, odgrzebaliśmy fosy, co je podobno Maurowie z Andaluzyi przeciw królom Kastylii w skale pokopali...

— Co ty bredzisz o Kastyliach? Gadaj o rzeczy!

— No, tak. Napadli na nas jeszcze wczoraj, o północy, ze wszystkich stron. Było tego bydła z tysiąc ludzi, a nas pięćdziesięciu zamkniętych w starych basztach. Broniliśmy się strzelaniną, póki nam prochu starczyło. Potem kamieniami. Ale i oni rozebrali mur, wybili dziurę w baszcie narożnej i podpalili schody.

— Jakżeście wyszli?

— Czy ja wiem? Szliśmy przez ogień. Pałaszami... Stokowski, jucha, wojował! Bodaj to!

— Któż zginął? — po długiem milczeniu, w czasie którego Mikułowski jadł zawzięcie, zapytano z tłumu.

— Czy ja wiem? Poginęli... Nie jeden zleciał na łeb w ogień. Jak my dopadli koni, to się tam jeszcze kotłowało. No, ja się już najadł — jadę!

— My z tobą! — wrzasnęli oficerowie.

Cedro roztrącił tłum, biegnąc do swego konia.

Gdy się znalazł na siodle przed domem, płonęły już smolne pochodnie, oficerom podprowadzano konie, w stajniach słychać było rżenie i wrzawę. Za chwilę trąbiono wsiadanego.

— Chłopcy! dziś nie dawać brygantom pardonu! — słychać było w ciemności głos Niezabitowskiego.

NAD BRZEGIEM RAWKI.

Druga kompania pierwszego szwadronu ułanów pułku Dziewanowskiego wczesnym rankiem wyruszyła na patrol główny. Deszcz lał przez całą noc. Nade dniem dopiero ustał. Obwisłe chmury dźwigały się z równin mazowieckich, ukazując w oddali leśny widnokrąg.

Kompania miała rozkaz przebyć błota rzeczki Rawki poniżej trzech stawów w Michałowicach i od pierwszego skrzydła, z miejsca, gdzie stała ostatnia wedeta, wejść w lasy, w różnych kierunkach je przejrzeć i złączyć się ze swym, szóstym pułkiem, oraz z brygadą konnicy Biegańskiego. Stu siedmdziesięciu jeźdźców z kapitanem, porucznikiem i dwoma podporucznikami, żwawo oddalało się od warszawskiego traktu. Zrazu co kilkaset kroków próbowali miejsca dobrego do przebycia, ale wszędzie napróżno.

Po roztopie wiosennym i po deszczach nizina Rawki stała pod płytkiem zalewiskiem, które podchodziło aż pod suche pola. Zaraz pod Puchałami zaczy-

nały się torfowiska, w których koń od samego brzegu po tybinki zapadał. Jedyne miejsce twardsze, z mostem, pod ogrodami folwarku w Michałowicach mieli rozkaz ominąć. Szli tedy dalej. Pomiędzy ich szlakiem a Pęcicami stało bagno-głębia, bezgruncie paskudne, zawleczone wodą i szerokie blizko na wiorstę. Długie rudawiska ciągnęły się stamtąd aż po wieś Tworki i Pruszków. Ogromny park, drzewa dzikie, rozrosłe w las nad stawami Pęcic, ginęły jeszcze w śniadych tumanach. Kiedy niekiedy wynurzały się z nich wielkie zastępy drzew i kryły znowu w tajemnicze półmroki. Tylko aleje starych lip na piaszczystych wzniesieniach, prowadzące w stronę Komorowa, stały już w błękitnem przestworzu.

Już świeża trawka puszczała się wszędy, gdzie tylko grunt zetknął się z falami, a jasne pędy tataraku tryskały szeregiem, od spodu, jak żarzewie ognia, buchające z głębin ziemi.

Olchy ponadrzeczu, w błotach rozrosłe w kępy i laski, czarne były jeszcze, jakby wśród młodocianego świata schorzałe i opuchłe, ale już i na nich żółtawe bazie tam i sam omgliły wierzchołek. Rowami i głębią skib z szelestem i szemraniem waliła w nizinę wiosenna i świeżo spadła woda. Nad długiemi szyjami i gardzielami torfowia, które warzyło się w cieple wstającego dnia i kurzyło od oparów, śmigały wciąż wesołe pokrzyki i radosne loty czajek.

Żołnierze z cicha naśladowali ich głosy rodzime, niektórzy tak wybornie, że kompania śmiała się, jak jeden człowiek. Nawet marsowaty i straszny kapitan,

Franciszek Katerla, szybko awansujący, jako najlepszy jeździec w armii, nie mógł skryć pod bujnym wąsem uśmiechu. Srogo chrząkał i oglądał się, jak zwierz, gotowy do skoku, lecz ludzie dobrze wiedzieli, że wiosenkę ma taką samą w sercu, jako i wszyscy.

Podporucznik Rafał Olbromski wesoły był tego ranka. Koń pod nim zdrowiem parskał i niósł go miłościwie. Każde czajki zawołanie przypominało coś miłego, jakowąś dawną, a już, widziało się, na zawsze obcą i zapomnianą radość.

Na płaskich wyniesieniach gruntu, po prawej stronie Rawki, kret wyrył kilkadziesiąt świeżych, czarnych kretowisk.

— Będzie pogoda... — szeptali żołnierze.

— Ten saper nie będzie ci wywalał ziemi przed deszczami, dopiero jak wiosny pewny, cabas za łopatę i sypie.

— Takiego wziąć, zarazby za kościołem, pod Opaczą okop wywalił na sto łokci.

— Będzie ta i bez niego, nie bój się...

Ziemia już na tych przypiaskowych góreczkach pachniała ostrym, przenikliwym czadem wiosny. Jeszcze, prawda, pańskie role nietknięte szarzały daleko, w stronę Warszawy, a piaski po drugiej stronie rzeczki szczerzyły się nagimi spłachciami, ale już ozime żyta płonęły gdzieniegdzie zielenią.

Zbliżywszy się do wioski Reguł, żołnierze spotkali chłopów, orzących swe niwy. Mokre skiby, świeżo odwrócone, lśniły, jak wypolerowane żelazo. Chwilami powiew wiatru z południowej strony przyniósł odór

nawozu, odór, co uderzał i natychmiast ginął w czystości powietrza.

Kompania wyszła na twardszy grunt i sadziła ugorami. Kopyta końskie zapadały się jeszcze po pęciny i, wyrywane z tężejącej ziemi, pojękiwały do taktu. Pod wioską Pruszkowem przebyto w bród Utratę, piachami ruszono na południe w lasy Komorowskie i Helenowskie. Zaraz za rzeczką kapitan Katerla zatrzymał oddział i uformował go do patrolowania. Dwadzieścia pięć koni dał na awangardę z porucznikiem na czele. Z tych dziesięciu miało patrolować, a piętnastu iść w kupie o dwa tysiące kroków przed oddziałem głównym. Dwudziestu jeźdźców z pierwszym podporucznikiem zostawił w aryergardzie o dwa tysiące kroków za oddziałem głównym. W takim tedy porządku wszedł w lasy.

Suche, napół liściaste bory ciche były i nieme.

Podszewka leśna — grabina, dębczaki, kuszcze leszczynowe — ledwie, ledwie dawała znak życia. Zeschły i truchlejący liść pod końskiemi kopytami szeleściał...

Wązką dróżką od Nowej Wsi, w stronę Nadarzyna, przeciskała się straż przednia. Oddział środkowy szedł kupą, mając po boku wachmistrza starszego, czterech wachmistrzów, furyera, kapralów i trębaczów. Szeregowi ciągnęli równo lasem. Milczeli głucho i dawali baczenie.

Słońce już wyszło i nagi las tak jakby przeciągał się i dźwigał ze snu. Tu i owdzie otwierało się pole, jak zatoka wrznięta w las, i oko biegło w pu-

stą, milową, mazowiecką równinę. W jednej z takich ostoi bydliła samotna wioska. Kilkanaście bielonych chałup pod słomianemi strzechami. Siedliska mieściły się po obudwu stronach piaszczystej drogi. Nad strzechami górowały nagie lipy i rosochate wierzby. Pustka i cisza... Na szczycie najwyższego z drzew bociek klekotał. Pierwszego spotkanego chłopa, tak jak stał, wzięto między konie i kazano prowadzić oddział najbliższą drogą pod Nadarzyn. Kupa dzieci w koszulinach wybiegła patrzeć na jasne wojsko i szła za niem długo, długo z wlepionemi oczyma. Psy szczekały bez końca, gdy już oddział dawno w lesie utonął.

Rafał wywiódł konia z koleiny i puścił go lasem na skraju szeregu żołnierzy. Słuchał z lubością, jak podkowy końskie rozmiatają brunatne, zgorzałe zwłoki zeszłorocznych liści bukowych i łamią zeschłe gałązki. Myśli biegły w dal, podobne do spojrzenia przebijającego gęsty las.

Niby na jawie, niby trzeźwemi oczyma ujrzał ojca.. Nigdy prawie o nim nie myślał, ani razu chyba w życiu nie wspominał go sobie z tęsknotą. Skądże teraz?... Idzie staruszek zgarbiony, jakoby pleśnią żółtawą obrosły, kijkiem przed sobą śnieżycę maca. Czapczysko na nim, bekiesza, buty wytarte, jak zawsze. Stary sknera Olbromski z Tarnin. Cóż za dziwny, cóż za cudaczny, niezgruntowany żal!

Ach, bił go ten ojciec zawsze, od najpierwszego dzieciństwa, znieważał zawsze, nękał, dokuczał, poniewierał, zdradzał. Z domu, z pod dachu, na deszcz i słotę wygnał. A brata, brata! Na wieki wypędził z dzie-

dziny... Na wieki, na wieki wieków... Serce mu nie zabiło, nie drgnęło, gdy się brat terał po świecie, w marszach, po leżach, w obozowiskach. Nie przeczuło, gdy zestrzelany kulami na polu leżał półumarły, nie pękło z żalu, gdy umarł nie zjednany, bez uścisku. Gnije teraz daleko, daleko...

Skądże to ten dziwaczny, niezgruntowany żal?

Zda mu się, że to nie on myśli o ojcu, lecz że sam jest starcem zgrzybiałym z Tarnin, że wszystkie myśli tamtego, najgłębsze korzenie myśli, najcieńsze nitki wiedzeń, uczuwań ma w sobie. Czuje, jak drżą, jak się roją i cierpią. To nie jemu żal, och, nie! To starca nęka ów ciemny, niepowrotny, niezgłębiony ruch czucia.

Wiosna nowa nadeszła, nowy jar trącił i ze snu obudził każdą grudkę ziemi, ciepły wiater powiał z za Wisły na sandomierską równinę. Wszędy, jak oczy daleko zasięgną, życie się rodzi. Tyle już lat to samo życie się rodzi... Tylko już Piotr nie wróci.

Już go niema. Stał się oto skibą gliny, kopką nawozu, szczyptą popiołu. Kość ta już jedna z niego nie została. Żeby choć to wiedzieć, ile z niego jeszcze tego próchna ocalało! żeby to choć ręką pomacać! Gdyby był leżał na cmentarzu, co go w polu widać, poszedłby teraz ku niemu, jak nikt nie widzi, i gadałby mu w mogiłę ojcowską swoją wolę i rozkaz. A tak... Jakaż to straszna rzecz przeżyć dziecko! Serce starca kurczy się, zwija i ściska w sobie, ale już ani jednej łzy wydać nie może.

Powiódł oczyma po polach. Naokół... Przystanął.

Patrzy w dal. Niema i drugiego. Któż wie, czy i ten wróci? Kiedyż wróci? Zimne i twarde myśli odtrącają te trwogi. Wiatr wiosenny osuszył samotną kroplę na obwisłej dolnej powiece. Twarda wola wegnała w kluby wzruszenie. Idzie znów starzec szybko, szybko kijkiem swym się podpiera. Zaczyna ważyć w głowie pospolite, codzienne, folwarczne myśli. Co będzie siał na tej niwie? co na tamtej? czy jeszcze zawlec tę podorywkę? czy orać tamte uwrocia?

I oto znowu wypełza z niepostrzeżonej szczelinki dawna wola, zawzięta na śmierć i rozcinająca na dwoje, jakoby płytka, damasceńska stal. Nie, nie daruje, nigdy nie przebaczy! Niech ginie! niech przepada! Choćby, jak kundel wygnany, przyszedł i przyszwy buta lizał, nie pogłaszcze go ręką. Szpadkę z pochwy na ojca dobywać? Cha-cha!... Niechże na wieki przepada, kiedy tak!

Skiby ziemi sztorcem się nasuwają przed ogniste, czerwone oczy. Zgadnij, w którą też zmienił się teraz... Zgaduj, zgadula...

Coś w Rafale rozciąga stawy duszy i głęboki ból, zaklęty ból, leżący między ojcem a synem, ból, któremu równego na świecie niema, wykrzywił mu twarz. Żal mu tego starca, cierpi za niego i w nim, a żal ów rznie się wśród poczucia krzywdy, zniewagi, wskróś wstrętu i gniewu.

Zdumionem okiem powiódł dokoła.

Słońce jaśniało. Złotobiałe połyski szły w zabłąkaniu po lesie. Spoczęły na brzozach nagich i żałośnie uroczych, jakoby prześliczne niewiasty zhańbione i ob-

darte z szat przez brutalną moc... Spoczęły, zmierzchły, odleciały. Weszły między zielone gaje sosen i pod zgniłymi liśćmi, pod uschłemi igłami szukały pracowicie zdyszanych od trudu kłów ziół wiosennych.

Wtem przed oczyma zamglonemi dumaniem błękit szeroki zajaśniał. Otwarło się pole, idące milami w południową stronę. Daleko w piaskach szarzały stodoły Nadarzyna i połyskiwał duży, miedziany dach kościoła, oraz niewysoka jego wieżyczka.

Rafał obojętnie patrzał w piaszczyste ugory, śledząc ledwie widoczne koleiny suchej już drogi, gdy raptem usłyszał chrapliwy przyduszony głos kapitana:

— Stój!

Konie na ten głos, nim ręka jeźdźców przykróciła cugli, stanęły, jak wryte. Złotogniade pokryły się ciemnemi łatami. Dymiły parą wszystkie. Na niektórych piana się już zamydliła.

— Baczność — do zsiadania!

Olbromski z zadowoleniem cielesnem przerzucił cugle na prawą stronę, okręcił grzywę około palców lewej ręki i zlekka wysunął prawą stopę ze strzemienia. Wsparłszy lewą rękę na kuli, marzył jeszcze:

— U nas się tam już zazieleniły niwy. Rankiem po parowach mgły buzują...

— Z koni! — wyrzucił kapitan.

Sam, jako niedościgły wzór, przeniósł genialnie prawą nogę, palcami w dół, ostrogą do góry przez swego cudnego wałacha.

Jak jeden człowiek stanęła kompania na ziemi w pozyturze aż do komendy:

— W miejscu — spocznij.

Rafał zostawił swego tresowanego *Bratka* samopas, z zarzuconemi na siodło wodzami, i wyszedł z szeregu, żeby rozprostować kolana. Ale kapitan nie dla samego wypoczynku tu stanął. Przeszedł przed awangardą, mamrocząc do siebie niezupełnie salonowe wyrazy, wybrał jednego z żołnierzy, Mazura, jak świeca, i skinął nań, żeby wyszedł. Wybrał drugiego i skinął znowu. Kazał im odpiąć pałasze, złożyć na ziemi lance, zdjąć czapki i włazić ostrożnie na najwyższe dwie sosny, stojące na skraju leśnym.

Obaj poskoczyli i, jak wiewiórki, idąc według rozkazu z północnej strony pniów od sęka do sęka, dostali się na wierzchołki.

— Co widać? — pytał kapitan zcicha.

Milczeli.

— Patrz jeden z drugim, gawronie! Wielki gościniec widzisz, jak z lasu idzie do Nadarzyna?

— Widzę, panie kapitanie?

— Za Nadarzynem trakt widać jeszcze, czy nie?

— Widać, panie kapitanie.

— Pola wszystkie oglądaj, dokoła... Patrzysz?

— Patrzę, panie kapitanie.

— Puste?

— Pu...

Nagle obadwaj żołnierze, jak na komendę, zaczęli zsuwać się z drzew, dzwoniąc ostrogami, śpiesznie odczepiając z sęków akselbanty.

— Czego? — zgrzytnął na nich kapitan.

Obadwaj skoczyli na ziemię z wysoka. Biegli do koni, chwytając swe czapki i lance z szeptem:

— Konnica, konnica!

Kapitan rzucił się w kierunku, który wskazywali. Nic z początku nie dojrzał. Pola porznięte były kępami brzozowych i sosnowych gajów. Od strony wielkiego lasu, zwanego Dębakiem, przez środek pól szedł miarowy, chrzęstliwy, dzwonny pogłos. Serce Rafałowe zabiło gwałtownie i zwolna się uciszało.

— Duch-duch, duch-duch...

Płynęły rozpierzchłe myśli:

— Sarny z Łysicy idą, czy co?

— Baczność — do wsiadania! — zakomenderował kapitan cicho, sekretnie.

— Na koń!

Rafał bezwiednie, z oczyma utkwionemi w dal, przeniósł nogę przez grzbiet koński, wsunął stopę w strzemię do kostki wielkiego palca, rzucił końce cuglów na lewą stronę. Poprawił się w siedzeniu, zmocował w sobie, wrósł w siodło i stanął, jak wryty.

Bratek pochrapywał nozdrzami i strzygł uszyma.

Daleka muzyka kopyt końskich po mokrej, miękkiej ziemi głucho, głucho przepływała polami. Oczy oficerów, wachmistrzów, kapralów, trębaczów, żołnierzy, jak cięciwa do ostatniego krańca naciągnięta, wytężyły się w tę stronę, skąd szedł daleki takt. I oto w odległości co najmniej wiorsty, z za lasku, zwolna, płynnie, powabnie grając w słońcu kolorami, wysunął się hufiec cesarskich huzarów. Kapitan stał na swym ko-

niu zupełnie skamieniały. Twarz jego była jak gdyby z marmuru wykuta. Wszystek był w oczach.

Patrol austryacki szedł w stronę nadarzyńskiego traktu, wracając widocznie z rekonesansu. Ukośnie miał przeciąć pole przed frontem polskiego oddziału. Gdy cały wyszedł na plac i widać było całą jego siłę, daleko od polskiej znaczniejszą, z ust kapitana padła, jak strzał, komenda:

— Lance do ataku!

Prędzej, niż słowo rzec, prawe ręce zsunęły się po drzewcach kopii aż do miejsca, którego mogły dosięgnąć bez pochylenia korpusu ciała. Tam je chwyciły sękate garście mazurskie. Tylca lanc wyjęli z rzemiennych u strzemienia tulejek. Pierwszy szereg schylił lance grotem w piersi wroga, drzewca na pół łokcia od końca wziął pod pachę, przycisnął do żeber. Drugi szereg ujął drzewca — i czekał.

Kapitan się zasiadł mocno, rękę położył na główni pałasza. Toż oficerowie. Wielki dech w piersi...

Świsnęły oficerskie szable, wyrwane z pochew, jak jedna.

— Przykróć cugle!

Powiódł po ludziach okiem żelaznem.

— Naprzód!

— Marsz, marsz!

Ostrogi worały się w boki końskie. Hufiec drgnął i wypadł z pomiędzy drzew. Zrazu szedł nierównymi skokami, jak gdyby szukał swego taktu, wspólnego dla wszystkiej siły. W jednym momencie go schwycił. Wtedy ludzie i konie stali się jak masa jednolita, jak

zlepienie w bryłę olbrzymią, jak skała oderwana z czuba łańcucha gór i lecąca w doły przepaści. Żołnierze pierwszego cugu schylali się ku szyjom końskim w miarę wzrastania przecwału. Zafurczały chorągiewki. Bryły miękkiej roli, frygnięte końskiemi kopyty, grały w powietrzu.

— Nacieraj!

Rafał czuł wściekłą rozkosz w tym wichrowym pędzie.

W zmrużonych oczach miał błękitną i błyszczącą smugę. Usłyszawszy ostatni krzyk kapitana, rozwarł oczy. Był o jakie osiemdziesiąt kroków od linii nieprzyjaciół.

W półszwadronie kajzer-huzarów, jednym z sześciu w przedniej straży generała feldmarszałka von Schauroth idących, oddawna spostrzeżono podjazd. Sformowany patrol leciał na spotkanie co koń skoczy. Oficerowie gnali z krzykiem na skrzydłach jeźdźców, wyciągniętemi szablami dając kierunek napaści. Gdy pierwsze dwa szeregi polskiej kompanii naciśnięte zostały przez następne tak, że łby końskie wrzynały się między jeźdźców, a piersi rumaków naparły w galopie na kłęby i wciskały się między uda koni pierwszoszeregowych, szyk huzarski, lecący pod kątem, strącił się z polskim. Ułani wernęli się w półszwadron, jak pocisk. Na wsze strony rozpierzchł się pierwszy zbity cug. Kilkunastu zepchniętych z kulbak lancami wrzeszczało wśród kopyt końskich.

Ale drugie i trzecie linie natarły w mig z żelazną siłą i rąbały się szablą, z konia. Podporucznik Olbromski wciesał się w ten zwarty, żołnierski tłum.

Miał szablę wśród świstu szabel i począł w nie siec z furyą i rozkoszą. Oczy wkoło niego przywarte, brwi zwiedzone, nozdrza dyszą. Białe zęby połyskują. Świszcze i praska w brzeszczot. Strzały się rozlegają i dziki wokoło wrzask.

Przemógłszy skutki pierwszej, lancami, napaści, siła huzarska rzuciła się teraz wszystka z szablami. Rafał czuł to doskonale, jak roztrącone przed chwilą skrzydła Austryaków wciąż się zestępują i łączą, jak stary, ćwiczony i zwinny żołnierz palatyński dosięga nowozaciężnego ułana kordem, na brusie toczonym, i ścina go z wprawą i zemstą. To też, ujrzawszy przed sobą miejsce i starego rębacza w boju, rzucił się na niego co duchu. Ciął, stojąc w strzemionach, raz i drugi, z błyskawiczną prędkością. Żołnierz ów odparował ciosy i pozornie umknął. Drugi najechał na jego miejsce, jak sobowtór tamtego. Zwarli się końmi pierś w pierś, wrąbali w siebie nawzajem, aż stal z trzaskiem zgrzytała. Rafał pochwycił moment, wparł stopy w strzemię, stanął i płatnął na amen. Nagle tamten drugi, pozornie dezerterujący, zdarłszy konia wędzidłem tak wysoko, że z rozwartym pyskiem stanął dęba i rzucił się naprzód — z impetem runął w junaka.

— Wawrzek! A bij-że! A bijże tę psiokrew! — wrzasnął gdzieś z boku skrzydłowy wachmistrz.

Rafał czuł się na siłach i odwalił wszystkie cięcia z pewnością siebie. Pałasz jego miotał się błyskawicą, strzelał wokoło i krzesał ogień. W pewnej chwili zgiął się na bok pod strasznym ciężarem.

— Przetrącił mi ramię... — tyle zdążył pomyśleć.

Pałasz wylatywał mu z garści, z pomiędzy zmarzłych palców... Chwycił go jeszcze raz z całej mocy, z całej siły, z całej duszy i wzniósł zdrętwiałą i ciężką rękę, ale nie mógł już zadać ciosu. Mrówki, mrowisko w dłoni, w łokciu, w ramieniu...

Huzar odsadził się na siodle i pchnął go wtedy sztychem w piersi. Ostrze zaorało po kości i ognistym jęzorem wżarło się w bok. Jeździec austryacki szarpnął się w tył i zleciał z siodła na bok, zajechany szabliskiem przez skrzydłowego wachmistrza. Za chwilę siedział w kucki na zagonie, obiema rękami trzymając rozwaloną szczękę. Straszne jego, siwe oczy patrzały w próżnię, z gardła wydobywał się bydlęcy ryk. Olbromski sekretnym ruchem wyciągnął z olstrów pistolet i strzelił mu w łeb z góry, prosto w te obłąkane ślepie. Uczyniwszy to, rzucił okiem na swe spodnie i ze zdumieniem i złością zobaczył, że lewa noga, kolano, but aż do stopy zalane są krwią.

— Któż to u stu dyabłów tak mię spaprał? — myślał, jak przez sen.

Spostrzegł, że pole całe żółknie i że płomyki zielonawe wypadają z niego rzędami. Puścił wodze i lewą ręką zaczął przecierać sobie oczy.

Z krzykiem i tętentem, robiąc lancami, strzelając i tnąc się w szable, otoczyła go kupa bezładna ułanów i zagarnęła w środek. Słyszał w tym tłumie nieustający krzyk kapitana, porucznika i kolegi podporucznika: — Stój! równaj się! Jak oszalały, wywrzaskiwał to samo wachmistrz starszy. Cofali się ku lasowi, odpychając ze wszech sił nacisk huzarski. Pojedyńczo

jeźdźcy ganiali się jeszcze tam i sam, w polu. Patrol, który wreszcie zaczął *raliować* się pod lasem, uprowadzał ze sobą kilkunastu wziętych w niewolę.

Rafał nie rozumiał teraz dokładnie tego, co się dzieje. Było mu nieprzyjemnie, mdło i głupio. Dał się, jak tchórz, porąbać... Gdy wrzawa bitwy, szczęk szabel i okrzyki ucichać poczęły, rozproszeni ułani dopadali co chwila w skok do tego miejsca. Byli zgrzani, na obłąkanych i spienionych koniach. Ten i ów prowadził rumaka węgierskiego, ten i ów wlókł rannego czy potłuczonego huzara. Spostrzeżono wreszcie, że podporucznik Olbromski jest coś zanadkto krwią oblany.

Bronił się i udawał zucha. Ale ściągnięto go z konia. Gdy mu starszy wachmistrz na rozkaz kapitana odpiął rozwalony mundur, krew bujną falą broczyć zaczęła z zanadrza. Bielizna była we krwi, mundur przemókł nią do cna. Położono wojaka na ziemi, ściągnięto garderobę i opatrzono ranę na prędce. Była w piersi i w boku. Szła z dołu pod pachę. Sam kapitan zaczął ją wymacywać szorstkimi palcami, szukając kuli. Gdy go ranny zapewnił, że to rana nie z postrzału, przemyto rozdarcie gorzałką i zawiązano szmatami. Obandażowany tak mocno, jakby był wtłoczony w gorset, podsadzony na koń, zasiadł w kulbace, niekiej w krześle. Kompania, mając pośrodku swych rannych i jeńców, zwolna posuwała się brzegiem Komorowskich lasów w stronę traktu. W dali, pod Nadarzynem, tłumnie pieniły się wojska austryackie. Konnica wysuwała się naprzód. Dolatywał daleki gwar i śpiżowy dźwięk.

Szmat jeszcze drogi zostawał do gościńca, kiedy w kierunku lasu wysunęła się równa, szeroka linia kawaleryi austryackiej i ostrym a wzmagającym się kłusem szła wzdłuż drogi. Ujrzawszy ten ruch, kapitan wciągnął swoją kompanijkę w lasy, a sam z oficerami przypatrywał się z otwartego miejsca.

Koń Rafała stał w płytkiej wodzie leśnej i niecierpliwie kopytem rozpryskiwał ją wkoło. Oczy jeźdźca z przelotnym smutkiem taczały się po wybrzeżach wiosennego smugowia. Dusza wspominała sobie wiosenny swój sen: drogę do Wygnanki. Tak żywe było widzenie tamtejszej chwili, tak oczywisty był przed okiem tamten kraj, że teraźniejszość prawie znikła. Jak przeszkoda w uczuwaniu swych własnych rzeczy nastręczały się okrzyki żołnierzy i mimowiedny, wbrew zakazowi, szczęk szabel, ostróg, lanc, uprzęży. Tłum drgnął i podał się ku leśnemu wybrzeżu.

I Rafał podniósł oczy.

Na spotkanie huzarów oddawna wypadł był z lasu drugi pułk ułanów, pod komendą Tadeusza Tyszkiewicza. Po deszczach nie było w powietrzu jednej drobinki pyłu, to też cały ów pułk widać było, jak na dłoni. Zrazu szedł równo, sporą ryścią Ale oto w oczach począł się zrastać, skupiać, jakby się w siebie wciągał. Konie zlały się z końmi, ludzie z ludźmi. Barwa jeno została, lecąca w polu. Oto poszli co pary w koniach...

Kapitan Katerla nie wytrzymał. Zdarł konia, nawrócił nim w miejscu i, stanąwszy przed swym oddziałkiem, prędkie wydał rozkazy. Starszy wachmistrz z trzema dziesiątkami szeregowych poprowadzi jeńców

i rannych wpoprzek lasu, wprost do placówek pod Sękocinem i do kwatery głównej. Reszta w pole.

W moment wydzielono konwój, a zmniejszony półszwadron wyszedł z lasu. Uszykował się na roli i z kopyta poleciał w bój. Te sto kilkanaście koni, lecąc z ukosa do drogi, wsparły znakomicie szarżę główną i przyczyniły się do złamania austryackiego szeregu, oraz uprowadzenia dwu setek niewolnika. Rafał już tego sukcesu nie widział. Otoczony przez swych żołnierzy jechał leśną drogą. Ułani szeptali, z nadzwyczajną ciekawością przypatrując się jeńcom, oglądając i taksując pojmane konie i zdobycz. Starszy wachmistrz śmiał się pod wąsem, ale wobec Rafała nie ważył ust otworzyć. Wreszcie, licząc oczywiście na niemoc podporucznika, nie wytrzymał i zagadał do najbliższego Niemca:

— A nie masz znowu czego tak *hergotać*, bo cię tu na rożnie nie pieką. Szable toście sobie potoczyli na brusach, żeby nas ścinać bez miłosierdzia, psubraty!

Huzar podniósł na niego oczy przekrwione i pokazał swą rozpłataną głowę. W istocie skorupa krwi zwiększała się ciągle na skudłanych włosach.

— A to tak gadaj! — rzekł wachmistrz. — Boli cię?

Żołnierz coś wymamrotał po węgiersku, czy po rumuńsku.

Rafał domyślał się, o co chodzi żołnierzowi, ale milczał. Widok krwi tego chłopa budził w nim zimny, niezłomny gniew. Żeby się odczepić od błagalnych spojrzeń, rzekł oschle:

— Wachmistrz, zawiązać mu ranę i wziąć go w tył, żeby mi na oczy nie lazł.

— Według rozkazu!

Zsiadł wachmistrz z konia i zwrócił się do huzara:

— Masz jaką chustkę? Hy?

Ranny wzruszeniem ramion pokazywał, że nie rozumie.

— Nawet gadać żadną gwarą nie umiesz, kapcanie! *Gibnij* chustkę, to ci łeb zdrutuję, *fersztanden? Odgibam* ci tę szmatę, nie bój się, jak łeb naprawię.

Żołnierz powtórnie wskazywał, jako nie wie, czego chcą od niego. Wtedy jeden z ułanów wydobył z mantelzaka czystą szmatę i uroczyście podał ją wachmistrzowi. Ten wprędce, nie zatrzymując pochodu, obmył wódką i zawiązał głowę Austryaka. Gwarzył mu wciąż w oczy:

— Szable sobie wyostrzyli, jak brzytwy! A ja ci i bez toczenia na brusie łeb od zamachu zetnę, wiesz ty o tem? Jak cię ułan w pazury weźmie, mów pacierz, i to prędki! Tylko że ty i o pacierzu pierwszy raz pewno słyszysz, niemiecki sługo. O, juchy! Na Polaków idziecie, psubraty jedne? Cóż wam to zawinili? Skrzywdzili was kiedy? Dyabli cię wiedzą, coś za jeden, a możeś i Węgier... Ja zaś ci powiem, żeś wcale nie Węgier, tylko węgrowata świnia, kiedy na nas z Niemcami sypiesz! Żebym tak nie był miętkiego serca, tobym cię wziął i tu na tem miejscu dorznął. Wiesz teraz?

Szli ostro, z ciekawością, z przyjaźnią i pewnem specyalnem uszanowaniem obserwując swych jeńców.

Rafał nie czuł się dobrze. Było mu wciąż głupio i mdło. Nieprzyjemna senność ogarniała go, jak po bezmyślnej pijatyce. Głowę miał ciężką, a w rękach i nogach ogień.

Było już nieco po południu, kiedy wyszli z lasu i skierowali się na Sękocin. Trafili w wir wojska. Z za piaszczystych wzgórków około Lesznowoli i Łazów pokazywały się w lot i ginęły z oczu przednie straże brygady generała Spatha. Okrążając las, przebiegały nawet Mokrąwolę. Brygada generała Rożnieckiego z czterema działami stała nieruchomo pod Janczewicami, przy karczmie, zwanej Wygoda, na drodze z Falent do Lesznowoli. Lasy falenckie jęczały, jak rozkołysany dzwon od huku bitwy, od strzałów ręcznej broni i okrzyków Tyszkiewiczowskiej jazdy. Cały trakt warszawski przed Falentami zajęty był przez najrozmaitsze rodzaje broni. Szedł tamtędy w kolumnach, brnąc w tęgiem błocie po kolana trzeci pułk fizylierów w kierunku Michałowic, inne wracały z pod Komorowa, czy Pęcic do Puchał. Latali do jazdy Rożnieckiego zbryzgani po czuby kit adjutanci. Co koń skoczy, przeleciał jakiś podoficer w kierunku Jaworowa. Wszystkie wojska ustępowały przed idącym powoli konwojem. Całe bataliony spędzano w rowy z gościńca. Oficerowie, nawet wyższej rangi, salutowali.

Pierwszy to raz w życiu Rafał uczuł, co jest sława. Dreszcz uniesienia, nieznanego mu dotąd, przeszedł po nim, jak lew po puszczy. Oczy zaćmiły się od szczęścia i dumy. Dałby się w sztuki porąbać, żywcem spalić, włóczyć końmi za ów tryumf, jakiego do-

znał na dwuwiorstowej przestrzeni między Sękocinem a Falentami. Sama wioska Falenty wolna była zupełnie od wojska. Las olszowy za nią i okolica zrujnowanego pałacu, grobla i droga, prowadząca do Raszyna — również. Dopiero około kościoła w Raszynie, w domach jego z prawej strony gościńca, a osobliwie za kościołem, gdzie kilkuset chłopów sypało szaniec, było tak pełno, że ledwie się zdołali przecisnąć. Ustępowano i tu, ile można. Piechota wyciągała szyje, żeby zobaczyć niewolnika, jazda podsuwała się, oficerowie zachodzili drogę.

Wszyscy biegli w nadziei, że zobaczą pieszych pandurów z zaplatanymi warkoczykami koło uszu. Wszystko tu było w ruchu. Nie wiedziano, czy mała armia wyruszy dalej, na spotkanie nieprzyjaciela, czy zostanie w tem miejscu. Nikt nie umiał powiedzieć, gdzie umieścić rannych. W samym Raszynie miejsca nie starczyło, o Falentach nie mogło być mowy.

Nawinął się wreszcie chirurg i wziął Rafała w obroty. Jako pierwszym z oficerów rannym w tej okazyi, zajął się w szczególny sposób. Wywiózł go o dwie wiorsty za Raszyn, w kierunku Warszawy, do Opaczy.

Wachmistrz tymczasem zabrał jeńców i powiódł do komendy swego pułku, żeby zdać raport generałowi, wręczyć mu raport i usłyszeć rozkazy.

Olbromski był znużony, widocznie wskutek dużej utraty krwi. Obojętnie spoglądał na dwór w Opaczy, który mu chirurg wskazywał, i obojętnie słuchał zapewnień, że tu będzie mu stokroć lepiej, niż w szpitalu przewoźnym, założonym w oberży raszyńskiej.

Dwór w Opaczy stał w niewielkim, pustym ogrodzie. Od strony drogi warszawskiej i pola otoczony był parkanem. Rafał zapamiętał sobie ten napół rozwalony parkan, który tu i ówdzie spróchniał i runął. Zarazem łączkę... Było mu lepiej i weselej na widok bielonego dworu. Coś jakby rodzinne gniazdo stanęło przed oczyma. Muślinowe firanki wisiały w oknach »na drugiej stronie«, gdzie zapewne musiała być rzadko otwierana bawialnia. Z podwórza wychylał się gołębnik. Widać było w głębi gumno, obdarte zabudowania i kupy nawozu, świeżo wyrzuconego i dymiącego, jak jałowcowe ognisko. Wejście do domu stało zamknięte.

Na błotnistym gościńcu ciągnęły się linie bagażów i kotłowały wozy amunicyjne. Chirurg zsadził swego pacyenta z konia, pobiegł w podwórze i hukał tam, kogoś szukając. Rafał przez ten czas siedział na ganku i dumał. Polami przeciągały kolumny wojska. Daleko pod Jaworowem, w stronie Piaseczna, rysowały się we mgle wiosennej ruchome linie batalionów, idących pod komendę Jana Kamieńskiego.

Nareszcie klucz zgrzytnął w zamku i ranny wprodzony został do sieni. Chirurg wrzaskiem wymyślał na jakiegoś człeczynę, ekonoma czy podstarościego, który z podełba, z odrazą przypatrywał się Rafałowi, wciąż pomlaskując wargami. Gdy mu kazano otwierać drzwi do najlepszego pokoju »na drugiej stronie«, ociągał się dopóty, aż go chirurg porwał za kołnierz.

W saloniku dziwnie pustym, jakby z niego dopiero co wywieziono sprzęty, było powietrze mocno stęchłe. Za pierwszym pokojem stała otworem stancyjka

wygodniej urządzona. Znalazło się tam łóżko z pościelą zupełnie czystą, z atłasową kołdrą, miękkimi piernatami i stosem haftowanych poduszek.

— O, to właśnie! Tego nam brakowało! — ucieszył się lekarz. — Tu podporucznikowi będzie lepiej...

— Ja tu nikogo nie puszczę! — zgrzytnął ów burgrabia.

— Nie puścisz, wasan?

— Nie puszczę. To jest łóżko samej pani dziedziczki. — Mam rozkaz *strictissime* zaraz to łóżko wywieźć.

— To ja *strictissime* kasuję tamten rozkaz.

— Ehe...

— Rwij mi acan po gorącą wodę na dużej, czystej misce. Żeby mi za dwa pacierze była w tem miejscu! — wypalił dobroczyńca Rafała, chwytając tamtego za ramię po raz wtóry i otwierając nim drzwi naoścież.

Z sieni dał się słyszeć głos bynajmniej nie pokorny:

— Ja idę, ale wy, młokosy, popamiętacie!

— Konia odwiąż od płota! Zaprowadź go do stajni! owsa mu daj pełny żłób! Słyszałeś?...

— A jakże, słyszałem... — mruknął tamten w kącie sieni.

Wkrótce Rafał został opatrzony przez chirurga. Nacierpiał się niemało przy sondowaniu i myciu rany, ale się i pocieszył, gdy go lekarz zapewnił, że ostrze huzarskiej broni niezbyt wiele przecięło więzów. Ześliznęło się jakoby po kościach i naszarpało tylko nie-

mało mięsa na boku i pod pachą. Obandażowany i spokojny ułan legł w puchu. Chirurg nakazał spokój i przy pożegnaniu obiecał odwiedziny swe nazajutrz rano.

Dzień zwolna rozproszył się i w nocy utonął. Nikt nie przyszedł, żeby zapalić światło. Rafał nie miał o to pretensyi: prawdziwie wypoczywał w zacisznej alkowie.

Było mu dobrze nad wszelki wyraz. Myśli przyjemne i wesołe schodziły się do niego i bawiły u wezgłowia, niby goście pożądani, niby kształty ulubione i najprzyjemniejsze, niby zapachy znajomych kwiatów z dawnych lat, z rodzonych okolic. Najtrudniejszych spraw swego życia, najbardziej przykrych wypadków pierwszy raz od tylu czasów zażądał wolą ku sobie i oglądał je wszystkie w promieniach radosnego spokoju ducha. Ośmielił się wejść bez trwogi w Tatry, przebyć znane drogi, z uśmiechem półlitości a półdrwiny kroczyć na skalne zręby. Zajrzał w przeźroczyste, błękitne i litworowe jeziora. Usłyszał z lubością szum potoku, napełniający doliny, aż do szczytu zbójeckich okien krzesanicy. Ogarnął go łagodny śmiech i pobłażliwa litość nad wszystkiem. Nawet dźwięk tamtego imienia nie przerażał już duszy. Melodyjne sylaby, nie, raczej krople cichych łez, jedna złączona z drugą, z trzecią... Patrzą z ciemności tej izby modre źrenice... Ale nic już nie ujrzą, nic a nic.

— Co mnie i tobie, niewiasto? — pyta się jej z dobrotliwą mądrością życie. — Tyś już jest popiół, nietylko jako ciało i krew, nietylko jako piękność, nietylko jako wspomnienie żywe piękności, ale popiół,

jako uczucie, a jam jest młodość, siła i żądza. Nic nie trwa wiecznie. Ostatni jeszcze przyjdzie wiatr i ostatnią garstkę popiołu uczuć w nicość rozwieje.

Odsunął się od tych myśli, jak od znajomych, którymi się już nacieszył dowoli. Przeszedł do innych. Ach, to on, mistrz de With! Ujrzał wyraźnie wielką figurę, korpus, głowę, oczy... Wspomniał sobie wkroczenie do Gdańska i ów blokhauz niezdobyty... Wspomniał wywalone podkopami mury, wyrwane okienka i wejście, a wreszcie ostatnią w ruinach walkę.

— »Major de With, pruski oficer piechoty...« — czyta z listy oficer, kiedy rannych z fortu wynoszą. Rafał widzi jeszcze twarz bladą, masę krwi w skudłanych, krętych włosach, przygasłe oczy. Oczy te patrzą weń, gdy rannego dowódcę blokhauzu niosą na tragach. Patrzą weń uważnie, patrzą z dołu do góry. Spokojne, zimne, mężne oczy!

Ale oto skrzywienie odrazy maluje się w ustach i wielka głowa z niechęcią odwraca się na widok »brata«. Przymykają się powieki, żeby nie widzieć twarzy »ucznia«.

Mrok tej alkowy w Opaczy szeptać się zdaje: ciebie to poznał wtedy...

Zraniona dusza szarpie się w piersi Rafała. Buchają niczem nie zatamowane wyrzuty.

— Nie, nie, o tem jeszcze z uśmiechem marzyć nie sposób — marzy ranny, odsuwając od siebie widok trupa mistrza katedry, taki, jak go ujrzał w kostnicy nazajutrz po wzięciu Gdańska. Pali go teraz

spokój tego trupa, urąga mu nieruchoma głowa i dumnie zaciśnięte usta...

Zbudził go z tych marzeń niezwykły hałas.

Ktoś chodził po sieni ze światłem, głośno klął, gadał, wreszcie wkroczył do sąsiedniej izby. Tu obejrzał z fukaniem wszystkie sprzęty, szturchał je i rzucał z miejsca na miejsce. Zbliżył się wielkim krokiem do łóżka. Rafał z wściekłością patrzał na tego natręta i miał właśnie zamiar wygnać go stąd, gdy oto spostrzegł jego odzienie i zamilkł. Ow oficer miał na sobie krótki granatowy fraczek ułański z generalskim na rabatach haftem, długie, amarantowe spodnie. Zdjął był rogatą czapkę z wysokiem, czarnem piórem, suto galonowaną i trzymał ją w ręce. Wznosząc wysoko łojową świeczkę w blaszanym lichtarzu, schylił się, sapiąc nad pierzynami.

— Dyabli cię tu przynieśli... — mruknął przez zęby.

Była to twarz długa, wygolona, o kolorze zrudziałego piaskowca. Zimne, jak lód, wypukłe oczy, obwieszone torbami powiek, patrzały z pogardą i rozumem. Zaciśnięte usta, wązkie i surowe, zdało się, przemocą zatrzymują za zębami wyrazy znieważające. Ranny widział był już nieraz tę głowę z nosem grubym i długim, porzniętą fałdami, idącymi wzdłuż twarzy, ale teraz przypatrywał się jej w dwójnasób ciekawie. Generał stał nad nim ze świecą przez czas pewien i badał go przeszywającym wzrokiem. Potem raptownie odwrócił się i wyszedł do pierwszego pokoju. Tam, szurgając stołkami i stolikiem, zasiadł nareszcie. Na

jedynym stoliczku, jaki pozostał, rozłożył wielką mapę i, podparłszy głowę pięściami, utonął w badaniu, czy rachunkach. Chwilami coś do siebie mruczał, to znowu coś zapisywał na kartkach pugilaresu.

Rafał nie mógł już myśleć o spaniu. Miał przed oczyma pełgający krąg światła, czarną, zwichrzoną, kędzierzawą czuprynę generała i olbrzymi cień jego głowy na przeciwległej ścianie. Był pewien, że lada chwila wyrzucą go z tych piernatów. Wcale go nie martwiła ta pewność, był bowiem dość wypoczęty i wesół. Rana nie sprawiała mu wielkiej przykrości, a ogólna ociężałość zupełnie przeszła.

Generał studyował swoją mapę więcej, niż godzinę. Ukończywszy, widać, jakieś obliczenia, mapę złożył, zamknął notes, rozparł się na stoliku łokciami, złożył głowę na ręku... Drzemał tak przez czas pewien, ale gdy sen na dobre morzyć go zaczął, wstał i ociężałymi ruchy zaczął szukać miejsca, gdzieby się mógł wyciągnąć.

Nie było gdzie, chyba na ziemi. Zsunął dwa krzywe krzesełka, ale nie zdołał zmieścić się na nich. Raptem odwrócił głowę i patrzał w ciemny pokoik Rafałów. Po chwili wszedł tam. Omackiem znalazł chorego, odsunął go do samej sciany i położył się na połowie łóżka.

Rafał z uszanowaniem odsunął się do ściany i ustępował kołdry.

— Nie potrzeba! — mruknął Sokolnicki. — Leż wasan, kiedy ci dobrze. Mówił mi chirurg, że cię ranili. Gdzie to?

— Mam ranę w boku.

— Pytam się: w jakiej potrzebie? Chirurg niech się pieści twoją raną, nie ja!

— Pod Nadarzynem. To jest...

— Co jest?

— To jest pod lasem Helenowskim.

— Więc gdzież ostatecznie? Bo Nadarzyn to mieścina, a las to las.

— Pod lasem, panie generale.

— Godność wasana? — mruknął już przez sen.

Rafał wymienił swe nazwisko.

— Był kadet Olbromski w rycerskiej szkole, a potem oficer za Rzeczypospolitej.

— Brat mój starszy.

— Aha!... — ziewnął generał.

W tej samej chwili zachrapał na cały dwór. Głowa jego leżała na brzegu poduszki, ogromna, długa, kudłata. Olbromski nie spuszczał z niej oka — i w tak dziwnej pozycyi przeleżał, a właściwie przesiedział ze dwie godziny. Świeczka, zostawiona w pierwszym pokoju, dopaliła się i zgasła.

Twarda jeszcze była noc, kiedy dał się słyszeć głuchy tętent kilku koni. Słychać było kroki osób, niecierpliwie chodzących dookoła ścian dworu i głośną rozmowę. Dobijano się do okien, szukano drzwi. Na pewien czas wszystko ucichło, a kiedy Rafał sądził, że przybysze już się oddalili, drzwi do pierwszego pokoju otwarły się i ktoś na cały głos zawołał:

— *Monsieur le général* Sokolnicki!

Spiący generał ani drgnął. Olbromski zaczął go

potrząsać, zrazu ostrożnie, potem coraz mocniej, aż wreszcie Sokolnicki zgrzytnął:

— Kto? Czego? Atakują?

— Generał Sokolnicki! — wołał głos w ciemności.

— *Vite, vite!*

Nareszcie rozespany porwał się na nogi. Zatoczył koło, przeciągnął się, aż w nim, zda się, wszystkie kości zatrzeszczały, i skrzesał ognia. Zapalono nową łojówkę i nędzny jej blask oświetlił kilka postaci, wchodzących do pierwszej stancyi. Byli to starsi oficerowie, zachlastani do ramion ciepłych płaszczów i utytłani w błocie do kolan. Jednemu z nich podano krzesło. Gdy usiadł za świecą, twarzą naprzeciwko Rafała, rozłożono przed nim mapę, i ten sam głos, który wołał na Sokolnickiego, ozwał się znowu.

Generał siedzący zwracał na mówcę ciekawe i uważne spojrzenie. Kiedy niekiedy sekretnie ziewał. Był to wysoki mężczyzna, lat czterdziestu pięciu, sześciu, z twarzą tłustą, okrągłą i jeszcze piękną, choć już rozlaną i w policzkach obwisłą. Osobliwie piękne miał oczy: aksamitne, płomienne, pod szerokimi łukami brwi. Co chwila, pragnąc ukryć ziewanie, muskał pieszczotliwie małego wąsika. Pelletier wciąż wykładał po francusku swój pogląd.

— Co do mnie — rzekł książę Józef, zwracając się do Sokolnickiego — nie przestanę żałować, żem nie poszedł wprost i gdzieś za Nadarzynem nie rzuciłem się na nich z całą siłą, jaka jest. Nie przestanę żałować! Tylko Chodkiewiczowski atak mógłby nam dać szansę zwycięstwa.

Sokolnicki ukłonił się z obłudną zgodą na te słowa, z udanem współubolewaniem. Po chwili, rysując palcem na mapie długą linię, mówił:

— Chociaż z drugiej strony te błota i rudawiska nie są do pogardzenia. Idą tak długim pasem i tak znakomicie nas bronią od osaczenia. Żaden szaniec nie oddałby tylu usług...

— Ach, dajże pokój!

— Proszę tylko spojrzeć. Za Jaworowem, niemal od Piaseczna zaczyna się nieprzebyta gać błotna, a idzie aż Bóg wie dokąd. Człowiek nie przebrnie tych moczarów, z wyjątkiem Raszyna i Michałowic, koń nie zgruntuje, chyba za Pruszkowem i pod Piasecznem. Ku Piasecznu nie pójdą z obawy przyparcia do Wisły. W Raszynie mamy szaniec, w Michałowicach...

— Ach, daj-że pokój! Stać nad tym rynsztokiem i czekać na los kraju, rozmyślając, w którem też miejscu nas obejdą i obskoczą...

— Mamy sumiennie rozstawione brygady konne aż do Błonia, do Woli i do Piaseczna. Obejść nas...

— Co to znaczy! Te brygady mogą nam tylko zwiastować, w którem miejscu przebyto bajora.

Młody, trzydziestoletni Francuz chwytał uchem obce mu dźwięki. Snadź coś rozumiał, bo kiedy niekiedy raptownie potakiwał. W pewnej chwili zaczął mówić prawie to samo, co Sokolnicki. Wywodził tak bez przerwy, aż do przybycia nowej osoby.

Był to Fiszer. Na jego widok książę wstał ze swego miejsca i, gorączkowo wyciągając rękę, mówił:

— Wciąż mię namawiają do oczekiwania w tej

obmierzłej pozycyi. Nawet Sokolnicki, którego zawsze trzeba *tenir par la basque*, żeby zbyt daleko nie poszedł. Co powiesz nowego, generale?

— Wracam z Michałowic. Zmarzłem... — rzekł mały generał, zacierając siarczyście ręce.

Po chwili dodał:

— Trafił mi się tam pewien *fiugas Samios*...

— No, no? — zapytali słuchacze.

— Pewien Polaczek galicyjski zemknął ku nam lasami na Komorów, na Janki, Wolicę. Przyszedł o północku do Michałowic w ubraniu chłopa, tak zaciapany, że ledwie go było widać. Wziąłem go na dobre spytki, bom podejrzewał, czy to czasem nie jaki znawca, ale nie! — dobre człeczysko. Powiadał mi detale.

Fiszer zbliżył się o kilka kroków do stoliczka i mapy. Zimnem i jakby martwem okiem patrzał na nią. Wreszcie rzekł niby do siebie:

— Mało nas, bardzo mało. Wiecie wy, mości panowie? — jeden na czterech.

— To niemożliwe! — krzyknął Sokolnicki.

— Jeden na czterech! — powtórzył Fiszer. — Dziewięćdziesiąt cztery dział wyszło już z Nadarzyna. To znaczy: trzy działa na nasze jedno.

— Mówiłem, że iść naprzód... — zaczął książę Józef ze zmarszczonem czołem i zduszoną w głosie rozpaczą.

Po chwili zwrócił się do Fiszera z kategorycznem pytaniem:

— Co mówisz?

— No, teraz już iść za późno. Trzeba było nie

puścić ich za Pilicę, napaść od Inowłodza, czy Czerwonej Karczmy. Teraz niema już o czem...

— Tylem zyskał, że mi Gartenberg rozpędził milicyą w Rawie, zabrał kasę i magazyny. Mam raport. Zapasy w Nowem Mieście... Zrabowane wszystko w Sadkowicach, w Białej...

— Już teraz za Rawkę się nie wydalimy, boby nas w nią wegnali i utopili. Nawet Rożniecki musi się pilnować i, ustępując, iść na zachód, ku Komorowi, ku Helenowu, piaskami. A tu, mości książę, miejsce jest dobre.

Pociągnął suchą ręką po wychudłej twarzy, przetarł blade oczy i mówił spokojnie:

— Gdyby tak na mnie, to stanąłbym w tem miejscu i biłbym się aż do śmierci.

Pelletier, usłyszawszy z ust Sokolnickiego wytłómaczenie słów szefa sztabu, machnął ręką z zadowoleniem i zaczął w tekę swoją zbierać papiery. Książę siedział zamyślony i patrzał w płomień świecy. Fiszer mówił, zatopiony w sobie:

— Gdyby tak na mnie... Wyszedłbym za groblę z przednią strażą. Austryaki miejsca tego nie znają. Raszyn wygląda od Nadarzyna, jakoby wzgórek na tamtej równinie. Biliby w Falenty i w Puchały, nie przeczuwając, że w celu zdobycia Raszyna, trzeba przedewszystkiem zdobyć topiele Rawki. Topiele okryte olszyną tak szczelnie, że dopiero konający przekona się, jak to tam zdradnie a głęboko. Falenty są, jak szpic. Chałupy tej wsi stanowią najdalsze *angles saillants* całej naszej pozycyi. Trzeba tę wieś zająć,

mocno obsadzić, utwierdzić się w niej, no i bić się na śmierć. Grobla to będzie drugi etap, a Raszyn trzeci. Armaty nasze z szańca za kościołem raszyńskim panują już nad groblą i mogą bić w olszynę.

Książę Poniatowski ocknął się i rzekł z uśmiechem:

— Panie generale brygady, zdaje mi się, że to do ciebie pito, mówiąc o walce w Falentach...

— Jestem gotów... — odpowiedział Sokolnicki z ukłonem.

— Tak, tak, on zawsze gotów, kiedy mowa, żeby lecieć naprzód... — mówił Fiszer.

— A więc — decydował Poniatowski — generał Biegański z trzecim pułkiem piechoty i czterema armatami stoi w Michałowicach i broni tamtejszych suchych przejść pode dworem, między trzema stawami. Kamieński stoi w Jaworowie z dwoma batalionami ósmego i drugim batalionem pierwszego pułku. Ma 6 armat. Pan generał dziś jeszcze o świcie zajmiesz Falenty Małe i Duże, pałac, las olszowy, drogi i groblę. Wszak znasz te miejsca?

— Znam.

— Jakież wypadłoby wziąć bataliony? — zwrócił się książę do szefa sztabu.

Fiszer wydobył z portfelu spisy i obadwaj z Pelletierem zagłębili się w dociekanie. Wkrótce szef czytał:

— Pierwszy batalion pierwszego pułku piechoty, pierwszy batalion ósmego pułku, świeżo przybyły z Modlina pod wodzą Godebskiego, jeden batalion szóstego pułku. Baterya młodego Sołtyka.

Sokolnicki słuchał wyprostowany. Książę liczył na palcach, kiedy Fiszer wyczytywał z papieru.

— Masz tedy, panie generale, czternaście kompanii fizylierskich, dwie grenadyerów, dwie woltyżerów. Razem dwa tysiące pięćset chłopa. Sześć armat. Możesz się tęgo bronić.

— Osobliwie, że będę miał staw i bagna za sobą, a do ustąpienia w razie porażki groblę... — mówił Sokolnicki z ironiczną przechwałką.

— Więcej dać nie można... — mruczał Fiszer. — Gdybyście byli otoczeni i wzięci w niewolę, Raszyn zostałby bez obrony.

— No, do bitwy tak zaraz nie przyjdzie. Austryacy nie decydują się zbyt szybko... — mówił książę. — Znam ich przecie. Co do grobli... to zapewne... Ale będziemy was wspierali. My tymczasem jeszcze podsypiemy nasz zakop raszyński. Chciałbym go przeciągnąć za drogę warszawską ku Michałowicom i nad staw raszyński, w drugą stronę. Ufortyfikujemy kościół, mur kościelny i domostwa żydowskie, skoro już tu koniecznie bronić się mamy.

Sokolnicki usiadł przy stole i za dyktandem Fiszera oraz Pelletiera pisał rozkaz dzienny. Książę podpisał go i zaraz wyszedł, prędko żegnając obecnych. Za nim Pelletier. Fiszer zebrał swoje papiery, naciągnął płaszcz na ramiona i miał się również ku wyjściu. Już we drzwiach stojąc, zwrócił się do generała brygady ze słowem:

— Szczęść Boże!

— Daj Panie Boże! — odrzekł brygadyer.

Po wyjściu generałów zawrócił co tchu do łóżka, na którem Rafał siedział w kucki, słuchając wszystkiego.

— Nie śpisz wasan? — mruknął Sokolnicki.

— Nie śpię, panie generale.

— I nie masz zamiaru umierać?

— Ani myślę.

— A jakże się ma twoja tkliwa rana?

— Wcale dobrze.

— Teraz będziesz spał, czy nie?

— Nie będę spał, panie generale.

— Napewno?

— Napewno, panie generale.

— Słuchaj-że rycerzu. Rozkazy do marszu wyda szef sztabu, a ja się zdrzemnę jeszcze do świtu. Pojmujesz, co mówię? Zdrzemnę się do świtu. Jak tylko zacznie szarzeć, obudzisz mię. Obudzisz?

— Obudzę, panie generale.

— Namyśl się. Bo gdybyś miał zasnąć...

— Obudzę, panie generale!

Sokolnicki rzucił się na łóżko, Rafał postanowił korzystać ze sposobności i robić karyerę. Rzekł tedy śmiało:

— Panie generale, racz mię wysłuchać.

— Tylko prędzej, prędzej!

— Pozwól mi towarzyszyć sobie w tej ekspedycyi.

— W charakterze?

— W charakterze... w charakterze...

— Prędzej!

— W charakterze... poprostu podporucznika *à la suite.*

— Nie mam do tego prawa i nie znam takiej rangi. Jestem tylko generałem brygady, a ty rannym oficerkiem. Jak zostanę naczelnym wodzem *in partibus infidelium*, nie zapomnę, żeśmy spali pod jedną kołdrą.

— Jestem już zdrów, a nie wiem, gdzie jest mój szwadron. Pono za Rawką. Pozwoli mi pan generał być w tej batalii przy sobie bez żadnej rangi aż do chwili, kiedy znajdę swoją komendę.

— Dobrze. Obudź skoro świt, a teraz milcz z łaski swojej i... niech cię wszyscy dyabli!

Za chwilę chrapał.

Skoro tylko ciemne rano dało widzieć szyby okienka w dużym pokoju, Rafał przelazł przez śpiącego snem kamiennym i jak umiał, jak mógł najprędzej, wdział swój uniform. Munduru nie zdołał zapiąć żadną miarą wskutek grubych powijaków bandaża, którym miał opasane żebra. Zaczął targać generała za ramię.

— Kto? Czego? — wściekał się rozespany.

— Generale, dnieje!

— Idź, bo ubiję!

— Generale, nie dam już spać ani chwili. Dnieje!

Widząc, że słowami nie poradzi, użył siły. Sokolnicki rozwarł wreszcie ogromne powieki i klął na czem świat stoi. Jeszcze niezupełnie rozbudzony pytał:

— Czy atakują?

— Atakują, atakują!

Ocknął się wreszcie i siadł na łóżku. Za chwilę otrząsnął się i porwał na nogi.

— No, chwałaż Bogu i za tę kruszynkę snu! U kaduka! Ja się już nigdy w życiu porządnie nie wyśpię. A no! Zaczynamy!

— Pan generał raczy mi pozwolić, żebym mu towarzyszył?

— Prawda, coś mi wasan w tej materyi gadałeś. Cóż ja mam z tobą zrobić?

— Jako zwyczajny widz...

— Niema widzów w bitwach. A ja ci powiem *sub rosa*, że my nie na *bal paré* idziemy za tę grobelkę. Gdzie twój pułk stoi?

— Właśnie tego nie wiem.

— To się dowiedz i kwita!

— Panie generale!

— Zaraz... Umiesz po niemiecku?

— Umiem.

— Ale czy napewno?

— Umiem, panie generale.

— No dobrze. Będziesz mi potrzebny, jako tłómacz... w razie pojmania, uważasz, niewolnika. Ale czegóż łazisz rozpięty, jak mamka?

— Bandaż.

— Bandaż... Pokaż-no się. To szósty pułk. Z pierwszej formacyi. Pod Tczewem byłeś?

— Byłem.

— Pod Gdańskiem?

— Byłem, panie generale.

— Jako »widz«?

— Właściwie...

— Rozumiem. To wiedz, że ja cię kurować nie będę. Możesz przy mnie być i rób, jak ci się podoba. Olbromski. Pamiętam tamtego! Zacny był oficyerek, choć mazgaj i sentymentalista. No, w drogę!

Wyszli na świat. Ciemne były jeszcze pola. Płaską otchłanią słały się na wschód i na zachód. W stronie Jaworowa, na wodach szeroko rozlanych, na stawach niecił się słaby brzask. Przejmujące zimno szło z nizin Rawki od strony południowej.

Rafał skoczył w podwórze i po chwili gwałtownego kołatania wynalazł ludzi, a ci mu w mig podali osiodłanego »Bratka«. Generał kazał dla siebie zaprządz szkapę do małej bryczulki. Wkrótce jechał do Raszyna, powożony przez brudnego parobka. Olbromski konno towarzyszył mu z boku.

Zdala już, na gościńcu i w obrębie szańca, przed kościołem raszyńskim, spostrzegli równe linie wojska, stojącego w szyku. Rogate, czarne czapki z orłami i jednakie pompony, krótkie kurtki z białymi plastronami, białe spodnie, kamasze i ciżmy tworzyły długie rysy w ciemności. Tabor armat i wozów formował za plebanią, nad stawem, u jego nizkiego wybrzeża, ciemne i chropawe wzgórze. Na prawo i na lewo od drogi, w polu, między Opaczą a Raszynem, bielały namioty. Gdzieniegdzie wałęsał się jeszcze dym gasnącego ogniska. Przy drodze, wzdłuż doliny, stały na koniach pikiety ułańskie z chorągiewkami w futerałach, z pistoletem na pogotowiu, nieruchome, błękitne we mgle i ciszy. Rafała ogarnął dawno nieuczuwany lęk i smu-

tek wśród tego snu wojska. Czekał z niecierpliwością na alarm, wystrzał...

Ale cisza była nieprzerwana. Mgły nad stawem kłębić się poczęły i błąkać. Czarne zamajaczyły w nich olchy, wierzby...

Sokolnicki siedział w wózeczku i bardziej do siebie, niż do słuchacza, mówił:

— Toż to baterya artyleryi konnej, Sołtyka... Nie prawdaż? Cztery armaty ośmiofuntowe, dwa granatniki sześciocalowe. Sześć wozów do tej bateryi, sto koni, powiedzmy, sto cztery konie. Na prawo cóż to tam śpi w tych wściekle białych namiotach?

— Sasi, panie generale.

— Masz słuszność, Sasi. Trzy bataliony, 150 huzarów. Dwanaście armat. A tamte ku Michałowicom działa... Widzisz? To kompania młodych frantów, Ostrowskiego i Włodzia Potockiego.

Wózek wolno brnął w kałużach i koleinach bagnistej drogi warszawskiej. Nie dojeżdżając do szańca, Sokolnicki zlazł z bryczki. Trzy bataliony, ujrzawszy go, uformowały się.

Wypadli z szeregów adjutanci i, salutując, okrążyli generała. Pułkownicy — Godebski, Małachowski, Sierawski, dowódcy tych batalionów na ten dzień 19 kwietnia, dosiedli koni i zajęli swe miejsca. Zabrzmiał rozkaz, trzykroć powtórzony. Mignęły oficerskie szpady, jak jedna. Linia bojowa wraz sprezentowała broń. Sokolnicki wyprostował się. Twardym krokiem szedł zwolna przed wyciągniętym frontem. Mijając pułkownika Godebskiego, który szlachetnem męstwem, krwią,

ranami zdobył swe szlify we włoskich i niemieckich wojnach, pozdrowił go rycerskiem spojrzeniem i ukłonem wodza. Mijając pułkownika Małachowskiego, który dowodził braćmi we Włoszech, na oceanie, na wyspie, który widział wszystko od początku do końca i z San Domingo powrócił, pozdrowił go ukłonem wodza, który był razem ukłonem czci. Mijając pułkownika Sierawskiego, który przebył, podobnie jak tamci dwaj, wszystką z żołnierzem dolę niedolę, pozdrowił go rycerskiem spojrzeniem i ukłonem wodza. Przyprowadzono mu konia. Siadł nań ciężko. W milczeniu przez chwil kilka patrzał w głąb batalionów.

Już zorza ze słońca, wstającego daleko, spływała na wody stawu Raszyna. Granatowe fale lelejały się cudnie i, melodyjnie chlupając, tańczyły dokoła badylów suchych trzcin. Żywym płomieniem z głębin przeźroczystej wody wybiegły jasne pędy tataraku. Było tak cicho, że wojsko usłyszało daleki szelest suchych zeszłorocznych szuwarów.

Gorzko, żałobnie, smutno szumiały. Ich jasno-żółte, złotawe liście, dotykając się wzajem, szerzyły w pustce ni to skrzeczenie, ni to śpiew. Chwiały się ostre kity nad głębiami. Mnóstwo z nich wiatr już obił, wicher obdarł, a granatowa fala przyniosła aż do grobli i ułożyła na jej krawędzi w równe, zygzakowate mogiły.

Z gąszczów oczeretu raz wraz wypływały dzikie kaczki, kołysały się na modrych falach. Kurki wodne pokrzykiwały w gęstwinie. Nad dalekiemi błotami Jaworowa tuman stał gęsty.

Po drugiej stronie grobli wyłaniało się z mroku

bajoro, jeszcze nie okryte trawą. Zeschły chwast błotny, rude chrósty rokicin i ciemnobrunatne olchy z czerwonemi dziuplami zaścielały nizki rozdół, przerznięty przez strumień, który sączył się z upustu w przeciwległym końcu grobli, od strony Falent. Grobowy, zimny wyziew wstawał z tego podziemia, jakoby widmo. Wyciągniętemi rękoma, które w siebie wchodzą i wychodzą, obejmował stojące rycerstwo. Schylał ku nim potworną głowę i mroźne usta przyciskał do czerstwych policzków młodości.

Sokolnicki noga za nogą podjechał do batalionu, prowadzonego przez pułkownika Godębskiego. Rzucił półgłośny rozkaz:

— Przez groblę — naprzód!

Szefowie dwu batalionów obocznych po prawej i lewej stronie kazali zejść półplutonami, batalionowi na prawej stronie w lewo, a batalionowi na lewej stronie — w prawo. Jednocześnie batalion Godebskiego zaszedł półplutonami w lewo i w prawo. Dwa półplutony, stojące na drodze między kościołem a murowanymi domami, gdzie mieścił się sztab główny, ruszyły naprzód na podwójny odstęp półplutonu. Ujrzawszy, że przewodni zajęli swe miejsca na prawem i lewem skrzydle półplutonów w pierwszym ich szeregu, generał Sokolnicki zakomenderował do uskutecznienia:

— Kolumna — naprzód!

Szefowie powtórzyli rozkaz. Sokolnicki zwrócił konia z rozkazem:

— Marsz!

Gdy powtórzony gruchnął ten rozkaz, półplutony stojące u wejścia na groblę pomaszerowały naprzód krokiem taktowym. Kiedy ostatni z nich wszedł między dwa rzędy drzew, Roman Sołtyk, kapitan komendant parku artyleryi, przeznaczonego do przedniej straży, rzucił rozkaz:

— Baczność! Na prawo do boju. Przewodni na prawo. Marsz!

Jezdni kanonierowie puścili konie. Ciężko zahuczał śpiż. Głowy, wyloty, czopy, puste komory, zielone łoża, przodkary i koła dudniły potwornie w ciszy porankowej. Jęknęła do głębi pod kopytami wstrząśnięta ziemia. Pnie i konary drzew dzikich, z jednej i drugiej strony obrastające groblę, zadrżały, jakoby w ciemność bojaźni wtrącone.

Sokolnicki noga za nogą jechał zdala od wszystkich, sam. Przed oczyma jego po prawej i lewej ręce rozwierały się dwie niziny: staw i błota za groblą. W uszach mu szumiał przykry szelest trzcin. Spokojnie z pod nasuniętych powiek patrzały kamienne oczy. Na wargi wyszedł jad wrodzonego śmiechu. Przymknął wtedy oczy i myślał:

– Ja to was wiodę w to miejsce zgniłe, ja to was wiodę...

Ja to waszymi trupami zapełnię te niziny...

Rozkazuj wodzu! Słucha twój podkomendny. Nie było cię, wodzu, przy dalekich sprawach nad rzeką Padus, nad rzeką Tyber, nad rzeką Ren, nad jeziorami Włoch, w wąwozach Tyrolu, w czeluściach Szwajcar. Spałeś w puchu za onych dni, wodzu nasz. Żegnajcie,

żegnajcie, młode moje lata! Ty stary szwedzki okopie pod Grodnem, gdziem młodymi trudami związał pięć tysięcy faszyn, trzy tysiące uplótł koszów, dwa tysiące płotów — nadarmo. Gdzie moje kwatermistrzostwo ramię w ramię z Sułkowskim... Bądź pozdrowiony, cieniu...

Zwiesił głowę. Ręce oparł na kuli. Mgły snują się w oczach, cienie snują się w myślach.

— Warszawa... Pod Toruniem, pod Sochaczewem, pod Drzewicą, pod Radoszycami... Samotna, długa noc. Cisza. I widok w Kownie przysięgi!

Kiedyż to ja cię wyrąbię, ziemio!

Kiedyż ty przyjdziesz, dniu mojej władzy, początku mojej pozgonnej chwały?

Ale, o Boże mój, upokórz serce...

Daj mi w tym dniu rozkaz, poczęty w mądrości, żebym jego szańcem zasłonił bracią. Daj mi radę w najgorszej chwili. Daj mi męstwo ostatniej godziny, kiedy popłoch rozpędza żołnierzy, jak zgraję dzieci.

Odwróć ode mnie śmierć... Zmiłuj się, Panie!

Któryś mię wywiódł pod Offenbach i Bergen, z pod gradu kul pod Hohenlinden, z pod paszcz u Salzburga, z pomiędzy bagnetów nad Innem, nad Aachem, któryś mię ratował pod Stolpą, pod Heyburz, w dziele frydlandzkiem...

Ty, coś mię krzepił w przejściu alpejskiem, kiedym był sam jeden niezłomny wódz, kiedy odeszli wszyscy okrom Fiszera, kiedy tysiąc wiernych żołnierzy szło bez butów, dwa tysiące napoły boso, połowa legii nie miała koszul, a dwa tysiące były bez ubrania.

Dałeś mi łaskę walki na tych zagonach...
Zachowaj ramię me, wspomóż serce!
Ale, o Wszechmogący, jeśli Twa wola...
Daj mi śmierć Żółkiewskiego...
Który widzisz duszę moją w tej minucie aż do samego dna...

Druga kompania artyleryjska konna przebyła całą długość grobli, minęła upust i zstąpiła w płaszczyznę.

Rafał dał wówczas koniowi ostrogę i ruszył z pod Raszyna naprzód, wymijając za groblą całe wojsko. Podjechał do dowódcy. Sokolnicki w przelocie rzucił nań okiem i, nie patrząc, wydał rozkaz:

— Jedź waćpan do wsi Falent Wielkich, o pół wiorsty za folwarkiem leżących przy drodze nadarzyńskiej. Idzie w te tropy kompania piesza. Każesz babom i dzieciom wynieść się ze wsi co tchu. Każda może zabrać ze sobą wszystek żywy dobytek. Chłopów co do jednego zatrzymasz. Żeby mi żaden nie uszedł. Za cztery pacierze spalę wieś ze szczętem. To im powiedz. Wszystko masz wykonać natychmiast.

Odkomenderowana kompania grenadyerów w bermycach z białymi kordonami, o szlifie czerwonej z włóczkową torsadą — ruszyła błotnistą drogą za pałac falencki. Wyszła z bagnisk porosłych olchami i znalazła się u wylotu wioski. Dwadzieścia siedlisk stało tu po obudwu stronach odwiecznej, grzązkiej drogi, prostą linią ciągnąc się w kierunku lasów i najbliższej wsi — Laski. We mgle widać było drzewa następnej — Janczewic.

Rafał wypuścił konia. Za chwilę był w środku wsi.

Ludność Falent, obudzona ze snu, wyległa z chat. Były to wszystko domostwa drewniane, mazurskie, bielone, pod słomianemi strzechy. Od dwu blizko lat posiadając prawo »przenieść się w obrębie Księstwa Warszawskiego tam, gdzie jego dobra wola będzie« — wieśniak falencki pozostał przecie na miejscu. Z za płotów, z za węgłów, z ciemnych sionek wyglądał teraz na wojsko maszerujące.

Olbromski donośnym krzykiem począł zwoływać chłopów do siebie. Zbliżali się lękliwie, niechętnie, noga za nogą.

Kiedy ich zawiadomił w formie jak najbardziej stanowczej, ordynarnej i rozstrzygającej, że baby i dzieci mają co duchu uciekać ze wsi, rozległ się straszny popłoch, jęk, płacz, zawodzenie. Jak z pod ziemi wyrosłe, zjawiły się u jego strzemion kudłate, napół odziane w wełniaki, brudne wiedźmy, dzieci z kołtuniastemi czuprynami, wstrętni, schorzali starcy. Wszystko to skamlało jednym głosem:

— Zmiłuj się!...

Wyrwał pałasz, precz ich nim odegnał i ukazał schylone bagnety kompanii pieszej.

— Która teraz, we dwa pacierze, nie wywiedzie dobytku, nie wypędzi gadziny, to już straci na zawsze. Za cztery pacierze wieś będzie podpalona ze czterech rogów i pójdzie z dymem.

Rzucili się wszyscy do obór, do stajenek, do chlewów. W mgnieniu oka napełniła się ulica. Ryczały krowy, rżały konie, kwiczały świnie, gdakały kury,

gęgały gęsi. Wśród przekleństw i okrutnych wyklinań chłopskich, przeraźliwych, jak sama chłopska tylowieczna niewola, wśród modlitw, zaklęć, próśb, ciągniono na powrózkach krowiny-żywicielki, pędzono prosięta z pieczołowitością, jakoby dzieciątka rodzone, zaganiano ze szlochem koguty, kaczęta, gęsi. Rafał patrzał w ten obraz przygasłem okiem. Oto kobiecina z najbliższej chaty, zawiązawszy w płachtę na plecy jedno dziecko płaczące, drugie dźwiga w kołysce. Łka, zanosi się od chłopskiej, od zwierzęcej rozpaczy. Pojechał środkiem wsi i obnażonym pałaszem dawał na prawo i na lewo znaki pośpiechu. Widział w pierwszem na prawo siedlisku silnego chłopa, jak w portkach i koszuli, wprost ze snu, z paździorami słomy w kosmatym łbie wyrzucał przeze drzwi graty, statek, ławy, kosy, widły, garnki, zczerniałe od dymu i brudu święte obrazy, jak wyrywał rozpaczliwie ze ściany zabitą głucho gwoździami ramę pełną przepalonych szybek i niósł ją dokądś w pole, niby najdroższy skarb. Ujrzał w drugiej chacie bose dziecko, wyrzucone pode drzwi. Chore było na jakieś krosty. Wyrwane z legowiska, drżało, oparłszy się plecami o zmurszały słupek płotu. Przyciskając kolano do kolana, przestępowało z nogi na nogę w fiolctowem błocie gnojówki. Zamglony, zadymiony od gorączki wzrok jego skierował się na Rafała. Spalone usta wydawały nieznośny dźwięk. Na progu innej chaty stare babsko z nieustannym jękiem pakowało pierze w rozdartą pierzynę, co chwila chwytając się oburącz za ogłupiałą głowę. Tam chłop biegał w dyrdy za wioskę, wynosząc swe bety, tam wytaczano beczułki

z kapustą, wynoszono worki, zdzierano co nowsze poszycia ze strzech i wiązano je w snopki.

Kiedy wypędzono już sprzężaj i gadzinę, wyniesiono z chałup, co tylko się dało, chłopi zaczęli rozgradzać płoty, wyrywać kołki, wrzeciądze, zawiasy...

Kompania piesza przeszła wzdłuż ulicę wioski. Oficer, prowadzący ją, zabronił chłopom ruszać się z miejsca. Każdemu polecono mieć w ręce rydel, łopatę, widły, siekierę.

Uszykowani w szereg czekali. Tłum bab, dzieci, zwierząt i ptactwa eskortował odrębny patrol, wydzielony z kompanii, w kierunku Falent Małych przy drodze ku Piasecznu. Był już dzień jasny, kiedy szlochający gwar oddalać się zaczął i wolno zacichł. Na drodze, w kałużach rozmazanych przez wojska leżały resztki gratów, włóczyły się korowody pierza. Tam i sam wędrowała zdziwiona, osierociała kura. Połamane płotki przed chatami odkryły lechy ugracowane już i zasiane w ogródkach.

Rafał przeleciał jeszcze raz wzdłuż całej wsi, zajrzał to tu, to tam i w skok wrócił do dowódcy. Sokolnicki tymczasem rozmieścił już był swe siły. W lesie olszowym, który długim smugiem ciągnął się od Falent Małych, zasłaniał dwór i folwark, przedzielał go od Falent Dużych i sięgał aż do wsi Puchały, postawił batalion fizylierów Godebskiego. Część tego batalionu przeznaczył do zajęcia Falent Dużych czyli Wielkich, wsi sztorcem wysuniętej w pole. Między wsią Falenty Małe a przecinającą je drogą do Piaseczna, oraz wsią Falenty Duże, na czele folwarku, a jakoby

u podstawy opustoszałej wioski, postawił batalion szóstego pułku pod Sierawskim i batalion Kazimierza Małachowskiego. Batalionowi pierwszej linii, broniącej lasu z pola, od strony Nadarzyna i bliższego Sękocina, przydał dwie haubice i dwa wozy z konnymi kanonierami, czyli trzecią sekcyę siły artyleryjskiej. Cztery działa Sołtyka umieścił obok drogi raszyńsko-falenckiej, między dwoma ramionami wojsk swoich na suchym wzgórku a w taki sposób, że miały przed wylotami otwarte pole i dostęp do wsi. Za armatami miał twardy dostęp do grobli i schodzące się w tem miejscu drogi do Piaseczna, do Janczewic i do Nadarzyna.

Dwie armaty mogły być w każdej chwili przyłączone do któregokolwiek z batalionów. Wozy dostatkowe stały w pobliżu, o dwieście kilkadziesiąt kroków, pod zasłoną drzew. Bliżej, o jakie sto kroków, były na drodze wozy prochowe, a o trzydzieści kroków — zabudowania folwarku.

— Wypędzeni? — zapytał generał z daleka jadącego ułana.

— Według rozkazu.

Sokolnicki na czele kilku plutonów udał się sam do wioski. Skoro tylko piechota weszła w jej ulicę, otrzymała rozkaz złożenia broni w kozły i zabrania się do roboty. Pod kierunkiem oficerów żołnierze, a pod kierunkiem żołnierzy chłopi zdzierali co tchu słomiane strzechy i kłoć obdartą wynosili zdala za wioskę. Tam ją układali rzędem na polu dla przysypania ziemią i utworzenia przedpiersia. Kiedy krokwie wszystkich chat były ze słomy ogołocone, kazano chłopom nosić

na pułapy nawóz przygotowany na rolę, obficie zlewać go wodą i krowieńcem z gnojówek. Po upływie godziny usilnej pracy wszystkie polepy i powały grubo okryte zostały grząźkim nawozem. Wówczas wnoszono tam wyrwane drzwi, szafy, ławy, beczki i tworzono z nich schrony i kryjówki dla strzelców. Jednocześnie rozgrodzono wszystkie płoty, tworzące przede wsią zwarte opłotki, i wycięto drzewa, które mogłyby nieprzyjacielowi służyć za osłonę w polu. Na południowym krańcu wsi, a jeszcze w jej obrębie chłopi pod bagnetem kopali co tchu dwa szerokie a głębokie doły na całą rozległość drogi.

Wysypaną z nich gliną okrywano ułożoną słomę i tworzono naprędce przykopę ziemną. W owe doły wprowadzono po osie drabiniaste wozy, naładowane kamieniami, graciwem, gnojem i dobrze zasypane ziemią. Ścięte grube sokory z za wioski, zbite na krzyż kłocami, wkopywano w ziemię w miejsca próżne. Przestrzeń między niemi gorliwie zapełniano faszyną, ziemią, gnojem, opłotkami, wyrwanymi z przed chat wewnątrz wioski, żeby przejść i pośpiesznego ruchu nie tamowały.

W przejściach między jedną chatą a drugą, pomiędzy gęsto zabudowanemi stodołami, sypano również fosy, wybierano rowy, stawiano za nimi podwójne palisady, wkopywano zasieki z przyciesi i belek. Niektóre chałupy zostały rozebrane zupełnie z tego względu, że stały nieco na osobności i nie mogły być włączone do umocnionego obszaru.

Kiedy koniec południowy wsi z pola był już

nieco oszańcowany, Sokolnicki użył dziesięciu kompanii żołnierskich do zniszczenia drogi w kierunku Nadarzyna. Zrównano precz w polach rowy, przykopy, płoty, ścięto wszystkie drzewa. Pozostałe ośm kompanii zapędzone zostały do innej roboty. Ponieważ od zatkania wejść, a osobliwie południowego, do wsi zostało jeszcze nieco dylów, belek i wyrwanych wrótni, kazano je opierać o ściany wysuniętych chałup i okładać z zewnątrz bardzo grubo mokrym nawozem. Rozbierano wciąż jeszcze niektóre stodoły, umacniano miejsca co słabsze, podpierano z zewnątrz zasieki i sypano, sypano ziemię bez końca.

Batalion pułku szóstego pod komendą legionisty Sierawskiego, stojący najbliżej Małych Falent i grobli, okryty był lasem najszczelniej, to też ten batalion pracował najciężej około umocnienia wioski.

Było już popołudnie, kiedy przygotowania do odporu zostały jako tako uskutecznione. Żołnierze od dźwigania ziemi, nawozu na chłopskich noszach, belek i ciężarów byli zbłoceni, zgrzani, brudni, a nadewszystko zgłodniali. Dano sygnał na spoczynek. Pozwolono zjeść posiłek. Właśnie wiara siadła na ziemi i zabrała się do mantelzaków i manierek, kiedy polem po głęboko miękkich zagonach przypadł w galopie oficer z jazdy Rożnieckiego. Szybki zdał raport dowódcy i co koń skoczy pognał na Puchały ku Michałowicom. Sokolnicki spokojnie posilał się kromką chleba i kawałkiem zimnego mięsiwa. Poszukał Olbromskiego i rzekł do niego:

— Jedź waćpan brzegiem olszyny i bajorów aż

ku Puchałom. Będzie tam droga, prowadząca na cmentarz. Objedź cmentarz z tamtej strony i wysuń się ile tylko można najdalej w szczere pola, na owe nieznaczne wzgórki naprost Raszyna. Patrz stamtąd pilnie na wsze strony, a osobliwie w kierunku na Laski, na Janczewice, Lesznowolę. Skoro coś ciekawego zobaczysz, leć ku mnie z raportem.

Rafał puścił konia we wskazanym kierunku i wkrótce był za cmentarzem. Grunt tam był lżejszy, przypiaskowy. Rola nie lgnęła już, lecz nawet zlekka pyliła. Koń szedł po niej ostrą ryścią, a w jeźdźcu biła, jak śpiżowy, przepotężny dzwon, na trwogę, rozkosz życia.

Siły w nim wszystkie wzmogły się i podniosły. Czuł w sobie ową rozkosz szczególną, podnieconą aż do najwyższej kresy rozkosz niebezpieczeństwa i zniszczenia, jak na widok pożaru w ciemną noc, który obejmie drewnianą wieś, słomiane, zwarte jej strzechy i oszalałych ludzi. Niby to jest żal, strach, boleść, a w rzeczy radość niesłychana. Jęk ludzki podaje duszy skrzydła, krzyk rozpaczy podjudza ją, jak wicher ptaka, a widok wysokich, krwistych kłębów dymu szelmowsko ją zaspokaja.

Pod karczmą, zwaną Wygoda, na drodze do Janczewic, tak samo, jak i dnia poprzedzającego, stała konnica Rożnieckiego. Część jej można było jeszcze dostrzedz pod lasem Nadarzyńskim, za Sękocinem. Nie widząc żadnego w tej jeździe ruchu i wyczekawszy sporą chwilę, Rafał posunął się dalej, żeby z płaskiego wzniesienia szerzej okiem sięgnąć. W tej samej chwili

konnica polska zaczęła wolno, wolno rozsuwać się szwadronami i cofać w kierunku Sokołowa, Komorowa, Pęcic. Dalekie barwy grały w cudnem słońcu kwietniowem w gęstym oparze wysychających ról. Raptem dymiące się słupy drgnęły, jakoby wpół nożem przecięte. Ogromny, błękitny kłąb wypadł z nad szwadronów uchodzących i wraz po nim cudnodźwięczny huk przeleciał nad okolicą, niby drżący okrzyk. Rafał roześmiał się wesoło. Zawołał prawie z rozkoszą:

— Aha! Nareszcie!

Drugi huk, trzeci. Potem dwa prawie jednocześnie.

— No! No! — wyzywał je kawaler. — Bij, bij!

Jak na zawołanie runęły: raz, dwa, trzy, cztery! Chwila ciszy — i znowu, a coraz częściej. Słupy błękitnego dymu i cudnie okrągłe, albo wydłużone jego obręcze wzniosły się ociężale w stronę Lesznowoli. Linie jazdy polskiej łamały się szybko, łączyły ze sobą i, wciąż ustępując, szły miarowo w kierunku Pęcic. Olbromski ujrzał Wygodę opuszczoną, w płaskich polach. Wytężył w tamtą stronę wzrok i w dalekich oparach ujrzał szarawe, ruchome chmury. Zupełnie jakby bardzo daleki las, porznięty w poręby, zbliżał się polami.

— Idą... — wyszeptał.

Serce w nim zadygotało na widok nieprzejrzanych mas. Brzmienie słów bez sensu i związku pływało koło uszu. Oczy nie mogły się dość napatrzyć. Nogi zdrętwiały tak dalece, że nie mógł trącić konia ostrogą.

Pozostał na tem polu dopóty, aż konnica Rożnieckiego oddaliła się i stała w oczach także wędrownym, szarym lasem. Strzały armatnie ucichły. Tylko owe linie stawały się coraz bardziej jawnemi. Widział już dokładnie płonące linią migotliwą rzędy bagnetów, ruchy nóg, barwy... Jeźdźcy wysunęli się naprzód z pomiędzy kolumn. Zrazu można było rozpoznać jedynie maść koni, wkrótce ukazały się barwy huzarów palatyńskich z kompaniami pandurów, z dwoma skrzydłami kajzer-huzarów pod wodzą generała Schauroth'a, a wreszcie brygadę generała Speth'a. Wszystka jazda ostrym cwałem sunęła ku Wygodzie.

Rafał spiął »Bratka« ostrogami i co koń skoczy poleciał prosto ku olszynie. Zdumionemi oczyma szukał batalionów. Nie widział ich nigdzie. Dopiero przed samemi zaroślami ujrzał wyprostowane linie pośród drzew... W Falentach również nie było nikogo. Całe miejsce spało w pustce i ciszy. Ani jednego człowieka... Dziwnie bolesny żal tknął jeźdźca... Koń jego leciał po stratowanej, dziurawej od kopyt roli, do kolan zapadając w glinę. Na drodze błotnistej, między drzewami w pobliżu pałacu i rezerwy Sierawskiego stał na koniu Sokolnicki. Trzymał przy oczach perspektywę polową. Nie zwrócił na Olbromskiego uwagi, gdy ten stanął przed nim, z mistrzowstwem i potężną siłą osadziwszy konia. Koń ów chwytał dech ze świstem, a oficer był w pocie. Czuł, że rana pod pachą i na boku krwawi, że krew idzie w bandaż obficie. Był tak szczęśliwy...

Obok odprzodkowanych armat stali kanonierowie i pomocnicy, twarzami zwróceni do swych dział. Pierwsi

dwaj pomocnicy równo z wylotem, drudzy dwaj równo z osią, kanonierowie naprost grona, trzecia para pomocników równo z osią przodkary, czwarta para o krok dalej w stronę dyszla i piąta o krok dalej. Jedenasty pomocnik stał z prawej strony przy samym końcu dyszla. Nieruchome konie od armat i wozów, zwrócone w kierunku Raszyna, strzygły uszami. Zapalone powrozy lontów tliły się w ręku kanonierów żywymi, mocnymi, kończystymi stożkami.

— Widziałeś waćpan naszą konnicę? — zapytał Sokolnicki głosem grubym, bezczelnym w tej ciszy i oczekiwaniu.

— Widziałem, generale.

— W którem miejscu?

— Około karczmy, w miejscu rozstania się dróg, później w polu, gdy uchodziła na Sokołów...

— Wszystka odstąpiła?

— Tak jest, panie generale.

Sokolnicki przesunął lunetę w innym kierunku. Po chwili przytrzymał ją silniej, wreszcie odjął od oczu i złożył. Twarz jego była zamazana, jakby przemarzła. Cmoknął ustami... Oczy leniwie wlokły się po dziwacznej karykaturze wioski Falent, po rowach, zasiekach, wilczych dołach, naprędce tu i ówdzie w ziemi wydartych i zarzuconych chróstem... Przeszły na zaczajonych w lasku żołnierzy ósmego pułku, pierwszy raz do boju wiedzionych, szły po linii starych, pruskich karabinów z rozkołatanemi skałkami...

Jak grom, runął w ciszę strzał armatni. Za pierwszym huknęło ich z dziesięć odrazu. Drzewa zatrzęsły

się całymi pniami aż do korzeni, zadygotały ich nagie gałęzie i delikatne bazie, jakoby piąstki wylękłego dziecka. Z Raszyna wybuchła naraz kanonada wszystkich dwunastu dział saskich Dyherrn'a, szwadronu artyleryi Antoniego Ostrowskiego i kompanii Włodzimierza Potockiego.

Sokolnicki skinął brwiami na Rafała i obadwaj ruszyli środkiem drogi ku Falentom. W linii międzydrzewnej, idącej przez groblę wprost na Raszyn, widzieli tyralierów polskich, czyhających na samem wybrzeżu bagna. Dym z Raszyna wywalał się już nad jasne wody stawu i ciężkiem cielskiem wpełzał między trzciny.

— Spróbują teraz leźć wprost przez błoto, na Raszyn z pola... Nie znają drogi... — mówił Sokolnicki, otrzepując szpicrutą bryzgi błota ze spodni i ciżmów. — Przekonają się, że nie przelezą, bo to głęboko, a wtedy runą na nas w Falenty. Cóż ty w tej zabawie myślisz robić, mości ułanie? Skończyła się już twoja rola...

Pomimo straszliwego huku, Rafał słyszał te wesoło drwiące słowa. Nogi pod nim drżały, jak wczoraj, kiedy to osłabł w lesie nadarzyńskim. Serce waliło z niepowstrzymaną siłą... Tchu nie mógł złapać... Błysnęły białe zęby generała.

— Boisz się, kiedy strzelają nie do ciebie. Nie lubisz tego? Cóż to będzie, jeśli zapolują na twoje łydy?

— Nie boję się, generale! — krzyknął dumnie i hardo.

— A widzę.

Trzaskający łoskot karabinowy wyrywał się z pomiędzy grzmotu armat; huczał coraz bliżej i bliżej, wzmagał się i potężniał tuż w dymie. Sokolnicki dźwignął się na strzemionach, przeciągnął ramiona...

W tej samej chwili na zakręcie drogi ukazał się adjutant i, salutując w biegu, ukazywał pole przed wioską.

Generał, nie czekając na jego słowo, polecił:

— Plutonami!

Zjechali obaj z drogi wolno, noga za nogą zbliżyli się do batalionu Godebskiego. Wnet usłyszeli komendę:

— Dwoma szeregami!

— Pluton!

— Tuj!

— Cel!

— Pal!

Runęły pociski batalionowe.

Za chwilę dokoła jeźdźców warknęły kule austryackie z daleka idące, ścinając gałęzie olch i gwiżdżąc przeciągle po wodach. Sokolnicki wjechał w szeregi fizylierów i wesoło, głośno zaczął sam komenderować, trzaskając w powietrzu szpicrutą.

— Nabij!

— Do ładunku!

— Odgryź ładunek!

— W rurę!

— Za stempel!

— Przybij!

— Stempel na miejsce!
— Plutonami!
— Cel! Pal!

Wrzynał się swym koniem coraz głębiej między szeregi rogatych czapek aż ku przodowi batalionu i pobrzeżu lasku. Rafał, zostawszy w tyle, widział go owianego błękitnym dymem i, pomimo strzałów huczących, słyszał wciąż skróconą komendę:

— Nabij!
— Dwa!
— Trzy!
— Cztery!
— Cel! Pal!

Rafał był w stanie niesłychanego podniecenia, ale już nie drżał tak całem ciałem, jak przed chwilą. Mordowała go tylko jedna myśl: czemu nie ma w ręku karabina? Mieć karabin! Brać go do nogi, nabijać, wznosić, na oko i znowu, znowu, bez końca. Stać w szeregu! Słyszeć rozkaz tego jaśnie wielmożnego głosu, jak gdyby rozkaz rodzonego ojca: dwa, trzy, cztery!...

Wtem jedno z drzew w lasku olszowym zaskrzypiało, jakby je niewidzialna siła zacięła do rdzenia u ziemi toporem. W tej samej chwili, w rzadkie bagno palnął ciężar kuli działowej, rozdarł je i wyrzucił w górę dwiema bryzgającemi skibami, jakoby dwie potworne wargi. Tuż w pobliżu Rafała przeleciał potężny ziew powietrza i pocisk z jękiem grzmotnął w groblę, wywalając w niej dziurę.

Koń ułana trwożnie zadreptał na miejscu, stulił uszy i zatargał łbem.

W dymie, daleko, w polach, przez które niedawno leciał jego koń, Rafał ujrzał naprost siebie zionące ognie i wybuchy kłębów dymu. Ognie poziome i dymy, ognie i dymy. Po każdym ogniu — słyszał huk tłukący tępo w ziemię, jakby w nią waliła olbrzymia stępa.

Chaos otoczył mu głowę. Huk ze wszech stron...

Zbliża się, zbliża. Widziało się, że za otaczającym go laskiem ziemia raz wraz pęka i że z jej głębokiej calizny wywala się ogień i dym.

Serce uspokoiło się i miejsce trwogi zajęło zdumienie. Ciekawość: co też z tego może wyniknąć? co się jeszcze stać może? — zagłuszyła wszystko. Naokół waliły się w bagno olchy ścięte kulami.

Niewidzialne siły ciskały konary, gałęzie, odszczepy, a nawet całe drzewa. W szeregach ciągle rozlegał się jęk tak straszliwy, jakby kogoś zarzynano nożem. Dym zasłaniał linie piechoty. Rafał, chcąc wszystko lepiej widzieć, tknął konia ostrogą i podjechał do armat.

Kapitan komendant leniwym krokiem przechadzał się od działa do działa, które były ustawione o ośmnaście kroków jedno od drugiego. Naczelnicy sekcyów stali przy przodkarach między jedną armatą a drugą.

Oficer od wozów i ogniomistrze czekali na skinienie kapitana komendanta. W oddali stały osiodłane konie kanonierów i naczelników sekcyjnych.

Z dymu wyjechał niespodziewanie Sokolnicki. Wyszukał oczyma Sołtyka i dał mu rozkaz:

— Ognia!

Sołtyk grzmiącym głosem zawołał na swoich:

— Baczność!

Każdy drugi pomocnik lewy uderzył lont w lewe ramię dla strząśnięcia ostrza popiołu, przeniósł go w wyciągniętej ręce o cztery cale przy końcu śladu prochowego...

— Pal!

Dotknęli lontami podsypki — i cofnęli się w swoje luki. Cztery działa wstrzęsły się i skoczyły w tył. Dym osłonił ich chmurą. Rafał słyszał tylko wokoło siebie komendy:

— Nabij!

— Za wycior!

— Przytkaj zapał!

— Po nabój!

I znowu:

— Wytrzyj!

— Za stempel!

I znowu:

— Przybij!

— Pocisk w działo!

Młody jakiś oficerek z twarzą surową i natchnioną, z okiem zimnem, schylał się nad dioptrą.

— Na cel!

— Pal!

Migały w dymie wyciory, głowy kanonierów w rogatych czapkach, obsługujących działa, złote hafty i akselbanty oficerów w zielonych mundurach, drągi, uzbrojenia — i ognie. W to miejsce zaraz skierowały

się kule austryackie dwunastu armat przedniej straży generała Mohra. Od huku (gdyż i dwa granatniki polskie przy batalionie Godebskiego bić zaczęły) nastał w uszach jednostajny dźwięk — jakby człowiek latał w rozkołysanym dzwonie. Bałwany dymu gęstniały wciąż, stały się z niebieskich bure, pełne sadzy prochowej, która dusiła i wyżerała oczy. Znieruchomiały jeździec nie poruszał ani ręką, ani nogą. Słyszał wokoło wołania i krzyki straszne. Nic jednak, nic nie mogło zepchnąć go z miejsca.

Znagła jakiś żołnierz w bermycy z białymi kordonami znalazł się u jego strzemienia i wzniósł na niego oczy przeraźliwe, tak dziko wywrócone, że Rafał ocknął się, jak ze snu. Tamten pchnął go kolbą karabinu i wegnał między konie artyleryi. Jeden z artylerzystów w rozpiętym mundurze, z pod którego ukazywała się skrwawiona aksamitna kamizelka, wrzasnął na niego, inny podniósł szablę. Rafał zdarł swego konia i stępa pojechał na prawo, ale tuż o kilka kroków koń jego potknął się na leżących ludziach.

Olbromski schylił się, żeby przez mrok dymu zobaczyć, co to za jedni, gdy wtem koń jego skoczył, cisnął się całym korpusem jakby przerażony okropnością widoku. Chrapnął, jak ongi zdychająca »Baśka«, wspiął się dęba i z wysoka runął na przednie kolana. Rafał wyrwał nogi ze strzemion i zlazł na ziemię. Koń jego drżał cały. Kłęby jego kurczyły się, skóra wytężała na nich. Pyskiem chwytał ziemię, a jęzorem lizał naokół przestwór. Wtedy dopiero Rafał zobaczył że ze zwierzęcia wypływają wnętrzności i krew się wali.

Odszedł stamtąd i, nie wiedząc zgoła, w jakim posuwa się kierunku, brnął przed siebie. Za chwilę znalazł się w szeregach woltyżerów. Uderzyły jego oczy znane mu barwy: żółte kołnierze, żółto-zielone szlify i zielone piórka na czapkach.

Stali w bagnie prawie po kolana. Nabijali bez komendy. Strzelali. Rafał potykał się na kępach, pniakach, gałęziach, właził na ciała zabitych i, gnany siłą ciekawości, przeciskał się naprzód. Twarzy niczyjej nie widział. Tak doszedł do plutonów, które biły się prawie na oko. Działo się to o kilkadziesiąt kroków przed nim. Dym nie pozwalał nic widzieć. Przy każdem tęższem drzewie czaił się człowiek, nabijał, strzelał, nabijał, strzelał.

Rafał chwycił karabin, leżący na ziemi, i stanął w szeregu.

— Równaj się! — krzyczał wciąż młody oficerek, usiłując sformować tu kolumnę i ruszyć z nią naprzód.

Starania jego szły na marne. Ludzie walili się co chwila. Kule rznęły, jak grad. Z pomiędzy drzew wynurzyli się żołnierze o twarzach bladych, z wystraszonemi oczyma. Były to bataliony Wukasowicza pod dowództwem pułkownika barona Pabelkovena. Zwartym szeregiem, ile było można wśród drzew, walili naprzód. Rafał w osłupieniu patrzał na ich wysokie czapy i skrzyżowane na piersiach białe pasy.

— Toż u pioruna oni... — tyle zdołał pomyśleć.

Na widok wrogów żołnierze batalionu Godeb-

skiego chwycili broń i rzucili się naprzód. Rafał ogarnięty szałem szedł z nimi.

Napadli na piechotę Wukasowicza z chłopską furyą. Kłóli bez sztuki wojennej, po chamsku, bagnetem, bili kolbami...

Rafał, nie umiejący robić bronią, chwycił starą pruską landarę za koniec lufy i zaczął prać co siły w ramionach. Za nim to samo uczynili inni. Widząc koło siebie kupę, jął nie komenderować, lecz przewodzić, jako szlachcic chłopom na pożarze: — A bij-że! A dyć to Niemcy! A nie dajta się! — Wbijali się w szeregi, najeżone skrwawionymi bagnetami, rzucali się na lufy, ociekające krwią.

Krótko trwało ich męstwo. Za chwilę musieli ustąpić. Żołnierz austryacki szedł na nich z wyniosłości w nizinę, szedł kolumną, liczącą trzy tysiące chłopa, zwartą i grubą. Były to bataliony Weidenfelda, batalion Dawidowicza i pułk siedmiogrodzko-wołoski.

Woltyżerowie uchodzili, brnąc coraz głębiej w bajora, odbijając się, odstrzeliwując, trupami zaścielając pole. Austryacy wbijali się w lasek olszowy potężną masą i zagarniali cały. Fizyliery polskie szły w tył coraz bezładniej. Panika padała na nich zwolna, jak rzęsisty a stale wzmagający się deszcz. Darmo szablami oficerowie pędzili do boju. Nadaremnie z gołą szpadą w ręce parł ich swym koniem Godebski...

Rafał znalazł się w truchlejącym tłoku, zbitym w masę, gniotącym człek człeka. W pas brnęli w rudawicy ku grobli stawu, swarząc się już między sobą. Kiedy wydostał się na twardsze miejsce i przetarł

oczy, ujrzał przed sobą szlak ku grobli, na którym stał niedawno z generałem. Teraz walił się nań zdemoralizowany batalion. Wprędce napełnili te miejsca, chargocząc, gadając, w kupę zbici. Armaty huczały przed nimi. Kule bluzgały po wodach stawu i kosiły żółte trzciny.

Wtem od strony Raszyna pędem nadciągnął hufiec jezdny. Przewodził mu książę Józef.

Za nim jechał Pelletier i kilkunastu adjutantów. Rafał poznał ich wszystkich oczyma, nie myśląc wcale o tem, kogo widzi. Baczył tylko na to, żeby nie być zepchniętym do stawu.

— Anizetka, Szpilka... — myślał, przypatrując się im przez małą chwilę.

Książę mierzył rozgromiony batalion ognistemi oczyma. Żołnierze, widząc go, poczęli się opamiętywać, jako tako formować i zwracać ku olszynie. Wódz zsiadł z konia i, nie wyjmując z ust krótkiej fajeczki *brûle-gueule*, stanął pośród żołnierzy. Od pierwszego z brzegu wziął z rąk karabin i zawołał:

— Za mną, bracia!

Żołnierze wydarli się masą z gęstego błota i ruszyli, jak jeden. Wpadli na piechurów austryackich z furyą, z wściekłością, z szaleństwem, tak nagle, jakby wyrośli z ziemi, czy wypadli z zasadzki. Książę szedł w szeregu, walcząc jak prosty żołnierz. Nigdy furya bojowa nie była wścieklejsza. Pierwsze szeregi austryackie wgniotły się w następujące i wdeptywały je w bagno. Nie było miejsca na bitwę. Kto był na placu, musiał zginąć. Sami oficerowie austryaccy, żeby zyskać

miejsce, musieli wydać tylnym szeregom kolumny rozkaz odstąpienia. W kilka chwil, lasek olszowy został zdobyty aż do wioski. Tam także wrzała straszna walka. Austryacy wdzierali się na oszańcowane chałupy, zdobywali każdą piędź ziemi, każdy rów, zasiek. Z góry, z pułapów, z za desek, z za węgłów, z dziur, szczelin raził ich nieustanny grad kul. Ale już z trzech stron od Puchał, z pola i od strony Jaworowa wioska była osaczona. Cały drugi pułk piechoty szedł na nią głębokim szykiem.

Rwano już deski rękoma, rujnowano zasieki, wyciągano dyle. Książę Józef wezwał przez adjutanta Krasińskiego pierwszy batalion pierwszego pułku, który pospołu z artyleryą strzelał bez przerwy, i dwunastu kompaniami natarł na oblegających wioskę. Szedł w pierwszym szeregu porucznik Skrzynecki. W ciągu kilku minut, oblegający zostali wypędzeni bagnetem i wyrzuceni w pole. Zarazem trzy lekkie armaty, przyprowadzone do Falent z Raszyna, wzmogły ogień artyleryjski. Fizyliery, zamknięte w wiosce, którymi kierował sam Sokolnicki, pozdrowiły księcia okrzykami chwały.

On siadł na koń i, otoczony swym sztabem, przejeżdżał wśród szeregów. Teraz rezerwa wysunęła się naprzód, dziewięć dział stanęło razem i poczęły z pod dworu w Falentach bić nieszczędnie.

Książę cofnął się do głównego swego stanowiska w Raszynie. Gdy zwolna jechał przez groblę, kule świstały koło niego, jak grad. Sokolnicki polecił umocnić pod ogniem nieprzyjacielskim zburzone oszańcowanie

Falent i formował znowu swoje trzy bataliony, żeby, w myśl tej samej co rano zasady, szczędzić żołnierza. Ale kiedy to spełnił i kiedy infanterya austryacka cofnęła się w pola, sypnął się na jego piechotę i artyleryę grad kul sześciofuntowych.

To nadchodzący korpus armii austryackiej, a mianowicie pierwsza jego brygada pod generałem von Civalard i Pflacher wzmocniła przednie straże Mohra. Waliły teraz dwadzieścia i cztery armaty, sześć nowych batalionów przyłączyło swój ogień do dawnych pięciu. Odpowiadało im dziewięć tylko armat. Rafał był w ich pobliżu. Słyszał hurgot taczających się, spracowanych dział. Cała baterya wiła się teraz w kurczach śmiertelnej pracy, miotała, jak skorpion w środku ognia. Ułan drżał nie jak na początku bitwy, ale jak wówczas, gdy szukał zabitej Heleny. Wrzaski rannych, jęki, wołania o pomoc, płacz i skomlenie zabiły jego duszę. Ściskając sobie głowę, słaniał się z miejsca na miejsce. Ktoś z artylerzystów kazał mu nosić wiadrem wodę, więc ją przydźwigał kilkakroć. Kiedy po raz trzeci biegł do zalewiska w olszynie, tuż o kilkanaście kroków od niego wyleciał w powietrze kieson prochowy. Słup ognia porwał w górę i roztrzaskał o ziemię zielone złomy, zabite konie, rozrzucił koła, postronki, chomąta. W ogniu ludzie poparzeni jęczeli. Jeszcze Olbromski nie zdążył nabrać wody w wiadro, kiedy wybuchnął drugi wóz. Za chwilę trzeci... Jakiś kanonier w dymie krzyczał:

— Granatnik zbity na ziemię!

Straszny trzask granatów rozlegał się w tem

miejscu. Wyrwana ziemia, lecąc w wybuchu powietrza, grzmotnęła Rafała w plecy i rzuciła w błoto stratowanej drogi.

W głuchem półomdleniu leżał, wciągając w płuca wolniejsze od dymu przy samej ziemi powietrze.

Coraz bliższe wybuchy dymu z kilku i kilkunastu naraz strzałów odtrąciły bataliony polskie. I oto znagła ucichły. Lecz w tejże samej chwili wyszły z kłębów burej sadzy nieprzejrzane szeregi piechoty.

Lasek od strony Puchał znowu dostał się w ich posiadanie. W pobliżu drogi wrzała walka na bagnety.

Sokolnicki, w ciągu całej bitwy kryjący żołnierza za lichemi osłonami, i teraz połowę swej siły wtłoczył do zabarykadowanej wioski. Rezerwę krył między nią a dworem, a batalion Godebskiego w lesie. Artyleryę trzymał wciąż na drodze i całą baczność zwrócił na obronę i bezpieczne posiadanie odwrotu przez groblę. Cały teraz nacisk artyleryi austryackiej wywarł się na wioskę. Kiedy piechota Mohra powtórnie wdzierała się do głębi lasku, targając bagnetami piechurów Godebskiego, armaty austryackie poza plecami tej piechoty zwrócone zostały paszczami na wschód, prostopadle do Wielkich Falent i poczęły bić w resztki siedlisk wieśniaczych.

Rafał trafił tam właśnie pospołu z kolumnami, zostającemi pod wodzą Sierawskiego.

Gruchnęła w tłumie wieść, że Godebski usunięty został z pola z raną śmiertelną i że go cnotliwy Fiszer zastąpił.

Nie wiedzieć kiedy, wraz z tłumem znalazł się

ułan między stodołami. Odetchnął. Nie było tu takiej ulewy pocisków. Do czasu... Na powałach chat, w stodołach, za wyrwanemi wrótniami siedzieli, stali, klęczeli i leżeli żołnierze, odpierając strzałami szturm infanteryi austryackiej, uderzającej na wioskę z południa. Jeszcze starczyło na pewien czas ładunków. Każdy żołnierz wypalił ich po sześćdziesiąt. Gdy kule armatnie rozwaliły którą stodołę, powyciągały z węgłów jej belki, wyważyły przyciesi, wyrwały z ziemi słupy, żołnierze przenosili się kupą do drugiej, do trzeciej, włazili na wierzch obdartych chat i bili znowu. Sokolnicki formował sam partye. Był wciąż na środku drogi wioskowej i dyrygował obroną. Widział stamtąd przez tylne, północne, odsłonione przejście swą świeżo złożoną rezerwę, do czego znowu powrócił, i artyleryę. Pewna partya żołnierzy nosiła wciąż wodę w konwiach, wiadrach, lusofach i zalewała wzniecone pożary. To tu, to tam buchał ogień. Gdy artylerya, wystawiona na ogień, cofać się zaczęła za pałac, ku grobli, cała siła dwudziestu czterech armat napastniczych buchnęła w Falenty.

Piekielny zaczął się ogień.

Belki, krokwie, łaty trzeszczały i łamały się, darły na szczapy i wióry. Ściany wyginały się i waliły na ziemię, jak długie. Od pożaru ratował mokry gnój i ziemia... Tworzyła się kupa ruin drewnianych, zlanych krowieńcem, stos spiętrzony wywróconych domostw. Za nim stawali wnet żołnierze i razili jeszcze wroga, stojącego w polu i sunącego wciąż naprzód z południa i wschodu.

Rafał podjął karabin zabitego grenadyera, przy-

pasał jego ładownicę i, zachyliwszy się pod sterczącą ścianę, zaczął nabijać i walić. Dzika żądza w nim biła, jak ten nabój w rozpalonej lufie. Zapomniał, gdzie jest i co się z nim przytrafia. Chwilami mu się zdało, że bije w kufę wilka w śnieżnym parowie i ma wszczepione w piersi jego pazury.

Słyszał głos Sokolnickiego zachrypły:

— Podsypuj, bracie, podsypuj! Ładunków nie gub! Mocno przybij! Nie żałuj! A zasie, pludry! Tuś to przywędrował, niemiecki ryju! Twoja tu ziemia, złodzieju? Bij, braciszku, jeden z drugim, nie żałuj!

To tu, to tam, wzmagał się wrzask niebezpieczeństwa, okrzyk rozpaczy. Zaczęły padać w wioskę, a raczej w zdruzgotane jej gnaty, płonące bomby moździerzowe. Bomby te w chwili pęknięcia na ziemi, albo w powietrzu, miotały ogień we wszystkich kierunkach. Były to wielkie, wydrążone kule z żelaza, napełnione prochem. Miały w sobie otwory, zabite czopami, długimi blizko na ćwierć łokcia, w których mieściły się tuleje, napełnione materyami palnemi.

Ogień obejmował stosy drzewa, mundury żywych i zabitych. Zalewano go, duszono nawozem, ale bomby, zaprawne sztucznymi ogniami, szły coraz gęściej, jakoby stada ognistych ptaków. Zapalała się i gasła wioska Falenty w stu naraz miejscach. Szerokie żagle płomienia widać było na przodzie i w tyle, ponad głowami i u stóp. Kule ośmiofuntowe łamały resztki rumowia.

Sokolnicki wyjął okrągły zegarek, rozejrzał się wokoło. Wytarł pięściami oczy, pełne piachu, dymu, sadzy. Odsapnął z głębi piersi. Strzepnął palcami. Była

blizko godzina piąta po południu. Najbliższemu z oficerów, rzekł z cicha, nad uchem:

— Batalion w tył... prawem skrzydłem... Marsz...

Woltyżerowie wynurzyli się z ognia i dymów. Byli czarni, okopceni, z tlącymi się mundurami. Przez północne wyjście z wioski tłoczyli się na drogę pod pałacem. Z trudem formowali oficerowie sekcye i pancerzowe roty z boku armat.

Sołtyk, otrzymawszy rozkaz, wołał w dymie ochrypłym głosem:

— Baczność! Ognia w odwodzie! Półbateryami! Marsz!

Wozy dostatkowe weszły na groblę pod osłoną dwu batalionów, zbitych w kupę i wypartych z olszowego lasu. Bataliony te wciąż szarpały się z nieprzyjacielem. Pierwsza półbaterya, złożona z trzech armat i granatnika, wyszła z dymnej jaskini i przez zawady rannych, przez kupy zabitych, cofała się w tył, aż do linii wozów. Tam stanąwszy, przysposobiła się do dawania ognia. Druga półbaterya, złożona z trzech dział, (gdy dwa zdemontowane i rozbite zostały na placu), z pośpiechem dążyła do pierwszej.

Huknęły jeszcze strzały... Armaty kolejno wchodziły na groblę. Za sprychy, za osie i grona ciągnęli je żołnierze piechoty pospołu z rannymi końmi. Większość kanonierów czynnych upadła pod kulami silnego nieprzyjaciela. Czerwone akselbanty zarumieniły drogę falencką. Zielone kurtki zasłały ją, jako wiosenna murawa. Z koni ledwie połowa została.

Sokolnicki, uwiadomiony, że i Fiszer z ranami

wyniesiony został za groblę, sformował zdziesiątkowany Godebskiego batalion. Stanął w szeregu i, niezłomną piersią zatarasowawszy dostęp, osłaniał odwrót armat. Żołnierze jego szli nietylko przez groblę, ale i obok niej, wskroś bagien, po pas zanurzeni. Nieprzyjaciel walił się za nimi krok w krok, szedł w ich tropy tem samem bajorem. Tu, wśród pniaków, suchych chróstów, w zeszłorocznych kępach trzcin, zaczął się bój na śmierć i na życie. Ci, którzy szli groblą, wspierali walczących. Cały zastęp był skrwawiony, mokry i rudy od błota.

Rafał z innymi osłaniał armaty. Ziemia waliła się ogromnemi skibami z rozgniecionej grobli. Drzewa wjeżdżały w bagno Rawki, gdy koła armat wytłoczyły z grobli ich korzenie. Trzeba było co chwila wywlekać te koła z rozpadlin gruntu i z jam nagle powstałych, pchać i dźwigać śpiże co tchu w piersi, a siły w ramionach.

Po wielkim trudzie dosięgli nareszcie twardego wybrzeża przed kuźnią raszyńską.

Stamtąd same już konie pociągnęły dalej działa. Spychając piechurów austryackich w bagno, łamiąc się z nimi oko za oko, ząb za ząb, wychodziła na suszę piechota i dążyła pod kościołek.

Nieprzyjaciel przedzierał się tą samą drogą. Ale teraz wszystkie siły polskie miał przeciwko sobie. Dwanaście dział bateryi saskiej, armaty Włodzimierza Potockiego i trzynasta kompania artyleryi pieszej Ostrowskiego, stanęły na szańcu za kościołem, na polu od strony Michałowic i nad stawem od strony Jaworowa.

Wszystkie paszczami zwróciły się na groblę. Żołnierz austryacki musiał przebyć wązki jej przesmyk. To też najcięższa tutaj wywiązała się walka.

Armatom polskim bardzo niewiele szkodziły baterye Mohra, Civalarda i innych, ustawione w nizinie falenckiej, za groblą. Tymczasem każdy pocisk polski, rzucony wzdłuż grobli z raszyńskiego wzgórka, wyrywał istne jaskinie w zwartych szeregach idącej piechoty.

Kościołek, otoczony czworobokiem muru, i domostwa z cegły przy placu kościelnym służyły za doskonałe schrony dla piechoty polskiej. Na grobli zwolna wyrastały wzgórza rzuconych śmiertelnym pokotem polskich chłopów z za Pilicy, Rusinów, Czechów, Słowaków, Węgrów, Cyganów, Wołochów...

Wodzowie polscy stanęli przy armatach. Książę Poniatowski chodził od jednej do drugiej pracowicie, zimno i umiejętnie celując. Co chwila słał adjutantów w stronę Michałowic i w stronę Jaworowa, gdyż na obudwu tych punktach działa tęgo grzmiały. Wieści wciąż były pomyślne, nigdzie nieprzyjaciel błota nie przebył.

Już się wczesny, wiosenny wieczór nachylał, kiedy infanterya Wukasowicza przez wzgórza zabitych na grobli wtargnęła na brzeg raszyński. Ale potężne natarcie batalionów Sokolnickiego, wypoczywających za kościołem, zepchnęło ją znowu z grobli i wzgórza. Z podwójną mocą zaczęły pracować armaty, dym zasłonił wodę jasnego stawu, groblę, drzewa i biedną przydrożną osadę.

Noc zapadała, a wciąż jeszcze wyziewały śmierć

zdyszane i rozpalone śpiże. Dopiero, gdy ciemność nastała zupełna, wolno, wolno, przestały szczekać.

Dogasała łuna nad zgliszczami Falent. Jęki wieczorny powiew niósł z grobli, z bagien, z wybrzeża. Mgła biała, pełznąc powoli z nad suchych trzcin, powłóczyła te głosy śmierci, niby całun dobrotliwy.

Na grobli trupem legły dwa tysiące Austryaków, a tysiąc z górą naszych skonało w falenckiej olszynie.

Noc już była głęboka, gdy Rafał wydostał się z walczących glidów w potarganym mundurze, bez czapki, mokry aż do ramion. Szedł naoślep, przez zorane pola w stronę Opaczy. Zdawało mu się, że tam jeszcze znajdzie swe wczorajsze legowisko. W Raszynie nie było gdzie postawić nóg, nietylko przytulić głowy. Widział, odchodząc, jak do kościoła i domostw znoszono rannych. Na polach przy drodze pokotem składano trupy.

Olbromski cały był w ogniu.

Szarpała go wczorajsza rana. Teraz dopiero czuł stłuczenia od pchnięć bagneta. Płomienie miał w oczach i w głowie, a jednak zimno go trzęsło. Wlókł w sobie śmiertelne cierpienie, dźwigał w zamkniętych oczach widok całego tego pola, miał w ramionach ruchome kupy ciał na grobli...

W WARSZAWIE.

Po nocy, spędzonej w pustej szopie na żydowskiem przedmieściu Warszawy, a w pobliżu szubienicy miejskiej, Rafał ocknął się nadedniem. Szopa stała zdala od drogi, usłyszał jednak szczęk i turkot idących armat, taborów, piechoty. Wylazł ze swego legowiska i dopytał się u idących piechurów, że to nasi odstępują na całej linii. Ogarnęło go tępe zdumienie. Kiedy na początku tej nocy odchodził z Raszyna, cała armia kipiała od dumy z odniesionego zwycięstwa. Teraz ze wszystką swoją siłą uchodziła z placu! Jakże straszliwie dudniły armaty na tej nocnej drodze odwrotu! Jakże ciężki, znużony i grobowy był krok ustępującego żołnierza!

— Sasi uszli! — tłómaczono Rafałowi z szeregów.

— Niemiec Niemcu brat!

— Podłe psy saskie! ze środka bitwy w tył poszły...

— Tysiąc dwieście głów, stu pięćdziesięciu hu-

zarów, dwanaście armat, wszystkie swoje trzy bataliony zebrali w kupę i uszli...

Rafał wmieszał się w szeregi i pociągnął z nimi. Po drodze rozpytywał się wciąż o brygadę Sokolnickiego. Dopiero rankiem powziął wiadomość, że ten generał mianowany został naczelnikiem lewego skrzydła i że osłania niziny Powiśla od strony Wilanowa za Czerniakowskiemi i Mokotowskiemi rogatkami. Olbromski z małym oddziałem piechoty, który brnął samopas, powlókł się za okopami w tamtym kierunku.

O świcie dał się słyszeć daleki ogień tyralierski. Przemknął w rannej mgle jakiś oddziałek konny i zjechał w nizinę wilanowską. Na wzgórzu w okolicach Mokotowa zaczepiła Rafała straż gwardyi obywatelskiej i z wielkiemi ceremoniami powiodła do oficera, komenderującego wartą. Stary ów wiarus na pytania Rafała o generała Sokolnickiego nic pewnego powiedzieć nie chciał i kazał mu czekać w obozie gwardyi, na skraju Łazienkowskiego parku. Wyrosło tam istne miasteczko, wzniesione poprzedniego wieczora. Ze stołów, drzwi, okiennic, ławek i stołków pobudowali obrońcy miasta rodzaj chatek, szałasów, namiotów, a przedewszystkiem kuczek. Spali w tych schroniskach, nietylko sami, ale i ich rodziny, które przyniosły im zapasy i napoje. W chwili, gdy Rafał nadszedł, gwardya już była wstała, przebudzona nadzwyczaj niedelikatnie przez pułkownika Łubieńskiego i jego adjutanta Rokickiego.

Dowódcy ustawiali w szyku bojowym rozespanych mieszczan, gdyż od strony Piaseczna słychać było

coraz bliżej strzały karabinowe. Rafał zatrzymał się w jednym z przygodnych szałasów, usiadł tam w kucki pod nakryciem drzwi, wyrwanych skądś z zawiasami, i zapadł w stan drzemania. Po dniu wczorajszym miał wciąż jeszcze huk w głowie. Z krótkiego snu wyrwało go silne targnięcie za ramię. Jakiś nieznany mu oficer budził go i wołał do generała.

Sokolnicki stał niedaleko na koniu. Był schlastany bryłami gliny do galonów i kity na czapce. Ciżmów i amarantowych spodni nie widać było pod błotem. Twarz miał czarną i posępną od znużenia. Koń jego cały był w pianach. Para szła z niego.

Gdy Rafał przybiegł do strzemienia z ukłonem, generał zażartował:

— Tak to się sprawiasz, panie adjutancie? Po szałasach tej babskiej piechoty muszę cię szukać! Co za czapkę masz na głowie?

— Panie generale... czapka spadła na grobli, gdyśmy dygowali armaty. Podjąłem pierwszą z brzegu na szosie, w nocy. A konia mi zabito koło Falent. Jestem niezdrów...

— Ech, piecuchy! czy dostałeś co nowego w lasku?

— Zdaje mi się, że mię szturchano, ale dokładnie nie wiem gdzie i kiedy...

— Cóż myślisz robić?

— Muszę poszukać schronienia, bo mi trudno stać na nogach.

— No, radź sobie, jak umiesz.

— Panie generale...

— Czegoż jeszcze!

— Czy, gdybym wyzdrowiał, mogę mieć nadzieję służby pod jego rozkazami?

Sokolnicki pomyślał przez chwilę, obejrzał go od stóp do głowy i rzekł niechętnie:

— Możesz zgłosić się do mnie. Tylko nie piechotą. Pomyśl o dobrym koniu i lepszym uniformie. Może się znajdzie dla ciebie miejsce adjutanta.

Rafał podziękował mu ukłonem i spojrzeniem. Generał w tłumie oficerów popędził w kierunku Mokotowa.

Olbromski ze zdziwieniem dowiedział się, że to już popołudnie. Mówiono w szeregach gwardyi o zawieszeniu broni. Nie mając tu co czynić, strudzony ułan poszedł wprost przez park Łazienkowski ku miastu. Minął noga za nogą dolne aleje, wszedł na górną i obok drewnianych domków brnął po błocie. Często przystawał, opierał się o drzewa. Kiedy wszedł w miasto, był tak osłabiony, że wciąż przysiadał na ziemi. Wspominał sobie to głód, to pragnienie, ale przedewszystkiem miał w oczach i myśli wczorajsze pole. Blizko trzy dni nie jadł.

Kiedy ostatni raz dźwignął się z ziemi i podniósł oczy, ujrzał przed sobą żelazną kratę ogrodu, przerzucone przez nią suche jeszcze, poplątane badyle dzikiego wina, a w głębi ogrodu front pałacyku i balkon. Stanęły naprzeciwko jego oczu drzwi zamknięte, okna z zapuszczonemi firankami, kamienne schody z lewej strony balkonu, byliny zeszłorocznych kwiatów na klombach...

Wsparł się piersiami i ramieniem na tępych grotach żelaznej balustrady ogrodzenia i patrzał uważnie w to miejsce. Tu za lustrzanemi drzwiami rozlegał się szelest sukni Heleny de With. Tu szemrały pod atłasowemi stopy małe ziarenka piasku, zaniesione przez wiatr na gładkie skrzyżale z marmuru, gdy zstępowała cicho, jak duch. Prawdaż to, o mocny Boże, że już jej niema?... Serce tłukło się o żelazne kraty, przy których biło niegdyś w oczekiwaniu. Żelazne szczeble okryła ruda rdza. Rygiel furtki był zasunięty, na ścieżce leżały badyle i czarne liście. Na szybach, na stopniach ganku, za nieruchomemi firankami gniło niezbłagane i niezłomne milczenie.

Ulicami ciągnęły podwody chłopskie, zwożące do Warszawy w gnojnicach i drabinkach rannych z pod Raszyna i z pod Piaseczna. Gdy szpitale były już przepełnione, mieszkańcy zabierali do swoich domów nieszczęśliwych, odstawionych częstokroć bez żadnego opatrzenia, w opłakanym stanie.

Jakiś oddziałek gwardyi spostrzegł Rafała, przytulonego do kraty ogrodu, i zabrał go ze sobą. Ranny poszedł bez oporu. Na pytanie, czy nie ma w Warszawie rodziny, krewnych, znajomych, nie umiał odpowiedzieć, przytłoczony mocą ostatniego wzruszenia. Ale wreszcie przypomniał sobie dom księcia Gintułta i prosił, żeby go tam odprowadzono.

Brama pałacowa była otwarta, a na podwórzu stało kilkanaście chłopskich furmanek. Chude konięta chrupały obrok w torbach i siano w półkoszkach tuż

pod oknami. Główne wejście, dawniej szczelnie zawsze zamknięte, teraz rozwarte było naścieżaj. Rozmaici ubodzy ludkowie wchodzili i wychodzili tamtędy. Kiedy dwaj gwardziści wprowadzili Rafała do przedsionka, na ich spotkanie wyszedł stary kamerdyner z Grudna. Nie poznał wcale Rafała i zajął się nim z ledwie ukrywaną niechęcią.

W salonach dolnych i w przepysznej bibliotece stały teraz łóżka, łóżka i łóżka, jak w szpitalu, a na nich stękali ranni. Ciche, wykwintne pokoiki, zamienione na sale operacyjne, zalane były kałużami krwi, pełne straszliwych krzyków ludzi operowanych na trzeźwo, wijących się w konwulsyach pod piłką i lancetem. W innych dogasali z jękiem konający. Kilku młodych chirurgów w krwawych koszulach uwijało się między łóżkami. Za nimi nosił wodę w miskach, ręczniki, gąbki, przyrządy operacyjne stary, napół ośleply Andrzej. Rafał widział to wszystko, jakby we śnie. Posadzony na krześle w jednym z przyległych pokojów, oparł głowę o ścianę i śnił na jawie o pustym domu Heleny de With.

Wiosenne słońce płonęło. Potok światła wlewał się do ogrodu. Długa uliczka wysychała w tym blasku i dymiła się od wiosennego, przedwieczornego czadu.

— Oto jeszcze jeden ranny... — wyszeptał jakiś głos we drzwiach pokoju.

Rafał dźwignął ciężką głowę i skierował oczy w to miejsce. We drzwiach stał książę Gintułt. Ranny poznał go bardziej po wzruszeniu całego swego ciała,

po drżeniu serca, po dreszczu rąk i nóg, niż zamglonym wzrokiem. Książę zmienił się prawie do niepoznania. Ciemno-szara twarz porznięta była brózdami, oczy skryły się pod osłoną powiek. Zęby powypadały, a ostatni z nich sterczał zabawnie na przodzie.

Książę Gintułt zbliżył się do Rafała i długo patrzał nań z odcieniem zdumienia.

— Przecie to jest Rafuś Olbromski... — rzekł wreszcie z cicha do swego starego sługi.

Andrzej chwilę łypał oczyma, zanim zdołał wykrztusić:

— Ale co też to książę pan!... — Przecież to jakiś oficer.

Rafał dźwignął się ze swego miejsca i wyciągnął do księcia rękę.

— Rafuś! Na miły Bóg... Więc i ty między wojaki? No, chwałaż Bogu, żeś żywy i żeś się pod ten dach dostał. Andrzejku! żywo, żywo, dajcież mu osobny pokój, ten, w którym mieszkał swego czasu.

Ranny znalazł się wkrótce w dawnem swem łóżku. Chirurg opatrzył jego starą ranę nanowo, przemył, oczyścił i zalepił świeżo otrzymane pchnięcia, kazał mu dać posiłek i ułożyć do snu.

Rafał ocknął się dopiero nazajutrz rano. Okna były już półuchylone. Stary Andrzej, w swych pantoflach z żółtej skóry, bezdźwięcznie sprzątał w pokoju.

Rafał czuł się daleko lepiej. Miał wprawdzie

jeszcze ból głowy, ale już ani śladu wczorajszego ucisku. Andrzej patrzał na niego uważnemi oczyma i zginał sztywny kark w łaskawym ukłonie. Wkrótce nadszedł książę z chirurgiem. Kiedy ostatni opatrywał rany, Gintułt siadł w nogach Rafałowego posłania i przypatrywał się obojętnie tym czynnościom. Chirurg wnet wyszedł, oznajmując, że chory za dwa, trzy dni będzie mógł wstać z łóżka.

— Cieszę się, — rzekł Gintułt — że nie jesteś ciężej chory, gdyż w takim razie musielibyśmy się zaraz rozstać.

Rafał nie zrozumiał.

— Będę zmuszony wyjechać z Warszawy, — ciągnął książę — a chciałbym mieć w tobie towarzysza podróży.

— Niestety, jestem teraz skrępowany służbą żołnierską. Skoro tylko wyzdrowieję, muszę się udać do obozu.

— Tam właśnie i ja podążę.

— Książę pan wstępuje do wojska?

— Aha.

— Jakże się cieszę!

— Nie masz czego... Ja nie z chęci walczenia z Austryakami idę do obozu. Powinienbyś mnie rozumieć. Idę spełnić powinność... Nie wiem, czy z tobą mogę mówić jeszcze, jak dawniej. Postąpiłeś ze mną tak dziwnie... wyjechałeś bez słowa oznajmienia.

Olbromski posępnie milczał.

— Przyszedłem tutaj nie po to, żeby ci robić

jakiekolwiek wymówki. Bóg z tobą. Rad jestem, że wracasz do zdrowia.

— Nie mogę wypowiedzieć w tej chwili wszystkiego, co mię skłoniło wówczas do nagłego wyjazdu — to tylko wyznać jestem zdolny...

— Nie trudź się.

— Ojciec mię wezwał...

Gintułt uśmiechnął się pobłażliwie.

— Ojciec pisał tu do mnie po twym wyjeździe, zasięgając wiadomości, gdzie jesteś.

Rafał zamilkł. I książę siedział w milczeniu.

Po jakimś dopiero czasie rzekł:

— Nieraz wspominaliśmy cię z mistrzem katedry...

— Czy przebywa tutaj major de With? — spytał bezczelnie Olbromski.

Książę podniósł na niego blade oczy i rzucił wzgardliwe słówko:

— Nie.

— Gdzież jest?

— Przed Bogiem. Mistrz katedry zginął.

— Walcząc z nami!

— Jeżeli wiedziałeś o tem, to dlaczegoż trudzisz mnie i siebie nizkiem kłamstwem?

— W jakim celu książę pan udaje się do obozu? — wykrętnie spytał Rafał.

— W celu przypatrywania się, jak to mam zwyczaj, biegowi rzeczy ludzkich.

— Dziwny cel... W chwili nieszczęścia kraju... — mówił Rafał ze spuszczonemi oczyma.

— Tak sądzisz?

— Wczoraj byłem w bitwie. Widziałem, że tam niema miejsca na badania rzeczy ludzkich.

— Niema?

— Można tam przynieść duszę swą i ciało z wiarą w skuteczność boju. Wtedy się jest potrzebnym. Ktoby szedł po to, żeby patrzeć, jak inni umierają...

— Jeśli mię pamięć nie myli, można dostrzedz jeszcze jedno miejsce w bitwie, właśnie dla siebie.

— Nie rozumiem.

— Bo też złym byłeś uczniem, twardego byłeś karku i zmysłowych oczu.

— Dziś jestem żołnierzem i za jedyną cnotę uznaję i wyznaję niezłomne męstwo.

— Mówisz też, jak żołdak.

— Każdy dziś człowiek na tej ziemi powinien być żołnierzem. Widziałem, jak generał Sokolnicki po żołniersku stał piersią całą naprzeciwko wroga.

— Widzisz, bracie, ja jestem ten, który o wszystkiem i o tem męstwie Sokolnickiego chcę mieć swój własny sąd, wyważony z sumienia.

— Nie pora na to.

— Mnie zawsze pora.

— Nie! Teraz pora iść na wały! Kto żyje! Czynić, co każą.

Książę spochmurniał. Zaćmiła się jego twarz. Rzekł, wstając ze swego miejsca:

— Nie pora już na to, co tak ordynarnie zalecasz mi, mój rycerzu, ale tylko z tego względu, że

podpisano konwencyę: Warszawa będzie ustąpiona Austryakom.

— Kto podpisał?! — krzyknął Rafał, wyskakując z łóżka.

— Leż spokojnie.

— Za krew, co bluznęła z tysiąca kilkuset piersi na drodze raszyńskiej — ustąpienie!

— Leż spokojnie. Już wojska nasze idą na Pragę.

— Więc jestem jeniec?!

— Ranni w potrzebie raszyńskiej mają prawo po wyleczeniu się iść do swych brygad. Gdy się wyliżesz, pójdziemy obadwaj. A po drodze jeszcze ze sobą porozmawiamy. Teraz masz jeszcze gorączkowe w gębie i może dlatego brutalne słowa, a ja tego nie znoszą.

— Raczy książę przebaczyć...

— Nie jestem wcale obrażony, aczkolwiek lubię prowadzić roztrząsania bez krzyku.

— Kiedyż stąd wyjdziemy?

— Jak tylko ty i twoi kamraci, a przynajmniej pewna ich garstka, będziecie mogli stać na nogach.

— Czy nie wiadomo księciu, gdzie się obraca generał Sokolnicki?

— Poszedł już na Pragę.

— Czy Austryacy są już w mieście?

— Nie, jeszcze ich niema. Zapewne w tych dniach wejdą. Konwencya jest zaszczytna i, ile ja wnosić

mogę słabym rozumem ze wszystkiego, nadzwyczajnie dla nas zyskowna.

— Jakże to?

— Masa wojska cesarskiego uwięziona zostanie w stolicy, a nasz żołnierz wyruszy w pole...

RADA.

Nim upłynęło zawieszenie broni, rankiem dnia dwudziestego trzeciego kwietnia książę Gintułt schodził ze wzgórz Dynasowskich w towarzystwie Rafała dla przeprawienia się za Wisłę.

Ulice, przez które dążyli, były puste, a okna pozamykane okiennicami. Już most na pontonach naprzeciwko ulicy Bednarskiej był zwinięty, a i same krypy z materyałem wojskowym wyprawione w dół rzeki. Mieli tedy przebyć Wisłę łodzią. Gintułt zatrzymał się u stóp wzgórza i wodził okiem po swym pałacu, który zostawiał na łasce obcego rządu i kilku starych lokajów, pełen chorych oficerów i żołnierzy. Nie było tam już miejsca dla niego, gdyż liczba rannych trzystu dochodziła.

— Zdaje się, — rzekł z cicha do Rafała — że już więcej nie zobaczę tego domu. Praga nie jest objęta konwencyą. Łatwo przewidzieć, że nastąpi bombardowanie Warszawy przez Pragę i Pragi przez War-

szawę. Urodziłem się pod tym dachem, tam jest moja biblioteka, zbiory, pamiątki... Żegnaj, stara chato...

Rafał usiłował skleić coś pocieszającego, ale książę machnął ręką. Zeszli ku rzece i zdążali jej wybrzeżem, pustkami ulicy Dobrej, aż do rogu Bednarskiej. Obmurowany kanał wodny, sięgający od Wisły w głąb ulicy Dobrej, dziwacznie teraz wyglądał po zdjęciu pontonów. Tłukły się w nim łodzie przewoźników, wrzaskliwie zapraszających do jazdy za wodę. Książę i Rafał siedli w jedną z nich i wkrótce stanęli na tamtym brzegu. W okopach pełno było wojska. Rewidowano i sprawdzano tożsamość osób przybyszów z za Wisły, ciągniono ich do jakichś władz na ulicy Olszowej, które nie mogły sobie dać rady i nie wiedziały, jak się właściwie zachowywać.

Po załatwieniu formalności wyszli z dusznych izdebek w drewnianych barakach, gdzie ludzie dusili się, czekając na swoją kolej, i poczęli szukać wyjścia z obrębu okopów. Szli tedy w ulicę Brukowaną, prostopadłą do Wisły, ale trzeba było stamtąd cofnąć się, gdyż zabrnęli w kąt narożnikowy trzeciej lunety. Żołnierz-wartownik wskazał im właściwą drogę, która prowadziła między dwoma skrzydłami koszar wojskowych, zdążała do szyi drugiego biretu, stamtąd szła na prawo i wychodziła w stronę ratusza, oraz rogatek Brudzieńskich. Wydostawszy się z obrębu szańca przedmostowego, Gintułt przystanął na przecięciu dróg i patrzał na fortyfikacye. Zrazu twarz jego była senna i bezsłoneczna, znudzona i skrzepła w smutku. Ale oto wzrok mu się ożywił.

— A wiesz ty, — rzekł szeptem, jakby się bał, że ich ktoś może podsłuchać — że to jest wcale godny szańczyk! Na miły Bóg... Widzisz ty tamten biret środkowy, ostrzem zwrócony w rogatkę Ząbkowską? To tęga sztuka. Albo i tamta luneta, zwrócona ku rogatkom Golędzinowskim i drodze do Nowego Dworu. Właściwie to ona jedna, sierota, i ku Warszawie się zwraca. Któżby pomyślał, że taki los ci padnie, niebożę, przeciwko matce Warszawie dziób swój i pazury nastawiać...

Zawrócił się na lewo w kierunku trzeciej reduty, zamykającej dostęp od ulicy Sprzecznej i rogatek Grochowskich. Z ożywieniem pośpieszył wielkimi krokami w stronę Saskiej Kępy i rozpatrywał szaniec nad łachą obok drogi, okop na samej Kępie za promem łachy, tuż nad Wisłą, a obok drogi do młyna wodnego. Oglądał teraz uważnie i szczegółowo skarpy nasypów idących ponad Wisłą od szańca przedmostowego, aż do zagięcia łachy. Wrócił potem na drogę i szedł w zamyśleniu, kierując się ku klasztorowi Bernardynów. W pewnej chwili zapytał:

— Czy nie wiesz czasem, jakie są szańce za rogatką Grochowską?

— Nie wiem.

— Pamiętam z dawnych czasów... Szedł tam nasyp od Kamionek, przecinał drogę okuniewską i w pobliżu traktu do Radzymina kończył się tęgim parkanem.

— Nie wiem tego.

— Szkoda, że nie możemy zobaczyć na własne

oczy, czy są jakie dzieła w tamtej stronie, naprost Targówka. Ale niema już czasu. Spieszmy się!

Wielkimi kroki minęli klasztor bernardyński i weszli w ulicę Szeroką. Tłoczyło się tu mnóstwo furmanek, bud przekupniów, brnęła lekka piechota woltyżerska. Książę najął furmankę, nie pytając się o cenę. Wsiedli i przez rogatki Golędzinowskie wyjechali pod szaniec przedrogatkowy. Droga okrążała go kołem z prawej strony, to też książę mógł dobrze obejrzeć nasypy, równie jak głęboką fosę wodną, która szła od szańca do Wisły.

— Tęga księża rogatywka... — mówił na pół do siebie. — Niczego... Nie myślałem, żeby tutaj takich prac dokonano... Chłopiec! — zawołał na woźnicę — jedź-no mi żywo, śpiesz się...

Wózek potoczył się traktem do Nowego Dworu. Na prawo widać było przed rogatką Ząbkowską jeszcze dwa w polu szańce, oddzielnie jeden od drugiego, rzucone naprost żydowskiego cmentarza. Mgła jeszcze stała nad nizinami, nad łachami, szła z wód, z zalewisk, z szeroko wyciągniętych ramion Wisły. Wózek szybko pomykał za wojskiem, którego straż przednia zostawała pod rozkazami Sokolnickiego. Dopędzili wojska o jakie dwie mile od Pragi, na połowie drogi z Warszawy do Modlina. Bagaże szły przodem pod eskortą trzystu ludzi. Piechota miała żywności na dni cztery, po sześćdziesiąt ostrych ładunków i po dwie skałki. Żołnierze wyszli z okopów Pragi o ciemnej nocy. Teraz w marszu, prowadzącym w trójkąt między Wisłę, Bug i ujście Narwi,

bez wiadomości dokąd i po co idą, sarkali omal nie głośno.

Brygada Sokolnickiego składała się z trzech regimentów: dwunastego, ósmego, szóstego. Generał Kamieniecki na czele regimentów: pierwszego, drugiego i trzeciego, dawał straż odwodową. Artylerya, przywiązana do batalionów, szła w szyku bojowym, każda sztuka za swym batalionem. Awangarda i aryergarda szły o pięćset kroków tylko oddalone od kolumny. Co kwadrans dawano wojsku krótki spoczynek i uprowadzano je dalej a dalej forsownym krokiem. Bagaże miały rozkaz nie wkraczać do fortyfikacyi Modlina, lecz wyjść poza nie od strony Płocka i tam zatrzymać się w jednej linii. Furmanka, wioząca księcia Gintułta, dostała się między markietanów, z których każdy miał numer, dający mu prawo do dwu wozów. Wnet piesi i jadący markietanie, oraz markietanki, zaczęli sarkać i odwoływać się do dywizyjnego wagenmajstra, ażeby usunął nową podwodę za kolumnę wojska. Po rekomendacyi udało się przecie Rafałowi i księciu pozostać w kolumnie i zawiązać rozmowę z oficerami. Nikt z nich nie rozumiał celu tego marszu. Przewidywali tylko, że zamknąć się przyjdzie w fortecy. Zniechęcenie było ogólne. Po południu czoło kolumny zbliżyło się do Modlina, ale bryczka książęca długo musiała pozostać na miejscu.

Generał brygady Biegański odłamywał z kolumny swojej jeden batalion dla pilnowania mostu, który właśnie z łyżew warszawskich przytwierdzono kotwicami i zaścielano pomostem. Rafał powziął wiadomość, że

generał Sokolnicki wskazuje brygadom miejsce ich w obozie, cała bowiem piechota otrzymała rozkaz obozowania militarnie z zachowaniem wszelkich ostrożności wojennych. Po długiej przerwie otwarła się wreszcie droga i książę Gintułt powziął wiadomość o miejscu pobytu sztabu. Tam kazał jechać.

Zbliżając się traktem do Starego Modlina, spotkali jadącego w gronie kilku oficerów różnego stopnia generała Niemojewskiego. Stary legionista przypatrzył się dobrze księciu i zagadnął go z konia:

— Jakiem to prawem, mości książę, na moje podwórko?

— Także to szerokie zatoczyło płoty? Aż po Modlin?

— Tak jest! Musicie z waszych Galicyów chodzić do nas w Wielkąpolskę, chcący wytchnąć. Do kogo książę?

— Mam interes do kogoś z naczelników.

— Może aż do samego wodza?

— A pewnie, że i do niego przyjdzie dotrzeć.

— Nie wiem, czy się to uda, bo właśnie zdążam na radę wojenną.

— Och, to nie mam po co się śpieszyć...

— Osobliwie, jeśli sprawa prywatnej natury.

— Prywatnej nie prywatnej, ale osobista. Chcę dać, co mam ze sobą, na formacyę szpitalów wojskowych, lepiej urządzonych, niżem to widział w Warszawie po akcyi raszyńskiej. A nadto...

— Jeślibym mógł pomódz...

Generał podjechał bliżej do bryczki. Rafał wy-

siadł z niej i szedł ścieżką nad rowem. Książę z generałem rozmawiali z cicha:

— Mam tu za Świdrem, w Galicyi, — mówił książę — parę wiosek. Byłoby tam łatwo utworzyć jaki batalion, a może i pułk nienajgorszy, gdyby tylko jakiś oddział przekradł się za kordon i zwołał lud młody. Chciałem właśnie rady zasięgnąć...

— Brawo, panie bracie! Cho-cho... Idziemy z tem do wodza. Także nam gadajcie, Galicyanie!

— Dobrze waćpanu dworować sobie z naszej galicyjskiej niedoli, gdy masz dom i wioskę pod bokiem.

Wkrótce wjechali w opłotki wsi i zatrzymali się przed murowaną oberżą. Zaledwie Niemojewski otwarł drzwi, posłyszeli w sąsiednej stancyi gwar żywej rozmowy. Książę chciał zatrzymać się w pierwszej izbie, ale Niemojewski pociągnął go ze sobą i przedstawił zgromadzonym. Mało kto zwrócił na to uwagę. Widać było od rzutu oka, że na tem posiedzeniu musi być powzięta decyzya zasadnicza. Wszystkie twarze były pełne niepokoju, skupienia i ciekawości, dochodzącej aż do granic trwogi. Książę Poniatowski, wtłoczony na małą kanapkę za okrągłym stołem, zwijał i rozkręcał dłonią arkusz papieru. Obok wysoko zasłanego łóżka stał Zajączek, z przesadną, umyślnie podkreślaną służbistością nie zajmując miejsca, nie ośmielając się usiąść. W kącie pokoju od ściany do ściany chodził olbrzymi Dąbrowski.

Wielka twarz jego, długi, mięsisty, pałkowaty nos, wygolone wargi grubych ust, każdy muskuł drgał

i kurczył się od wewnętrznych wzruszeń. Wielka ręka niecierpliwie wichrzyła i tak już nastroszone włosy. Sapał, przystawał, oglądał zebranych oczyma i znowu zaczynał chodzić w swoim kącie. Pod ścianą stał ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma Sokolnicki, Biegański, dalej Kamiński, Kamieniecki, Fiszer, Piotrowski, Hebdowski, Grabowski, Woyczyński, Izydor Krasiński, Rożniecki, Hauke.

Kiedy Niemojewski z Gintułtem wszedł do pokoju, Dąbrowski przypatrzył się gościowi i rzekł półgłosem:

— Gdzie ja go widziałem?...

Książę ukłonił mu się zdala. Stary generał pokiwał ku niemu głową i mruczał do siebie:

— Aha, już wiem... Zestarzeliśmy się, mości panie, od tamtych czasów w Weronie, kiedyś to mię tradował o szkapy Aleksandra Macedończyka...

Wszyscy zwrócili na przybyszów spojrzenia, w których malowała się myśl nie o tem wcale, na co patrzą.

— Mości książę! — rzekł Niemojewski do naczelnego wodza — idąc tutaj, spotkałem księcia Gintułta. Ma on zamiar ufundować pułk jazdy na swój koszt wyłącznie. Sądziłem, że wasza książęca mość raczy przyjąć...

— Cieszę się niewymownie z ofiarności obywatelskiej waćpana. Ale czas nie po temu...

Po chwili, jakby dla naprawienia tego, co powiedział, dorzucił:

— Służyliśmy pod dawnymi znakami, nie prawdaż? Przypominam sobie...

Gintułt skłonił się zdala.

— Racz, mości książę, zająć miejsce. Mamy tu radzić o dalszych naszych krokach. Może nam podasz myśl szczęśliwą...

Gintułt zatrzymał się u drzwi i głębokiem spojrzeniem, pełnem miłości i żalu, oglądał tych ludzi.

— Tak tedy — rzekł wódz naczelny — raczcie, waćpanowie, dać radę, co dalej czynimy.

To mówiąc, podniósł spłoszone oczy przedewszystkiem na Zajączka. Wyraz antypatyi, dochodzącej do najwyższych granic, wyrywał się z tych oczu. Wyraz dumy i wzgardy drgał w każdej sylabie słów:

— Proszę przedewszystkiem o zdanie ichmościpanów generałów dywizyi.

Zaległo milczenie.

— To, co przedstawiłem, nie jest mojem własnem widzimisię — ciągnął jeszcze książę Józef. — Ja osobiście gotów jestem na wszystko. Kazałem Hornowskiemu walić przedewszystkiem mój dom »pod blachą«, jeśli przyjdzie do bombardowania Warszawy.

Wyraz jadowitego szyderstwa przewinął się po wązkich wargach Zajączka.

— Sądzę, — rzekł ten naczelnik dywizyi — że nie przyjdzie aż do takiej klęski ostatecznej...

— Jak bombardowanie Warszawy... — wtrącił Fiszer, pragnąc, widocznie, złagodzić sens słów starego zawistnika.

— Jak zburzenie pałacu »pod blachą...« — wyrąbał Zajączek, zwracając się ku Fiszerowi z tym samym uśmiechem, zmazanym w jadowitej złości.

Wódz zniósł to spokojnie. Blady z ran Fiszer rzekł dalej:

— Dlaczego sądzisz, generale, że nie przyjdzie do tego?

— Tak sądzę. Strzały z Pragi na Warszawę wegnałyby Austryaków w biedę nie lepszą od pamiętnej z przed lat piętnastu. To też nie zaczną oni strzelać na Pragę. Ale cóż mi z tego, że zatrzymamy tę fortecę i skraweczek ziemi? Gdzież się tu podzieć? Z czego wyżywić żołnierza? Prusaki nad karkiem, tych trzydzieści tysięcy z górą, miasto zajęte, popłoch, a cesarz o setki mil. Jesteśmy, jak łacha przed przypływem.

— To wiemy, ale jakiż wniosek? — rzekł oschle książę Poniatowski.

— Moje zdanie jest takie: zebrać wszystkie siły co do nogi w hufiec, przejść Wisłę i forsownym marszem dążyć przez Śląsk cieszyński do Saksonii. Złączyć się z cesarzem i czynić, co rozkaże. Oto wszystko.

— Księstwa tak porzucić nie mamy prawa! — wtrącił Fiszer porywczo. — Cóż pomyśli sobie mieszkaniec? Po jednej bitwie, po odstąpieniu Warszawy precz uchodzimy z kraju!...

— Mnie przedewszystkiem wcale nie obchodzi zdanie mieszkańca, — odrzekł Zajączek — tylko moje zdanie, to znaczy racya wojskowa. Jestem generałem

cesarza, nie mam prawa zmarnować wojska, które mi powierzył, a tu mogę je tylko zmarnować.

Szmer niechęci wionął po zgromadzeniu.

— Tak, tak, tak! Ja powtarzam tę samą myśl: jestem generałem cesarskim i tylko cesarskim...

— A waćpan co radzisz czynić? — zwrócił się książę Józef do Fiszera, widocznie pragnąc przerwać potok słów Zajączka.

— Prędzejbym wolał zamknąć się w fortecach i czekać. Jest Modlin, Głogowa, Gdańsk, Kistrzyń. W każdej z tych fortec jest garść naszego żołnierza. Możemy się bronić miesiącami.

— O głodzie — wtrącił Zajączek, zapisując coś w swoim notesie.

— Wolałbym bronić się o głodzie, niż ujść z kraju. Ja znam się z głodem, więc wiem, co mówię!

— To też waćpan możesz się głodzić do woli, ale nie masz prawa głodzić żołnierza. Kiedy mówię o wyjściu z kraju, to w tej chwili żywię nadzieję powrotu, mając cesarza na czele armii. Nie ucieczkę doradzam, tylko wyjście z pułapki, manewr wojenny. Sami tu nic nie zbudujemy. Stracimy tylko tę garstkę naszych rekrutów, działka, i na tem nasz haniebny koniec.

— Widzieliśmy wszyscy tych rekrutów w boju... — zaczął książę Józef.

— Cokolwiek książę pan raczy powiedzieć na pochwałę tych, powtarzam, kantonistów, to tylko powinno zachęcać do wykonania mego planu. Złożymy

ich tu kupami znowu w jakim Raszynie i znowu zawrzemy zaszczytny akt złożenia na kupę pruskich karabinów. Powtarzam: to nie nasz żołnierz, tylko posiłkowy, więc cesarski.

Książę był blady, jak papier, który trzymał w ręce. Generałowie milczeli, ale znać było, że większość podziela zdanie Zajączka, albo nie ma żadnego. Po długiej i ciężkiej ciszy mówca rzekł łagodniej:

— Ja tu zresztą słyszałem, oprócz swego, jedno tylko zdanie, Fiszera. Radbym wysłuchać innych opinii.

— Sądziłbym, — zaczął mówić generał Kamieniecki — że moglibyśmy posunąć się ku granicom litewskim i czekać tam sprzymierzeńca.

— Słyszymy o obywatelach galicyjskich, gotowych złożyć nowe pułki... — wtrącił Sokolnicki.

— To ostatnie jest szczególnie pocieszającą nowiną. Nieprzyjaciel rozsiadł się w naszej stolicy, a my werbujemy pułki za jego kordonem, w jego kraju, pod jego okiem. To przynajmniej po polsku! — szydził Zajączek.

— Rzeczywiście, że to po polsku! — ozwał się z kąta Dąbrowski grubym, chrapliwym głosem. — Tak robił stary Czarniecki: Ty, Rakoczeńku, do mnie, na moje śmiecie, to ja, Rakoczeńku, do ciebie! A tu jeszcze nie na cudze, mospanku, tylko na swoje własne.

Wszyscy spojrzeli ku starcowi i wlepili oczy w jego oblicze.

— »Ja« — to znaczy ów pułk jeszcze niesfor-

mowany za cudzą granicą... Czarniecki!... — mruknął Zajączek, bokiem zwrócony do antagonisty i nie patrząc na niego.

— »Ja« — to znaczy my wszyscy, żołnierze, jak tu jesteśmy!

— Zbyt to dla mnie enigmatyczne.

— To jasne, jak słońce. Waćpan widzisz ten plan od czterech dni, bo ślepyby go nie widział, ale po zwyczaju z pychy mącisz w głowach i w sumieniach...

— Mości panie! — zapienił się Zajączek, szarpiąc ręką szpadę.

— Żebyśmy nie zapomnieli, żeś między nami rangą najstarszy — ciągnął Dąbrowski. — Pamiętamy.

— Jestem rangą najstarszy, to niewątpliwa. Nie dlatego jednak podałem zdrową i jedyną radę, tylko dla pospolitego dobra. Niech książę Ferdynand pójdzie na ziemie pruskie i pobudzi Wszechniemce — co wtedy? Kto będzie bronił ludu, o którego mniemania tak wam chodzi? Rozdepcą go wtedy i w obcy nam naród obrócą.

— To samo mogliby zrobić bez chodzenia we Wszechniemce, gdybyśmy, stosownie do rady waścinej, szli marszem... w tropy Dyherrn'a.

— Jam już wszystko powiedział. Teraz słucham rozkazów.

Dąbrowski przez chwilę milczał. Potem ciężkimi kroki bezwiednie wyszedł ku środkowi izby. Olbrzymie jego ciało ledwie się mieściło w ciasnym wojsko-

wym uniformie. Ciężko westchnął. Obejrzał płomieniami oczu twarze generałów i rzekł:

— Moja rada jest taka: nie ustąpić! Ani piędzi. Owszem — napaść!

— Dobra rada... — zgnął go szyderstwem Zajączek.

— Napaść co tchu, nim przekroczą Wisłę. Jeszcze jej nigdzie nie przeszli. Mostu nie mają. Jeśli tedy ją przejdą, to w bród, albo na krypach, to znaczy garstką. Tę zgnieść napaścią. Nim most zbudują, przejść Świder i całą siłą zagarniać Galicyę po prawej stronie Wisły, aż do jej źródła. Możemy po drodze zetknąć się z cesarzem i księcia Ferdynanda wziąć we dwie kluby. Całą Galicyę skrzyknąć i podnieść. Nasza to ziemia rodzona. Od wieków... Na głos twoich kroków, wodzu, cała się zatrzęsie po szczyt karpacki. Z tym żołnierzem, który stał nad błotem raszyńskiem... Mocny Boże! widziałem przecie temi staremi oczyma, co już nie na jedno patrzały... Idź w kraj nie jako oficer, lecz jako zwiastun!

— Prawdę powiedział! — jak jeden krzyknęli generałowie.

Poniatowski po tych słowach wstał i oczy jego zaszkliły się łzami rycerskiego uniesienia. Wszyscy zbliżyli się ku Dąbrowskiemu. Twarze ogniem gorzały.

— Za wygraną bitwę obstoi takie słowo! — rzekł twardo Sokolnicki.

— Pójdziesz z nami, generale! — mówił, wyciągając rękę wódz naczelny.

— Nie — odpowiedział twórca legionów. — Szcze-

rze wyznam, co w sercu: stary jestem i do słuchania rozkazu ciężki. Rogata dusza — to darmo. Co robię, to robię sam ze siebie i wtedy dopiero z ramienia. Takim już warchoł. Na tem mi życie zeszło. Oto, mości książę, daj mi rozkaz. Tego usłucham. Każ wsiąść na bryczkę i jechać w Poznańskie. Moja to dziedzina. Nim dojdziesz do Krakowa, ja ci z nad Gopła tłum Mazura przywiodę...

SZANIEC.

Drobny deszcz siał bez przerwy na zieloną już nizinę Wisły. Sosnowe lasy zapachniały wiosennym oparem. Brzoza miękką i lotną mgiełką się zdała między sośniami Mazowsza. Bataliony dwunastego pułku piechoty pod wodzą pułkownika Weyssenhoffa, drugi pułk jazdy i dwa działa artyleryi konnej, wszystko pod władzą naczelną Sokolnickiego, chyłkiem a lekko dybały z pod okopów Pragi na Świder. Kolumna ta, która bagnetem pułku Weyssenhoffa zdobyła wioskę Grochów, najeżoną austryackiemi działami, wyszedłszy z Radzymina 29 kwietnia, prawie bez przerwy szła forsownym marszem wzdłuż Wisły, starodawną drogą na Gocław, Lasy, Zerzeń, Miedzeszyn, Falenicę i Swidry Dalsze. Lasy były puste, piaski zdeptane przez ustępującego Austryaka, porznięte od kół armatnich. Nikt nie wiedział, jaką siłę nieprzyjaciel przerzucił na prawy brzeg Wisły, czy miał gotowy most, czy tylko przewiózł część wojska na krypach. Chłopi z Falenicy nic umieli nic powiedzieć. Po wiórach świeżych, gęsto

w rzece płynących, rybacy nadbrzeźni wnosili, że most chyba gdzieś w górze budują. Jeden z przewoźników, któremu udało się dotrzeć do tamtego brzegu, przywiózł wiadomość, że Niemcy zabrali z Warszawy cieślów, ilu znaleźli, i wszystkich pognali do Góry Kalwaryi. Wspominał także, jakoby pewien zdrajca Prusak wydał skład drzewa obrobionego na Szulcu, ale te wiadomości były mętne i trąciły plotką. Na równych i jałowych piaskach, których jeszcze trawa nie okryła, w pobliżu Zagoździa strwożeni wieśniacy zeznawali, że Niemce dopiero co przeszły w stronę Świdrów i że coś musiały spalić po drodze, bo dym walił z pomiędzy drzew. Ile na to pozwalały siły koni, ciągnących w piachu armaty, Sokolnicki pośpieszał w marszu.

Z rana 1 maja ujrzeli wynurzające się z jednolitych sosnowych borów olbrzymie sokory Nadświdrza, dalekie piaski, wody Wisły, zamglone smugi drzew tamtego brzegu, pod Zawadami, Kępą Oborską i dalej aż pod Oborkami, Jeziorną, Łęgiem, po Gassy i Czernidło, tonące w oddaleniu. Wkrótce stanęli nad brzegiem Swidra. Po wiosennym roztopie jeszcze woda nie opadła. Wartko bulgotała między pniami olch, w cieniu kilkusetletnich sosen, wrastających w wydmy piasków i w cieniu topoli nadwiślańskich. Stanąwszy już nad rzeką w pobliżu jej ujścia do Wisły, naprzeciwko wioski Świdry Małe, które leżały po tamtej już stronie, a więc w ówczesnej Galicyi, zobaczyli przed sobą most dopiero co spalony. Pale jego były jeszcze czerwonemi głowniami i kurzyły się obficie. Wieśniacy

ze Swidrów stali na wzgórku obok swoich chat ze słomianemi strzechy i przypatrywali się w milczeniu. Ani jeden się nie ruszył, pomimo że ich wzywano znakami i krzykiem. Na błoniu z tamtej strony rzeki zieleniły się już pędy wierzbowe i pastuch, doglądający krów, wesoło wygrywał na fujarce. Przywołano go nad brzeg, żeby pokazał, gdzie tu woda najpłytsza. Prąd leciał wartko, lecz widać było piasek na dnie. Żołnierze zzuwali wesoło ciżmy, kamasze i, zawinąwszy pantalony, szli w bród za przewodem pastucha. Ciężko było z przeprawą armat, ale je przeciągnięto bez szwanku i wywleczono z wody. Za mostem droga szła wciąż lasem w stronę Karczewia. Kolumna wytchnęła w Swidrach, oraz na okolicznych wydmuchach litego piasku. Radość była powszechna z tego tytułu, że stare wierzby już zielenieją, że się włamano w granice Galicyi i że pastuch tak po swojsku wycina na ligawce. Chłopi miejscowi rozpowiedzieli dowódcy całą historyę spalenia mostu i przemarszu Austryaków do Karczewia, nie potrafili tylko objaśnić, gdzie istnieje przewóz na Wiśle. Około południa Sokolnicki ruszył w pochód. Żołnierze szli raźno. Pikiety nie dawały żadnego znaku alarmującego. Wyszedłszy z lasu na piaski, wyniesione ponad Wisłę, które otaczają Karczew zanurzony w tem sypkiem morzu, nie dostrzegali nigdzie nieprzyjaciela. Gdyby nie zbyt wyraźne ślady armat, konnicy i piechoty, Sokolnicki skłonny-by był do przypuszczenia, że nieprzyjaciel czyha w zasadzce, gdzieś w lasach otwockich, daleko, szeroko, jak oko sięgnąć zdoła rozcią-

gniętych. Dopiero zbliżywszy się pod same domy Karczewia i zająwszy pozycyę na piaszczystych wzniesieniach poza Kępą Nadbrzeską spostrzegli wojska austryackie, przeprawiające się za Wisłę na krypach. Chłopi, wezwani z Nadbrzezia i Kępy, zeznali, że cała siła austryacka, która przyszła była z za Swidra, teraz przeprawiała się właśnie. Sokolnicki odłamał od swej kolumny szwadron jazdy, dwie kompanie piechoty i rzucił się w nizinę wiślaną. Główna siła jego wojska zajmowała Karczew. Łęgi nadwiślańskie, okryte już runią wiosenną, cudowny wystawiały widok. Kwiat jary je ubarwił. Iwina przydrożna wypuściła z pniów jasne rózgi. Rozlana struga Jagodna tworzyła modre jeziorka i pasmugi świetliste, po których wiosenny wietrzyk chwiał i przeganiał śliczne fale. Gdy wojsko weszło w wieś, nadziwić się nie mogło jej krasie. Jakże ta Kępa odmienna była od swoich siostrzyc na płaskowyżu piaszczystem, które stały o wiorstę! Tłusta ziemia, przesiąkła wilgocią, czarowała tu nieobliczalnem mnóstwem roślin i pachniała kwiatami. Z urodzajnej nad miarę gleby strzelały w niebo drzewa, jak z baśni, rozrastały się sady owocowe, tworząc jeden ogród tak zwarty, że śród niego ledwo się mogła przecisnąć wioskowa ulica. Obfitość wikliny podała wieśniakom sposób wygrodzenia dróg, ścieżek, ogródków, gumien i sadów. Każde siedlisko było, jak świat odrębny. Bielone chaty świeciły się między rozkwitającemi drzewami. Zamożność, chłopskie bogactwo wiało z każdego kąta, dobytek przewalał się przez próg i płot. Po zawrociu stali parobcy, jak dęby, dziewczęta,

jak łanie, lud oswojony z hukiem wylewów Wisły, z grozą i niebezpieczeństwem.

Dopiero tędy przeszły Niemce. Koła ich armat i wozów rznęły się po osie w glinie bezdennej a rozmokłej na żur. Jeszcze leżały wpoprzek żerdzie, koły, drągi, pawęzy, którymi podważali z bajora swe statki. Jeszcze ciekły bryzgi błota, rozpierzchłego po ścianach domostw. Kiedy Rafał, jako adjutant generała brygady, wyjechał przy jego boku w ciemną ulicę, utworzoną przez rozrosłe rózgi i pławiny wierzb, cały oddział, idący przed nimi, huknął znagła pieśń. Jak łoskoty piorunu, rozlegała się między ścianami chat:

»Fortuna się do nas śmieje,
Głosi szczęście i nadzieję,
A w wyraźnem objawieniu
Pobłyskuje promień w cieniu.

Już zasłona spada z góry,
Niebo jasne, znikły chmury,
Widać na wielkiej przestrzeni,
Iż się ziemia znów zieleni...«

Ulica zawróciła w dół, ku Wiśle. Znać tu było jeszcze ślady wiosennego wylewu. Na gałązkach śliwin i grusz dyndały kłaki zeschłego szuwaru. Na przyźbach i przyciesiach znać było ślady iłowatych fal. Opar szedł z rozkopanych lech, gdzie już tkwiły czarne listki rozsady. Wkrótce z ciemnej i pogiętej uliczki wydostali się jeźdźcy dwójkami na zbocze wału, wysypanego przez Nadbrzezian. W dole tańczącemi baniami mknęła Wisła. Ziemia była zdeptana, brzeg

poobrywany od statków, które niedawno spychano z mokrego wału. Chłopi zbiegli się i pokazywali miejsce ku Dębowej, przez które przewiozła się piechota. Dalej za wsią, naprost Czernidła, leżącego z przeciwnej strony, wskazywano płaskie miejsce, z którego wsiadła konnica i wtoczono sześć dział. Sokolnicki nastawił perspektywę i długo patrzał w górę rzeki. Nie było na niej widać mostu aż do miejsca, gdzie się zaczynało kolano rzeczne pod Czerskiem, wklęsłe z lewej strony. We mgle błękitniały drzewa Starego Otwocka i baszty marszałkowskiego zamku, wynurzające się z koron. Generał pozdrowił chłopów na pożegnanie i chyżo wyjechał z Nadbrzezia na wzgórek od strony pastwisk i Zagórnego Otwocka. W skok powracano z innej strony do Karczewia.

W tym samym czasie nadchodziły z północnej strony roty piesze i konne. Była to kolumna generała Dąbrowskiego, nadciągająca z Okuniewa. Stary wódz prowadził trzy bataliony pułku Sierawskiego i trzy szwadrony ułańskie Dziewanowskiego. Rafał zdala poznał swe barwy. Na błotnistym rynku zjechali się dowódcy. Wszystkie ulice mieściny, wszystkie jej domki drewniane zajęło wojsko. Nie było tu obszerniejszego budynku, gdzieby się większa kompania oficerów pomieścić mogła. Ruszono na plebanię. Dąbrowski niedługo wypoczywał. Komendę nad przyprowadzoną kolumną oddał Sokolnickiemu, a sam kazał przysposobić sobie konie do odjazdu w Poznańskie. Pułkownicy i szefowie z żalem go żegnali. Posiliwszy się, czem było można, Dąbrowski kazał wystąpić wszystkiej sile

żołnierskiej i przemówił kilka wyrazów na cześć dowódcy Sokolnickiego. Wojsko odpowiedziało mu pieśnią na jego cześć i wieczną chwałę. Stary wódz zdjął czapkę i słuchał z pochyloną głową. Zaraz potem odjechał.

Noc się zbliżała. Konnicy kazano zostać w Karczewiu. Część piechoty stanęła obozem w Otwocku Zagórnym, a część w Otwocku Wielkim.

Obozy obstawiono pilnie placówkami. Od placówek wykomenderowano wedety, a między niemi wystawiono podsłuchy. Starszyzna rozlokowała się w pałacu i zabudowaniach otwockich. Rafał znalazł pomieszczenie w sąsiedztwie swego dowódcy. Miał spać w maleńkim narożnym pokoiku na górze, którego okno wychodziło wprost w korony lip. Ściany tam były malowane przez niepośledniego artystę, sprzęty wykwintne. Pałac, od lat niezamieszkany, miał w sobie coś z rozpusty saskiej, wszystek się w niej począł i do niej należał. Rafał nie mógł usnąć. Wstał w nocy i na palcach poszedł do parku. Drobny deszcz szemrał po liściach. Ulice parku wązkie, dzikie, napół zarosłe, pełne były mgieł, które chodziły z miejsca na miejsce. To wstawały, jak widma, to nagle przed idącym nikły, jak cienie trwożliwe. Słowik daleko świstał swe pierwsze, krótkie, niewymowne pieśnie. Młody szedł za jego głosem i w którąkolwiek zmierzał stronę, zawsze dochodził do głębokich i szerokich wód. Stanął w jednem miejscu nad płaszczyzną wodną, zastępującą drogę. Drzewa olbrzymimi konarami ginęły w mrokach i słabo odbijały się w toni. Zdala z za Wisły

kiedy niekiedy nadlatywały krzyki pikiet austryackich, rozciągających się od Warszawy aż do Góry. I oto, gdy natężonem uchem wojaka wsłuchiwał się w te zdradzieckie echa i wciągał je wilczemi nozdrzami do mściwej piersi, rzuciło się nań wspomnienie. Scisnęło mu serce boleścią nie do zniesienia, jakoby piąstka dziecka. Coś poczęło się czołgać za nim... Szło zaczajone za drzewami, wyciągając ręce.

Przez krótkie chwile mniemał, że jest w Grudnie i że wałęsa się w tamtejszym parku. Ale te płochliwe złudzenia znikały zupełnie, jak mgły nocne. Ani już śladu dawnych, czynnych wzruszeń, co rozpychały serce...

Wszystko przesiąkło ociężałą mądrością, każde wzruszenie z nieznośnym trudem przedostawało się przez igielne ucho rozsądku.

Szedł zadumany nad sprawami życia, zatopiony w sobie, pośród mokrych mgieł, między wilgotnymi krzewy, pośród gąszczów, szeleszczących zcicha od drobnego deszczu. Zrobiło się tak ciemno, że blizkość wody rozpoznawał jedynie nozdrzami, a pałacu nie mógł przed sobą dojrzeć. Pobłądziwszy w ciemności, wyszedł za most, między zabudowania folwarku. Niespodzianie tuż obok niego rozległ się w mroku natarczywy głos:

— Kto idzie? Stój! Daj hasło!

Była to pierwsza pikieta obozowa. Dał hasło, parol — i został przepuszczony. Senny i nieswój szedł jeszcze drogą czas jakiś, gdy wtem posłyszał tętent i zgiełkliwe głosy od strony placówek. Nastawił cie-

kawie ucha. W tym rozstroju nocnym z chęcią usłyszałby zapowiedź jakiejkolwiek awantury. Zawiodły go jednak nadzieje: był to konny goniec z pismem do generała od pułkownika piątego pułku jazdy. Trafił on na wysuniętą wedetę i był prowadzony z ostrożnościami po groblach i około upustu przez żołnierzy podsłuchu do oficera, komenderującego placówką. Rafał poszedł za nimi zdala i słyszał całą sprawę. Kiedy goniec zlazł z konia w pianach, dymiącego, schlastanego błotem, i ledwie wyprostował gnaty, dano znać do kwatery.

Za chwilę wołano już do generała. Rafał wsunął się do pałacowego przedsionka, gdzie Sokolnicki w płaszczu czekał przy świeczce łojowej, przylepionej do krawędzi mozajkowego stoliczka. Skoro tylko oficer wszedł i wyciągnął się przed dowódcą, generał zażądał pisma. Przeczytał je od rzutu oka i zagadnął oddawcę:

— Czy byłeś waćpan pod Ostrówkiem?

— Tak jest, panie generale.

— Wczoraj?

— Wczoraj nad wieczorem.

— Z której strony: z naszej, czy z góry rzeki?

— Poszliśmy podjazdem wpoprzek traktu z Pogorzeli ku Kępie Warszewickiej, w górę rzeki. Zdala postrzegliśmy łyżwy, wolno ciągnione przez flisów linami na naszym brzegu. Kapitan mojego szwadronu dał rozkazy. Zaczailiśmy się w kępach łozy, i gdy chłopi ku nam podeszli, wzięliśmy ich żywcem. Mu-

sieli wywlec łyżwy na brzeg. Każda z nich miała po pięciu ludzi obsługi.

— Ile ich było?

— Cztery. Miały długości po 18 stóp, a po 5 stóp szerokości. Były drewniane, obite blachą.

— Tak. Co zrobiliście z niemi?

— Zrąbaliśmy na drzazgi.

— Co dalej?

— Żołnierze i dwaj oficerowie, którzy na krypach konwojowali te mostołodzie, dali do nas kilka strzałów, ale zobaczywszy siłę, rzucili się ku tamtemu brzegowi i po piaskach wyszli na suszę.

— Czy nie udało się wam widzieć mostu?

— Mostu — nie. Szaniec widziałem.

— Widziałeś waćpan! Kiedy i jakim sposobem?

— Nad samym wieczorem wykonaliśmy rekonesans zarówno od strony Kosumców, jak i od Kępy Glinieckiej.

— Więc most budują naprzeciw Góry?

— Tak jest. Między Górą a Ostrówkiem.

— Ten Ostrówek leży w samej nizinie Wisły?

— W nizinie, ale na brzegu dość wysokim.

— Ten brzeg wysoki daleko być może od szyi szańca?

— Trudno mi powiedzieć...

— Czy nie wiesz waćpan, bo tego w liście nie znajduję, jaki może być *relief* przedpiersia tego szańca?

— Co do mnie... Nie mogę odpowiedzieć, panie generale....

— Czy to jest *rédan*, barkan, czy *bonnet de prêtre?*

Oficer, nowozaciężny szlachcic, tęgi, widać, jeździec i szermierz, ale nowicyusz w rzeczy wojskowej, począł wykreślać ręką na powietrzu jakieś figury. Niewiele z tego można było zrozumieć. Sokolnicki siadł przy stoliku i zaczął pośpiesznie pisać list do naczelnego wodza. Przerywał często pisanie i wolnymi kroki chodził tam i z powrotem. W pewnej chwili kazał Rafałowi z ułańskiego pułku wybrać kuryera, któryby natychmiast gnał do Okuniewa. Ledwie list skończył i dołączył do niego raport Turny, goniec był już gotów. Generał wyszedł do niego, sam obejrzał konia i broń. Za chwilę ułan z kopyta ruszył w drogę. Ciemno jeszcze było na dworze, mgła gęsta nad całą niziną otwocką, ale śniady brzask rozniecał się już nad lasami. Z obozu słychać było komendy i pieśni. Wnet piechota wyciągnęła starym traktem na Ostrowiec, Sobiekursk, Kępę Gliniecką ku Dziecinowu. Szedł naprzód pluton saperów, dwie kompanie woltyżerskie Weyssenhoffa i dwa szwadrony szóstego pułku jazdy. Ten oddział tworzył czoło kolumny. Dalej maszerowały kompanie fizylierskie dwunastego pułku, z artyleryą do niego przywiązaną. Dwie kompanie grenadyerów i szwadron jazdy zamykały kolumnę.

Piąty pułk strzelców konnych pod dowództwem Kazimierza Turny, już poprzedniego dnia szeroką siecią rozciągnięty, przeniknął lasy w kierunku dróg na Tabor, Podbiel, dotarł do Osiecka, Pogorzeli i Warszewic. Slady tego przejścia malowały się w opowiadaniach pastuchów, chodzących za bydłem. Mówiono wciąż o jakiemś wojsku, które lasami powędrowało ku

rzece. Na odwieczerz mała armia ściągnęła do Dziecinowa i stanęła obozem militarnym, zajmując trzydzieści kilka domów i błonie za wsią. Zdala widać było wieżyczkę drewnianego kościołka w Ostrówku i kępy drzew, otaczające kilkanaście chat tej wioski. Za nią, od strony Kępy Glinieckiej, w niewielkiej odległości od brzegu rzecznego, rudziały surowe linie szańca. Sokolnicki, wziąwszy ze sobą kilku oficerów, wyjechał ze wsi i puścił się na oględziny miejsca.

— Jeszcze go nie zdążyli darnią odziać... To dobra wróżba... — mruknął do siebie.

Jechał zwolna, trzymając lunetę przy oczach. Kiedy na chwilę odjął szkła, rzekł do towarzyszów:

— Miał Turno racyę. Nie widzę palisad przy skarpie. Chybaby je bili przy przeciwskarpach, żeby nam utrudnić wyrąbanie. Może zresztą biorą teraz wilcze doły w rowach i w nie pale biją. Zobaczymy...

Ruszyli cwałem po błoniu, zasłanem cudną trawą. Wieś Ostrówek oddaliła im się w oczach od Wisły i szaniec ostrym dziobem wysunął się w pole ku Glinkom. Generał powstrzymał swego konia i gołem okiem mierzył przedpiersia. Szyja mu się wtedy wyciągnęła, nos zaostrzył, ścięły usta, a oczy miotały ogień. Miał w sobie coś z drapieżnego ptaka.

— Barkanik... — szepnął z szyderskim uśmiechem.

Zamilkł i znowu rył nasypy ziemi pociskami krwawych oczu.

Długo to trwało. Oficerowie, wyprostowani na swych siodłach, bez ruchu czekali. Rzekł, odwracając się do nich:

— Mogą mieć wewnątrz naprędce zrobiony blokhauz. Wtedy trzeba będzie kłaść się pod nim stosami trupów, jak w 1807 roku pod Gdańskiem...

Rafał, słysząc te słowa, ujrzał blokhauz pod Gdańskiem i twarz majora de With, ale z taką obojętnością, jakby mu się wspomniał sztych kolorowany, wyobrażający tę scenę.

— Oni tymczasem — ciągnął generał — mogliby most kończyć.

Zwrócił znowu szkła na szaniec i gwarzył do siebie:

— Kąt narożnikowy ma z dziewięćdziesiąt stopni. Czoła długie, barki mocno kryją. Musimy ten szaniec im wydrzeć i most zniszczyć, chociażby nas to miało dyablo kosztować. Jeśli tego dziś nie zrobimy, jutro most skończą, przejdą na naszą stronę, otoczą nas i rozdepcą na miazgę. Rów nie broniony, bez palisad, stoki bez darni. Jak wiadomo, wycinki przed narożnikiem frontowym i przed narożnikami ramiennymi ogołocone są z ognia. Powinno nam ludzi wystarczyć. Jeśli most nie jest skończony, to nie może być w tym barkanie więcej nad jeden pułk. Dziś mamy drugi maja. Życie musimy postawić na kartę, żeby dzień jutrzejszy święcić na szczycie tego szańca.

— Dziś tedy w nocy... — rzekł ktoś z boku.

— Proszę o milczenie aż do chwili rozkazu... — rzekł dowódca, nie odwracając głowy. — Sądziłem, że ujrzymy przed sobą linijkę dwuramienników, albo biret. Mieli przecie czas i ludzi, w swojem są państwie...

Zwrócił konia i pomknął z towarzyszami ku Glin-

kom, a nawet ku Kępie Glinieckiej. Zmrok zapadał. Krwawa łuna świeciła na wodzie Wisły, widocznej zdala. W tem świetle, jak na dłoni, widać było setki ludzi, pracujących około szańca z taczkami, wycinających rzezakami darninę, zatrudnionych przy okolceniu spadków i, jak białe mrówki, rojących się w fosach. Przez chwilę wszyscy w milczeniu przypatrywali się temu obrazowi i odczuwali ściśnienie serca na widok tego ludu, który nastawiał rodzinną ziemię przeciwko rodakom.

Powracając do obozu, generał powziął wiadomość, że ujęto kilkadziesiąt wozów z konwojem służby leśnej, wiozących z poręb obrobione pale, dyle, deski, żerdzie. Byli to chłopi z Kępy Glinieckiej. Z niemałą radością otrzymali pozwolenie składania łupu na stos i umykali do domów ze sprzężajem. Sokolnicki kazał zatrzymać forsterów i gajowych i polecił badać ich w kwestyi szańca. Niewiele powziął wiadomości ponad to, co sam wiedział, gdyż furmanki zatrzymywały się przed krytemi drogami szańca i tam składały budulec.

Miał siadać w chłopskiej chacie do wieczerzy, a wojsko już ją spożywało, kiedy od wart dano znać, że nadjeżdża wyższy oficer z kwatery głównej. Sokolnicki wyszedł naprzeciw i spostrzegł Pelletier'a. Francuz był stłuczony na siodle, gdyż bez odpoczynku pędził z kompanią jazdy wprost z Okuniewa, ale jeszcze stopy nie postawił na ziemi, a już pytał:

— Czy zaczynamy?

— Naturalnie.

— A szaniec?

— Widziałem. To luneta.

— A most?

— Mam wszelkie szanse, że nie jest skończony.

— No, to dawajcie co do jedzenia. Mam rozkaz wodza...

— Trzymania mię za poły...

— Rozumie się.

— Ale my idziemy razem?

— Rozumie się.

Pelletier rzucił się na koguta, wychudłego na przednówku w kątach pańszczyźnianego podwórka, którego upitrasił naprędce kucharz generała brygady. W trakcie łamania gnatów kura zębami rzucał pół-rady, pół-pytania:

— Posłaćby parlamentarza z żądaniem poddania szańca?

— Po co? na co?

— Żeby zobaczył, czy most skończony.

— Jakże on to zobaczy?

— Może zmiarkować z byle czego. Musimy działać ostrożnie. Wódz miał wiadomość z Warszawy, że dwanaście tysięcy Austryaków gdzieś przeszło Wisłę.

— Jeżeli ją przeszli, to tak daleko, że dziś mię we dwa ognie nie wezmą.

— Most, most!

— Cztery pontony wzięte.

— Posłałbym parlamentarza... Nic na tem nie stracimy, jeśli się akcya o godzinę opóźni.

Sokolnicki rozmyślał przez chwilę, a później kazał wezwać do siebie kapitana Siemiątkowskiego. Gdy

ten stanął przed nim, ujął go pod rękę i zaczął w ciemności chodzić po drodze tam i z powrotem, o czemś go pouczając.

Wkrótce kapitan znikł w mroku. Upłynął od tej chwili może kwadrans czasu, kiedy w nizinie Powiśla dał się słyszeć głos dwu bębnów, bijących bez przerwy. Głos ten leciał do obozu po rosie, ale się szybko od niego oddalał. Pelletier kończył właśnie swą ucztę, gdy usłyszał takt pierwszy. Podniósł tedy głowę, skinął oczyma i rzekł:

— Dziękuję.

Później zapatrzył się w płomień świecy. Sokolnicki wyszedł z izby, gdzie mieszkał, i wkroczył między szeregi. Żołnierze spoczywali jeszcze, ale, słysząc łoskot bębnów, bijących w ciemności, czuli, że to ich do boju wzywa ten srogi głos.

Milczenie legło na obóz, jak ciemna noc. Każdy człowiek spojrzał przez ciemność i przez milczenie w życie swoje, w dalekie miejsce rodzinne. Głuchy żal i ciężki smutek wszystkie ku ziemi nachylił głowy. Generał szedł między szeregi, tak samo milczący, jak oni wszyscy, tak samo ze zwieszoną głową. I w jego sercu odbił się łoskot bębnów, jak dźwięk brył ziemi, lecących na trumnę. Coraz ciszej, coraz ciszej, coraz ciszej...

Wtem od jednego razu łoskot zamilkł.

Sokolnicki obrócił się twarzą w stronę Ostrówka. Patrzał w mrok i czekał. Tak samo dźwignął głowę naród wojska. Krew odpłynęła od serc i na swój posterunek wróciło codzienne męstwo.

We wszystkich wsiach okolicznych było ciemno. Ani jednego światełka! Dopiero nieskończenie daleko, gdzieś za Wisłą tliły się światła zamglone i długiemi iglicami odbijały w wodzie. Około godziny dziesiątej dały się słyszeć głosy nadciągającego pułku Sierawskiego.

Pułk ten stanął obozem, ale pod bronią. Wykomenderowane były straże i łańcuch podsłuchów wyciągnięty. Każda kompania wyznaczyła czwartą część swoich ludzi do wsi okolicznych po drzewo, słomę i wodę, ale tymczasem wstrzymywano ich wyjście. Całkowite trzy bataliony musiały spocząć z bronią w ręku. Za pułkiem ściągnęły dwie podwody, zajęte pod medykamenty i chirurgi. Lekkich armat Sołtyka, zapowiedzianych przez generała Pelletier'a, nie było widać. Minęła godzina dziesiąta, kwadrans, pół godziny, trzy kwadranse, wreszcie jedenasta. Sokolnicki chodził, jak szyldwach, na końcu wsi. Gdy przy świetle zatlonej hubki zobaczył godzinę na zegarku, raptownie zmobilizował swą małą armię. Przybyły pułk Sierawskiego wysunął za wieś i rozdzielił na trzy części. Batalion Bogusławskiego, pierwszy, postawił na lewem skrzydle; batalion drugi pod Sierawskim wyprawił w stronę Glinek, a po środku umieścił batalion Blumera za wsią Ostrówek. Miała to być pierwsza linia. W drugiej uszykował się pułk Weyssenhoffa z czterema armatami polowemi. Piąty pułk strzelców konnych, ściągnięty sztafetami na miejsce, rozpostarł się, jak włok, i miał postępować za infanteryą dla obsaczenia szańca. Te przygotowania zajęły z górą godzinę

czasu. Było po północy, kiedy nareszcie rozległy się daleko głosy bębnów. Zrazu zdawało się, że biją wciąż w tem samem miejscu, ale wkrótce wojsko rozróżniło zbliżanie się ich dwugłosu. Było tak ciemno, że wracający kapitan Siemiątkowski wpadł na pierwsze sekcye Bogusławskiego. Natychmiast stawiono go przed generałami.

— A więc? — zapytał Sokolnicki po francusku, macając ręką w ciemności szlifę parlamentarza.

— Zażądałem, generale, w twojem imieniu poddania szańca bez zwłoki.

— Odmowa?

— Tak jest.

— Z kim mówiłeś?

— Z dowódcą pułku imienia Latour-Baillet, pułkownikiem Czerwinkiem.

— Jakiś Czech-pobratymiec?

— Zapewne. Mówiłem z nim po francusku.

— Opowiedz ze szczegółami.

— Kiedy zbliżyliśmy się do szańca, na głos naszych bębnów wyszedł i otoczył nas oddział pieszy. Doboszów zostawiono w polu pod silną strażą, a mnie oficer dowodzący zawiązał oczy i pod strażą zaprowadził w przykopy.

— Jakie było wejście? czy po skoku kurtyny?

— Nie. Ile wnosić mogę, szedłem przez otwór w przedpiersiu, zastawiony z wnętrza poprzecznicą. Rękoma dotknąłem baryery. Szyldwach nas przepuszczał.

— Cóż dalej?

— Prowadzono mię umyślnie to tu, to tam, żeby mi w głowie zamącić. Wyprowadzony zostałem z przeciwnej strony.

— Tak samo przez otwór, czy może przechodziłeś waćpan ławę dla działa?

— Nie.

— Dalej.

— Skoro rozwiązano mi oczy, byłem w namiocie. Stał przede mną tęgi starszy oficer. Był to właśnie pułkownik Czerwinek. Wyłożyłem mu twoje, generale, zlecenie po francusku, a kiedy zaczął do mnie mówić po niemiecku, odparłem, że nie rozumiem ani jednego wyrazu. Kilkakroć usiłował zagadnąć jeszcze po niemiecku, ale robiłem wówczas jak najgłupszą minę i powtarzałem z naciskiem, że nie rozumiem. Wtedy zaczął łamaną francuszczyzną podrwiwać sobie z naszego żądania, mówił mi o nadzwyczajnej wielkości szańca, o jego budowie, nieznanej nam wcale. Słyszałem nieustający huk siekier i młotów. Kończą, widać, most z nadzwyczajną forsą. W pewnej chwili pułkownik rzekł nieznacznie do podkomendnego oficera po niemiecku, żeby między krypami wybrać łódkę niewielką dla pięciu żołnierzy i oficera, który powiezie raport do Góry. Wtedy już wiedziałem, że mostu całego niema, skoro muszą do Kalwaryi przeprawiać się łodzią.

Sokolnicki ścisnął mówiącego za ramię i coś mruknął na jego pochwałę.

— Pojechali tedy do Góry łódką, a ja siedziałem w owym namiocie. Pułkownik bawił mię rozmową. Chwalił Warszawę... Wkrótce potem przyszło do tego

namiotu kilkunastu oficerów. Wszyscy mówili po francusku nietylko ze mną, ale i między sobą. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że i ze zwierzchnikami swoimi również po francusku się porozumiewają, a po niemiecku wcale nie umieją. Są to ludzie wykwintni, robią wrażenie panów, przebranych za oficerów. Wdali się ze mną w rozmowę. Skoro tylko zacząłem się przysłuchiwać głosom pracy w szańcu, podnosili umyślnie rozmaite kwestye i tworzyli hałas, żeby zmącić moje wrażenia. Słyszałem jednak, że w szańcu i za jego szyją wre robota ciesielska. Po jedenastej dopiero posłany oficer wrócił z rozkazem na piśmie. Pułkownik Czerwinek przeczytał je i rzekł mi, że powierzonego posterunku potrafi bronić do ostatka. Grono owych oficerów, których mam za jakichś cudzoziemców, przyjęło jego decyzyę okrzykami. Śmiali się szyderczo, kiedy mię wyprowadzano. Znalazłem się znowu między mymi doboszami. Warta nas odprowadziła o jakie dwa tysiące kroków.

— Dzielnieś się waćpan sprawił... — rzekł pośpiesznie Sokolnicki.

Zaraz wykręcił się i wezwał do siebie pułkownika Sierawskiego. Za chwilę szef lewego, czyli pierwszego batalionu cicho zakomenderował:

— Pierwszy batalion — naprzód, do boju! Marsz!

— Drugi batalion!

— Trzeci batalion! — brzmiały komendy w ciemności.

Pułk ruszył w nizinę z trzech stron wsi Ostrówka i bez szelestu prawie, podwójnym krokiem zdążał w mroku.

O kilkudziesiąt kroków za kolumną Sierawskiego jechał na koniu Sokolnicki. Rafał widział przed sobą jego czarną, pochyloną figurę, ledwo wynurzającą się z nocy. Za sobą słyszał jękliwy, szelestny w płytkich wodach krok koni, świst kół armatnich, rznących mokrą ziemię. Gdzieś w głębi miał za sobą pochód pułku Weyssenhoffa. W pewnej chwili generał skierował swego konia na prawo i wraz z Rafałem pojechał za prawem skrzydłem batalionu prawego, który wciskał się w przestrzeń między Kępą Gliniecką a Ostrówkiem.

Chłód powiał od blizkiej rzeki. Usłyszeli w ciemności wyraźny łoskot siekier i młotów na rzece. Wparłszy w mrok oczy, ujrzeli poprzez łozy ostre płomyki światła, lśniące na wodzie. Generał wstrzymał konia i szepnął do Rafała:

— Czy widzisz szaniec?

Olbromski rozpoznawał go już oddawna na tle bardzo słabej łuny światła, wychodzącej z za przedpiersiów i ramion barkanu. Wskazał wodzowi linię na horyzoncie.

Natarli końmi na szeregi żołnierzy i w najgłębszej ciszy, powstrzymując oddech, skradali się dalej. Wkrótce szaniec począł czarną linią wyrastać przed nimi. Jeszcze chwila i dał się słyszeć szmer, zbiorowe słowo, podobne do szumu wiatru:

— Rowy...

Sokolnicki zatrzymał konia i rzekł do Rafała:

— Stój przy mnie.

Słychać było, jak wiatr szeleszcze w zaroślach nadwodnych, dalekie echa rozmów ludzi, pracujących

na moście... Rafał był znużony poprzednią bezsenną nocą i całodziennym marszem. Miał słuch bardzo wyczulony i pewien w sobie obmierzły niepokój. Zdawało mu się chwilami, że jeszcze błądzi w parku otwockim i marzy o zmarłych. Ale nie wiedział prawie, o kim myśli i kogo wspomina. Oto zdala, zdala, z za Wisły doleciał wrzask austryackich placówek: *Wer da!* Głos ten wiał nad wodą, znikał w nocy, tonął w sercu ścierpłem, pełnem gniewu i zemsty:

— Och, żeby prędzej!

Szeleszczą łozy, świszczą na wietrze, jakoby badyle na dawnym cmentarzu, w rodzinnych stronach. Wargi, nie wiedząc, poszeptują:

— Wieczny odpoczynek...

Wtem z przeraźliwym łoskotem runął werbel doboszów całego pułku, zgromadzonych przy trzecim batalionie, który przedostawszy się przez wieś Ostrówek, stanął już pod kątem narożnikowym szańca.

— Hura! — ryknął batalion Blumera.

— Na szaniec! — zakomenderował Sokolnicki.

Sam zsiadł z konia i, prowadząc go za uzdę, doszedł aż do rowu. Wojsko zginęło im z oczu. Słyszeli salwy strzałów z narożników i czół szańca, bijące w napastniczy batalion tyralierski, który wciąż krzyczał, bił w bębny i strzelał. Jak ciemna fala, nadpłynęła z tyłu część pułku Weyssenhoffa. Sokolnicki zatrzymał jednego żołnierza z linii i kazał mu pilnować swego konia. Sam stanął w szeregu między żołnierzami i ruszył naprzód. Olbromski dotrzymywał mu kroku. Wpadli po ciemku w przedrów, na sześć stóp głęboki, wa-

lili się w doły, grzęźli w rozmiękłych kupach ziemi, która wraz z nimi zjeżdżała w jakieś dziury, najeżone palami, w trójgran zaciosanymi.

— Co tchu naprzód! — wołał ktoś w ciemności. — Tu mogą być pozakładane *fugassy*, miny prochowe...

Żołnierze czołgali się po glinie i zarabiali w niej do pasa. W pewnem miejscu leżały wkopane w stok szańca zasieki z drzew, ściętych u samego odziemka, i wszystkiemi gałęziami w dół zwrócone. Były to jakby potworne łapy i pazury, spychające w jamy na dole, włażące między żebra, gotowe do chwytania za gardziel. Kiedy zdeptali gałęzie i wdarli się nad nie, uderzyli piersiami w krótkie kołki ostro zaciosane. Ale nareszcie pokonali i te szykany. Usłyszeli przed sobą wrzawę, łoskot broni, przeraźliwe krzyki, klątwy i jęki W pewnej chwili Olbromski znalazł się wraz z innymi na wierzchołku szańca. W słabem świetle latarni płonących niżej ujrzał śmiertelny bój. Bagnety w siwym blasku migotały. Ludzie skłębili się w bezkształtną masę. Obadwa bataliony Sierawskiego walczyły już w głębi szańca. Austryacy stali oparci o jakąś nizką, drewnianą budowlę. Przebiegając obok lawowego działa, stojącego na barbecie, ujrzano kanoniera austryackiego, jak młotem wbijał ogromny bretnal w zapał, a za chwilę począł bić stemplem wewnątrz kanału w celu zagięcia szpica bretnala i zagwożdżenia działa. Rafałowi wydała się tak podłą ta jego czynność, że skoczył ku niemu ze szpadą. Tamten podniósł głowę i w świetle latarni Olbromski ujrzał twarz jakby natchnioną, pełną świętej grozy i uniesienia. Szpada jego

rozszarpała mundur Austryaka. W tej samej chwili tłum nadbiegających piechurów Weyssenhoffa roztrząsł kanoniera na bagnetach, rozwalił mu głowę, przebił piersi, brzuch, boki, plecy... Rafał poskoczył ku miejscu bitwy pod barakami. Zwarty, podwójny, a za chwilę potrójny szereg żgał Austryaków bagnetem. Bronili się po bohatersku. Formując trójkąt, oparty o budynek podstawą, działali z szaloną furyą. Natarcia niewprawnych rekrutów polskich niweczyli potężną sztuką i kładli ich pokotem, wałem, jak szaniec między sobą a nowymi szeregami napastujących. Żołnierze polscy, patrząc na ów trójkąt niezwalczony, poczęli stronić od tego miejsca. Właśnie zjawił się w szańcu generał Pelletier. Długo stał bezczynnie, wpatrując się w walczących. Sokolnicki spostrzegł, że część pułku Sierawskiego cofa się ku szyi szańca. Zwołał tedy ludzi i biegł z nimi na tamtych. Pelletier poskoczył ku niemu i rzekł, wskazując na mężnych:

— Weź ich żywcem, generale...

— Czemuż to żywcem?

— To moi rodacy, emigranci, nieprzejednani...

— Cóż oni tu robią?

— Protestują przeciwko straceniu ostatniego Kapeta.

Szary przedświt rozniecił się i dał widzieć obraz morderczej bitwy. Klin arystokratów francuskich topniał pod bagnetami Maćków polskich, ale i ostatni z walczących zachowali zimną krew i niezłomne bohaterstwo. Jakiś ich oficer ze wzgardą w skrzywionych ustach komenderował po francusku, dopóki nie

runął pod ciosami. Zalany krwią, zawalony umierającymi szaniec został zdobyty. Dwa tysiące jeńca złożyły broń. Generał Schauroth umknął na krypie do Góry, żeby stamtąd bić ze wszystkich armat w zdobywców pod Ostrówkiem.

W STARYM DWORZE.

Kiedy w pierwszych dniach czerwca generał Schauroth przeszedł z lewego na prawy brzeg Wisły pod Połańcem, oraz pod Niekuszą, Rafał Olbromski znajdował się przypadkowo w tłumie oficerów sztabu księcia Poniatowskiego. Był wysłany przez generała Sokolnickiego ze szczegółowym raportem o wyprawie kawaleryjskiej pod Rożki, o działaniach w polu na północ od Sandomierza pod folwarkiem Kruków i pod Mąkoszynem.

Dnia dziewiątego czerwca nastąpiła potyczka pod Mielcem. Wojska księcia Józefa musiały cofnąć się wobec przemagających sił Austryaków i przekroczyć Wisłokę. Rzeka, ta dobrze Rafałowi znana, wyschła była teraz zupełnie i nie mogła stanowić przeszkody w przeprawie nieprzyjaciela. Rzucano też pośpiesznie wydłużoną smugę jej piachu i kamieni.

Było południe chmurnego dnia, kiedy tłum elegantów sztabowych, w którym znajdował się Rafał, wyjechał z lasów nadbrzeżnych, w półkrąg otaczają-

cych Stokłosy. Dalekie krajobrazy leśne już niebieściały pod pogodę, choć pasma najbliższe wciąż jeszcze nasycone były wilgotnym, granatowym tumanem. Cała ziemia, odziana we zboża, stała się mokra i miąższa od fali. W brózdach lśniła jeszcze zmulona woda. Wązkie, polne drogi, które innego dnia ledwieby oko wytropić zdołało między łanami zbóż, srebrzyły się teraz od pasmugów zlewnej wody. Deszcz ustał. Obłoki bure, pełne w sobie białych jam i dołów, ciężko zwisając, wlokły się stronami. Głębokie, stubarwne, przemokłe trawy łąk zaniosły się po tym deszczu od kwiatów.

Gromadka oficerska jechała, gwarząc o wypadkach dnia. Rafał, niewiele tutaj znający osób i nie mający udziału w akcyi, ani żadnego określonego charakteru po załatwieniu zlecenia, kłusował obojętnie z boku drogi. Ujrzał zdala Stokłosy... Ponieważ tam być nie mógł, przepatrywał jeno zmiany w zasiewach pól, w koronach drzew, w barwach płotów i dachów. Na zakręcie drogi, pod wzgórkiem, zdało mu się rzucić okiem na prawo — i oto ujrzał tuż tuż samego, we własnej osobie Szczepana Trepkę. »Pan poseł« jechał na koniu polną drożyną-miedzą ku gościńcowi. Koń pod nim stał właściwie na miejscu, o tyle tylko przebierając nogami, żeby się wydawało, jako jeździec nie patrzy bezczynnie, jako za swoją dąży sprawą. Rafał znał doskonale ów wyraz twarzy zobojętniały, półsmutny, półszyderczy i owo niby to tępe gapiostwo prostaka... Serce w nim uderzyło na widok zgarbionej figury w zgrzebnym kitlu, w grubych butach,

na widok twarzy szarej, zestarzałej, surowej i smutnej. Nie wytrzymał. Pchnął konia ostrogami przez szeroki rów, w młode zboże, pod wzgórek. Sadząc skokami, zaśpiewał przejmująco, z serca:

»Ledwie twoje spotkam oczy,
Nim postrzegę, żem widziany,
Już się na bok wzrok twój toczy
I martwe przebiega ściany...«

Trepka wsadził głowę jeszcze bardziej w ramiona i wstrzymał konia. Patrzał z podełba. Nawet poznawszy już w oficerze towarzysza, nie zmienił wyrazu twarzy. Ukłonił mu się kapelusiną z wyrazem pokornej a chytrej grzeczności.

— Pan poseł nie poznaje, widzę, starych przyjaciół...

— Ale gdzież tam... ale gdzież tam... — mamrotał Trepka z uprzejmem, z uniżonem pochlebstwem.

— Przecie to widać...

— Krótki mam wzrok, nie mogę dojrzeć odrazu.

— Na wzwiady pan poseł wyjeżdżasz, siły narodowe z za żyta lustrujesz... Kto cię wie?... Z nieprzyjacielem może trzymasz...

— Cicho-no, cicho, mości Olbromski... kapitanie...

— Czemuż to cicho ma być porucznik Olbromski?

— Głośno krzykniesz, poruczniku, i pojedziesz na bystrym koniu... A mnie tu mogą powiesić... W tropy twoje przyjdzie na tę samą miedzę jużci ten nieprzy-

jaciel. Ja zaś nie mogę od niego uciec na bystrym koniu. Muszę, widzisz, pozostać.

— A przyjdzie ten nieprzyjaciel do ciebie, przyjdzie i to niezadługo.

— Widzisz — ha! Przyjdzie...

— Ależ cię przecie nie zjedzą!

— Zjeść nie zjedzą, ale z dymem puścić mogą dwór, gumno, chałupy...

— Wiecznie się strachasz o to, co być może...

— Wiecznie się stracham...

— Istne się z ciebie strachajło zrobiło, panie pośle!

— Bardzo mię za młodu, widzisz, straszyli, to też na starość jakby znalazł. Nie jednegom stracha za życia widział, piękny wojaku... I taki teraz tchórz ze mnie.

— A toż nie doda ci ducha? Stary przyjacielu, patrzaj-no!

Z lasu wszystkimi, zda się, jego międzydrzewnymi przestworami wypływać poczęło wojsko siły odwodowej księcia. Piechota szła szybko, sfornym marszem w bród trawami łąk, w pas zbożami pól. Szeroką drogą migotliwie sunął wąż konnicy. Grały na słońcu barwy wielorakie, a splótłszy się z kolorami pól, tworzyły obraz zachwycający. Trepka stał na koniu prawie na szczycie wzgórka i patrzał w owo cudnobarwne zdarzenie. Rafał na mocy starego przyzwyczajenia nie ważył się przerywać jego zadumy. Wspomniał sobie, jak to jesienią przed laty patrzali na inny pochód. Chciał wcisnąć między myśli przyja-

ciela słowo przypomnienia o tamtej chwili, słowo żywiącej otuchy. Trepka przeczuł niejako jego zamiar. Uśmiechnął się gorzko, gorzko, gorzko. Pokiwał głową... Zapytał nagle:

— To i Sandomierz oddacie, czy jak?

— Jakto oddamy?! — wrzasnął na niego grubiańsko młody. — Zeby kije z nieba leciały, żeby w kupę gruzów miało się zapaść całe miasto! Jednej cegły nie da im darmo Sokolnicki! Aby on nie da! Wziął garścią swoją, zdobył, i garścią zatrzyma!

— Pewnie, że należałoby trzymać toto aż do skutku... Miejsce bogate. »Bram cztery ułomki, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki...«

Rafała przeszył do szpiku kości gniew. Teraz poczuł, jak innym już jest człowiekiem, jak się wyzwolił z libertyńskich formułek myślenia tego dziwaka. Czuł, że ma wyobrażenie całości, kiedy ten wciąż się zajmuje ulubionym sobie ułamkiem. Walki, widziane pod murami Sandomierza, szturm, bombardowanie własnemi armatami starych kościołów, prace ziemne po zdobyciu miasta — wszystko to, jak wielki skarb duszy, ukazało mu się odrazu. Zamilkł i razem z Trepką ruszył cwałem za oficerskim orszakiem, który zmierzał w stronę Olszyny.

— Czyż to do Olszyny jedziemy? — spytał po drodze.

— Pono. Spotkałem tu w polu konnego, który leciał do miasteczka po sprawunki. We dworze, u starego Cedry książę dowódca stanął kwaterą... No, chwilowo, bo *periculum in mora*. Obiad stary Cedro wydaje

dla sztabu. Aby jeno między pieczystem a leguminą dyabli Schaurotha nie nadali w czarno-żółtym sosie! Powinieneś być na tej uczcie, mości poruczniku. Po pańsku występuje stary. Chce się pokazać, choć łydki pod nim pewnie drżą, choć grubo ryzykuje...

— Jedziesz tam przecie?

— Jadę, jako domowy jegomości pana Cedry...

Spojrzał dawnemi, drwiącemi oczyma, zaśmiał się w głos rubasznie:

— Na miły Bóg! — oficer z ciebie najsroższego kalibru, Olbromski Rafale! Co za koń! co za statura! Wyglancowali cię, wyszwarcowali... Nie byłeś dawniej taki szczwany... Daleko zajedziesz! No, to i dobrze.

— A cóż waszmość myślisz? Obadwaj my z Krzysztofem na ludzi wyszli. Światem rządzimy! zamiast tu z wami wśród kup nawozu rządy sprawować...

Ledwie imię Krzysztofa padło, stary Trepka zmarszczył się i zmarniał w sobie. Stał się z niego w krótkiej chwili zgrzybiały safanduła. Jechał na swym wierzchowcu zgarbiony z obwisłemi rękoma.

— Krzysztofa powiadasz?...

Machnął prętem w powietrzu raz, drugi. Wskazał nim coś w polu. Potem w drugiej stronie, a gdy odwrócił się ku towarzyszowi, ukazał mu twarz niemal zdziecinniałą.

— Niema Krzysia... — wypowiedział zcicha, jak gdyby sekret żałosny.

— No, tu go niema, bo jest we świecie. Wojuje.

— Wojuje...

— Mieliście też od niego jakie wieści?

— Pisał z Paryża listek jeden, a potem nic już, ani słowa. Przysłali tu gazetę francuską z wiadomością, że pułk jego w Hiszpanii. I tyle wiemy...

Wjechali w szeroką, brzozową aleję, prowadzącą do dworu. Stare pnie, spodem czarne, wyżej śnieżnobiałe, pręgowane, jak marmur, nasunęły się przed oczy, niby wierzeje gościnnie rozwarte, niby sienie. Prawie niepochwytny szum zwieszonych liści wieścił dumę o tem, czego nic nie wyjawi, krom niego, o uczuciach minionych. Ujechali już kilkaset kroków tą aleją w milczeniu.

Rafał obejrzał się poza siebie... Miał złudzenie, półzłudzenie, niejasną sensacyę cielesną, że zdala ktoś jeszcze pędzi na koniu w cwał...

Nie chciałby tego przed sobą wyznać, że ma na myśli Krzysztofa. Było mu przykro i obmierźle tem się zajmować. Wylot alei, jakoby okno półokrągłe u góry, otwierał się w pola rozległe. Ciemniejąca w łanach wielkim płatem pszenica tworzyła tam obraz niezrównany. Zaczęli, chcąc nie chcąc, przebąkiwać o zbożu, o urodzajach, o deszczach i, rozprawiając, jak dwaj hreczkosieje, sąsiadujący o miedzę, których nic zgoła oprócz urodzaju wsianego zboża nie obchodzi, wjechali na dziedziniec dworski. Jakże się zmienił! Pełen był koni pod siodłem wojennem, zlekka tylko odpopręgowanych, pełen żołnierzy, obiadujących po kątach z pośpiechem, pełen żołdackiego krzyku. Okna we dworze pootwierane, drzwi na ganek szeroko rozwarte... Słychać było muzykę, śpiew, oklaski. Służba lokajska i żołnierze ordynansowi wbiegali i wybiegali ze dworu.

Obiad, naprędce podany dla księcia i jego świty, już się był skończył. Wódz z kilku generałami był w ogrodowej altanie, gdzie toczono jakąś naradę. Młodzi oficerowie napełnili wielki salon i przyległe pokoiki. Kiedy Trepka, prowadząc pod rękę Rafała, wchodził na ganek, ozwały się znowu tony starego pantaleonu. Pan poseł puścił towarzysza do salonu, a sam na palcach przeszedł sionkami wpoprzek dworu na taras, z którego zstępowało się do ogrodu. Odchodząc z pośpiechem, wskazywał giestami swój kostium arcy gospodarski i srodze zachlapane buty. Rafał wsunął się do salonu. Powiódł oczyma po zgromadzonych.

Jeden z młodszych oficerków grał. Panna Mery stała obok intrumentu. To samo pochylenie głowy, ten sam wyraz twarzy. Oczy przymknięte... Podniosła głowę i zaczęła śpiewać:

»La nuit tomboit dans la prairie,
L'Echos dormoit dans le vallon,
Près du ruisseau chantoit Amélie...«

Nie było to śpiewanie podlotka, które był słyszał przed laty, lecz piękny głos młodej, zażywnej i silnej kobiety. Powiodła uroczemi oczyma po zgromadzeniu mężczyzn. Widać było radość życia, siłę serca i żądzę szczęścia we wzroku tym, słychać ją było w śpiewie. Ta pieśń skarżyła się przed całym, pokrewnym światem młodości, jakoby przed sądem przenikliwym, znającym istotę rzeczy i pełnym sprawiedliwości, na pustkę i smutek tego domu, na gorycz lat młodych a samotnych. Skarżyła się nie słowem, lecz

dźwiękiem samym, szeregiem przedziwnych, muzyckich akcentów, a całe grono młodzieńcze słuchało jej w skupieniu ducha. Ani jeden ze słuchaczów nie został obojętny na te przejmujące skargi, na te samotne głosy i okrzyki. Ale oto coś zadrżało w melodyi tej piosenki, zakołysały się tony od najwyższego uniesienia... Rafał podniósł oczy i ujrzał wbite w siebie dwie brylantowe strzały oczu panny Mery. Uczuł z rozkoszą, że to jego właśnie wita i pozdrawia dawna piosenka tem najwyższem uniesieniem... Uśmiech radości, woniejący blask szczęścia kwitł na ustach śpiewaczki.

W chwilę potem zdarzyło się Rafałowi spojrzeć na prawo. Tam, wśród kilku najwykwintniejszych socyuszów księcia, siedział stary pan Cedro. Nie zmieniły go prawie lata ubiegłe. Ta sama piękna, starcza twarz, ten sam wykwintny ruch głowy, ułożenie rąk i nóg. Siedział w fotelu z wdziękiem lekkiego dandysa, uśmiechał się tkliwie, lub łaskawie, sztywnie i foremnie trzymał korpus i nogi. Spojrzenie, zarazem pobłażliwe i wyniosłe, padało na gości z pańskich oczu. Ale oto przy dźwiękach radosnych piosenki, gdy wszystkie westchnienia młodości jej szlakiem uleciały, stare wargi zaczęły się rozciągać wszerz, jak guma rozdartej piłki, nos zetknął się prawie ze śpiczastą brodą, powieki zwisły i nabiegły krwią. Nie drgnęły ręce, ozdobnie złożone na poręczach, nie poruszyły się skrzyżowane nogi, tylko z pod powiek zaczęły kapać na kolana łzy piołunowe, wielkie krople żałości. Nikt na nie uwagi nie zwrócił, prócz Rafała. Po skończeniu śpiewu rozległy się frenetyczne oklaski i prośby o nową piosenkę.

Kiedy panna Mery, na pozór wzdragając się i wymawiając, szukała nut w tece, stary pan Cedro wysunął się z tłumu.

Szedł omackiem, grzecznie uśmiechnięty, nikogo nie widząc. Przemknął się wśród zgromadzonych z ukłonami na prawo i lewo, nie wiedzieć do kogo skierowanymi, i wyszedł na taras ogrodowy. Tam zatoczył się bezwładnie na ławkę. Podniósł oczy i spostrzegł siedzącego Trepkę.

— Ach, to waćpan!... — wysyczał ze wściekłością, z nienawiścią, przebijającą, jak pchnięcie nożem w serce.

— Jużci ja...

— Dziecko mi zabrałeś! Zgubiłeś mi mędrkowaniem syna!

— Uspokój się, panie, uspokój.

— Tylu ich tu przyjechało, tylu naszło! Pełen dom... Zdrowi, rumiani, weseli. A jego niemasz! Krzysia niema... Kazałem ich wszystkich godnie przyjąć na jego cześć, ale cóż mi z tego?... Krzysia niema...

— Przyjdzie i on.

Starzec podniósł oczy spłakane. Pokorne pytanie, jakoby ubogiego chłopa, który się doprasza łaski, słowa — odpowiedzi od możnego dziedzica, od jaśnie pana, wypełzło z warg:

— Kiedyż przyjedzie?

— Przyjdzie taki czas, nadejdzie taki dzień, schyli się ku nam taka błogosławiona godzina, że przyjedzie niespodziewanie, czerstwy i wesół.

— Skądże to wiesz?

— Tylu ich idzie na wojnę i tylu wraca... Czemużby on, najlepszy z pomiędzy wszystkich, nie miał powrócić?

— Tyle wiesz! Jużem to sobie tysiąc tysięcy razy mówił i przegadywał po nocach, jużem w siebie stokroć wmawiał to wszystko. Czekam i czekam...

Słysząc, że ktoś z pokojów nadchodzi, zeszli z balkonu na ulicę ogrodową i wlekli się obaj, ramieniem o ramię oparci. Tuż za szpalerem i płotem z tarniny kołysał się ów łan pszeniczny, bardzo rozległy; wiatr już po nim ciemne smugi przeganiał, a po gałęziach brzóz wzdychał i smutne szumy przeciągał. Wypłókana od zlewy gliniasta ulica ogrodu była twarda i niemal sucha. Nogi obudwu idących stukały po niej, jak po deskach. Przyszedłszy do końca szpaleru, stary Cedro powiódł oczyma i ręką po widzialnych obszarach zboża, po drzewach sadu, których gałęzie gięły się już od owocowych zawiązków, i począł bezsilnie narzekać:

— Wszystko to jego, wszystko to miał... Dla niego rośnie to zboże, dla niego dojrzewają owoce, pachną kwiaty... Jego ta glina, ten wiatr, ten szum... Cała tu ziemia na niego czeka, dziedzina pradziadowska... Czegoż jeszcze chciał? Czego poleciał szukać?...

— Pojechał szukać — mówił Trepka z uśmiechem dobrotliwym i nauczającym — ziemi innej, nie mojej ani twojej, tylko naszej, gminnej, gromadzkiej. Młodemu śni się ta wielka ziemia, która do nikogo nie należy, staremu śni się mała, która należy tylko do niego... Choćby też najmniejsza, byle do niego tylko...

Aż przyjdzie taki wiek w życiu człowieka, że go już żadna nie nęci.

— Tyś to go wywiódł z mojego domu temi przemądrzałemi głupstwami! tyś go podmówił do buntu! — nanowo zaczął użalać się Cedro.

— Nie jam go podmawiał, tylko ocknienie, przebudzenie, siła żywota. Jam winien, żem go nie wstrzymał, to prawda. Alem go nie wstrzymywał, to wyznaję.

— Wiedziałem, żeś to ty sprawił! Ty, nie kto inny! Czemuś go nie związał słowami, skoro taki wpływ na niego sobie wyrobiłeś? Gdybyż choć bił się tutaj, jak ci oto, którzy mój dom napełnili weselem... Ale gdzież on jest? co czyni?

— Nie wstrzymywałem, — mówił Trepka cicho, napoły do słuchacza, a właściwie do siebie — bom nie mógł. Straciłem wiadomość rzeczy. Nic już teraz nie wiem... Nic nie wiem! Zawiodły mię wszystkie lekarstwa, wszystkie nadzieje rozbiły się i oszukały duszę. Widziałem spodlenie wszystkich instynktów, powolne znikanie zmysłu plemiennego bytu. Poczucie hańby zżarło mię całego. Wspomnij, jak z pruskich banków brali pieniądze na ziemię, wiedząc, że ją zaprzedają na wieki. Niemiec drwił z nas czynami, instytucyami, pobudzaniem do rozpusty. Za pięćdziesiąt lat nogi-by polskiej w tych Prusiech Południowych nie było: chłopów-by zniemczyli szkołami, kulturą, szlachtę wysadzili z ziemi licytacyami, miasta zalali przemysłem i handlem. Młodzież złajdaczała, gałgaństwo i głupota padły na cały naród, jak morowe powietrze... — zaczął szeptać staremu do ucha tak, żeby nikt nie słyszał.

— Co mi ty bajesz! co opowiadasz! Kłamstwa to twoje...

— A w tej Galicyi...

— Przestań!

— Trzeba było ratować. Honor plemienny za jakąbądź cenę musiał się obudzić. Wolałbym, żeby zamiast uprowadzenia Krzysztofa ucięto mi tę rękę, tę nogę, ale musiałem, przyjacielu, podmawiać, żeby szedł.

Zstępowali w dół, w najniższą część ogrodu, ramieniem o ramię oparci, ze zwieszonemi głowami, szepcąc do siebie wciąż starcze pogawędki — pociechy, zgrzybiali obadwaj, starzy i bezsilni od smutku.

— Na cóż mi się to wszystko zda w mojej niedoli?... — mamrotał Cedro.

— Musiało, co lepsze, ocknąć się i rzucić w krwawą kąpiel. Mógł-że to on spać w domu i władać kawałkiem ziemi? Przypomnij sobie jego duszę... On, Krzysztof! Pomyśl-że tylko... On, Krzysztof!

SANDOMIERZ.

Rafał Olbromski zdołał dnia 9 czerwca w sam czas dotrzeć do Nadbrzezia i przeprawić się przez pokład na mostołodziach do Sandomierza. Nazajutrz rano cały most sprzątnięto, a bateryę szańca przedmostcwego ku Trześni zburzono ze szczętem. Z natury swego stanowiska, jako adjutant trzeci generała Sokolnickiego, Rafał musiał ciągle przebiegać Sandomierz i jego cały obwód uzbrojony w najrozmaitszych kierunkach. Stary Sandomierz!... Znał go przecie od lat dziecinnych równie dobrze, równie szczegółowo, jak ogród i gumno w Tarninach. Gnał tedy konno to na góry Pieprzowe, gdzie przy sypaniu okopów wyrzucano z ziemi urny staropogańskie ze słowiańskiego zgliszcza, to na pola folwarku kapitulnego Kamienia; za chwilę co koń skoczy pędził z rozkazami w stronę zachodnią, do fortalicyów zamku, i dalej w stronę Rajeckiego folwarku na Krakówce, w stronę Chwałek i Strochcic, to znowu ku Lenarczycom i Kobiernikom, by wkrótce rzucić pocztowemu cugle konia i na pie-

chotę zdążać już to ku baszcie nad Rybitwami, już ku posterunkom umocnionym za klasztorem św. Jakóba, za kościołem św. Pawła, św. Józefa i św. Michała, czyli klasztorem Benedyktynek. Ów trójkąt, który tworzyły powyżej wymienione kościoły, złączony z miastem przepaścistymi wąwozami, stanowił punkt najbardziej umacniany. Nad ostatecznem ufortyfikowaniem tych miejsc pracował pod rozkazami generała dowódcy książę Gintułt. Przyprowadził on ze sobą do Sandomierza batalion ludzi, których w swoich przeważnie majątkach zgromadził w tamtej strony Wisły. Ludzie ci nie byli dotychczas uzbrojeni, ani umundurowani należycie; wzięto ich tak, jak stali, w wieśniaczych odzieniakach. Książę sam nimi dowodził, ale nie jako oficer, gdyż do wojska nie wstąpił, tylko jako cywilny inżynier i dozorca. Teraz przy umacnianiu Sandomierza »batalion« Gintułtowski osobliwie się przydał. Za jego to staraniem i nieprzerwaną saperską pracą wzniesiono szańce naokoło miasta, które stworzyły przednią straż obrony wewnętrznej. Kościoły i klasztory zamiejskie były wciągnięte do tej linii obronnej, a ich cmentarze, dzwonnice, wieże i mury do odporu umocowane. Parowy, stromo ścięte, stanowiły niezrównany systemat dróg krytych do komunikacyi z szańcami świętego Jakóba, na górze Świętopawelskiej, świętego Józefa i benedyktyńskim. Szańce odpolne poza tymi kościołami i przedmieściem Opatowskiem podsypano wysoko, a nadto, dla nadania im pozoru jeszcze bardziej strasznego, odziano w puste beczki, które przysypano ziemią. Stodoły folwarczków

Psałterzyskich w tych stronach pourządzano do obrony w ten sposób, że wewnątrz nich wydźwignięto świetnie zamaskowane ziemne przedpiersia, które dawały możność uporczywej obrony. Podobnie wszystkie klasztory były wewnątrz przemienione w warownie. W samem mieście kierował robotami generał Sokolnicki. Starożytny mur obwodowy dopełniał nieustannie, a wyłomy w nim nie do naprawienia zastąpił palanką. Poza murem bito jeszcze palisady w spadek góry, wciągano na pozycye austryackie ośmnastofuntowe armaty.

Książę Gintułt osobliwą pieczą darzył jeden z klasztorów zamiejskich, a mianowicie kościół i klasztor świętego Jakóba. Wznosząc w tamtej stronie, od zamku aż po drogę opatowską, owe wysunięte *ouvrages extérieures*, w czasie dozorowania swych chłopów, długie godziny trawił na kontemplacyi odwiecznych romańskich murów kościoła, jego ceglanych ścian, pokrytych sześćsetletnią patyną czasu. Rozkopując tak do głębi ziemię tych pagórków, pokrytą młodemi zbożami, gdzie drzewiej, przed wieki, na początku stało miasto Sandomierz, trafiano wciąż na ślady wałów, murowanych fos, resztki palisad. Może to były wały sypane przeciw Tatarom przez wójta sandomierskiego Witkona i wojewodę Dersława z Obręczny... Rydel kopacza odwalał zapadłe wejścia do lochów. W ich głębokości i mroku szarzały wzgórza kostne.

Byłyż to jaskinie, w które przywiodła Tatarów mężna Halina, córka Piotra Krempy, i gdzie śmiercią zginęła dla ocalenia ojczystego miasta?... Ludzie san-

domierscy oglądali ze czcią owe popioły zgasłych pokoleń, dumając sobie i zgadując nadaremnie, czyje też są. Któż bo mógł zgadnąć? Byłyż to kości Jadźwingów, czy Tatarów, Litwy czy Rusi, Szwedów czy Niemców?... Nie było czasu na szanowanie podziemnych cmentarzysk. Sypano stare kości wraz z ziemią górną na nowe szańce... Tylko książę Gintułt, po skończeniu dziennych robót, sam, w nocy, obwiązany sznurem, puszczał się częstokroć w owe podziemne chodniki. Znajdował szczególną rozkosz w dotykaniu się ręką, w obejmowaniu trwożliwą źrenicą sennego popiołu przeszłości. Łudził się dobrowolnie, postępując w mroki podziemia, wiedziony przez ruchliwy krąg światła, przez bojaźliwą smugę pochodni, że przepatruje tajemne szlaki śmierci i bada przyszłe dzieje zgasłego człowieka... Rozkosz znajdował w tych złudach. Stawał się w głębi lochów sam dla siebie niezupełnie zrozumiały, był sam dla siebie napoły człowiekiem, półduchem i dochodził do stanu złudzenia utraty zmysłów. Za dnia, wśród najpilniejszej pracy, wsłuchiwał się bardzo ciekawie w pogwary ludku o tych lochach, w gadki o przejściach podziemnych, w legendy przysypane gruzem ciemnoty, zarosłe chwastem i darnią powszedniego dnia, podobnie jak same lochy. Zwolna wytworzyło się w jego sercu łaskawe przyzwolenie na prawdziwość światła, które tylekroć w ciemne noce widzieli ludzie nad kościołem świętego Jakóba. Książę śmiał się dobrotliwie, radośnie i szczerze, słuchając, jak to pułkownik szwedzki uciekał co tchu z klasztoru, ujrzawszy o północku światłość jarzącą, co wychodziła z okien, i usłyszawszy śpiew

nadziemski czerdziestu sześciu Dominikanów z Sadokiem na czele, zamordowanych przed pięciu z górą secinami lat. Powiadał sobie wówczas w duchu, że przecie niemasz nic na tej ziemi sprawiedliwszego od wyroku baśni cudownej... Jakże głęboką, jak zrosłą z ziemią wydała mu się powieść o wiecznym śpiewie, o wiekuistej wigilii nocnej w tej świątyńce, gdzie się modlili za życia wymordowani!... Omszałe mury dominikańskie poczęły promienieć dla księcia przeczystą światłością, niemateryalnem jaśnieniem, które otacza cnotę męstwa, honor przysięgi dotrzymanej i grób męczeński. Między jego duszą a owym murem, stromo wystrzelającym ze szczytu wzgórka, między kopułką kaplicy — celi Jacka Odrowąża wyrosła w tym czasie jak gdyby żyła nierozerwalna.

Nieraz Rafał zdybał tak księcia, siedzącego pod przykopą, na wystającym kawałku żerdzi, w miejscu, gdzie w trzynastym wieku istniały winnice dominikańskie, zapatrzonego w uroczy portal północny, w ozdobne łuki półkoliste okien, we floresy frontonu. Nietajne mu też były zabiegi, żeby ten klasztor osłonić najbardziej zarówno od nieprzyjacielskich pocisków, jak i od możliwego zbombardowania z miasta. Najwyższe tu powysypywano odkosy ziemi po wzgórkach i najwyżej powznoszono koszokopy. Wszystko to działo się pod ogniem bombardowania i napadów, jak całodzienna kanonada 27 maja, siedmiogodzinna nocna z 4 na 5-ty czerwca, trzygodzinna popołudniowa 6-go czerwca. Po powrocie swoim z za Wisły, Rafał rzadziej widywał księcia. Przebywał wciąż przy generale. Obserwował

dnia dwunastego czerwca z kopuły kolegiackiego kościoła przebieg bitwy na Dąbrowiu, we Wrzawach i pod Gorzycami — wysiadywał na dachu kolegium jezuickiego w dymnikach, tak dobrze sobie znanych, wypatrując stanowisko Austryaków pod Dębiną i cofanie się wojsk naszych pod Rachów. Czuwanie po nocach, dni na siodle bez pożywienia i chwili odpoczynku zmarnowały adjutanta. To też w nocy z 15 na 16 czerwca, kiedy toczyły się narady z przysłanym parlamentarzem, postanowił wyspać się należycie. Dopadł jakiejś stancyjki w domu księżym, stojącym w głębi podwórza. Całe to domostwo było spróchniałe i bardzo stare, to też mieszkańcy dawno z niego uciekli. Olbromski rzucił się w ubraniu na łóżko napotkane i głośno zachrapał. Ale przed północą zbudził go wściekły łoskot. Przez otwarte okno widać było mnóstwo kul ognistych, puszczonych na Sandomierz z Nadbrzezia, z Zarzykowic i poburzonych szańców. Kule te śmigały, jak race w dzień godowy, z hukiem pękały w powietrzu, miotając ogień na wsze strony. Napół rozbudzony oficer usłyszał tuż gdzieś za ścianą wrzaski na trwogę. Trzeba było wstać. Dźwigał się właśnie z łóżka, kiedy mu przed oczyma wybuchnął olbrzymi żagiel ognia. Pożar w podwórzu! Palił się jakiś śpichlerz, czy lamus o kilkanaście kroków od okna.

— Pana Saniewskiego lamus gore! — wrzeszczały oszalałe głosy.

Kiedy Rafał wybiegł z domostwa, już dach je okrywający stał w ogniu. Wiatr wionął, i oto płomieniste jęzory musnęły dachy połaci domów w ulicy

Panny Maryi. Stare, wyschłe, poczerniałe, powyginane, różnokształtne dachy zajmowały się jeden po drugim zcicha, posłusznie i uroczyście. Wszystkie ich załamania, okapy, wyglądy, dymniki i dziury widać było teraz, jak lica nieboszczyka szczególnie wyostrzone, wydatne i oczywiste. Tyle lat osłaniały skupione, ubogie życie ludzkie od słot i wichrów! Teraz same, w jednej chwili wydane na łup, ginęły od śmierci nagłej i równie strasznej, jak ludzka. Potok ognia skakał z dachu na dach, przelewał się z jednej pochyłości na drugą. Gdzieniegdzie tylko mknął z podwórza człowiek struchlały. Gdzieniegdzie wybuchał płacz i wnet nacichał, jakby przez ogień pożarty. Krzyk tam i sam, a po nim cisza śmiertelna, bardziej przeraźliwa od krzyku. Trzask w niej słychać wszechmocnego pożaru... Szelest płomieni, jakoby łamanie kości żywych przez obcęgi kata, jakoby czynienie wyroku tyrana. Rafałowi niewymowny żal serce w piersiach zatargał. Dziecięce i młode lata spędził pod osłoną tych starych podcieni, tych wielkich, czarnych dachów, zrosłych w jedno, podobnych do siodeł i przełęczy górskich... Teraz oto przed jego oczyma wszystkie bezsilnie konały. Zdjął czapkę i gorzko, jak dziecko, wzdychał. Ale przecie ocknął się w mig.

Spojrzy, aliści pożar straszliwym zagonem sięga do kamienicy Saula Dżiordżiego Greka. Poskoczył w rynek. Ujrzał w pobliżu ratusza tłum żołnierzy polskich, wywłóczących sikawki. Garstka mieszczan w koszulach i portkach, na bosaka łaziła po rynku, lamentując i rwąc włosy. W mgnieniu oka Rafał ich za-

prząg do roboty. Kazał przynieść drabiny i zarówno żołnierzy, jak łyków popędził na dach narożnego domostwa, zwanego Wójcikowszczyzną, z rozkazem odarcia go z gontów. Ściany poczęto lać wodą z sikawek, żeby nie puścić ognia w rynek. Teraz wszystek motłoch począł krzyczeć i powtarzać:

— Nie puścić ognia w rynek!

— Lać ściany! Rąbać wszystkie chlewy i stajnie od Wójcikowszczyzny!

Zatrzeszczały pod siekierami stare parkany, daszki i przyciesie, w ziemię wrosłe. Cała już połać na wzgórzu, wraz z tyłami gorzała, jak żywy stos. Perzyna stamtąd poszła, jak śnieg. Żar straszny. Granaty poczną bić coraz gęściej w płomienie. Na ludzi padła wraz z tą perzyną i trzaskiem brandkuglów trwoga śmiertelna, popłoch paniczny. Mieszczanie uciekali od własnych domów, ode drzwi mieszkań, z rąk żołnierzy, chroniąc się do piwnic i murowanych kościołów. A i sami żołnierze chyłkiem pomykali za mury. Opuszczony od wszystkich Rafał zaniechał ratunku. Idąc w kierunku kolegiaty, usłyszał nagle szczególny wśród tego zgiełku i trzasku dźwięk. Przystanął, leniwie pytając siebie: co też to być może?... Nierychło pojął, że stary zegar, strącony kulami wraz ze szczytem wieży kolegiackiej, leciał przez powietrze. Posępny był rumor śmierci tego miernika czasu. Dzwoniły przez chwilę jego rozsypane koła po miedzianym dachu kościelnym, charczały i klekotały rozbite sprężyny i wagi, aż w powszechnej ruinie zapadły w nicość. Przez kopułę kolegiaty dym począł buchać z gra-

natów, które do kruchty i w środek nawy popadały. Szeroka łuna rozpostarła się nad plebaniami świętego Pawła, które stanęły w ogniu, nad Krakowskiem Przedmieściem, gdzie płonęły rzędy podmiejskich chałupek, nad folwarkiem klasztoru Panien Benedyktynek, nad świeżo wystawionym folwarkiem miejskim.

Rozlegał się co chwila krzyk, że gore browar na Czwartaku po-jezuickim, że pali się płomieniem cały folwark na przedmieściu Zawichostskiem za sadzawką benedyktyńską, że płonie wielka szopa cegielni kapitulnej...

Widno się zrobiło na górze sandomierskiej, jak w biały dzień. W dali, pod łuną sterczały czarne widma spalonego w pierwszym szturmie kościoła Reformatów i czerniały popieliska świętego Wojciecha. Dymy białymi zwojami osłoniły miasto i poczęły magać się ponad czubami kościołów. Ludzie z rynków, z uliczek, z mieszkań, z powierzchni ziemskiej poznikali. Wchłonęły ich głębokie piwnice, lochy i chodniki, podziemne miasto trwogi.

Była już blizko pierwsza po północy, kiedy ozwały się armaty austryackie na lewym brzegu Wisły, jednocześnie z trzech stron. Olbromski poszedł z rynku w parów północny. Wiedział, że tam znajdzie swego dowódcę. Istotnie Sokolnicki wydawał w tem miejscu rozkazy. W chwili, gdy Rafał zbliżał się, ryknęły z zamku i od bramy Krakowskiej ośmnastofuntowe działa, zdobyte na Austryakach, a teraz wymierzone w ich kolumny, idące Jagiellońską drogą na bateryę drugą i trzecią, czyli na zamek

i bramę. Rafał otrzymał rozkaz przyniesienia wiadomości z bateryi czwartej, to jest od kościoła świętego Pawła.

Na przecięciu parowów spotkał dwie kompanie grenadyerskie, pod wodzą pułkownika Weyssenhoffa, pędzące w cwał na wzgórze Swiętopawelskie. Pobiegł z nimi i trafił w wir najzacieklejszej bitwy. Kolumna nieprzyjacielska, którą odepchnięto od wzgórza *Salve Regina*, przeszła rozdołem Piszczeli pod narożniki oszańcowań kościoła świętego Pawła. Szef batalionu Białkowski z dwiema kompaniami pułku dwunastego wytrzymał tam atak, broniąc się zaciekle. Z prawego boku bateryi, na wale opalisadowanym biły armaty, kierowane przez porucznika Bilskiego i podporucznika Tykla. Ale już jeden z granatników został zdobyty i zagwożdżony, palisady narożnika wyrąbane siekierami, kanonierowie wykłóci bagnetem, a cała trzecia i czwarta kolumna austryacka wdzierała się na nasypy. Grenadyerowie Weyssenhoffa uszykowali się w kolumnę na kościelnym cmentarzu. Z cicha otwarli bramę. Zwarty ich zastęp wyszedł pod wyłom i czekał tam z nastawionym bagnetem. Ledwie piechury austryackie zdążyły rzucić okiem na wnętrze szańca, grenadyerowie rzucili się na nich z zaciekłem męstwem. Powstała mordercza bitwa na nasypach i w fosach. Zrazu umiejscowiona w wyłomie bateryi czwartej, stopniowo rozciągnęła się w obiedwie strony za kościół świętego Jakóba i aż do klasztoru Benedyktynek. Trzy silne kolumny austryackie, a więc jakie pięć tysięcy ludzi, spitych gorzałką, kilkakroć już dopadały tego

ostatniego klasztoru, aż wreszcie zdobyły go wraz z czterema armatami.

Folwarki, szopy, stodoły, chaty palące się naokoło miasta, pożar olbrzymi w śródmieściu, dawały widzieć jak na dłoni wszystko, co się dzieje.

Rafał pracował wraz z innymi oficerami przy armatach bateryi czwartej, aż do momentu zupełnego odepchnięcia napadu. Widząc, że pozycya na teraz jest bezpieczna, skierował się wielkimi kroki w wąwóz świętego Jakóba, ażeby generałowi zdać sprawę. Gdy przebiegał obok kościoła, ktoś go zawołał po imieniu. To książę Gintułt stał przy portalu i kiwał na niego ręką. Bujne płomienie, buchające z miasta, oświetlały kościół. Cień od figury Gintułta, ruchomy, olbrzymi i długi, pływał po całej olbrzymiej ścianie, padał na stają młodego jęczmienia, który tuż za murem bujnie się plenił. Wewnątrz kościoła stali zaczajeni chłopi Gintułta, ściskając gwery austryackie, nabite austryackimi ładunkami, niedawno wydobytymi z ratusza.

— Dokąd idziesz? — krzyknął książę.

— Do generała.

— Z dobrą wieścią?

— Z dobrą.

— Pamiętaj, pamiętaj, żeby mi świętego Jakóba szanował!

— Cóż ja mogę...

— Pamiętaj, pamiętaj!...

Rafał, nie słuchając dalej, pobiegł w parów, skręcił na lewo i dążył w górę między pachnącymi ogrodami, między domkami, przyczepionymi do góry, jak

gniazda jaskółcze. Znalazł generała przy bateryi głównej. Sokolnicki wydał właśnie rozkaz:

— Bić w klasztor Benedyktynek na wyłom!

Wielkie armaty wałowe poczęły miotać kule w klasztor i ogród kościelny, w mury cmentarza i dzwonnice, zdobyte przez Austryaków. W tej samej chwili nadbiegli oficerowie przyboczni z doniesieniem, że silne kolumny atakują miasto od strony Zawichosta, że szturmują całą przestrzeń od murów klasztornych Maryi Magdaleny aż do zamku, że ciągną zarówno samem wybrzeżem Wisły, jak i szczytem gór Pieprzowych.

Zaledwie Rafał wybiegł z parowu na jaśnię, generał obcesowo zapytał:

— Baterya czwarta?

— Trzyma się.

— Co tam?

— Oficerowie rychtują działa i strzelają, bo kanonierów wybito. Pułkownik sam pracuje, twarz ma spaloną od prochu.

— Swięty Jakób?

— Nasz.

— Czy oblegany?

— W tej chwili jeszcze nie. Ale z zachodniej strony lada chwila...

— Biegnij tam i zachęć do wytrwania! To klucz naszych wąwozów. Dasz mi znać, ale dopiero w takiej chwili, gdyby się nie mogli żadną miarą utrzymać. Pomocy im dać nie mogę, ani jednego człowieka. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Gdyby się żadną miarą utrzymać nie mogli, niechaj wszyscy uchodzą wraz, co do nogi, a ja ruderę natychmiast zburzę ze szczętem i Austryaków pod nią pochowam.

— Świętego Jakóba! — zawołał Rafał, przypomniawszy sobie zlecenie książęce.

Ale generał już go nie słuchał. Cały był pochłonięty ekspedycyą kapitana Czajkowskiego na czele kompanii trzeciego pułku dla odebrania ogrodów i murów Panien Benedyktynek, kapitana Szymanieckiego na czele pięćdziesięciu ochotników dla zdobycia karczmy za bramą Opatowską i adjutanta swego, Jordana, ze stu ludźmi na bateryę szóstą i siódmą.

Przybiegłszy na miejsce wskazane, Rafał zastał już wśród obrońców zamieszanie. Piechota austryacka, wdarłszy się po okrągłym pagórku od strony Wisły i starej Krakowskiej bramy murowanej, usiłowała zdobyć szańce, jeszcze przez generała Egermana sypane. Kompania pułku dwunastego, ukryta za nasypem, biła się już z napastnikami na bagnety. Niewyćwiczeni chłopi Gintułta, poumieszczani w oknach i korytarzach klasztoru, na poddaszach i w dymnikach, na wieży i za murem, strzelali, ile wlazło.

Sam książę, nie mając żadnej broni, z laską w ręku przechadzał się między tłumem, udzielając rad i wskazówek nietylko żołnierzom, ale i oficerom. Ruchy jego były zgorączkowane, słowa gwałtowne i nieopatrzne. Wchodził w środek szeregów, krzyczał, łajał, rozkazywał. Kiedy Olbromski przebiegał obwód

umocniony w poszukiwaniu dowódcy oddziału, któremuby zakomunikował rozkazy generała, jakiś oficer pociągnął go za połę i, wskazując księcia, mówił:

— Czy nie mógłbyś, panie adjutancie, zabrać ze sobą tego Don Kichota?

— Równie dobrze waćpan możesz go zabrać, gdzie wola...

— Łazi tu i rozporządza się, jak ekonom. Jeszcze mu kto przez pomyłkę w łeb strzeli...

— Gdzie ja go wezmę?

— Zamknij go w kaplicy św. Jacka.

— To go sobie waćpan zamykaj!

Najbardziej napastowany był wysunięty narożnik szańczyka. Żołnierze austryaccy wdarli się już nań masą, postrącali puste beczki i powyrywali pale. Garstka żołnierzy polskich zmagała się z nimi ze wszech sił, ale nie była zdolna odtrącić naporu masy. Oficerowie widzieli, że tego miejsca nie utrzymają bez pomocy.

Tymczasem adjutant generała przyniósł im wiadomość, że pomocy nie otrzymają. Książę Gintułt skoczył w stracony wyłom i podniecał żołnierzy krzykiem do oporu. Tak pchając ich pięściami do czynu i faktycznie dowodząc, zagradzał drogę. Widząc, że spracowani żołnierze nie są już zdolni dotrzymywać placu, chwycił z ziemi karabin i w gronie kilkunastu woltyżerów poskoczył w fatalny kąt. Zwarli się tam bagnetem z piechurami Schöcklera. Z początku cofnięto się przed ich wilczymi susami, ale chwilę trwała niepewność. Gintułt pośliznął się na ruchomych gli-

nach i runął na twarz w rów za wałem. W mgnieniu oka rzuciło się na niego z dziesięciu chłopa, żeby go żywcem pojmać. Ale się nie dał. Wstał w błocie rowu na kolana i gołemi rękoma zaczął się szarpać z pijanem żołdactwem. Krzyczał o ratunek, widząc, że kilku żołnierzy, co mu na pomoc skoczyli, broni się pod nasypem. Ale i tamci wnet zostali przez tłum obezwładnieni. Wtedy opanowała go śmiertelna podnieta. Huknął pierwszego z brzega draba między oczy, w piersi drugiego. Targnął się z kupy całą siłą. Nie dał rady. Powtórnie runął w błoto rowu, na wznak, czując, że traci siły. Plunął w pysk najbliższemu, który go kadłubem swoim całkowicie przywalił. Charknął mu w ślepie:

— Prędzej morduj, chamie!

Ale oto ów żołdak garścią zasłania mu usta. Coś do niego szepce, coś sekretnie gada. Jąka się, jąka... Książę otwarł oczy. Nie może pochwycić tchu...

— Cichaj... cichaj... jaśnie panie... — szepce ów żołdak austryacki. — Nie waż się ruszać!

Gintułt przymknął oczy. Pękały mu zduszone piersi. Piorunem leciała myśl, szukając miejsca, czasu, wypadków, kiedy on widział tę gębę, słyszał ten głos. Znalazła wreszcie...

— Nie inaczej... Piotra Olbromskiego sekundant — cha-cha...

Naokoło szczęk karabinów, wrzask, tupot nóg... Depcą po nich, leżących w rowie, walą się w jamę zdobytą. W szańcu krzyk, zgiełk, strzały, łomot pustych beczek, kamieni, padanie gruzu.

— Ktoś ty? — wyjęczał książę.

— Cichaj!

Mijały tak minuty długie, jak stulecia. W pewnej chwili, wysłuchawszy, że główna masa wojska wtargnęła do wnętrza szańca, Michcik dźwignął się z ziemi, obejrzał wkoło i jednem szarpnięciem wywlókł księcia z rowu. Chyżym krokiem, nie nagabywani przez żołdaków, którzy pędzili na zdobycie szańca, pobiegli, poskoczyli obaj fosą zachodnią aż do końca murów klasztornych. Tam pochwyceni zostali przez chłopów Gintułta, zaczajonych w poprzecznym parowie. Wnet byli w ich tłumie. Książę dał się poznać i niezwłocznie zeszedł z Michcikiem na dno wąwozu. Już w ten wąwóz z obwodu murów świętego Jakóba wywalał się tłum żołnierzy i chłopów pod parciem zdobywczej kolumny austryackiej. Nadaremnie usiłowali przedostać się do kościoła. Wir masy ludzkiej rozbitej i pędzonej, odepchnął ich w głąb rozpadliny.

Stamtąd słyszeli, co się dzieje... Oto środkiem tłumu biegł z gołą szpadą oficer komenderujący i szykował lud żołnierski w kolumnę, którąby weszła w obręb bateryi czwartej świętego Pawła. Oficerowie młodsi, stosownie do rozkazu, opróżniali teraz mury klasztoru świętego Jakóba. Jednego z nich książę zaczepił niezwłocznie w sposób ostry i wyzywający: czemu to zamiast ludzi pędzić na obronę starej świątyni, on ich właśnie stamtąd z takiem męstwem wywłóczy? Oficer spojrzał na niego z góry i mruknął, żeby się odczepić:

— Kamień na kamieniu za godzinę z tych murów nie pozostanie. Jakże mam ludzi w nich trzymać!

— Czemuż to ma z tych murów kamień na kamieniu nie pozostać?

— Bo będą z naszych bateryów armatami zdruzgotane. Wzięły klasztor Austryaki, ale w nim zginą.

Książę, nie słuchając dłużej, pobiegł pędem ku górze. Michcik dążył za nim. Gdy tak Gintułt wbiegał po gliniastych stopniach, miał chwilę samowiedzy, że już raz spełniał coś podobnego, że fatalność nieunikniona czeka na niego u szczytu tej góry. Wiedział, że źle czyni sobie, czuł gorzki żal, że biedz musi... Ale gniew nie dał mu stanąć. Zwalany błotem, bez czapki, z rozwianym włosem mijał baterye. Ludzie, stojący w milczeniu u armat i strzelnic, zwierzali sobie myśl, że musi być bardzo źle, że to, widać, zwiastun nieszczęścia. Książę dopadł miejsca generalskiego w tej właśnie chwili, kiedy wydane zostały rozkazy zburzenia starego kościoła, żeby z niego noga austryacka w wąwóz nie zeszła.

Kanonierowie wyrychtowali działa na łożach. Z zapalonymi lontami czekali na komendę ogniomistrzów. Sokolnicki stał bez ruchu z lunetą przy oczach i lustrował jeszcze kościół. Świątynia stała przed nim w łunie, w blasku ognistym, zgrzybiała, straszna, jakoby grobowiec, na który niemasz dość potężnej siły, któraby go tknąć mogła. Oto przybiegł zdyszany adjutant Rafał Olbromski i zdawał sprawę, że wszystka siła wyszła z murów świętego Jakóba, że już jest w bateryi »numer czwarty«, że tam ledwie i tych

sił połączonych starczy do obrony, że opuszczone mury nieprzyjaciel zapełnił, że ciągnie działa w obręb klasztoru, ażeby stamtąd bić w Sandomierz. Generał skinął głową i złożył lunetę. Gintułt stanął przed nim.

— Czego? — krzyknął Sokolnicki.

— Święty Jakób ma być zburzony?

— Kto waści wzywał do mnie?

— Nikt mnie nie wzywał.

— A więc?...

— Przychodzę zapytać się...

— Pal! — rzekł Sokolnicki, odtrącając natręta.

Nim komenda została powtórzona, Gintułt schwycił generała za rękę, za ramię... Błagał go z krzykiem:

— Patrz! Swieci się cała...

Rozległ się pierwszy strzał.

— Wstrzymaj rozkaz, generale! Zbierz wszystkie siły, uderz na tę pozycyę, jeszcze ją wydrzesz!

— Nie mam sił żadnych... — mruknął generał, oszołomiony napaścią.

— Masz pięć tysięcy ludzi!

— Idź precz, człowieku!

Huknął strzał drugi i trzeci.

— Swięte popioły rujnujesz i depcesz!... Czyliż nie widzisz, co zburzą te kule! Patrz!

— Widzę nie gorzej od waści. Ale zburzę święte popioły dla ocalenia żywego miasta. Słyszałeś?

— Nie zburzysz!

Nowe rozległy się strzały. Gintułt chwycił So-

kolnickiego za piersi, krzycząc, żeby kazał zaprzestać. Oficerowie przyboczni oderwali go siłą i odepchnęli. Wtedy w męce bezrozumnej skoczył ku armatom, wydarł z rąk kanoniera lont zapalony i cisnął go na ziemię. Oniemiały żołnierz stał bez ruchu. Książę przypadł do drugiego... Ale oto oficer sekcyjny pchnął go szpadą w piersi. Żołnierze odtrącili rozszalałego wyciorami. Jęknęły armaty od strzałów.

— Żołnierze! — krzyczał Gintułt, leżący na ziemi — nie słuchajcie tego rozkazu! Żołnierze, żołnierze...

Huk wystrzałów był mu odpowiedzią. Wtedy książę zebrał ostatek sił i zawołał z całej mocy cielesnej i ze wszystkiej mocy ducha:

— »Do mnie, dzieci wdowy!«

Rafał Olbromski usłyszał ten okrzyk, jak trzask piorunu. Straszna trwoga włosy mu zjeżyła na głowie. Ujrzał w duszy swej moc przysięgi na ten okrzyk i pętlę jej czarodziejstwa uczuł na sobie. Bez tchu, z bielmem na oczach wyrwał pałasz z pochwy i przyskoczył do księcia. Ten spojrzał na niego półmartwemi oczyma i rozkazał:

— Wydrzyj im lonty i zgaś! Nie daj świętych popiołów!

Rafał rzucił się na kanoniera i wyrwał mu lont z ręki. Rzucił się na drugiego i wyrwał mu lont z ręki. Skoczył ku trzeciemu, ale w tej chwili runął na ziemię, powalony ciosami szabel i pięści.

Kiedy po jakimś czasie przyszedł do siebie, spostrzegł, że leży pod murem, w wązkiej uliczce, która

prowadziła na sandomierski rynek. Obok niego leżał skrwawiony książę. Kilku żołnierzy przebiegło tamtędy. Dał się słyszeć łoskot strzałów karabinowych, trzask dalekiego pożaru... Ktoś podłożył ręce pod głowę Rafała, dźwignął go z ziemi i posadził na kamieniu. Schyliła się nad nim twarz jednego z kolegów. Człowiek ten szepce z pośpiechem:

— Uchodź stąd! Skryj się co tchu! Za chwilę będziesz rozstrzelany, jeśli nie ujdziesz. Już cię szukają... Umykaj!

Rafał zrozumiał tę radę. Powiódł oczyma po ziemi. To książę Gintułt... Nad nim pochyla się i twarz mu wodą ociera żołnierz austryacki. Cóż to ma znaczyć?... Po chwili ów żołnierz bierze księcia na bary, zadaje go sobie na plecy, jego samego ciągnie za rękaw. Idą wraz, biegną... Pożar przed nimi. Olbrzymie zgliszcza rodzą biały dym i lotne perzyny... Idą, jak we śnie, między domy spalone już do przyciesi, między stosy głowni kopcących. Z gór Pieprzowych biją w miasto armaty, z za Wisły padają wciąż brandkugle, z pól sandomierskich puszczone świszczą nad miastem pociski. Wokoło nigdzie żywego człowieka... Rafał, a za nim żołnierz, niosący księcia, biegną w podskokach, rozglądają się, lustrują miejsce. Zawrócili w jakiś brukowany dziedziniec, czy na cmentarz kościelny, którego po spaleniu okolicznych budowli nie było sposobu rozpoznać. Przyszli naoślep do okrągłego ogrójca, czy kostnicy w głębi długiego podwórza. Pchnęli drzwi,

zawarte na zardzewiałą klamkę, i po schodach napoły zburzonych zbiegli w głąb ciemnego lochu. Ujrzeli w podziemiu tem skupionych ludzi. Kobiety, siedzące w kucki nad kołyskami, powitały ich krzykiem przerażenia, dzieci kryły się po kątach. Michcik dał im znak ręką, żeby milczały. Rozejrzawszy się w mroku, ujrzał dalszy ciąg tego podziemnego korytarza. Tam poszli. Zagradzały im drogę kupy kamienia, zwalonego ze sklepień. Szli chyłkiem przez duszne otwory, przez szerokie jaskinie, przez bramy i ciasne korytarze, w gęstym mroku. Aż oto w jednem miejscu przyjmie ich światło! Zimne, czystsze powietrze... Ujrzeli w górze sklepienia zakratowane okienko. Strudzony żołnierz złożył księcia na ziemi. Ściągnął ze siebie zwinięty płaszcz i rzucił go na mokre pokłady gliny, odpasał broń... Gintułta ułożył na płaszczu, Rafała obok. Sam usiadł w kącie.

Książę zwolna przychodził do siebie. Ciężko dyszał i kaszlał, bezsilnie rzężał. Olbromski rozejrzał się wkoło. Zrazu widział tylko szarą, jakby posiwiałą gęstwinę mroku. Ze szpary okiennej padała jednolita smuga półblasku, w dole rozpraszała się i nicestwiała. Ale gdy oczy przywykły do mroku, dojrzał w głębi jakoby wzgórze szare, jakoby kopiec pochyły...

Wstał ze swego miejsca i podszedł bliżej. Wielka w głębi pieczara była zawalona kośćmi ludzkiemi. Nikłe światło dawało widzieć czoła czaszek i kości

policzków. Po ustach uśmiechniętych boleśnie wiodło nici półjasne, ukazywało skurczone palce i bojowo wyciągnięte piszczele rąk. Zadrżał przychodzień, bo mu się zdało, że góra kości śmieje się z niego w ciszy...

NAROZNA IZBA.

W nocy 30 czerwca, po zupełnem opuszczeniu Sandomierza przez Austryaków, którzy go na mocy kapitulacyi 19 czerwca posiedli, Rafał Olbromski, książę Gintułt i żołnierz Michcik cichaczem wymknęli się z miasta. Właśnie mieli je zająć kozacy, przeprawiający się na łodziach z za Wisły. Michcik, przebrany w mundur ułana Dziewanowskiego, zdobył gdzieś w mieście konia-chabetę i wystarał się o lepszego dla Rafała. Ułański płaszcz, związany między kulbakami koni, służył za łoże dla ciężko chorego księcia. Wyjeżdżali nad ranem przez Krakowską bramę. Dość już było światła, żeby Rafał mógł dojrzeć, co się stało z miastem. Ani śladu palisad! Wszystko zrównane z ziemią i spalone na stosach. Doły i rowy pracowicie pokopane, zawalone, szańców ani śladu. Przez chwilę czuł w sobie gniew, gniew najbardziej ludzki, na widok ogromnej pracy, zniweczonej bez śladu. Ale zmiażdżył go w sobie młotem potężnej myśli:

— Teraz do Tarnin!

W skok zjechali z góry. W mieście bezpańskiem, bezbronnem i spalonem nikt ich tej nocy o hasło nie pytał. Zorza ranna, szerząca się nad rozdołem Wisły, dawała widzieć zgliszcza wszędy, ziemię zjeżdżoną armatami, stratowane zboża. Pomknęli ku Samborcowi co pary w koniach, żeby przed jasnym dniem wjechać między pola, w wąwozy. Słońce wschodziło, kiedy za Goryczanami wzięli się na prawo w wąwozik i wjechali w mylne i wązkie drogi. W dali, w dali na wzgórzu widać było Tarniny. Konie jeźdźców weszły w koleje i ocierały się bokami. Wyżej przytroczyli płaszcz i podnieśli chorego. Twarz miał koloru ziemi, oczy szkliste. Słowa bez związku snuły się w jego poczerniałych wargach. Rafał marzył, jak o szczęściu, żeby nareszcie, bez szwanku dopaść do domu. W Sandomierzu nie było gdzie trzymać rannego. Szpitale pełne były oficerów i żołnierzy, w prywatnych domach panowała nędza i trwoga. Przylgnęło zresztą do nich obudwu jakieś echo podejrzenia, które towarzyszyło każdemu ich krokowi. W ciągu straszliwych dni kapitulacyi, wyjścia sił polskich w stronę Zawichosta i panowania austryackiego w mieście, Rafał zgłębiał swoje położenie. Jakże się to stało, że z oficera pełnego nadziei, stojącego u szczytu powodzenia przeistoczył się niemal w zdrajcę, w podkomendnego, który niweczy samowolnie rozkazy swego generała? Jakże się to stać mogło, że, zamiast krzyża zasługi, zarobił sobie dobrowolnie na sąd polowy i prawdopodobnie na haniebną śmierć? Sam to uczynił, o dziwo... Wraca oto znowu w progi domowe nie jak zwycięzca i bo-

hater, o czem tyle lat marzył, lecz jako wymazany z list pułkowych... Sam to uczynił... Myślał o tem, patrząc na zboża rodzinne, falujące jak daleko oko sięgnie, na niwy sandomierskiej pszenicy, czarne, zroszone... Skowrończy chór dzwonił pod niebem... Mgły poranne wstawały z parowów.

Za Chobrzanami wzięli się w lewo ku Koprzywnicy. Z prawej i lewej strony drogi zboża były pogniecione, wbite w ziemię przez pułki konnicy, idącej pod Połaniec. Z nadzwyczajną pieczołowitością jeźdźcy zbadali lasek sosnowy na wzgórzu, czy w nim aby nie czai się patrol austryacki. Ale las był pusty, pełen tylko woni żywicznej, błękitnej mgły i poświstu zięb. Co siły w koniach, zjechali w dolinę Koprzywianki i zbliżyli się do miejsca. Ogród rodzinny przed oczyma Rafała! Cały w gęstym obłoku... Środkiem jego biegnie w dół, po zboczu góry aleja wiśni łutówek. Wszystka rubinowa od niezmiernej masy owocu, wszystka skąpana w barwie, nad wszelkie słowo uroczej. Wilgi wykrzykują w gęstwinach starych wiśni o spękanej korze, o liściu miękkim i miłym, jak włosy kobiece; sroki i wrony na szczytach drzew wyjadają już pracowicie od wczesnego rana, nim ludzie na dobre się zbudzą, niezrównany owoc. Cień jeszcze w sadzie, czad od tysiąca nocnych zapachów, mrok pod okapami wielkich jabłonek, przy pniach grusz, których owoce już ciągną gałęzie ku ziemi. Chmiel dziki wyrósł bujnie, nieznany oczom Rafała, dziwaczny przybysz, rozwlókł się po zmurszałych balasach płotu i zarzuca nici swe na gałęzie sąsiedniej jodły. Dzikie

drzewa wyrosły na podziw. Młody modrzew buja wierzchołkiem w lazurze nieba, a lśniące liście klonu, ciemne liście włoskiego orzecha poranny wiatr przegina. Z głębi, z rozdołu zapachniały grzędy truskawek. Tam, jeszcze dalej, gęstwina malin nieprzebyta, wielki jałowiec, urwisko i czub starego brzostu...

Szybko wjechali po wzgórzu, obok dwu wypróchniałych siostrzyc-wierzb na dziedziniec. Już w ganku siedział na drewnianym zydelku stary pan Olbromski w swej wyszarzanej bekieszy i odwiecznej rogatywce. Ujrzawszy znagła jeźdźców, zerwał się na równe nogi z najoczywistszym zamiarem wykonania przezornej rejterady. Ale już było za późno. Zstępował tedy ze stopni z brwią namarszczoną, zły i srogi. Czapkę na głowie ręką miętosił, niby to z gotowością do ukłonu. Piorunem oka przeszywał przybyszów. Ale naraz w zgrzybiałej, jakoby pleśnią pokrytej twarzy coś błyśnie... Kurcz stuli usta... Szlocha starzec na piersi synowskiej, jak dziecko...

Krzyk powstał w całym domu. Poczęły wychylać się kobiece figury, wyległa służba. Oto matka... Staruszka, babinka, ledwie ją można poznać... Twarz cała w zmarszczkach i fałdach, oczy wypełzłe ledwie patrzą. Zofka! Ogromna kobieta, napół ubrana, przy nadziei w jakim ósmym miesiącu.

Wszyscy ledwie mieli czas ochłonąć z uniesienia na widok Rafała, a już w zdumieniu słuchali wieści, że mają dać gościnę rannemu księciu Gintułtowi. Gwałt powstał w całym domu, bieganie, znoszenie pościeli do izby narożnej, niegdyś Rafałowej, wołanie służby i rwe-

tes nie do opisania. Na dworze przy koniach, za progiem został jeno sam Michcik. Odziany w mundur ułana, zabitego na sandomierskim placu, wyglądał, jak stary wiarus. Oczy jego niespokojnie oblatywały okolicę, pola, wąwozy. Księcia wniesiono do izdebki i ułożono na czystej, wysoko zasłanej pościeli. Otwarte okno wpuściło do stancyi woń różaną. On leżał z przymkniętemi oczyma, napół przytomny, patrzący w jeden kąt. Czoło miał jednostajnie, nieodmiennie zmarszczone, jakby nad tą samą wciąż myślą głęboko, głęboko się biedził. Dawno niegolony, siwiejący zarost oblókł wargi, policzki, podbródek i uczynił z niego starca.

Wszyscy wyszli w nadziei, że chory będzie spał. Chciano niby obmyślić dla tak wielkiego gościa posiłek jak najlepszy, najbardziej leczniczy; chciano powziąć wiadomość o wszystkiem naraz, a w gruncie rzeczy usiłowano tylko bez przeszkody patrzeć w Rafała. Staruszkowie obstąpili syna z dwu stron, zagarnęli pod światło okna. Wycierają do sucha oczy, żeby jak najlepiej widzieć, nastawiają ogłuchłe uszy, żeby zaś czego ze słów nie uronić... Drepcą na miejscu, podglądają...

Tymczasem Zofka minęła powtórnie w sposób sekretny sień, prowadzącą do izby rannego. Uchyliła. drzwi, zajrzała przez szczelinkę. Leżał tak samo ze zmarszczonem czołem, z zagryzioną wargą, wszystek w jedną jakąś myśl okuty, jak w kajdany. Wsunęła się za drzwi bez szelestu, wtuliła w kąt wedle pieca. Patrzy weń, patrzy, napatrzyć się nie może... Przed rokiem wydali ją za mąż za konkurenta, za przyjezd-

nego kawalera, za sąsiada, który stanowił dla niej partyę. Myśli sobie teraz o tem. Była narzeczoną, uszyli jej wyprawę, sprawili huczne wesele z muzyką i tańcami, był ślub, oczepiny, przenosiny. Wszystko, jak sen. Teraz jest w ciąży... I dopiero w takiej chwili zjawia się przed nią jej »książę«... Tenże to jest człowiek, którego we snach i radosnych jawach dziewiczych widywała? Toż to jest marzenie jej spełnione? Książę leży w tej izbie, gdzie tylekroć o nim po nocach śniła.

Czemuż stało się tak właśnie, a nie inaczej?...

Wtem struchlała ze wstydu! Zmarszczki żelazne na jego czole zaczęły się rozchodzić, rozpływać, jak chmury od łagodnego wiatru, pod słońcem. Uśmiech, niby jutrzenka daleka, zajaśniał na ustach i twarz rozwidnił. Tylko oczy zostały szkliste i nic nie widzące. W całem obliczu odbiło się ukojenie, spłynęła na nie łaska ciszy i błogosławiony chryzmat pociechy. Zgrabiałe, bezwładne ręce zsuwają się ku sobie, palce jednej dłoni zaplotą bez sił na palce drugiej... Obiedwie przycisną piersi, ciężko dyszące. Usta szepcą wyrazy, które w ucho Zofki padają wyraźnie, jasno, kwieciście. Zda się jej przez chwilę, że rozumie wszystko, co szeptają do siebie te wargi, że to już dawno słyszała, że wie doskonale...

Powtórzył te słowa, powtórzył drugi raz i jeszcze:

„ad Rosam per Crucem,
ad Crucem per Rosam!
In ea, in eis
gemmatus resurgam...«

Przytuliła się do ściany i przemieniła w cień nic nie wiedzący, a przecie wierny, aż do ostatniego kroku...

Wtem poza domem rozległ się przeraźliwy krzyk. Zofka buchnęła we drzwi. Rafał biegł na dwór, wdziewając po drodze czapkę i zapinając rzemienne pasy uzbrojenia. Michcik wskazywał w oddali, po drugiej stronie rozdołu Koprzywianki austryacką konnicę i piechotę, które wolno zmierzały w tę stronę. Skoczyli obadwaj do koni. Ale zarówno koń Rafała, jak Michcika, był zgrzany, robił bokami i dymił się jeszcze z trudu. Stary Olbromski dreptał za synem, przynaglając go do pośpiechu. Oczy starca padły na zbiedzone konie obudwu jeźdźców. Coś począł krzyczeć... Pobiegł nagle ku stajni, rozkazując:

— Michcik! Michcik! Dawaj tu szkapy... Żywo!

Obadwaj z Rafałem pośpieszyli za starcem. On tymczasem trzęsącemi się rękoma rozwarł drzwi stajenne takim ruchem, jakby ze siebie wyrywał wnętrzności. Wołał:

— Wałacha gniadego pod panicza! Sobie tę siwą klacz zabieraj! Żywo! Nie stój! Tyś to mi syna Piotra zratował... Przepinaj siodło... Żywo! już ich widać...

Michcik okiełznał przepyszne konie, wyhodowane pod pańskiem okiem, w ciemności, wypielęgnowane na chlebie i owsie, a chabety, na których przybyli, wprowadził w grudze. Rafał zapinał popręgi. Za chwilę siedzieli na siodłach.

Wparli ostrogi w boki biegunów.

— Michcik! — krzyczy jeszcze starzec: — Bóg-że ci zapłać... Broń mi chłopca!...

Usłyszeli za sobą dziadowskie łkanie, ujrzeli wyciągnięte z ganku ręce.

Wypadli z podwórza olbrzymimi susami w wąwozik kole cmentarza, stamtąd na płaszczyznę i w zielone, jasne, szerokie pola. Ku Klimontowu! W konie! Lecą, jak ów ranny wicher na skrzydłach wiatronogich koni, ścigani dalekim krzykiem austryackim... Aby jeno do lasów górockich! aby jeno do lasów!

POD ŁYSICĄ.

Po stracie miejsca przy boku generała Sokolnickiego wskutek zajść podczas szturmu Sandomierza, Rafał powrócił, jak niepyszny, do swego pułku i na dawne miejsce. Tylko dzięki szybkości wypadków, jak kapitulacya i wymarsz załogi sandomierskiej do Puław, udało mu się wyjść niepostrzeżenie z całej afery bez sądu, degradacyi i gorszych następstw.

W dniu 4-ym lipca, kiedy wszystkie siły polskie wyruszyły z Radomia na południe w ślad za ustępującym nieprzyjacielem, Olbromski na czele kilkudziesięciu ułanów ze swego szwadronu szedł na szpicy przedniej straży kawaleryjskiej w Świętokrzyskie góry od strony Kunowa. Minął szybko Bodzentyn, przez który dopiero co przeciągnęła znaczna siła austryacka, i wkroczył ostrożnie w lasy. Zrazu wziął się na prawo przez wieś Psary, ażeby uniknąć głównego gościńca, gdzie mógł łatwo zetknąć się z maruderami Mondeta. Chłopi okoliczni zawiadomili go, że wojsko austryackie poszło gościńcem i, że zabiegając mu drogę z poza

góry Strawczanej, tem łatwiej może się zetknąć z siłami i być zaskoczonym w lesie. Ruszył tedy wolnym gościńcem wprost na Wzorki i Swiętą Katarzynę.

Mżył letni deszczyk-kapuśniaczek. Chłodne łąki w smugach i gozdach leśnych jeszcze nie były pokoszone całkowicie. Dopiero gdzieniegdzie pachniało siano przewiędłe. Jeszcze się słały po łąkach najczarowniejsze leśne smółki, kosaćce, jaskółki i koniczyny. Śniade dymy rzadkich, dżdżystych obłoków wałęsały się nizko po lasach, po łańcuchu gór, po puszczy zbójeckiej. Łysica rozwinęła przed jadącym oddziałkiem żołnierzy swoją granatową delię, utkaną jasnemi kępami buków. Tam i sam wzbijały się ku górze powłóczyste smugi chmur, jakoby dech żywy, idący w niebo ze świętych buków. Ciągnęły się blizko mokre tumany między koronami przedawnych jodeł, ukazując zdumionym oczom ich tytaniczne kolumny i rozpostarty ponad niemi czarny strop z koron wielkolasu. Im bardziej się zbliżali do góry, tem bardziej pachniała knieja. Stanęła przed oczyma jej głębia wewnętrzna, jej gleba dziwna, pełna wypłókanych kamyków, porosłych rdzą, rudzizną i zielonkowatą pleśnią, jej pochyła górska ziemia, którą we władzę wzięły olbrzymie korzenie. Naokoło stanęły odziemki jodłowe, pokryte barwą przyćmionego srebra. Z północnej strony zwisły na każdym kożuchy mchów twardych i suchych o barwie jaspisu, kosmate i potargane brody a kłaki. W wilgotnym wietrze zachodnim zagrały szerokie igły spławów, rozkołysały się chwianiem rytmicznem, poczęły przeginać ogromne piętra gałęzi, a szyszki wzniesione do góry wylały

tajemnicę swej woni. Zięby po gęstwinach poświstywały...

Oddziałek konny wyminął leśnictwo na Wzorkach, wioskę tejże nazwy leśną, zbudowaną w głębi puszczy, siedlisko ludzi krzepkich, jak jodły, i twardych jak buki. Grunt był ku górze coraz twardszy, złożony z krwawego, łamliwego kamyka. Ukazał się w ciemnicy jodłowej wyniosły, czworograniasty słup wieży klasztoru i białe jego mury. Tuż za kuźnią i za gospodą klasztorną był wysoki parkan ogrodu. Olbromski zaczaił za murowanicą oberży i kuźni, stojącemi naprzeciwko siebie, część swego oddziału i podzielił go na dwie partye. Jednej kazał iść dalej drogą aż przed kościołek, a sam na czele drugiej postanowił zbadać niepostrzeżenie dziedzińce klasztorne, czy w nich niema Austryaków. Zsiadł z konia i to samo kazał uczynić dziesiątkowi jeźdźców. Jedenasty został przy koniach, ukryty za oberżą. Na dany znak przez trębacza miał z końmi w las uciekać na lewo, aż do wskazanej polanki. Rafał na czele swoich przeskoczył przez wysoki z daszkiem parkan tuż za oberżą i znalazł się w ogrodzie. Gdy tam wszedł, opuściła go chęć patrolowania, badania, poszukiwań... Stanął w cichej altanie z dzikich drzew na końcu ogrodu i na chwilę dał wolność duszy. Ujrzał jak gdyby dzieciństwo swoje, śnił o sobie widomy na jawie sen. Był tu w tym ogrodzie małem dzieckiem, a wszystko, wszystko dokonale zapamiętał... Strumień świętego Franciszka, który jest głównym rodzicem Czarnej Nidy, biegnie przez ogród z gwałtem swych małych wód, z siłą i gniewem małych pian.

Tam oto spada srebrzystym snopem z drewnianej rynny, wprawionej w ogrodowy mur, tu dudni, jak gdyby wpadał w głębinę pustej stągwi, tam z szelestem i szemraniem biegnie przez ogród pod białymi mostkami, pomiędzy korzenie śliwin i grusz, które słodkie jego wody wypijają. Dopadł drugiego muru i znowu, ujęty w rynnę, wyciosaną w półpniu świerkowym, puszczony został na wolność.

Z pomiędzy drzew, w wylotach owocowych alejek widniały białe mury. To, co niegdyś tak uderzyło wyobraźnię dziecięcą niezwykłością swoją, uderzało i dziś z tą samą siłą...

Klasztor! Z podziwem, zdumieniem i dawnym lękiem patrzał na owo ziszczone wspomnienie dzieciństwa. Te same szare skarpy rozkraczone, wyrażające niesłychany wysił, moc, chłopskie podsadzanie się ze wszej potęgi. Te same kamienie, co od zwietrzenia już to stały się czarne i okryte rdzą, jak żelazo, już, zlasowane, powlekły się białą, niezniszczalną polewą i stały podobne do kafla wiecznotrwałego. Nad skarpami ściany zimne, i wysokie, z małemi pod dachem oknami. Zła myśl nieci uśmiech, kiedy się duma mimowoli nad owym celem, który kazał okienka zakonnic umieszczać tak wysoko. Zła myśl przewija się i, sama siebie zawstydzając, chyłkiem wbiega kędyś w gęste zastępy owocowych drzew, między rabaty kwiatowe, gdzie wysmukłe lilie o strzępiastych i rozprysłych płatkach kielichów, o brunatnych pylnikach i lepkim, żółtawym soku, wylewają odór czystości. Plamy wilgotne w narożnikach muru, niby cień wiecznie obecny czyha na

białość wapiennych ścian, podobnie, jak szyderstwo czyha na zachwyt, podobnie, jak tłusta drwina czyha na dziewiczość uniesienia. Blaszane rynny przy dachu, przyrząd tak niezwykły w tych stronach... Albowiem w tych stronach nieznane jest jeszcze nic, coby było wymysłem ku udogodnieniu życia. Wszystko tu jest jeszcze, jak za Chrobrego króla, jak za króla Krzywousta, albo Mnicha. Pierwszy tu obraz domu murowanego z kamienia przyniosły mniszki za Bodzanty, kościelnego księcia i łowcy, miłośnika tych puszcz dzikich. Drogę, która w te miejsca prowadzi, mniszkom należy zawdzięczyć i cudny sad w dzikim boru, na kamienistym, zimnym gruncie. Im należy zawdzięczyć okrzesanie wioskowego ludu po siołach, tępienie przez szeregi wieków świętokrzyskiego zbójectwa, im założenie pierwszych sadów przy leśnych izbach, uprawę warzyw po lechach, naukę tkania szmat z wełny i haftowania lnianych chust.

Żołnierze przebiegli prędko ogród i wydostali się na obszerny dziedziniec. Stajnie klasztorne i podwórza były puste, ale wzdłuż płotu znać było ślady popasu konnicy. Na środku jeszcze się tliły ogniska obozowe. Schwytali w stajni parobka i powzięli szybką wiadomość, że w nocy, nad samym rankiem stało w klasztorze wojsko niemieckie piesze i konne, że oficerowie kazali sobie dać jeść w refektarzu, a potem wszystko poszło ku Kielcom, ino gdzieś po drodze tęgo strzelały.

Zbadawszy wszystko dokładnie, Rafał poszedł na spotkanie drugiej połowy swych sił, która miała czekać przed kościołem. Zmierzał przez wirydarzyk mię-

dzy murem odpolnym a ścianą kościoła. Gruszki tam rosły, osłonione od wiatru, i wygrzewały się w cieple zacisza. Biała brzoza uderzała długimi splotami gałęzi w żelazne pręty kościelnego okienka. A okienko, okienko... Wydłubane w murze niewiarogodnej grubości, półokrągłe u góry, zaplecione tarniną kraty. Istna strzelnica przeciwko Jadźwingom...

Nagłe wspomnienie oblało duszę... Toż przez to okienko wdarł się ciemną nocą złodziej-świętokradca, kraty porozginał i wyrwał, złupał nożem spróchniałą szafkę cyboryum i ukradł kielich złoty. Drżą jeszcze w uszach straszliwe sylaby słów kapelana, kiedy w niedzielny dzień stoi na nizkiej ambonie i opowiada ludowi z górskich wsi o tem, co się stało w świątyni. Blady, ze zwieszoną na piersi głową, usta sobie stułą zakrywa... A stuła mu w ręku drży.

Lud wszystek wzdycha i szlocha. Gdy księżyna wskazał z drżeniem na okno i wyłamane kraty, wszystkie się oczy na to okno obrócą, wybladłe milczenie zalega ciżbę. Oto rozwija sukienkę kielicha i pokazuje, że święte komunikanty złodziej w nią zawinął i na ołtarzu porzucił. Wtedy ów jęk i trwoga...

Lud pada na twarz i boi się wszystek, a grube mury kościoła w posadach swoich drżą. Któżby się zdziwił, któżby wyrzekał, gdyby sklepienie zwaliło się wówczas i wieża leżących przytłukła? A później, a później... Kapelan po mszy wynosi monstrancyę i intonuje pieśń, a sam przez świętą Hostyę patrzy w tłum. Jest głuchoniema wiara w tym tłumie, że w takiej chwili kapłan wszystkie zbrodnie ludzkie widzi jak na

dłoni. Ale milczy, milczy aż do grobu. Widzi oto w tej chwili człowieka, co kraty wyłamał i święte komunikanty w sukience kielicha rzucił, widzi go jasno przed sobą, ale palcem wskazać nie może...

Serce struchlałego dziecka łomoce pod mundurem ułana i niewymowna trwoga żelaznemi obcęgi ściska piersi, gdy wchodzą tłumem szumnym w progi kościoła. Jakże wydaje się nizki i mały! jakże ubogi i ciasny! Wszystko w nim z grubaśnego kamienia, mur wszędzie prostacki, krzywy.

Przy wejściu kropielnica, wydłubana w głazie kwarcytu. W głębi, pod amboną, pomnik rycerza śpiącego w zbroi, wykuty przed wiekami w pięknym, włokim marmurze, a teraz poczciwie i pracowicie zabielony wapnem i zabielany rok rocznie z troskliwością na każde godne święta.

W miejscu szumnego napisu pod leżącą postacią rycerza znać w wapnie wgłębienia liter, co żadną miarą nie dały się zabielić... *Sic transit gloria mundi*...

W ołtarzu wyzłocony posążek świętej Katarzyny, która trzyma w ręce koło swego męczeństwa i królewski miecz. Tak jej niegdyś tego złotego miecza zazdrościły dziecięce oczy!...

Nad ołtarzem znowu dwa okienka — strzelnice. Fijoletowy smętek osiadł na starych, zczerniałych obrazach. Słychać w ciszy jakowyś szept... Jest to może ćwierkanie piskląt w gniazdach jaskółczych, a może szelest owej brzozy, co o kraty kościelne włosy swe zielone czesze.

Żołnierze poklękali w środku kościoła, oficer siadł

w ławce i zatonął w marzeniu, we wspomnieniach. Podniósł oczy — i drgnął. W szerokiem oknie weneckiego kształtu, które z tajemniczych korytarzów klasztornych na kościół wychodzi, ujrzał trzy cienie. Głowy obramowane w kwadraty kwefów zakonnych, w białe z zewnątrz załamanie kornetów okryte ciemnem suknem... Na piersiach złożone ręce. Oczy nieruchome... Bolesne, starcze, żółte twarze, jakoby widm z za świata...

Wstał ze swego miejsca i szybko wyszedł z kościoła. Łozkosz mu sprawiało dzwonienie szabli i ostróg, przepych ubioru wojennego w przeciwieństwie do zakonnej szarzyzny i nędzy. Prędko zbiegł po szerokich stopniach między istnemi skałami białych podstaw wieży. Dał rozkaz do wsiadania i sam skoczył na siodło.

— Teraz — marzył — do Wyrw... Do wujaszka Nardzewskiego w gościnę, a potem dalej, na południe...

Pędząc na przedzie, powtarzał sobie ze ściśniętymi zębami wciąż jedno słowo, jak hasło:

— Jaz! Jaz!...

Skokiem wylecieli na gościniec z lasu Łysicy, na pierwsze wzgórze. Ale zaledwie Rafał rzucił okiem w nizinę, zdarł konia i stanął w miejscu, jak skamieniały. Z Wyrw wznoszą się w niebo słupy czarnego dymu! Dworu nie widać, dworu wcale niema, stodół niema.. Czerwone zgliszcze pełga kiedy niekiedy w tem miejscu między czarnemi koronami drzew. Oddział popędził przez pastwiska, przez łąki, przez płoty i wąwozy, co pary w koniach. Przypadli, jak wichura do wsi, w opłotki, na dziedziniec. Wszędzie pustka. Ani jednego człowieka. Ze dworu została tylko kupa zgliszcz,

przyciesi opalonych, twardych głowni modrzewiowych i czarne rumowia piecowisk. W całej dziedzinie tylko murowany lamus ocalał. Ułany wpadły do wnętrza. Słychać było stamtąd ich krzyk. Rafał poskoczył za nimi. Zatoczył się, jak pijany... Ujrzał Nardzewskiego na ziemi w krwawej kałuży, porąbanego szablami tak straszliwie, że z niego tylko ślad człowieka pozostał. Twarz była zmasakrowana, ramiona, piersi i ręce pocięte. Ale naokół w pustych sąsiekach, na grubych dylach podłogi, przed progiem i za progiem, stały czarne strugi krwi. Stary szlachcic nie za darmo sprzedał swe życie. Rafał przypadł ku niemu ze szlochaniem. Kazał go dźwignąć żołnierzom i wynieść na dwór. Trup już był ostygł. W ręce ściskał jeszcze swój cudnie dziwerowany pistolet. Żołnierze przetrząśli lamus. Jeden z nich spostrzegł drabinę, wciągniętą pod dach na wiązanie krokwi. Wypatrzono siedzącego w dymniku człowieka. Sciągnięty na dół, stawiony został przed oblicze oficera. Był to stary Nardzewskiego strzelec, Kacper. Długo się z podełba podejrzliwie przyglądał żołnierzom i oficerowi. Milczał zawzięcie.

— Co się tu stało? — krzyczał nań Olbromski.

— Pana zabili.

— Kto zabił?

— Wojsko.

— Jakie wojsko?

— Miemce.

— Kiedy?

— Dzisiaj rano. Przyszły od świętej Katarzyny. Napchało ich się pełne podwórze, pełny dwór.

— Konnica, czy piechota?

— Była konnica, była i piechota.

— Jak się to stało?

— Kazały wielmożnemu panu, żeby natychmiast śpichlerz otwierał, stodoły to samo, żeby im od śpiżarni klucze dawał! Zarazem poznał, że źle. Pan na mnie kiwnął palcem i raz, dwa kazał przez zęby, żebym leciał we wieś po chłopach. Niech mi, pada, kto żyje, idzie na pomoc z cepami, z widłami, z siekierą. Ja we drzwi, a tu słyszę tych oficerów pan sklął, zmaścił słowem i kazał im, żeby natychmiast precz szły ze dwora!

— Poszli?

— Ale!.. poszli! Jakem od sołtysa przez sadek do dworu przyleciał, to już szły na niego ze siablami. Pan wielmożny już wtedy w swoją najgorszą złość weszedł. Uskoczył do małej stancyi i drzwi za sobą zaparł. Dopiero łap za pistolety, za dubeltówkę i przez sadek do lamusa. Mnie kazał wynieść torby z prochem to samo do onego. Wszystkie te oficery za nami! Zatrzaśliśmy drzwi... Pan mi powiada: — Leź w dymnik i bij z góry! Poszedłem i układłem ta nie jednego. Tymczasem drzwi wywaliły. Nie miał się chudziak kady oprzeć...

— Toś go nie mógł bronić, łajdaku!

— Dy ja go bronił, chyla wlazło...

— A wieś?

— Wyszły chłopy z chałup, nawet niektóre leciały obces, ale jak do nich wycelowali rzędem, skryły się, psubraty, po zapłociu, a potem w nogi. Ja tu spoj-

rzę bez dziurę w dachu: — dym! Stodoły się palą, ze dwora dym wali! Jezusie, Marya... Ino tego śpichlerza nie mogły podkurzyć... Jak już pan nie zipał, powywłóczyli trupy swoich kamratów za próg, zakopali w dół i poszli ku Kielcom.

— Gdzie leżą?

— Wszystkich za lamusem pogrzebli.

Rafał bezmyślnie poszedł w tę stronę. Ujrzał przed sobą ziemię świeżo narzuconą, wysoki okrągły kopiec.

W GRUZACH.

Zadaniem partyi ułanów pod wodzą kapitana Fijałkowskiego, idącej pod Calatayud i Saragosę w drugiej połowie grudnia 1809 roku, było zniszczenie band gerylasów w Aragonii. Partyzant Porliera, zwany Marquesito, przeciął był wszystkie drogi i przesmyki pirenejskie, tamował komunikacyę wojsk francuskich, przejmował pocztę i unicestwiał wszelkie dostawy. Młody Cedro, który do tej wyprawy należał, ciekawie zdążał ku starej Saldubie. Okolice z północnej strony Burviedro lubił wspominać, jak rodzinne. Piękne w tych wąwozach przeżył czasy. I teraz, w deszcz, śród wiatru i okrutnej słoty, szedł wesoło, jak niegdyś. Najbliższym celem marszu była już Saragosa. Wyglądał jej z załamań drogi, wlepiał oczy we mgłę. Wreszcie stary Gajkoś mruknął z drugiego szeregu:

— Widać już, widać tamtę juchę.

— Doprawdy? A czegoż to, stary, tak ją poniewierasz?

— Jucha to jest, panie podporuczniku! Ile tam

naszego narodu zepsuły za pierwszego oblężenia! Ile tam żółtego kołnierza ziemia zeżarła, a teraz woda gnoi.

— No, i Hiszpanów niemało!

— A co mnie Hiszpanie! Mało ich to? Naszych garsteczka. Gdzie jednego ubędzie, tam ci już dziura na zawsze. Czemże to ją zatkać? Ich kupa zginie, zaraz druga kupa w to miejsce wyrasta.

Po chwili dodał tajemniczym szeptem:

— Paniczu, mnie się widzi, że ja wykrył prawdę.

— No?

— Ony, choć to i chrześcijanie są i katoliki prawowierne, ale nie może inaczej być, tylko, musi, to są Żydy chrzczone.

— Cóż ty pleciesz?

— Sprawiedliwie! Nieraz ja już trupy ich rewidował na placu. Jużci tegom nie napotkał, żeby były oczywiste Żydy, bo już snadź za ojców wychrzczone. Dawne wychrzty, jednem słowem. Nawet mi jeden Francuzina z woltyżerów w Toledo gwarzył, jak to tam z nimi było, tylko żem nie mógł wszystkiego wyrozumieć, bo prędko kłapał. Skądby zaś tyle tych gerylasów być mogło, żeby się z Żydów nie wywodziły?

Od Xalonu popędzili na wschód pampeluńską drogą, pragnąc zobaczyć, co też się stało? W dolinie nad Ebrem, między oliwami, w pustych niegdyś domach widać już było mieszkańców. Za klasztorem otwarł się przed nimi widok, bo w całej prawie dolinie drzewa były wycięte. Pniaki tylko sterczały. Dopiero na podgórzach z tej i tamtej strony rzeki szarzały liście. Już przed zamczyskiem inkwizycyi dopa-

dli robót ziemnych, wpoprzek przecinających drogę, co prowadzi do kościoła Kapucynów. Te niezmierne prace teraz były już puste i porzucone. Gdzieniegdzie tylko po nich wałęsał się szyldwach francuski. Wzięli się w górę i przez pola, skacząc wpoprzek rowów, dosięgli Huerby. Był na niej w jednem miejscu rzucony w górze most. Tędy wydostali się na drogę do Belchite, prowadzącą wprost do bramy Engracia. W zdumieniu i bojaźni cały oddział stanął bez rozkazu. Droga ta, jak wszystkie inne, jak droga z Monte Torrero do świętego Józefa i jak szosa walencka, była po trzykroć przerznięta paralelami, nieprzerwanie idącemi aż ponad Ebro. Stojąc na górze, widzieli olbrzymie prace oblężnicze francuskie. Naprost przed sobą mieli szańce przedmostowe na Huerbie, które zakrywały cały dalszy widok. Na prawej ręce, dookoła klasztoru świętego Józefa, rysowały się zazębienia, gzygzaki, waryackie, napozór, poplątania linii aproszów, podobne do znaków przebiegu gorączki na karcie historyi choroby. Jedna linia tych przykopów biegła w dół, stosując się prawie do zagięcia Huerby, druga szła do niej równolegle, później wypaczała się w rozciągnięte, rozszalałe zęby, przeskoczyła Huerbę i straszliwym znakiem ryła się w złotodajnych niwach na wschodzie, aż pod sam klasztor świętej Moniki. Gdzie oko padło, widać było drogi kryte, szlaki koszokopów, zagłówki, ganki narożne... Dalej jeszcze sięgała linia drugiej równoległej, niezbyt gzygzakowata, zakończona bateryą, z której sześć armat biło swego czasu na most i przedmieścia zarzeczne. Podobną figurę krętych rowów i powygi-

nanych nasypów przedstawiały za rzeką Ebro roboty ziemne od wschodu przedmieścia. Wszystko to leżało teraz zaniedbanem pustkowiem, mokło na deszczu jesiennym. Cała ta ziemia była jeszcze żółta, wywrócona trzewiami do góry. Dumne klasztory przysiadły. Ze świętego Józefa zostały jeno baszty i dziurawe ściany...

Ułani w milczeniu szli górą na wschód aż do samej rzeki. Dopiero tamtędy wjechali w miasto. Widok, który ich spotkał, gdy wpuszczeni przez szyldwachów francuskich zbliżyli się do bramy *de Sol*, przeszedł wszystko, co sobie mogli wyobrazić. Ziemia zryta przez forty obronne hiszpańskie za klasztorem świętego Augustyna, porwana w strzępy przez zdradzieckie ich fugasy, odłupane przez kule armatnie powleczenia z cegły, domy spalone, straszne pustki mieszkań, od których oderwały się frontowe ściany, sufity zwisłe ponad pustką pokojów, dachy zaklęsłe... Mijając uniwersytet, widzieli ogromne wyłomy w murach biblioteki, spowodowane przez wybuchy min prochowych. Przez te kanały i pęknięcia murów wywalała się na ulicę rzeka książek. Ulica Cosso była od min i kontrmin porwana. Ułani jechali groźnym zastępem z czapkami na ucho, ze zmarszczoną brwią. Kiedy przybyli przed wylot ulicy Engracia, kapitan Fijałkowski, pod pozorem trudności przebycia terenu i pod pozorem konieczności rozpytania się o rezydencyę komendanta placu, kazał oddziałowi stanąć. W gruncie rzeczy chciał się pospołu z towarzyszami przypatrzyć.

Ulica Engracia — znikła. Na jej miejscu wzno-

siły się góry fantastyczne, coś jakby widok z wyżyny lodowca Rodanu na łańcuchy Alp berneńskich. Klasztor Franciszkanów, roztrzęsiony minami, które cały obszar jego posiadłości aż poza ogrody, aż do klasztoru świętego Tomasza i z drugiej strony do kościoła San Diego objęły strasznem ramieniem, leżał wyrwany z węgłów, zepchnięty z przyciesi, zdruzgotany na szczapy i drzazgi. Szpital obłąkanych, klasztor Panien Jerozolimskich i wszystkie domy dzielnicy aż do uliczki Recogidas stanowiły nieprzejrzane zwalisko. Tu i owdzie sterczała jeszcze samotna ściana. Tkwiły w niej belki, wisiały okna, resztki drzwi... Gdzieniegdzie wznosiły się niewymownie posępne skupienia murów, z których narożniki wyrwano minami. Trudno było odgadnąć, do czego służyły ich węgły i sklepienia. Stały teraz przed oczyma, jak trupy gnijące. Z całej tej otchłani zniszczenia biła woń trupów, których nikt nie pogrzebał. Rozłożone w upały letnie wznosiły teraz z gruzów powitanie i cześć zwycięzcom.

Cedro wykręcił się na siodle, o bok wsparł rękę i patrzał w zwaliska. Nie przychodziła mu do głowy nijaka myśl. Ani jedno wspomnienie nie wałęsało się w pamięci. Trzymał go w żelaznych klubach fizyczny zachwyt. Osłupiałemi oczyma wlókł się z miejsca na miejsce, utwierdzając w sobie pewność, że to jednak spełnione zostało z potęgą. Wywalili z gruntu tyle mury, jak klasztor franciszkański! Rozsypali w drobny pył głazy, złożone przed wiekami! Strzaskali to, co przetrwało wszystkich emirów maurytańskich, wszystkich *justiz'ów* i królów Kastylii! Zmiażdżyli dumę Ara-

gonów. Urok potęgi zniszczenia, piękno okrutnej władzy powiało ku niemu z tej dzikiej pustyni. Wojenna duma podźwignęła się w nim na widok leżących gmachów.

— Upokorzyłaś się, Saragoso... — pomyślał w głębi siebie. — Złożyłaś broń u nogi obcych przychodniów. Nie stoisz wreszcie przed oczyma ze starodawnym krzykiem wolności — *avi fuerza!* — z hasłem odwiecznych, a niezliczonych rokoszów twoich. Niezwyciężona, *siempre eroica* — spodlałaś i ty! Leżysz nareszcie w gruzach, a gardziel twoja w pętlicy...

Wysłany po rozkazy *maréchal des logis* wrócił z rozkazem udania się na kwaterę do skasowanego klasztoru świętego Tomasza. Oddział ruszył tam niezwłocznie i rozłożył się po pańsku w obszernych refektarzach i licznych celach. Wyborowe stajnie pomieściły wszystkie konie. Oficerowie i żołnierze poszli wnet spać, od tylu czasów po raz pierwszy bezpiecznie i spokojnie.

O zmroku Cedro nabił swe pistolety, wysoko przypiął szablę i sam jeden poszedł w miasto. Bił deszcz, wicher ze świstem i wyciem leciał ulicami. Bramy były pozamykane, sienie puste. Tylko gdzieniegdzie przesuwał się człowiek, z uszami i oczyma zawinięty w opończę. Biały płaszcz, który był Krzysztof przypadkowo zarzucił, zwracał uwagę tych nielicznych przechodniów. Ten i ów z nich stanął w biegu i wiódł oczyma białą postać. Charczące słowo, jakoby zgrzyt ostrza puginału, który z pochwy wyciągnąć się nie da

dla zakrzepłej na nim w rdzę krwi — goniło go wskroś mroku:

— *Carajo!*

Ułan nie zwracał na te głosy uwagi i nie raczył skierować głowy, by dostrzedz, kto nań w ciemności szczeka.

Szedł, zawinięty w swój płaszcz, zadumany. Widział w marzeniu Olszynę i Stokłosy, dom rodzinny, ojca, Mery i Trepkę. Przywiózł im gościa z dalekiego Południa. Widział Mery i nieznajomą doncellę, jak rozmawiają w dzień letni pod cieniem wielkich brzóz, których długie korytarze wychodzą w pola zbożowe, w łany żywiące. Azali spodoba się jej kraj północny, azali powita sercem życzliwem ubogi rozdół Wisłoki? Przyjmiesz-że go sercem, dziecino Aragonii? Zrozumiesz-że szept pól żytnich, szelest pożółkłych zagonów owsianych, szum tamecznego lasu i plusk cichy tamtejszej wody? Pojmie-ż ona sennej a mglistej równiny wymowę? Przyniesie między tamtych ludzi ogień i niezłomną dumę, złączy duszę swoją rozpaloną i wzniosłą z ciszą i spokojnością słowiańską. Ona to będzie żarem i zapałem pod strzechą olszańską! Widział chwilę powitania, prowadził z Trepką rozkoszne spory o tego gościa nowego w Stokłosach. Cha-cha! przewidziałeś dobrze, stary polityku... Przywiozę ci niespodziankę z obcych krajów. Konne polowania z chartami... Pędził w marzeniu polem jesiennem obok niej, słyszał wiatr ścigający się z lotnymi końmi. O, przeźroczyste, niezgłębione oczy! o róże jasne tamtej nocy!...

Szedł obskoczony przez marzenia, napoły wie-

dząc, że zdąża ku miejscu, które był zdobywał półtora roku temu. Wszedł w uliczki, pod prostym kątem załamujące się w kierunku klasztoru Franciszkanów. Minął jedną z nich, drugą i wstąpił w trzecią. Nigdzie tu światła nie było, nigdzie śladu ludzkiego życia. Krzysztof tak doskonale poznał odległość od rogu tej ulicy do wejścia w ciemną sień domu w dniu bitwy, że teraz wyczuł ją nieświadomie. Musiał wyciągać ręce, pragnąc dotknąć murów po przeciwległej stronie ulicy. Ale kiedy zaczął iść w tamtym kierunku, potknął się i uderzył piersiami, kolanem i wreszcie czołem o gruzy. Chropawe, bezkształtne bryły i złomy muru, kupy cegieł otoczyły go ze wszech stron. Dotykał rękoma zwalisk oślizgłych od deszczu i mokrych żwirów. Nogi jego wykręcały się w ostrych zębcach kamieni, jakby schwytane w żelaza, kolana tłukły się i zbijały o nastawione urwiska. Wstępował coraz wyżej na górę zrujnowaną, na poszarpane zburzyszcze. Szedł zrazu naprzód, potem na prawo i, mocując się z gruzami, lazł jeszcze kilkadziesiąt kroków. Zapadał w doły, wpełzał na strącone mury, zlatywał w szczeliny, padał na twarz w głębokie jamy, aż wreszcie obszedł w różnych kierunkach tę dzielnicę całą, do Cosso. Wtedy, spracowany ciałem i duchem, zwalił się między kamienie, powiedziawszy sobie, że nic tu już niema. Spadła nań zupełna, dawniejsza obojętność. Czuł tylko spracowanie się ciała i duszy znużenie i odrazę. Zrzadka rozlegał się w nim śmiech rozczarowania, śmiech nieznośny i przeklęty. Któż wie, myślał obojętnie, leżąc bez ruchu na osypiskach wapna, może tu ona gdzieś pode

mną gnije? Może, gdyby rękoma piach ten rozgrzebać, trafiłoby się na jej zmiażdżonego trupa. Deszcz spływa między skruszone cegły, między zzieleniały piaskowiec. Kapie brudna woda w jej oczy, rozwarte od wielkiego przerażenia... Zatopiony w sobie, nie czuł siekącego deszczu, nie słyszał wycia wiatru. Ale oto uderzyły go szczególne dźwięki. Zbudził się jak ze snu twardego. Czuł wstrząśnienie ziemi, na której leżał, jakoby dreszcz gruzów i zwalisk. Leniwie podniósł głowę. W pobliżu, gdzieś obok, za urwiskiem ścian słychać było ciężkie łomotanie żelaznych drągów i ciosy kilofa. Krzysztof słuchał tego przez czas pewien, a później zapomniał, że się rozlegają. Przyszedł do wniosku, że to nędznicy, odzierający trupy, rozkopują zwaliska — i na tem poprzestał. Leżał tak samo.

Tymczasem ciężkie kroki, szczęk drąga i szepty rozmowy poczęły zbliżać się w jego stronę. Wtedy gniew go dźwignął z ziemi. W nieprzejrzanym mroku nocy zamajaczyło kilka ciemnych figur. Krzysztof wyciągnął z za pasa pistolet, odwiódł go i czekał znieruchomiały.

Ludzie nocni szli wolno, zgrzytając po kamieniach podkutemi podeszwami. Poznał z rozległości łoskotu, że jest ich co najmniej pięciu w obrębie zwalisk. W kupie szło trzech. Dojrzawszy, widać, jego płaszcz, stanęli. Wszczęła się cisza. Wicher tylko kwiczał, latając po złomach. Wtem prędki błysk ślepej latarni, jak gzygzak piorunu, padł na figurę Cedry. Wtedy on podniósł pistolet i rzekł spokojnie po francusku:

— Kto tu jest?

Milczenie.

Po chwili drugi, pośpieszny błysk latarni obleciał przestrzeń za Krzysztofem, z prawej strony i z lewej, jakoby gończy pies, szukający, czy są poplecznicy. Jednocześnie ciemne figury rozpierzchły się i rozpłynęły w mroku w ten sposób, że białą figurę ułana osaczyły ze wszech stron. On wziął na cel pierwszy z brzegu czarny cień, który zdołał uchwycić oczyma. Parękroć razy sprawdził kierunek i szarpnął cyngiel. Echo strzału runęło w rozwalone mury, jak pocisk armatni. Cedro wyrwał drugi pistolet z za pasa. W lewą garść ujął szablę. Słyszał obok siebie i za sobą skoki po jęczących kamieniach. Żelazny drąg dosięgnął go i wymacał. Wtedy, odwróciwszy się, Cedro nagle strzelił, przystawiwszy lufę niemal do piersi człowieka, który go chwytał rękoma. Tamten runął na wznak z jękiem śmiertelnym. Krzysztof skoczył przez niego, tnąc szablą, którą w prawą dłoń chwycił, na prawo, na lewo, w tył i naprzód. Nogi jego wyłamywały się i spadały z kamieni. Walił się na kolana, na ręce, zrywał i odskakiwał od wrogów, którzy go dosięgali. Gruzy, po których uciekał, nie miały końca. Stał się z nich straszliwy labirynt zaułków, ścian, izb i dołów! W jednym z takich Cedro stanął. Czuł po zmienionym głosie wiatru, że się znajduje w ruinach jakiegoś domu. Oparty plecami o resztkę komina, czatował na napastników.

Przyszło z nich dwu w to miejsce i zaświecili mu wprost w ślepie latarnią. Przez jedno mgnienie

źrenicy widział straszliwe ich twarze. Skoczył susem na obu i ciął oślep pałaszem ze wszystkich sił, czując, że nadeszła okrutna godzina. Ramię jego miotało piorunowe ciosy, krzyżowe i sztychem. Tamci bili weń drągami z góry, żeby od jednego ciosu łeb mu rozwalić. Jeden z nich wrzasnął przeraźliwie i ustał w walce, ale drugi zadawał razy okropne. Krzysztof czuł jego chrapliwy oddech i odór jego ciała. Idąc za głosem, skoczył na niego tygrysim rzutem, chcąc zadać cios w piersi. Obadwaj runęli na ziemię. Na śmierć dusząc się rękoma i zmagając, tarzali się po kamieniach. Raz Krzysztof był na wierzchu, drugi raz tamten. Głowy ich prały w głazy, zęby wszczepiały się w ubrania, targając je kęsami, ręce, jak żelazne kły, szukały nawzajem gardzieli. Hiszpan był chłop gruby i żelaznej mocy, to też Cedro nie mógł mu sprostać. Ratowała go zwinność i młodość. Wyrywał się co chwila, wyślizgał z okrutnych objęć, rzucał odnowa do gardła ruchami prędszymi od myśli. Bronił się wciąż, szalenie napadając. Czuł jednak, że nie da rady. Śmiertelny pot go oblał.

Rozpacz rozdarła mózg. Przez mgnienie oka decydował: — wyrwać się i uciekać co sił! Targnął się, wygiął w krzyżu i oderwał. Ale tamtem poczuł jego niemoc. Klęczeli teraz obaj na ziemi z twarzą przy twarzy i chwilę czekali na śmierć słabszego. Hiszpan nabrał w piersi tchu i rzucił się pierwszy na Cedrę odrazu całem ciałem. Rękoma chciwemi dosięgł jego szyi. W tym to momencie, tarzając się w konwulsyach, zlecieli obaj w jakąś wązką czeluść. Toczyli się po stromych schodach, dusząc się i żrąc wzajem. Na dnie,

gdzie przeraźliwy fetor trupów stał nieruchomo, Krzysztof wydarł się z rąk zbira. Odruchem, czuciem świeżego tchu, trafił w czeluść schodów i we dwu, trzech susach dopadł powietrza. W tej samej chwili schylił się i porwał z ziemi olbrzymią bryłę, którą stopami potrącił, a kolanem poznał, jako ruchomą. Wzniósł ją oburącz ponad głowę, siłą nie swoją, lecz jakoby sześciu ludzi, i z chichotem szczęścia, od jednego zamachu cisnął nieomylnie w otwór schodowy. Usłyszał westchnienie — śmierć, stęknięcie — koniec, urwany szloch. Wtedy drugą bryłę w to samo miejsce, trzecią, czwartą! Szukał po ziemi coraz większych, nieudźwignionych i nadludzką, oszalałą siłą miotał je z wściekłym pośpiechem w czarny otwór. Widział teraz ów otwór oczyma, jakoby w biały dzień. Nie miał zgoła wiadomości o tem, gdzie jest i co robi. Rypał nagiemi rękoma przemokłe skiby muru i walił je w dół wciąż, bez końca, spychał rozpękłe gruzy kolanami.

POSTERUNEK.

W ciągu zimy kompania kapitana Fijałkowskiego czyniła wielokrotne wyprawy z Saragosy. Zazwyczaj kapitan zostawał w mieście z częścią oddziału, a na wyprawę szła partya pod wodzą porucznika, albo jednego z dwu podporuczników. Czasami znowu kompania dzieliła się na kilka części, nad któremi brali dowództwo obsługujący ją czterej wachmistrze, wachmistrz starszy, ośmiu kaprali, a nawet dwaj trębacze. Tym sposobem pilnowano dróg, prowadzących z gór do Saragosy.

Jedne z tych małych partyi chadzały drogą pampeluńską i dolinami do niej przyległemi, inne w rozdół rzeki Gallego, jeszcze inne na wschód południowy drogą walencką, ku sinemu morzu, na Fuentes de Ebro, przecinając kanał królewski, na la Puebla de Hijar, na San Per, do Alcaniz i stamtąd aż pod Monroyo. Wracali z tych wypraw poranieni, zestrzelani nieraz potężnie od gerylasów, zbici na siodłach, zniszczeni od

wichru i deszczu. Krzysztof Cedro przez czas dosyć długi nie brał udziału w akcyi ze względu na fatalny stan zdrowia. Kości miał potłuczone, płuca i wątrobę jakby odbite drągami.

Był dręczony od smutkow i tęsknot. Łaził po Saragosie w samotności zupełnej, zły i zapamiętały. Kiedy go towarzysze dawnych wypraw i zabaw rycerskich pytali, co z sobą wyrabia i czemu się dziwaczy, mówił im krótko a węzłowato, jako jest kuszony od dyabła i że zmaga się z nim w opustoszałych kościołach, w ruinach klasztorów i w gruzach ludzkich domów. Na wiosnę, pierwszych dni marca, gdy w zwaliskach puściły się trawy, a radosny krzew zdrzewistrącza-wistaryi, barwę nieba południowego wsysający w gruzły i torebki swych kwiatów, osłaniać począł zręby murów, przerzucać przez nie ręce swoje, gdy z ziemi pełnej trupów poduszonych w piwnicach, zgasłych z morowej zarazy, trysnęły bujne rózgi drzewa miłosnego cercis, gdy wybujały niesłychane kępy fiołków, hyacyntów o tysiącu barw, lilii i tulipanów, Krzysztof ocknął się, zażądał wyznaczenia do czynu i na czele podjazdu uszedł w góry. Miał pod sobą jego wachmistrzowską mość Gajkosia i dwudziestu chłopa. Wskazano mu kierunek zgoła nowy. Mieli dotrzeć aż do przesmyków górskich, wiodących w stronę francuską, pod Valée d'Aran w środkowych Pireneach. Przejścia te ogarnione były przez siły powstańcze. Należało je wyśledzić, zbadać i, jeśli to możliwe, drogi oczyścić. Szli z początku wielkimi marszami wprost na północ,

do Monzon, następnie do Barbastro. Trzeciego dnia znaleźli się już w bezdrożach górskich około Puente Montagnana ponad rzeczką Noguera, dopływem Ebra z północy. Skończyły się poszarpane grzbiety pagórków wapiennych, osypiska gipsu, płone ławy i wyniosłości, przesiąkłe solą. Wązkie *barrancos,* szczeliny tak puste, że nie było w nich drzewa, krzaka, kępy ziela, wzniosły się w górę na płaskowzgórze kraju Sobrarbe, między górnym biegiem rzeki Cinca i Noguera. Dosięgli tu wiatru i nawału chmur. Odetchnęli zimnem, ale wilgotniejszem powietrzem.

W wąwozach, które minęli, w owych ciasnych przepaściach, wązkich od osypisk zwątlałej skały, było cicho i duszno. Wiatr tam nie dolatał, martwe powietrze stało nieruchomo, jak w zapartej izbie. W górzystej krainie, na którą teraz wstąpili, częściej trafiało się ludzkie mieszkanie. Były to przeważnie chaty pasterskie z lasującego się kamienia, połączone z zagrodami dla kóz i krów. Kiedy niekiedy trafiały się domostwa okazalsze przemytników zawodowych, ludzi górskich.

Tam i sam, w miejscach najbardziej dogodnych do uprawy ogrodu, warzyw i pola, widać było gruzy osad i folwarków maurytańskich, od chwili wygnania przed wiekami morysków tak już pokryte bluszczami i trawą, że trudno je było odróżnić od zburzonych siedlisk hidalgów-rozbójników. Ułani nie spotykali w tych stronach ludzi na swej drodze. Długo nieraz musieli czatować, nim zdołali pojmać w chacie mieszkańca i wydobyć od niego zeznanie. Jedni z tych jeńców nie-

licznych byli zakamieniali, nieprzystępni i niezdobyci w uporze swoim, zupełnie jak góry Pirenejskie; woleli konać w męczarniach, niż wyznać słowo o miejscu pobytu bandy powstańczej; woleli dać się spalić na wolnym ogniu, niż wyjaśnić, gdzie się zakręca albo rozwidla drożyna, po której dążono. Trafiali się jednak i ludzie łakomi na grosz, albo jowialni i dobroduszni, za niuch dobrej tabaki wyjawiający wieść pożądaną, najczęściej zresztą niedołężnie wymyśloną, niepotrzebną, albo fałszywą. Trafiali się politycy trzeźwi i przewidywacze nieomylni, zawsze uznający siłę i władzę tego, kto jej posiada najwięcej. Byli i podli zdrajcy. Ci przychodzili sami, niewzywani, chyłkiem, w godzinie nocy i mroku, wiedli niedostępnemi szlakami i wydawali na śmierć bezpiecznie śpiących rodaków. W godzinie nocy i mroku brali za to zapłatę i znikali w szczelinach górskich.

Niedościgłym inkwizytorem i badaczem, co się zowie, był Gajkoś. Umiał tak zadawać pytania i tak je popierać argumentami, że niezwłocznie okazywało się, co zacz jest człowiek. Po dwu, trzech »sposobach« już było wiadomo, czy należy kawalera ogieniaszkiem przypiec, czyli też ze słowiańską gościnnością uczęstować hiszpańskiem winem. Gajkoś władał nawet językiem, wprawdzie nie hiszpańskim, ale z inkwizytorska-aragońskim. Jego bełkot, rzecz dziwna, był zrozumiały dla jeńców wszelkiego usposobienia, charakteru i temperamentu, jak powszechnie wiadomy kodeks. Wyprawami dowodził sam Krzysztof. Chodzili najczęściej gę-

siego, jeden za drugim, zestrachane konie ciągnąc za uzdy po zupełnych bezdrożach, upłazami, gdzie sypki miał leciał z pod stopy w głuche przepaście. Skradali się przy blasku księżyca i w najciemniejsze noce, czynili napaści rankami i z wieczora na obozy i wędrowne partye.

Po długich trudach całej niemal wiosny udało się Krzysztofowi odegnać bandy od przesmyków i szlaków górskich, otworzyć łańcuch kresów pocztowych przez góry dla armii generała Suchet'a. Nareszcie oddziałek uwolniony został z tych miejsc dyabelskich i otrzymał rozkaz przywrócenia komunikacyi, również przez gerylasów przeciętej, z załogami francuskiemi na południu, w łańcuchach iberyjskich, za Ebrem. Prawie tedy z Valée d'Aran poszli na południe, na Leridę, doliną rzeki Serge de Mequinenzy. Tu dłuższy czas wśród wojsk francuskich wytchnąwszy, pomaszerowali nową drogą, którą generał Suchet budował właśnie, w celu oblężenia Tortozy. Szybkimi marszami weszli w dolinę rzeki Algas, a stamtąd, idąc wciąż górami, minęli Monroyo. Celem ich drogi była Morella, forteczka w górach, gdzie z dwiema secinami ludzi bronił się przed zbuntowaną okolicą kapitan Wyganowski. Krzysztof miał przełamać niemałe trudności, nim się ku zameczkowi Morelli zbliżyć zdołał. Wsie, fermy, folwarki okoliczne, jak oto: Bellestar, Chiva, Rosel, Trayguera, Tordelella, Mata, Herbes itd., były zbuntowane i w stanie wojny. Oddziałek ułański musiał się zwijać, jak skorpion, otoczony żarzewiem, żeby nie uledz doszczętnemu zduszeniu przez wielkie siły. Prawie tedy

nie sypiali w ciągłym marszu. Od miejsca do miejsca lecieli zazwyczaj galopem, żeby napadać niespodzianie i nie dać się gerylasom spostrzedz, ilu ich jest naprawdę.

Nareszcie po długich jazdach naprzód i w tył, jednego dnia, o zmroku dosięgli bram Morelli. Radość to była istotna, kiedy ujrzeli się w towarzystwie dwustu piechurów z nad Wisły i pod tkliwą strażą ich karabinów. Cedro powitał Wyganowskiego, jak rodzonego brata. Kapitan był jeszcze bardziej zawiędły, niż w Saragosie.

Twarz jego w marszach i na wietrze zczerniała i zeschła. Wydatne kości policzków i szczęk nadawały jej wyraz grozy i surowości nieubłaganej.

Uśmiech anielskiego uradowania, który na ustach zmartwychwstał na widok młodego Cedry, był czemś nad wyraz dziwnem i niespodzianem w tej twarzy srogiej. Podobnie w sposób niezwykły brzmiał głos jego, gdy przyszło witać i rozmieszczać przybyszów. Ale za chwilę już postawa i brzmienie głosu wróciły do dawnej sztywności.

Kapitan Wyganowski zajmował w zamku Morelli małą izbę narożną z oknami, wychodzącemi we dwie strony świata. Widać było stamtąd miasteczko, u stóp góry rozłożone, i drogi do niego prowadzące. Kapitan miał tu łóżko, stoliczek i dwa krzesła. Kazał zaraz wnieść do tej izby drugą pościel i zaczął gościć młokosa. Krzątał się po kątach, przygotowując strawę, wycierał szklanki, znosił jakieś przybory. Cedro przypatrywał mu się z pod oka, leżąc na tapczanie.

Wyganowski rzekł:

— Ktoś mi tu mówił, tfy! na psa urok, że cię w potyczce ubili. Na szczęście, kłamstwo.

— Niezupełnie. Było mi trzy ćwierci do śmierci.

— No, żartuj zdrów! Wyglądasz, jak koń andaluzyjski, dobrze pasiony kukurydzą.

— Kula mię durch przeszła.

— Kula — to głupstwo. To jakby cię febryczny dreszcz przeszedł.

— Nie radzę takich dreszczów...

— Miałem ja je w sobie.

— Co? Dreszcze?

— Co to gadać! Wiesz ty? — rzekł nagle, zwracając się twarzą do słuchacza: — ja już nie mogę wytrzymać!

— Czego?

— Tego życia.

— Cóż znowu za sentymentalizm!

— Mówię, jak żołnierz żołnierzowi, na honor ci niesplamiony przysięgam, że śmierć-by mi była milsza...

— Dlaczego?

— Życie mi tu zmierzło do cna — oto dlaczego!

— Ależ dlaczego?

— Nie mogę wytrzymać tej służby. Nie mogę! Zarznęło mię to, zadusiło. Ja nie poto do wojska poszedł, żeby hiszpańskich chłopów żywcem palić, wsie całe z babami i dziećmi do nogi wytracać, miasta uśmierzać ogniem i mieczem. Szczerze ci mówię, że duszą jestem po ich stronie.

— To źle!

— To też dwa lata temu zażądałem dymisyi. Jak poszła moja prośba, tak do tej pory nie wraca. Cesarz wojuje w Austryi, siedzi w Paryżu, a dla mnie abszytu jak niema tak niema. Tymczasem muszę przeciw sumieniu, przeciw własnemu pałaszowi służyć. Biję się z samym z sobą, wojuję ze swoim własnym rozumem. Sto tysięcy razy szedłem oślep na zginienie, żeby raz nie być już podłym ludzkim pachołkiem... To mię omija! Teraz już dłużej nie mogę!

— Czy kapitan chcesz wracać do kraju?

Wyganowski prędko przełknął powietrze.

— Czy ja do kraju?... Tak, ja... do kraju... — wyszeptał suchemi wargami.

Wszedł oficer służbowy z raportem o rozmieszczeniu w zamku koni ułańskich. Wyganowski rozmawiał z nim już głosem tak ostrym, nieubłaganym i twardym, jakby to innego człowieka był dźwięk mowy. Po załatwieniu formalności i wyjściu oficera wrócił do poprzedniego wątku:

— Spadłeś mi, jak z nieba! Sam nawet nie wiesz, jak wielką mógłbyś mi oddać usługę.

— Jestem gotów do każdej.

— Ba! Jeśli się zdarzy, że pójdziesz stąd w stronę właściwą. Jaka jest dalsza twoja marszruta?

— Mam przejść drogę do Tortozy, dać wieść o tobie i innych po drodze załogach. Potem wracam do Saragosy i do pułku.

— Do Tortozy, do sztabu Suchet'a!... — wołał z radością Wyganowski.

— O cóż idzie?

— Bracie! Przecież tam może być dla mnie od dawien dawna dymisya i leży w jakiej kancelaryi. Komunikacye nasze z Francyą były tak długo zerwane... Mówiłeś, że kresy pocztowe zostały dzięki twoim staraniom nawiązane... Może właśnie nadeszła.

— W takim razie ruszam jutro.

Wyganowski rozpostarł ramiona i zaśmiał się w głos, jak dziecko. Ale za chwilę był już sobą.

— Zartujesz, braciszku! Gdzieżbym cię mógł stąd puścić bez wypoczynku.

— Jutro jadę. Bylem się dziś wyspał z żołnierzami. Konie wytchną...

Mówił to już prawie we śnie pogrążony, choć widział jeszcze Wyganowskiego twarz bladą. Spał, jak kłoda, aż do południa następnego dnia. Obudził go straszliwy upał lipcowy, buchający do izby oknami. Cedro siadł na posłaniu, rzeźki i zdrów, silny, rzeczywiście, jak andaluzyjski rumak. Z rozkoszą myślał o przygodach, które go czekają jutro, pojutrze, nim się do Tortozy przedostać potrafi. Wszedł Wyganowski. Już we drzwiach mówił:

— No, ale ten twój Gajkoś! Jabym go, szelmę, pierwszego przypiekać kazał. Jeżeli to prawda, co on tam moim Wickom rozpowiada...

— Cóż takiego? — śmiał się Krzysztof.

— Wyszedłem na lustracyę zamku i zastałem

już wszystkich przy butlach. Pyszne rzeczy, bo nie oni jego, lecz on ich podejmuje: ma ze sobą przednie wino.

— O, to wiadomo...

— Minę ma, jak byk, przeznaczony na arenę w Burgos. Takiego kwiatka jużem dawno między naszymi nie widział. Siedzi sam wśród moich piechurów, ssie dym z cybucha, kiedy niekiedy pociągając tęgie łyki z kubka, a właściwie z półkwarcia. Gdy zaczyna mówić, dym cedzi mu się przez wiechy wąsów i okrąża czerwony nochal. A zakwitł mu różnobarwnie na drogich winach — ani słowa.

— Życie mi uratował.

— Gdzie?

— Pod Burviedro. Byłem stratowany na śmierć. Konia mojego złapał w biegu, gdym przestrzelony zleciał z siodła...

— Przeklęte wszystkie te bitwy, te wsie i miasta! — krzyknął Wyganowski, chodząc po izbie. — Alboż to i ja nie mam pod swoją komendą zbirów, siepaczów, morderców, a przecież ich szczędzę i cenię bo ci najlepiej umieją... Najpewniej ci właśnie wywiodą z nieszczęścia, w razie obskoczenia. Co my tu robimy do pioruna! Ty długo tu jeszcze myślisz przebywać?

— Dopóki mi nie każą iść gdzieindziej. To chyba jasne. Może się przecie wojna skończy.

— Ta wojna nigdy się nie skończy. Jestem żołnierzem od tylu lat, więc wiem, jaką wojnę można

skończyć i kiedy. Napoleon nie cofnie przecie oręża przed gerylasami, boby całą swoję sławę postradał, a pobić ten lud — bajki wierutne! Przeszedłem z tą szpadą niemało świata, widziałem ludy walczące. Nie można ich pobić, bo mają za sobą racyę i entuzyazm. To mówiłem w oczy wszystkim moim zwierzchnikom, kiedym uzasadniał żądanie dymisyi.

— Możnaby z równą słusznością dowodzić, że wcale racyi nie mają.

— A to ciekawe!

— Więc tak nadzwyczajnie powinni bronić inkwizycyi, nietykalności praw feudałów, dóbr klasztornych i tej dynastyi Burbońskiej! Toż przeciwko tej samej dynastyi bronił się Aragon, Katalonia i Walencya zębami i pazurami sto lat temu, w wojnie o następstwo hiszpańskie. Jak dziś gwałtem chcą mieć nad sobą Ferdynanda VII, czy Karola IV, obu Burbonów, tak wówczas na gwałt chciało im się Karola, Austryaka, przeciwko Burbonom. Ciemny naród. Myśmy takie idee kilkaset lat temu przeżyli. Ktoby się dziś u nas chciał bić z duszy za takie czy inne następstwo? Pomyśl tylko...

— A ty się za kogo bijesz? — zadrwił krwawo kapitan.

Cedro przyskoczył do niego z okrzykiem:

— Ja się biję z duszy za kraj!

— No, powiadaj-że sobie w dalszym ciągu tę dewizę przed sobą i Panem Bogiem. Ja już nie chcę. Ja idę.

Po chwili mówił z wypiekami na twarzy:

— Taki plan uknułem dzisiejszej nocy. Kiedy stąd będziesz ze swymi ludźmi wychodził, dam ci przewodnika, Hiszpana. Zrobi mu się mundur podobny do waszego, żeby go zaś nie poznali rodacy. Dam mu swego konia. Powiedzie was pewnym, najbliższym i zupełnie bezpiecznym szlakiem do Tortozy.

— Cóż to za człowiek? Żeby mię tylko nie sprzedał za jakie srebrniki. Bom widział już takich między nimi, co się to Francuzów trzymają dla zysku, ale zarazem i od swoich radzi biorą.

— Człowiek najpewniejszy! Głową ci za niego ręczę. Doświadczyłem jego wierności w stu okazyach. Hiszpan to prawdziwy, ale szaławiła i wolnomyślnik. Stąd ma pasyę do Francuzów. Wierzy, że z pomocą francuską prędzej w kraju zakwitną urządzenia nowoczesne. Nie myśl, żeby to był płatny zdrajca. Mówię, że to Hiszpan, ale ma kulturę wyższą, więc go fanatyzm chłopów, mnichów i przemytników nie zadowala. Doświadczył ode mnie wielekroć dobrodziejstw. Nie jedno życie ode mnie wyprosił. Całym miasteczkom, całym wsiom na jego słowo przepuszczałem. Chce mi się teraz wielką przysługą odwdzięczyć. Dasz mu w rękę dymisyę, jeśli nadeszła, — i nic więcej. On mi ją przyniesie.

Mówiąc to, wsparł ręce na ramionach Cedry i uśmiechał się z głębi duszy.

— Dobrze — powiedział Krzysztof: — spełnię to wszystko. — A jakże myślisz stąd się wydostać? Boć sam jeden nie wyjdziesz, a oddział, ile wiem, musi tu jeszcze długo wartować, aż do rozkazu.

— Tak, aż do rozkazu. Ten sam człowiek, don José, wywiedzie i mnie. Ma on już dla nas obudwu przygotowane paszporty generałów hiszpańskich Villacampy i Barsoncourta na przejście do Tortozy. Zwierzyłem mu się z całej duszy swojej. Pojął mię, jak brat rodzony.

— Ha, skoro tak, to dawaj go żywo. Dziś na noc idę.

— Co znowu? — wzdragał się Wyganowski obłudnie.

— Chcę i ja być coś wart w twoich oczach. Dobrzem się swego czasu przespał u Panien Jerozolimskich pod strażą tej szpady.

— Chodź ze mną do kraju... — zagadnął cicho Wyganowski.

— Nigdy! Wołaj tego człowieka.

Kapitan skinął głową i wyszedł. Cedro udał się do swoich ludzi z rozkazami:

— Konie tęgo paść, zbroje trzymać w pogotowiu, o zmroku marsz — marsz!

Westchnęli jeno posępnie i — bywaj! do koni.

Nad wieczorem tego dnia zjawił się Hiszpan. Był wysoki, zwinny i silny. Mówił nieźle po francusku. Cedro wszczął z nim rozmowę i badał go pilnie oczyma. Nie ufając sobie, powiódł go do Gajkosia i po polsku powiedział wachmistrzowi, kto to jest i co ma za misyę. Gajkoś go »uważał« z pod oka, nim począł rozmawiać. Nie przyszedł jednak do złych wniosków. Rzekł tylko, że chłop musi być sielny, więc go trza mieć między końmi i na oku.

Don José wdział mundur jednego z ułanów, a tamtem został w ubiorze stajennym. Ciemnym wieczorem ruszyli za bramę. Na odjezdnem Wyganowski prosił na wszystko Krzysztofa, żeby nań czekał w Tortozie, jeśli dymisya nadeszła. Cedro przyrzekł.

DYMISYA.

Kilka dni już Krzysztof oczekiwał w Tortozie na przybycie Wyganowskiego. Dymisya, która leżała w kancelaryi generała Chłopickiego, wręczona została Hiszpanowi, a ten, przebrany w ludowe suknie, poniósł ją natychmiast do Morelli. Cedro pod różnymi pozorami, jak leczenie koni, reparacye siodeł i t. d., przedłużał swój pobyt w okopach generała Suchet'a. Ale dzień naznaczony mu do wymarszu zbliżał się szybko. Z wyżyn La Roqueta widać było miasteczko Tortozę, rozłożone na samym brzegu rzeki Ebro. Tuż za niem ciągnął się łańcuch gór skalistych, jałowych i wysokich. W pobliżu klasztoru Jezuitów, gdzie stał batalion trzeci polski i batalion pułku sto piętnastego, widać było szańce francuskie, otaczające miasto. Dokoła rozciągał się pas nieużytków, z którym dziwnie harmonizował widok zamku w środku miasta, widok silnie obmurowanego fortu de las Tenaxas, oraz bram: Mostowej, del Rastro, i posępnych bastyonów: świętego Jana, świętego Krzyża, karmelickiego i t. d. Daleko na

wschód wysuwał się stary fort d'Orléans. W tamtej stronie, za rzeką, stały dwa bataliony polskie pułku drugiego, dokąd powinienby był skierować swe kroki Wyganowski dla zameldowania się po przybyciu. Toteż Cedro codziennie jeździł w tę stronę, wymijając parale-le, idące ze wschodu, po obudwu stronach rzeki. Piątego dnia pobytu swego pod Tortozą, zrana, kiedy spał w kwaterze polnej przyjaciela Rybałtowskiego na la Roquetta, zbudzono go nagle wieścią, że Wyganowski przybył. Cedro porwał się z pościeli i co prędzej począł wdziewać odzienie. Ale ten, co mu wiadomość przyniósł, dorzucił:

— Przybył kapitan Wyganowski, ale go ktoś pod obozem drugiego pułku zamordował.

Krzysztof skoczył, jak pchnięty nożem. Oniemiał. Upadł na posłanie swe i leżał bez ruchu, słuchając rozmów, przypuszczeń, wniosków.

Nierychło, jak przez sen, włożył mundur, przypasał szablę, zarzucił płaszcz i pojechał za Ebro. W pobliżu obozu pułku drugiego zobaczył kilku żołnierzy wśród pola. Po wzgórkach wieszały się tutaj zarośla agawy i dzikie krzewy krępli. W dali stały nagie, spękane góry. Już się upał sierpniowego dnia zaczął. Słońce przepalało nawskroś żółte piaski nadrzecza, ogniem trawiło usychające pod skałami rośliny. Na błyszczącym piasku leżał nagi zupełnie Wyganowskiego trup.

Gdy Cedro skoczył z konia i przypadł ku niemu, ujrzał dwa ciosy sztyletu, czy noża, zadane w serce na wylot, ręką nieomylną. Morderca zdarł z ofiary

swojej suknie hiszpańskie i rzucił je niedaleko, między krzewy. Czynił to w takim widocznie pośpiechu, że ściągnąwszy koszulę przez głowę, zostawił ręce trupa wyprostowane w górę. Te nagie ręce bezbronne i bezsilne, ciśnięte równolegle jedna do drugiej wzdłuż głowy, zdały się wołać na Krzysztofa z ziemi. Roje moskitów, much i drobnych, ledwie widzialnych robaczków szaro-zielonych, z brzękiem krążyły już nad zwłokami, wpijały się w zaschłą krew rany. Słońce płomienne już wydobywać zaczęło z trupa woń śmierci.

Ten i ów z wiarusów zakopcił fajkę i splunął. Pomedytowali, pogwarzyli o dziwnem zdarzeniu i odeszli. Cedro został sam. Przy głowie zmarłego leżał głaz. Ułan siadł na nim, łokcie sparł na kolanach, głowę na dłoniach i patrzał w twarz przyjaciela. Czasami jego oczy wałęsały się to tu, to tam. Wyschły piach, sypki i lotny, przepalony na łokieć, zdeptany obcasami nóg, które się prężą śmiertelnie. Tu walczyli ze sobą. Tu go napadł niespodzianie. Tu mu cios zadał. Tu go wlókł, żeby pohańbić przed oczyma całego wojska. Tu z niego zdzierał szmaty pokoju...

— Don José... — wyszeptały usta.

Serce załomotało, jak jastrząb zgłodzony i straszliwy. Gniew pognał krew. Ale zwolna ją uciszyła gorycz myśli. Zamknęło się serce i dusza znowu stanęła przed obliczem tego trupa. Niewymowny upał przepalał ciało, że było gorące, jako ów piasek pod stopami. Trup cuchnął.

Krzysztof wstał i wielkimi kroki poszedł w stronę obozowiska pułku drugiego. Stanąwszy tam, znalazł

bataliony, szykujące się do bitwy. Wyszedł przed front i gromkim głosem zwrócił się do oficerów i żołnierzy, żeby pomścili śmierć towarzysza i żeby poszli pogrześć jego nagi trup. Wołał:

— Już go słońce żre, żołnierze, już go porwało w pazury. Leży sam jeden przed wami wszystkimi, a nad nim słońce niezbłagane. Nie zlituje się nad nim słońce i ognia swego nie przygasi. Piach pod nim płonie od żaru. Krew się już wzdyma i skórę rozsadza. Komar i mucha ssie jego krew sprawiedliwą. Idźcież mu dół wykopać, żołnierzowi żołnierze! Cześć mu bratnią oddajcie!

Z szeregów odpowiedział mu głos:

— Cześć mu sam oddaj. I dół mu sam wykop. Już on nie żołnierz i nie towarzysz. Przypatrz się dobrze. Całymi batalionami idziemy w bitwę tej godziny, a on dla siebie jednego zwolnienie wyprosił. Sprawiedliwie mu uczynił los! Niechaj gnije pode skwarem.

Uderzyły bębny. Bataliony, wykręciwszy się sekcyami w prawo, twardym krokiem poszły wraz, w kierunku fortu orleańskiego. Widać było wielki ich, żelazny szyk, błysk karabinów. Wkrótce ich pył drogi i kurzawa dymu zasłoniła.

Krzysztof wrócił do przyjaciela. Wyciągnął z pochwy szablę swą i koniec jej twardo zanurzył w głębokość rany, zadanej sztyletem. Siadł na kamieniu i gadał do trupa:

— Taki to jest nasz Roncevalles, towarzyszu...

Nadszedł czas, że wstał z miejsca i począł wygrzebywać w lotnym piasku dół grobowy. Zrazu na-

giemi rękoma, potem znalezionym ułamkiem czerepa granatu. Tęgo się zgrzał, dobrze spracował, nim nad wieczorem wybrał dół na chłopa. Złożył tam zwłoki. Wyciągnięte ręce skrzyżował na piersiach. Zasypał towarzysza gorącą hiszpańską ziemią, śpiewając sobie i jemu pieśń pożegnalną, pieśń bez wyrazów, pieśń samotną.

DOM.

W urzędzie regentowskim kieleckim od dawien dawna leżał złożony testament szlachcica Nardzewskiego. Według brzmienia tego aktu, dziedzic Wyrw całe ruchome i nieruchome mienie swoje zapisywał na własność siostrzeńcowi swemu, Olbromskiemu.

Skończyła się wojna krajowa roku dziewiątego, i ułan w mizernym stopniu porucznika miał z Krakowa powracać na leże ze swym pułkiem. Aliści kolega Jarzymski, który w Kieleckiem jakiemiś dobrami administrował, zetknąwszy się z nim, obwieścił mu radosną nowinę. Rafał co prędzej wziął z wojska dymisyę i pośpieszył do Kielc. Urzędowe otwarcie testamentu ziściło wszystkie jego nadzieje. Był samowładnym dziedzicem. Wiedział o tem wprawdzie, że z folwarku została tylko ziemia niezaorana i trocha płotów, że chłopi, uwolnieni z pańszczyzny, nie podtrzymają już teraz najmizerniejszego bytu... Mimo to ochotnie pośpieszył na miejsce. A gdy raz wkroczył w te góry, to już i został.

W tym czasie do Tarnin sprowadził się mąż Zofki i łapczywie objął gospodarstwo, niby to chwilowo, niby to dla ulżenia staremu. Rafał przeczuwał, że tylko ze srogiemi walkami mógłby nową rodzinę z Tarnin wysadzić. To też usiłował wydobyć jedynie stamtąd, co można, i nie kwapił się do domu.

W Wyrwach początkowo mieszkał w czworaku, który po drugiej stronie sadzawki ocalał z austryackiej pożogi. Wyporządził sobie w końcu tego domostwa stancyjkę i dwie zimy przepędził w niej znośnie. Wszystek teraz poszedł w myśliwstwo. Strzelec Kacper i Michcik, którego z wojska do Wyrw zabrał, stanowili dwór: Kacper jako strzelec, a Michcik jako kucharz, szatny i doradca. W rok po osiedleniu się, już Rafał wzniósł stodoły o murowanych słupach, gontem kryte, wysokie, odbudował stajnie, obory i do porządku przywiódł śpichlerz. Następnego roku ufundował nową groblę z upustem na palach bitych i odrestaurował młyn, a wreszcie od wiosny trzeciego roku budował dla siebie dom.

Domek był z modrzewia i wielkiej jodły. Oddawna wszystek sprzężaj zwoził zimową porą z Łysicy, Bukowej i Strawczanej góry olbrzymie tramy modrzewia, buku i jodły.

Obrobione z nich przyciesi i belki schły w porze letniej pod osobną wystawą. Z Klonowa zwieziono jędrne gonty, w Bodzentynie stolarz dopasowywał już okna i drzwi. Przez całe lato słychać było łoskot siekier, a już w lipcu zrąb dworu z wiązaniem belek, krokwi i łat bielił się na okolicę. Rafał przeżył duszą

całe to budowanie. Sam każde z drzew, czasu wypraw myśliwskich, obejrzał i wybrał na górach. Był przy ściąganiu go z wyżyny na chłopskich barkach, przy zwożeniu pod wystawę na rozworach. Był przy rozpłataniu każdej belki, przy oddzieleniu północnej jej części od twardzizny południowej, każdy cios topora widział, każdy sęk, rdzeń i wypaść pomacał ręką. Całe dni wiosny i początku lata przepędzał wśród traczów i cieślów. Przywykł do tego, żeby mu się nogi plątały w miękkich i cienkich wstążkach heblowin, żeby ucho chwytało szelest odciosanego toporem oszastu, ślizką melodyę hebla, dzwonienie dłóta w jądro rdzenia modrzewiowego. Nie było przyciesi, którejby nie zbadał do cna rachunkiem, okiem i ręką. Gdy ściany z niezmiernych pniów wyrastały, cieszył się, jak dziecko. Nowe życie zakładał tu sobie, mocne ściany na kamiennem murowaniu fundował, zwierał zrąb mocnemi belkami i niewzruszonym stragarzem na moc, na siłę przeciwko wiatrowi i wszystkiej burzy. Sam rok i napis na tym stragarzu wydłubał. Nareszcie wyniosły dach z kupy rozrzuconych gontów i łat zaczął wyrastać. Jednocześnie z tą budową domu prowadzony był forsownie karczunek nieużytków, wydzieranie jałowców i wynoszenie kamieni. Coś z dążeń brata Piotra, nie tyle działaniem przykładu na rozum i wolę, ile mocą nieświadomego dziedzictwa, przylgnęło do młodego rolnika. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni kurzyły się w obszarach tak zwanych odpadków, po zboczach górskich kupy wydartego z ziemi jałowcu, który pa-

lono wraz z pniakami jodeł. Oswobodzeni z niewoli, ale ubodzy zarobnicy darli z ziemi korzenie wielkich pniaków po świerkach, jodłach i bukach, które tam niegdyś szumiały. Wielkie wykroty, obwieszone kamieniami kwarcu, oplecionymi przez niezliczone korzenie, sterczały na każdej szerokości. Doły pod nimi zawalano ziemią i równano pracowicie. Dzieci i wyrostki zbierały niezliczone masy kamienia i wynosiły na przydrożne kamionki. Gleba tam była kamienista. Okrągły, siwy, twardy głaz leżał nietylko na powierzchni, ale i pod cienką warstwą ziemi rodzajnej, którą okrywała trawa, mech, kwiatek leśny. Łysy jego czerep wyglądał z gruntu, gdziekolwiek rzucić było okiem, gdzie stąpnąć nogą. Kiedy poruszono glebę falistą po wykrotach, starganą kilofami w góry i doły, kamienie zdawały się wyłazić gronami, wyłuskiwać się, jak orzechy, rodzić w oczach i mnożyć, jak niezliczony owad. Pług, puszczony pierwszy raz w nowinę, zgrzytał, skwierczał, wił się i prawdziwie walczył. Rwał korzenie, przecinał nadgniłe kije i rozrywał odwieczne legowiska głazów. Pierwsze skiby były krzywe, tam płytkie, tu sięgające za głęboko, aż do podgleby skalistej, rzucane w prawo i lewo. Ziemia nie dawała swego dziewictwa za darmo. Trzeba było rozedrzeć jej zrosłą caliznę, wyrwać tysiączne spojenia, rozpłatać żyły, wyorać oporny kamień i z niemałym bólem krzyża odnieść daleko.

Nadeszło lato dwunastego roku.

Rafał w tym czasie, po zżęciu żyta, ku końcowi lipca, najusilniej karczował nowinę. Jeszcze stały pło-

wiejącymi pasami owsy po polach. Był po starym lesie wielki szmat ziemi, otaczający szerokiem ramieniem rozdół łąk, przez które płynęła rzeka. Niwa ta służyła aż dotąd za pastwisko. Wyrosły już na dawnych porębach nowe chrósty i młody lasanek, przeważnie liściasty. Obok pniaka ściętego wysoko, który oblazł z kory, zbielał, jak kość, stwardniał i wysechł, można tam było spotkać gaje leszczynowe, zwarte ostępy grabiny z buczyną, młode dąbki, lśniące, jak spasione źrebce, najcudniejsze gęstwiny iście dzikich krzewów, kolczastych tarnin, które w drzewa porosły, tęgich sumaków, dzikich gruszek, głogów i jeżyn. W dawnych, zarosłych wykrotach, gdzie teraz gnieździła się wilgoć najdłużej, powystrzelały olbrzymie łodygi kwiatów, dudy łopianów, niezdobyte barykady dzikich malin i wielkich ostów. Cały ów »stary las« kopcił się teraz od ognisk przyduszanych nowemi wciąż warstwami gałęzi, badylów, pniaków i korzeni. Ludzie w chłodku, przejętym od drobnego dżdżu, pracowali chętnie i żywo. Każdy rad był brać udział w tem dziwowisku, jakie miał przed oczyma. Nie będzie już starego lasu! Już po poziomki, po czarną jagodę, maliny, dziady, orzechy nie pójdziesz w stary las, nie bój się!

Rafał zakładał sobie wiele na uprawie tego łanu. Miał zamiar siać z wiosną owies i paść nim stadninę, którą w myśli stale powiększał. Właśnie, siedząc na pniaku, ćmił z małej, glinianej fajeczki *tiutun* i rozmyślał o przyszłem stadzie. Zlekka prze-

mókł od kołnierza i pleców, więc się zagrzewał fajeczką, wesołemi myślami i skurczeniem postawy. Dymy z ognisk wałęsały się przez pola już przetrzebione i niosły woń jałowcową po pierwszych skibach. Michcik, pracujący w pobliżu na równi z najemnikami, odchrząknął, wyprostował się... Coś mamrotał.

— Co gadasz? — spytał porucznik, nie wypuszczając z zębów fajeczki.

— Melduję...

— Cóż meldujesz, stary Austryaku?

— Me... melduję... jako gość je... jedzie.

— Wściekłeś się, czy co? Do mnie gość jedzie?

— Widać ano, że z góry gość jedzie...

— Prawda! Ktoś jedzie. Bryka w trzy konie...

— Bryka nie... nie tutejsza... Bryka jak się patrzy... kra-kra-kowska...

— Prawda! Bryka krakowska. Konie wspaniałe...

Z góry, po wertepach drogi, po wybojach i kamieniach ostrożnie zjeżdżał zaprząg solidny. Zdala widać było, że wysoko schlastany jest błotem. Para rosłych koni szła w dyszlu. Trzeci na przyprzążkę podreptywał luźno. W siedzeniu, owinięty w burkę jechał podróżny. Rafał nie spuszczał go z oka. W pewnej chwili zakrzyknął:

— Ejże, Michcik, ejże! Czy to tylko nie pan Cedro do nas jedzie?

— Nie mogę odpowiedzieć, jako żem nigdy takiego pana Cedra na oczy nie uświarczył.

— Ejże, Michcik!

Zbliżyła się bryka o staje, o dwa. Rafał stanął na pniaku. Podróżny, ujrzawszy go, przyłożył szkła do oczu. Już teraz Olbromski nie wątpił. Jakże nie huknie ku niemu z całej piersi:

— Krzysztof! Krzysztof!

Podbiegli ku sobie i padli wzajem w ramiona bez słów.

Za chwilę Rafał siedział z przyjacielem na bryce, zdążając do dworu w Wyrwach. Michcikowi kazał wleźć na kozieł. Nie mógł się napatrzyć na Cedrę, który z wysmukłego młodziana stał się mężczyzną muskularnym, o bujnym wąsie, zadartym w górę, o ruchach porywczych, żołnierskich. Zaledwie z miejsca ruszyli, Rafał zaczął pytać:

— Skądże w tej chwili jedziesz, braciszku?

— Z domu.

— A dawnoś wrócił?

— Już w marcu pułk nasz przelazł przez Pirenejskie góry. Z Francyi wyprzedziłem go dyliżansem...

— Kiedyżeś do Olszyny przybył?

— Dopiero w czerwcu.

— Przez cały czas przy ojcu byłeś?

— Aż do tej chwili. Ledwiem się oto wydarł.

— Ależ wałacha masz, niech go pioruny! Cóż za koń! — nie mógł Rafał powstrzymać okrzyku, patrząc na źrebca, idącego przy koniach na przyprzążkę.

— Iberyjczyk... a jeszcze w Olszynie go paśli — skromnie wtrącił Cedro.

— Ależ koń!

— Musiałem dobrego konia wziąć na tak wielką wyprawę.

— Na jakąż to znowu wielką wyprawę?

Krzysztof popatrzał na niego z ukosa i rzekł:

— Na wielką wojnę.

— A no tak, rozumie się... — poprawił się Rafał. — Ja bo siedzę tak na uboczu...

— Rzeczywiście, tak się zaszyłeś, żem ledwo się dopytał.

— To ty idziesz znowu?

— Kpisz, bracie, czy o drogę pytasz? Już w końcu czerwca nasz piąty korpus przeszedł granicę.

— O niczem nie wiem. Siedzę tu, mówię ci, za górami, za lasami, ludzi prawie nie widzę... skądże mam?...

— To też po ciebie umyślnie zajechałem. Potężniem zboczył z radomskiego traktu.

— Bardzo... bardzo się cieszę... — nieszczerze mruczał Olbromski. — A jakże myślisz dalej? kiedy i dokąd ciągnąć?

— Jutro, rozumie się, w kierunku Puław na Lublin. Nasze wojska, jakem się w Kielcach dowiedział, poszły z Sierocka, z Pułtuska na Łomżę i Augustów pod Mir. Ale gdzie nasz pułk siódmy być może, ani wiem. Ty się dziś zbierzesz?

— Ja?! — krzyknął Rafał. — Czyś oszalał? Patrzaj-że, co ja tu mam do roboty! Dom stawiam!

— Dom stawiasz! — wybuchnął Cedro śmiechem tak wesołym i hucznym, że Rafała aż złość wzięła. Zarazem jednak wstyd go ogarnął.

— No, cóż ty myślisz! — zaperzył się — objąłem ziemię, muszę się raz wreszcie jąć pracy. Wiecznie będę bąki zbijał?

— Pracy się imasz, kiedy na wielką wojnę wszyscy idziemy? Siedmdziesiąt tysięcy naszych wyruszyło...

Olbromski mało nie płakał. Naraz go objął żal niewysłowiony tych nowin, pól, płotów..... Spojrzał na dom, bielejący w oddali, między rozłożystemi drzewami....

— Kiedyż to ty chcesz jechać? — zawołał.

— Jak się tylko zbierzesz. Choćby jutro.

— Kiedy ja się zbiorę!... Ależ ja nie mam...

— Czego nie masz?

— Koni... — mruknął wymijająco.

— Możnaby wziąć *Samo... Samosiłka...* — wmieszał się do rozmowy Michcik, czyniąc na koźle foremny półzwrot w tył.

— Milcz, głupi! Sobie bierz Samosiłka.

— Według... według rozkazu.

— Któż to jest? Twój koniuszy? — spytał Cedro.

— To jest taki Michcik, jeszcze brata Piotra famulus.

— To Michcik... — rzekł Cedro z uszanowaniem. — Słyszałem o tobie, bracie, dużo dobrego... — zwrócił się do żołnierza. — Pójdziesz i ty na wojnę?

— Skoro panicz...

— A cóżeś to w tych czasach porabiał?

— W austryackich glidach, przeciwko nam służył! — wtrącił Rafał, przejęty nagłą złością do Michcika.

— Do dyabła! — mruknął Cedro.

— Dopraszam się łaski pana porucznika.... — począł bełkotać żołnierz — sześć razy dezer..... dezerto... Kije brałem trzy razy, w kajdanach.... pod sądem bywałem... Nie udało mi się do swoich dostać.

— Przeszedł na polską stronę dopiero pod Sandomierzem... — dodał Olbromski... — Teraz u mnie na folwarku burmistrzuje.

— Toś, Michcik, i strony swoje zdradził dla tego panicza?

— Trza było, bo karczunku tu dużo, a pan młody.

— No, i podoba ci się w tych górach?

— Niczego. Miejsce dosyć wesołe, ino...

— Ino co?

— Ino piáchu, jak się patrzy, mało.

— Piachu mało?

— Kamienia dużo, a piáchu, po prawdzie, mało.

— Więc ze mną na wielką wojnę obaj idziecie! — rzekł nagle Cedro, zmieniając przedmiot rozmowy. — Wielka to będzie wojna. Wojna nad wojnami.

— Już ci ja, według rozkazu pana porucznika... Jako że i *Samosiłka* pan mi przyobiecał pod siodło...

Rafał milczał posępnie. W pewnej chwili rzekł, nie patrząc na towarzysza:

— Idę i ja... do pioruna!

Już dom był blizko. Ledwie wysiedli, udali się zaraz do stajni oglądać konie i wybierać dla Rafała wierzchowca.

SŁOWO HONORU.

W okolicach Orszy, w połowie sierpnia, korpus pod rozkazami księcia Józefa Poniatowskiego złączył się z wielką armią.

Tam odbyła się rewia powszechna. Cedro i Rafał Olbromski spodziewali się ujrzeć cesarza. Ujrzeli go też w samej rzeczy. We mgle wietrznego ranka dostrzegli stojącego nieruchomie daleko, daleko, na urwistym brzegu. Za nim błyszczał barwami mundurów sztab i wyprężone, połyskliwe gwardye konne. Wojska, defilujące równiną w dole, ujrzawszy szarą kapotę i trójgraniasty kapelusz bez ozdób, wznosiły jednolite okrzyki, podobne do salw działobitni. Mijały pułki francuskie, holenderskie, włoskie, niemieckie, polskie... Wszystkie oczy skierowane były na ową nizką, krępą postać szarego człowieka z ramionami wzniesionemi ku górze. Krzysztof Cedro nie spuszczał z niego wlepionych oczu. Widział oto spełniony na jawie swojego życia wielki sen. Dotrzymał cesarz słowa honoru, danego pod Madrytem najsłabszemu ze

swych żołnierzy, konającemu w polu kalece. Dla tego jednego słowa wielkie pułki złączył, umundurował, wyżywił i poruszył. Sprzągł ze sobą obce narody... Cofnął się sztab. Podano bułanego araba. Cesarz siadł nań i zjechał ze wzgórza. Gwardye szły przed nim, świta za nim, i znowu gwardye. Pułki defilujące zatrzymały się na równinie, wyciągnęły w linie, kwadraty, podłużne kolumny. Jechał wolno przed wyprostowanymi frontami, wiodąc oczyma po liniach ludzkich, jakoby po nasypach martwej ziemi, po palisadach z drzewa, po rowach z kamienia. Twarz jego była zimna i obojętnie ponura, jak złom głazu. Spojrzenie oczu mijało twarze po twarzach, szło po spojrzeniach tysięcy, jako po martwym szlaku. Oczy straszliwe, w których gromady ludzkie przyuczone zostały widzieć jeno radość i gniew, były w tej chwili nijakie, obojętne, zasłonione olbrzymiością myśli dalekich.

Ręka pociągnęła cugle konia i jakiś rozkaz padł z ust. Wstrzymał się cesarz. Podniósł oczy. Patrzy w pułk. Widzi każdą twarz, przechodzi kolejno jedną po drugiej. Spotkał wlepione w siebie oczy Krzysztofa Cedry, oczy skamieniałe z żołnierskiej wierności, oczy przysięgłe. Przez chwilę coś zamigotało w twardych źrenicach cesarskich, jak daleki błysk w burej, bezlicej, bezkształtnej chmurze. Wspomnienie stało się jasnem widzeniem rzeczywistości. Przelotny, półsmutny uśmiech spłynął po granitowem obliczu...

KONIEC.